



NIGDY NIE WIADOMO, CO PRZYNIESIE LATO...
OTO POWIEŚĆ, KTÓRĄ ZACHWYCIŁA SIĘ
ZADIE SMITH!

TESSA
HADLEY
PRZESZŁOŚĆ

W
ab
two

Tessa Hadley

PRZESZŁOŚĆ

przełożyła Katarzyna Malita



Tytuł oryginału: *The Past*

Copyright © 2015 by Tessa Hadley

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVII

Copyright © for the Polish translation by Katarzyna Malita, MMXVII

Wydanie I

Warszawa MMXVII

Spis treści

Dedykacja

Część pierwsza. Teraźniejszość JedenDwaTrzyCzteryPięćSześć

Część druga. Przeszłość JedenDwaTrzy

Część trzecia. Teraźniejszość JedenDwaTrzy

Podziękowania

Przypisy

Dla Jacka

Część pierwsza
Teraźniejszość

Jeden

Alice przyjechała pierwsza, ale stojąc przy drzwiach wejściowych, zorientowała się, że zapomniała kluczy. Warkot silnika odjeżdżającej taksówki, niczym brzęczenie owada wśród wzgórz, był początkowo jedynym dźwiękiem w ciszy popołudnia, dopóki ich uszy nie przywykły do innych odgłosów: szumu wody w strumieniu, który płynął na końcu ogrodu, szelestu w żywopłotach i trawie. Przynajmniej było ciepło, a blask popołudniowego słońca rozmywał się w powietrzu gęstym od puszków, pyłków i muszek o przezroczystych skrzydłach; światło migotało na trawie, a cienie przesuwające się pod srebrnymi brzożami zamazywały ich kształty. Alice przeszukiwała torebkę z rozbawieniem i roztargnieniem. Słysząc z tego, że nie ma głowy do kluczy. Przyjechała z młodym człowiekiem, który był synem jej byłego partnera, i w pociągu zmagła się z pytaniem, na jakim etapie życia się znajduje i czy na ich widok ludzie nie pomyślą, że Kasim jest jej kochankiem, a może synem – a przecież nie był ani jednym, ani drugim.

Teraz bez słowa zniknął za domem i pomyślała, że po incydencie z kluczami zmalą w jego oczach; już był znudzony. Przyjechali na wieś, na zupełne odludzie, bez możliwości powrotu; dom stał przy ślepej ulicy, przy której nie było kawiarni, pubu ani nawet sklepu, w którym mogliby poczekać.

Choć uśmiechnięta, przez chwilę wściekała się na Kasima. Żałowała teraz, że go ze sobą zabrała. To była niefrasobliwa sugestia, rzucona pod wpływem dumy, że może mu zaproponować wyjazd do takiego miejsca; nie oczekiwała, że się zgodzi, i poczuła się mile połączona, gdy to zrobił. Ale gdyby była sama, brak kluczy nie stanowiłby żadnego problemu. Co więcej, pozwoliłby jej uniknąć odpowiedzialności wiążącej się z otwarciem domu i przygotowaniem go na przyjazd reszty. Mogłaby położyć się w słońcu na trawie. Mogłaby zrezygnować ze swojej wiecznej czujności i zasnąć tu, w Kington, prawdziwym, głębokim snem, którego ciągle szukała, a który stale jej umykał. Alice miała czterdzieści sześć lat, była smagła, łagodna, skoncentrowana, a jednak nieokreślona – każde z jej zdjęć pokazywało zupełnie inną osobę. Jej skomplikowana osobowość zawsze biegła w różnych kierunkach, falując jak jej piękne włosy. Jakiś mężczyzna powiedział kiedyś, że mają kolor wnętrza śliwki. Były miękkie i brązowe; nosiła je rozpuszczone, opadające falami na ramiona.

Otoczony ogrodem dom był dwupiętrowym białym pudełkiem z wysokimi oknami i werandą na tyłach, która wychodziła na trawnik opadający do strumienia. Ściany w środku nosiły brązowe ślady wilgoci, nie było centralnego ogrzewania, a dach przeciekał. Na omszałych dachówkach, grubych jak płyty chodnikowe, widać było wyryte zagłębienia pozostawione dwieście lat temu przez pracowników kamieniołomu. Alice i Kasim zaglądali przez okna: wewnątrz zdawało się wizją

innego świata, jego cisza wydawała się brzemienna w znaczenie jak pokój oglądany w lustrze. Pomieszczenia były nadal zastawione meblami dziadków; tapety srebrzyły się za wysokimi krzesłami, czarnym pianinem i sekretarzykiem. Obrazy zawieszane na listwach były plamami czerni. Alice powiedziała swojej terapeutce, że przez cały czas marzy o tym domu. Wszystkie inne, w których mieszkała, sprawiały wrażenie sceny przygotowanej do wieczornego spektaklu.

Kasim nie przejmował się tym, że nie mogą wejść do środka; był lekko skrępowany, bo Alice się zbłąźniła. Poza tym i tak nie wiedział, jak długo zostanie, bo przyjechał tu tylko po to, żeby się wyrwać od matki, która się zamartwiała, że nie chodził na zajęcia – pod koniec pierwszego roku uniwersytetu już się tam nudził. Wyobrażał sobie, że przez szybę czuje stęchły zapach pokoju; dywan był wyblakły i wytarty w miejscu, gdzie padało słońce. Kiedy na kamiennych płytach obok przybudówek zauważył sfatygowane szare renault, zawołał Alice. Nie miała prawa jazdy i nie potrafiła odróżnić jednego samochodu od drugiego, ale kiedy zajrzała do środka, domyśliła się, że auto musi należeć do Harriet, jej starszej siostry. Na tylnym siedzeniu leżało pudełko z mapami, a obok, na złożonej gazecie, para starannie ustawionych butów z wsuniętymi do środka pasiastymi skarpetkami.

– Wiem, co zrobiła – powiedziała. – Przyjechała, zostawiła samochód i poszła na spacer, zanim zjawi się reszta. Cała ona. Uwielbia przyrodę i obcuje z nią w bardzo zasadniczy sposób. Uważa, że jestem frywolna.

Ten mały przejaw uporządkowanej prywatności sprawił, że Harriet wydała się Alice bezbronna; wzruszyło ją to i poirytowało.

– Może twoja siostra też zapomniała klucza.

– Harriet nigdy w życiu niczego nie zapomniała.

Ponieważ nie mogli wejść do środka, Alice poczuła się zobowiązana, by pokazać Kasimowi okolicę. Przez wyrwę w ogrodowym murze na tyłach domu zaprowadziła go na przykościelny cmentarz. Jej dziadek był tu pastorem. Dom i kościół stały na brzegu niecki osadzonej głęboko wśród wzgórz, a latające w niej myszołowy szybowały na prądach powietrza. Stara przysadzista wieża kościoła, bez okien, wydawała się wtopiona w czerwoną ziemię, nawa zaś była dla kontrastu nieproporcjonalnie pełna okien – przejrzyste stare szyby sprawiały, że kamienne ściany sprawiały wrażenie pozbawionych ciężaru. Można było spojrzeć na przestrzał na zielone drzewa po drugiej stronie kościoła. Po licznych pochówkach ziemia na cmentarzu była wzburzona jak morze; z jednego końca zarastały ją wysoki barszcz i rdzawy szczaw. Nagrobek dziadków, wykonany z czerwonego granitu, po blisko ćwierćwieczu nadal lśnił nowością. Alice wyjaśniła, że jej dziadek był zwolennikiem eklezjalnego nurtu w Kościele: kadzidło, Biblia Króla Jakuba i prawdziwe piekło, a przynajmniej jakaś jego skomplikowana inteligentna wersja.

– Był gruntownie wykształconym człowiekiem, poetą. Słynnym poetą.

Kasim studiował ekonomię, nie obchodziła go poezja – ekonomia zresztą też nie. Gibki i zwinny, chodził za Alice po cmentarzu z rękami w kieszeniach, tylko na wpół zainteresowany, słuchając jej z przekrzywioną głową. Alice zawsze dużo mówiła. Kasim był bardzo wysoki i stanowczo za chudy, z brązową skórą i dużym nosem, wąskim jak ostrze; rozmyte czarne oczy opadały wymownie w kącikach, dolne powieki miały lekko fioletowy odcień; granatowoczarne włosy były gęste jak sierść. Wydawał się zdecydowanie angielski i niewątpliwie także trochę egzotyczny – jego dziadek ze strony ojca, sędzia z Pendżabu, był krótko żonaty z angielską pisarką. Teraz Alice martwiła się, że Kasim uzna wieś za nudną; jakoś nie przyszło jej to do głowy, gdy zapraszała go w Londynie. W Kington najbardziej lubiła to, że nie trzeba było nic robić – można było tylko czytać albo spać. Po przyjeździe na miejsce stało się jasne, że Kasimowi to nie wystarczy, i Alice zaciążyła myśl o tym, że będzie musiała go zabawiać. Ponieważ był młody, a ona miała czterdzieści sześć lat, bała się, że nie uda się jej niczym go zainteresować, a podłamałaby się, gdyby mu się tu nie spodobało. Alice boleśnie doskwierała świadomość, że powoli zaczyna tracić urodę. Zawsze wierzyła, że jej siłą jest osobowość i inteligencja. Urodę uważała za rzecz oczywistą.

Fran – druga siostra Alice, najmłodsza z czwórki rodzeństwa – zjawiała się następna, z dwojgiem dzieci: dziewięcioletnią Ivy i sześciolatkiem Arthurem. Mieli za sobą koszmarną podróż, w piekielnym ruchu, a Ivy cierpiała na chorobę lokomocyjną. Musiała siedzieć z plastikową miską na kolanach i teraz jej twarz – wąskie usta, ostro zakończone nos i broda – pod piegami była jak biała maska. Przechodząc z ogrodu na tyłach pod kamiennym łukiem obrośniętym starymi krzewami pnących róż, dzieci wyglądały jak postaci ze staromodnej sztuki. Ivy miała na sobie długą, marszczoną, jedwabną wiktoriańską spódnicę koloru khaki i różowy top wyszywany cekinami. Zwykle żyła w innym, wyimaginowanym świecie. Jej historie nie miały fabuły i zdarzeń, wszystkie były nastrojem – uwielbiała Kington, bo tutaj jej wewnętrzne życie na każdym kroku dotykało rzeczywistości. Przechodząc przez trawnik, zanurzała się w swoich snach: stary dom drzemał w słońcu, a drzwi balkonowe pod małym treliazem z burego ołowiu obrośniętego klematisem mogły prowadzić do świata królewskich, poetyckich lub tragicznych zdarzeń.

Arthur miał na sobie codzienne szorty i podkoszulek, lecz był delikatny i piękny; z przezroczystą skórą i niebieskimi żyłkami na skroniach wyglądał bardziej niż sama Ivy jak postać z jej opowieści. Choć Fran nie była sentymentalna, nie mogła się zmusić, by obciąć jedwabiste złote włosy Arthura, które opadały mu na ramiona. Fran twardo stąpała po ziemi, była krępa, piegowata, rude włosy nosiła obcięte na eleganckiego boba, a zielony top mocno opinał jej piersi i brzuch.

– Dzięki Bogu, że jesteś! – wykrzyknęła Alice, przeciskając się przez wyrwę w murze. – Zapomniałam kluczy!

– Okropnie wymiotowałam – oznajmiła Ivy. – Musiałam trzymać miskę.
– Zamieszanie było straszne. Można by pomyśleć, że jest śmiertelnie chora. Harriet nie ma kluczy? Jej samochód tu stoi.

– Stał już, kiedy przyjechaliśmy. Pewnie poszła na spacer.
– No, przynajmniej ty jesteś. Przyda mi się pomoc w rozpakowywaniu zakupów. Ładnie wyglądasz. Ależ jesteś szczupła. Zazdroszczę.

Obrzuciła pełnym podziwu spojrzeniem białą sukienkę w niebieskie kwiatki, opaleniznę, pomalowane paznokcie u stóp, eleganckie sandały.

– Żałuję, że nie mam czasu na to wszystko.

Alice czuła się paskudnie, że to Fran musiała wszystko kupić. Ale przecież nie mogła przywieźć zakupów pociągiem, a nie wypadało o to poprosić Rolanda, bo jeszcze nie poznały jego nowej żony. A Harriet za bardzo by oszczędzała. Fran zapewniła ją, że nie liczyła się z kosztami; Harriet będzie przerażona, gdy później zaczną dzielić wydatki. Alice przyklękła na kępie ostrej trawy, by uściskać dzieci. Ivy stała sztywno, nadal dochodząc do siebie, a Arthur nachylił się do pocałunku, bo lubił pachnące perfumami ciepło kobiet.

Na ich przyjazd trawę skosił sąsiad, który pod ich nieobecność zajmował się ogrodem, a leżące wszędzie źdźbła zamieniały się już w siano i lekko pachniały zgnilizną. Fran przypomniała sobie, że trzymają zapasowe klucze w jednej z przybudówek.

– Och, nie ma sprawy. Byliśmy razem na cmentarzu, oglądaliśmy groby.

– My?

Alice była pewna, że wspomniała o Kasimie.

– No wiesz! – zawołała Fran. – To ty nalegałaś, że ma być tylko rodzina.

– On jest prawie rodziną! Poznałaś go, nie pamiętasz? Kiedy był ślicznym chłopczykiem. To było prawie wczoraj. A teraz jest ślicznym młodym mężczyzną. Czy to nie przerażające?

– Nie wspominałaś o tym – upierała się Fran.

– A gdzie jest Jeff?

Stojąc przed siostrą na trawniku, z reklamówkami w rękach, Fran zawiesiła głos dla dramatycznego efektu, w czym bardzo przypominała swoją córkę. W przeciwieństwie do rozkojarzonej Alice była energiczna; jej oczy miały wyraziste płytkie powieki, przez co wyglądała, jakby nie miała nic do ukrycia i pokazywała światu wszystko.

– Wyobraź sobie tylko, w ostatniej chwili okazało się, że Jeff nie może przyjechać.

– Żartujesz? Myślałam, że tym razem naprawdę obiecał.

– Bo obiecał. Ale to gnojek.

Udawał, że zapomniał o wakacjach, wyjaśniła Fran, choć planowali je od miesięcy. Zarezerwował występy na cały czas wyjazdu, nie mówiąc jej o tym ani

słowa, ale może uda mu się wygospodarować trochę czasu, by wpaść na kilka dni. Powiedziała mu, żeby nie zawracał sobie głowy. Alice okazała siostrze współczucie, lecz bez przekonania, bo czasami, kiedy krytykowała Jeffa, Fran czuła się urażona i zaczynała go bronić. Alice i tak go lubiła i żałowała, że nie przyjechał. To była naprawdę ostatnia kropla, utrzymywała Fran, mówiąc cicho, by chronić dzieci. Skończyła już z Jeffem, miała dość. Alice też już to kiedyś słyszała.

Fran otworzyła drzwi frontowe i siostry zawahały się na progu, by przygotować się na to, o czym zapomniały podczas długiej nieobecności – stęchły zapach uwięzionego powietrza, żałosne blade światło w holu z podłogą z szarych i białych płytek, przykrytą cienkimi chodnikami, które spłowiejały i nabrały koloru rdzy. Zawsze musiały się przez chwilę przyzwyczajać, gdyż sfatygowany biedny wygląd domu zderzał się z ich zbyt optymistycznym wyobrażeniem. Fran zaczęła rozpakowywać zakupy w kuchni, która była najbrzydszym pomieszczeniem w całym domu, niezmienianym od lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku, kiedy ich babka w gorączce modernizacji kazała powiesić fornirowane szafki, zainstalować zlewozmywak z obudową i elektryczną kuchenkę i przykryć podłogę linoleum. Przynajmniej zachowała stary kredens wbudowany w jedną ze ścian. Patelnie i garnki pozostawione w niektórych szafkach poczerniały i lepiły się od pajęczyn i mysich bobków. Ponieważ kuchnia znajdowała się pomiędzy jadalnią od frontu i długim salonem, który biegł wzdłuż południowej, tylnej ściany domu, była ciemna, oświetlana jarzeniówkami, a jedyne boczne okno wychodziło na komórkę i przybudówki.

Valerie, poprzednia, druga żona ich brata Rolanda, przez cały pobyt w Kington snuła plany, jak unowocześnić dom, choć zawsze zapewniała, że bardzo go kocha. Powinni zrobić nową, wychodzącą na ogród kuchnię, więcej łazienek i zainstalować centralne ogrzewanie. Wszyscy się z nią zgadzali, lecz nic się nie zmieniało. I tak nie było pieniędzy na remont.

Ivy usadowiła się obok Kasima, który wyciągnął się z zamkniętymi oczami na gęstej trawie na cmentarzu. Wyprostowała nogi obok jego nóg i ułożyła starannie spódnice, by wystawały spod niej jedynie lakierki jak dwa czarne wykrzykniki. Opierając się na łokciu, pochyliła się nad Kasimem i poruszyła swój zwykły repertuar tematów – szkoła, Arthur, epoka wiktoriańska, jedzenie, którego nie znosiła – by przetestować, co może go rozbawić. Nie otwierając oczu, Kasim poszukał papierosów w kieszeni spodni, a potem zapalniczki. Ivy z pełnym szacunkiem zainteresowaniem śledziła rytuał przypalania i pierwsze głębokie zaciągnięcie się.

- Uważaj – powiedziała. – Można łatwo podpalić suchą trawę.
- Otworzył jedno oko, by na nią spojrzeć, po czym znów je zamknął.
- Mama nie lubi palenia. Mówi, że wywołuje raka.
- Jak wpadła na ten pomysł?

Bezceremonialność Kasima nie zraziła Ivy – prawdę mówiąc, zaczynał jej imponować. Podejrzała, że jest nowym chłopakiem ciotki Alice, i chyba najlepszym do tej pory. Przyszło jej do głowy, że większość swoich zachowań w obecności dzieci dorośli starannie infantylizowali z myślą o nich – na przykład palenie; wiedziała, że tata pali, ale nigdy przy nich. Kasim leniwym ruchem wyjął telefon, by sprawdzić pocztę.

– Tutaj nie ma zasięgu – poinformowała go z przejęciem. – Tylko w jednym miejscu, a i tak zależy, w jakiej jesteś sieci. Musisz wyjść na to pole z krowami, potem podejść do bramy na końcu i usiąść na niej. To jedyny sposób.

Kasim zaklął – raczej z niedowierzaniem, bo tak naprawdę niespecjalnie się przejął. Może nie należało przeklinać w obecności dzieci, ale Ivy nawet nie mrugnęła okiem, jakby słyszała „kurwa” codziennie. Spodobał mu się pomysł całkowitego odcięcia od komunikacji; nie będą go mogli namierzyć przyjaciele, rozwiedzeni rodzice ani dziewczyna, z którą był bez przekonania na wpół związany. Brzęczące i szeleszczące letnie popołudnie, zbyt gorące, by ptakom chciało się śpiewać, falowało w jego uszach głośniejsze i bardziej kuszące teraz, gdy wiedział, że nie przetrze go żadne połączenie. Postanowił, że zapadnie się pod ziemię, i spodobało mu się, że czuje ją pod sobą, wcale nie przyjazną, w miejscu, w którym leżał. Z drugiej strony, irytowała go obecność dzieci. W ogóle go nie bawiły. Wydawało się, że zaledwie wczoraj sam był dzieckiem, pamiętał to zbyt dobrze.

Alice obeszła dom, podśpiewując, by pootwierać okna i drzwi. Teraz, kiedy znalazła się już w środku, wszystko było w porządku. Wychyliła się z okna na górze i pomachała do Kasima, który wracał z cmentarza, próbując uwolnić się od depreczującej mu po piętach Ivy. Odmachał, nie wyjmując papierosa z ust. Alice odwróciła się od okna i poczuła przybierającą na sile obietnicę niezwiązaną z Kasimem ani z nikim, a już na pewno nie z Danim. Światło przesuwające się po różowych tapetach, ciemna plama szafy widzianej kątem oka, głosy dzieci dobiegające z zewnątrz, stęchły zapach pokoju i jego tajemnice, trzeszczenie desek w podłodze – to wszystko przywołało wspomnienie tak przesywające, a jednocześnie tak ulotne, że mogło być jedynie wspomnieniem snu. W tym śnie było lato, mężczyzna i jakiś zwiewny, pozbawiony słów sygnał sugerujący, że są sobie bliscy i wiele może się wydarzyć. Ten błysk intymności podniósł Alice na duchu i poruszył, bardziej jak przebłysk przyszłości niż wspomnienie. Miłość znów wydawała się bujna i możliwa – jakby coś trwało w oczekiwaniu. Przeszła podestem bez tchu, czując przyspieszone bicie serca.

Na górze zawsze było mnóstwo światła, zmieniającego się radykalnie razem z pogodą. Dom rozplanowano bardzo prosto: jeden bieg szerokich, płytkich schodów prowadził na długi podest z pomalowaną na biało balustradą; na każdym końcu podestu, na środku przedniej i tylnej elewacji domu, wznosiły się wysokie

łukowate okna, zachwycające pięknem z wewnątrz i z zewnątrz. W sypialni od frontu, która zawsze należała do niej, Alice uklękła przed półką z książkami, czując wyrzuty sumienia, bo na dole Fran cały czas pracowała. W domu było pełno książek dla dzieci – nie tylko z dzieciństwa jej i rodzeństwa, lecz także ich zmarłej matki. Ekslibrisy z imieniem Alice wypisanym drżącą kursywą, której uczono jej w szkole, były wklejone do wszystkich jej książek, z datami. Niczym w geście przepowiadania przyszłości otworzyła na chybił trafił jedną z nich – *Złotą Księgę Bastablów* Edith Nesbit – i przeczytała stronę czy dwie. „Nagle zobaczyliśmy coś, po co warto było odbyć tę wyprawę – strumień zniknął nagle w kamiennym obramowaniu. Wleźliśmy do wody, żeby tam zajrzeć, ale nie dojrzelśmy żadnego światełka, które powinno się pojawić, gdyby był to tunel”¹. Ciężar książki w dłoniach, gruby papier stron, kiedy je przewracała, i ilustracje przedstawiające chłopców w krótkich spodenkach i dziewczynki w fartuszkach wydawały się przywoływać dawne czasy – czasy, kiedy pierwszy raz to czytała, a wcześniej czasy, kiedy takie dzieci chodziły po świecie.

Fran kroїła w kuchni cebulę, gdy Alice przysła poszukać nożyczek, by ściać trochę kwiatów w ogrodzie.

– Kiedy postanowiłaś zaprosić Kasima – zaczęła Fran – gdzie dokładnie zamierzałaś go położyć?

– Nie martw się, jest mnóstwo miejsca – odparła beztrąsko Alice. Na próżno przeszukała szuflady i rozejrzała się bezradnie. – Nie mamy nożyczek?

Fran zdjęła je z haczyka na ścianie i podała siostrze.

– Zakładam, że nie jesteście razem.

– Na miłość boską! Kasim jest prawie moim pasierbem.

– Tylko pytam. Z tobą nigdy nic nie wiadomo.

– Dla niego jestem zgrzybiałą staruszką. A nawiasem mówiąc, dzieci go uwielbiają. Dokądkolwiek się tylko ruszy, ciągną za nim jak procesja. Kasim trzyma ręce w kieszeniach i teraz Arthur go naśladuje. Tak słodko wygląda.

– Ale czy jest dość miejsca? – Pochylona nad cebulą Fran nie dawała za wygraną. – Molly musi mieć swój pokój, to oczywiste. Nie jest już dzieckiem.

Alice była zmuszona policzyć sypialnie i łóżka na palcach.

– No tak. Zapomniałam o Molly.

– Roland i ta, jak jej tam, jego nowa żona. Ty, Kasim, Harriet. Molly. To pięć sypialni. A mamy tylko sześć. To oznacza, że będę musiała spać z dziećmi w pokoju z piętrowymi łózkami.

– Fran, to okropne. Potrzebujesz spokoju najbardziej z nas. Musisz mieć trochę prywatności. Nie. Ja będę z nimi spała, bo to wszystko moja wina. Naprawdę nie mam nic przeciwko temu.

– Nie bądź głupia – osadziła ją Fran. – Wiesz, że do tego nigdy nie dojdzie.

Skruszona Alice wyjęła z komórki przy kuchni wazon babki, napełniła je

wodą i ustawiła na kuchennym stole.

– Pod samym nosem – mruknęła Fran, gdy siostra nie mogła jej usłyszeć.

Alice przyniosła róże, krokosmię i fioletową lnicę z ogrodu, gdzie długą nieobecność lokatorów mogły przetrwać tylko najsilniejsze rośliny. Potem porozstawiała wazony w całym domu – mieszany bukiet na każdej toaletce, białe róże i paprocie dla nowej żony. Ułożyła w misach owoce z supermarketu. Fran przywiozła nowe ściereczki kuchenne w jasnych kolorach. Pokoje wypełniły się zapachem jedzenia. Pomędzy ich przyjazdami pusty dom zdawał się wpadać w rodzaj otępienia i początkowo był zimny i niechętny, kiedy znów przywracali go do życia.

Harriet przeszła przez cmentarz i zatrzymała się przy wyrwie w murze, by zebrać siły i przygotować się na koniec samotności. Popołudnie wypełniło ją po brzegi: poszła szlakiem do wodospadu, który o tej porze roku był jedynie strumieniem spływającym po długim, wilgotnym jezorze szmaragdowego mchu. Mysikróliki piszczały w czubkach jodeł w szkółce, padalec wygrzewał się na ścieżce, którą szła, szare pnie drzew wznosiły się dumnie, a blask słońca przedzierał się przez wachlarze liści falujących w ruchu powietrza niewyczuwalnym na dole. Opuszczona chata, którą obserwowali od dzieciństwa – z bladym wspomnieniem starej kobiety będącej jej ostatnią mieszkanką – zapadła się jeszcze bardziej w ziemię na zakręcie ścieżki, usadowiona wysoko, na krawędzi stromego zbocza doliny. Dawno temu razem z bratem i siostrami wyłamali zardzewiałą kłódkę i przetrzasnęli wnętrze chaty, weszli nawet na górę. Teraz byłoby to niebezpieczne. Miejsce nie miało żadnych wygod, nie było bieżącej wody, nie wspominając już o elektryczności; nikt nie mógłby tu mieszkać. Choć czasami Harriet myślała, że mogłaby. Nie potrzebowała zbyt wiele.

Dostrzegła, że inni już przyjechali. Balkonowe drzwi były otwarte na taras, gdzie na jednym z leżaków przyniesionych z przybudówki siedział młody mężczyzna. Ivy wyszła z salonu i przyniosła mu szklaneczkę czegoś, co wyglądało na dżin z tonikiem, trzymając ją ostrożnie w obu dłoniach; Arthur szedł za nią z miseczką. Harriet była bardziej nieśmiała, niż ktokolwiek mógłby podejrzewać, i struchlała na myśl o ponownym wejściu do tego zaludnionego świata. Początkowo doszła do wniosku, że mężczyzna jest nowym chłopakiem Alice, choć nie słyszała, by ktoś taki się pojawił. Kiedy się zbliżyła, rozpoznała go.

– Wiem, kim jesteś – powiedziała, wyciągając rękę, czym przstraszyła Kasima, który czytał z pogardliwą uwagą zabrany z pociągu w Londynie egzemplarz „Metra”. – Jesteś synem Daniego. Poznaliśmy się kilka lat temu na urodzinach Alice. Ale wtedy byłeś jeszcze chłopcem. Jestem siostrą Alice.

– Dorosłem.

– Głupio gadam. Oczywiście.

Kasim wstał i próbował zaferować Harriet swoje miejsce, potem swój dżin

z tonikiem i solone orzeszki nerkowca, które przyniósł Arthur.

– To dla ciebie – powiedziała surowo Ivy. – Ona może dostać swojego drinka.

Kiedy tylko Kasim zobaczył Harriet, przypomniał sobie ich spotkanie, bo wyglądała jak bardziej tragiczna wersja Alice, choć sztruksowe spodnie i stary podkoszulek były dowodem, że nie przywiązuje tak wielkiej uwagi do stroju jak ona. Jej twarz wydawała się bardziej mizerna niż twarz siostry i mniej ekspresyjna, niczym maska spokoju, a krótkie włosy sterczały sztywno jak czub i były bielusińkie.

Harriet oświadczyła, że nie jest jeszcze gotowa na dżin, lepiej najpierw zmieni buty, a potem się rozpakuje. Arthur zapytał, czy może z nią iść.

– Uwielbia patrzeć, jak kobiety się przebierają – wyjaśniła Ivy.

– Zmienię tylko buty – odparła przeproszającym tonem Harriet.

Fran, która płukała sałatę w kuchni, zobaczyła, jak Harriet i Arthur niosą bagaże jej siostry – nieliczne – do bocznych drzwi prowadzących do komórki połączonej z kuchnią. Arthur prężył się z dumą pod paskiem przewieszanej przez pierś lornetki ciotki. Nic na to nie mógł poradzić, z tymi włosami wyglądał jak paż. Fran zauważyła to, wręczając mu miseczkę z orzechami, i poczuła ukłucie bólu na myśl, że musi je ściąć. Ale jeszcze nie teraz. Przynajmniej najstarsza siostra rozmawiała z dziećmi, jakby były dorosłe – Alice czasami przesadzała.

– Byłaś już na spacerze – powiedziała, całując Harriet.

– Nie chciałam wchodzić do środka pierwsza – wyznała Harriet. – To taki dziwny przesąd.

– Chciałabym mieć tyle energii co ty. Nic dziwnego, że jesteś taka szczupła.

Harriet usiadła w komórcie, by rozsznurować buty, a Fran wyjaśniała jej, dlaczego Jeff nie przyjedzie i jakie to niesprawiedliwe.

– Nie wiemy, o której przyjedzie Roland z ekipą, ale i tak robię kolację i zaczęliśmy już popijać dżin. Pomyśleliśmy, że lepiej się wzmocnić przed przybyciem jego nowej żony.

– Spotkałam Kasima w ogrodzie.

– To syn Daniego. Podobno jest niezwykle inteligentny. Ale przecież wszyscy przyjaciele Alice są niezwykle inteligentni, no nie?

– Wydał się bardzo miły.

Fran zniżyła głos:

– Alice nigdy nie myśli o stronie praktycznej. A ponieważ go tu przywiozła, będę musiała spać w pokoju z dziećmi.

Harriet nachyliła zaczerwienioną twarz nad sznurówkami, przybita poczuciem winy, bo wiedziała, że powinna zaproponować, że to ona będzie spała z dziećmi, by dać Fran chwilę wytchnienia, nie mogła się jednak na to zdobyć. Samotność tuż przed zaśnięciem była dla niej bardzo cenna: w domu żyła na ogół

z dala od swojego partnera, Christophera, bo oboje woleli taki układ.

Po chwili do kuchni weszła Alice z nożami i widelcami w rękach – nakrywała do stołu w jadalni.

– Hettie, jesteś! Spacer się udał? Jakie to mądre, wyjść prosto w piękny dzień. Nie przywiozłaś zbyt wiele bagażu jak na trzy tygodnie. Jesteś taka ascetyczna! To bardzo do ciebie podobne, nie przejmować się ubraniami. W końcu przecież nikt nas nie będzie oglądał. Z wyjątkiem nas samych, a my o to nie dbamy, jesteśmy w rodzinnym gronie. No, będą jeszcze Kasim i Pilar.

– A więc tak ma na imię – powiedziała Fran. – Wiedziałam, że to coś związanego z architekturą².

– Przyjechałam tylko na tydzień – wyjaśniła Harriet. – Nie mogłam wziąć więcej wolnego.

Fran zakręciła suszarką do sałaty, by ukryć rozczarowanie Alice, której zachowanie zmieniło się diametralnie. Rzuciła z brzękiem sztucce na kuchenny stół.

– Obiecałaś! – wykrzyknęła.

Czy nie umówili się, że wszyscy zaoszczędzą urlop, by spędzić razem całe trzy tygodnie, bo może to będzie ostatni raz?

– Niczego nie obiecywałam – odparła Harriet. – Ostrzegałam cię. Powiedziałam, że trudno mi będzie zostawić pracę na tak długo.

– Chciałam, żebyś tu była. To miała być specjalna okazja. Chciałam, żebyśmy byli wszyscy razem, jak za dawnych czasów.

– Przecież tu jest – rzuciła Fran. – Nie kłóćmy się w pierwszy wieczór.

Na górze Harriet znalazła na swojej komodzie mały bukiet; zdawał się przekazywać wyrzuty Alice, gdy się rozpakowywała. Z sypialni położonej nad kuchnią słyszała głos siostry podnoszący się w gniewie, choć nie słyszała słów. Kiedy celowo zatupała na drewnianej podłodze, Alice zamilkła. Brzęk kieliszków i szuranie krzeseł dobiegały z jadalni. Alice była niesprawiedliwa, obwiniając ją, że wszystko zepsuła. Nikt się nie obruszył, że Alice przyjechała z Kasimem, a przecież sama chciała, by spotkanie miało charakter wyłącznie rodzinny.

Arthur siedział na łóżku, wymachując nogami, i zaabsorbowany patrzył, jak Harriet układa ubrania.

– To twoja najlepsza piżama? – zapytał szczerze zainteresowany i musiała przyznać, że ma tylko dwie, na dodatek takie same – jedną w zieloną kratę, drugą w czerwoną.

Żałowała, że nie ma niczego bardziej wyszukanego, by mu pokazać, oprócz zgrabnego stosiku czystych podkoszulków, bielizny, zapasowej pary spodni i swetra na wypadek, gdyby zrobiło się zimno. Odkładając tabletki na katar sienny i szczotkę do włosów, wsunęła pamiętnik pod podkoszulki w szufladzie. Wieczorem, kiedy będzie sama, opisze kłótnię z Alice i spróbuje przedstawić oba

punkty widzenia ze skrupulatnym obiektywizmem.

Gdy Alice weszła na górę ze szklaneczką dżinu na znak pokoju, Harriet przyjęła ją, choć nie przepadała za dżinem.

– Nie masz nic przeciwko mieszkaniu w tym pokoju? – zapytała Alice, odwracając się szybko od swojego odbicia w noszącym ślady czasu obrotowym lustrze, choć nie mogła się powstrzymać, by nie unieść ręki i nie poprawić fryzury.

– Nie. Czemu miałabym mieć?

– Bo musisz przechodzić przez mój pokój, a to kłopot dla ciebie. Nie możesz przechodzić przez pokój Rolanda ze względu na Pilar.

– Nie przeszkadza mi to.

Arthur zapytał, czy Harriet chciałaby zrobić mu zdjęcie, a kiedy odparła, że zrobi je z radością, przywołał na twarz niejednoznaczny uśmiech. Potem Alice, która przed obiektywem czuła się równie naturalnie jak on, usiadła obok niego na łóżku i do kolejnego zdjęcia objęła go ramieniem. Arthur zaoferował się, że uwieczni siostry na wspólnej fotografii, lecz nie chciały o tym słyszeć. Obie bały się panicznie – choć nigdy się do tego nie przyznały – że są do siebie tak bardzo podobne, a jednak tak różne. Na rodzinnych zdjęciach grupowych zawsze ustawiały się na przeciwległych końcach. Posiwiące włosy Harriet sprawiły, że ich podobieństwo stało się jeszcze bardziej uderzające.

Zaczęli jeść kolację, choć nie mieli żadnych wiadomości od Rolanda: makaron z sosem pomidorowym, oliwkami i kaparami, chleb na zakwasie, sałata z oliwą i solą morską. Dzięki Alice stół wyglądał uroczo z kwiatami i starymi srebrnymi sztuczkami, które dziadkowie dostali w prezencie ślubnym. Znalazła poznaczony plamami wilgoci koronkowy obrus, pachnący wnętrzem szafki. Okna w bocznej ścianie były podniesione i padające ukośnie promienie późnego słońca odbijały się w lustrze wiszącym nad kredensem; jedli w ich blasku i cała scena miała w sobie coś pamiątkowego. Żadne z nich nie miało w swoim innym życiu jadalni ani nie używało obrusów, nie mówiąc już o koronkowych.

– Pomyślcie tylko – zaczęła Fran. – Być może spotykamy się tu ostatni raz.

Alice odparła, że nie chce o tym myśleć, a Fran nie powinna się wrywać; muszą to przedyskutować, kiedy zjawią się wszyscy. Dzieci, przebiegając wzrokiem od twarzy do twarzy, by wy badać nastrój dorosłych, zachowywały się wyjątkowo grzecznie, próbując się do niego dostosować. Ivy unosiła mizerną buzię w stronę czegoś nieokreślonego, gdyż była zawieszona pomiędzy tym rzeczywistym pokojem a innym, wyobrażonym. Kiedy jedli, zadzwonił telefon na stoliku w holu; odebrała Harriet i po chwili wróciła do stołu rozczarowana.

– Dzwonił Roland. Przyjadą dopiero jutro.

– Wiedziałam, kiedy tylko telefon zadzwonił – powiedziała Alice.

– Zawsze mu się to udaje! – wykrzyknęła Fran. – Za każdym razem!

– Och, demonstruje tylko swoją pozycję. Nawet nie wie, że to robi.

Na chwilę z sióstr uszło powietrze; oczekiwanie na przyjazd pozostałych mocno podnosiło je na duchu. Ich brat, jego żona i córka (Molly była córką z pierwszego małżeństwa) pod swoją nieobecność wydawali się bardziej wytworni, a ich przyjazd miał być kulminacją wieczoru.

– Marna wymówka – oświadczyła Harriet. – Jeśli naprawdę ma jutro spotkanie, mógł nas przecież zawiadomić wcześniej.

– W zasadzie to się cieszę – powiedziała Alice, doszedłszy do siebie. Nachyliła się i oparła łokcie na stole, unosząc kieliszek w dłoniach tak, że z ręki zsunęły się cienkie bransoletki. Na letnią sukienkę narzuciła bolerko vintage z przezroczystymi rękawami. – Czy to nie wyjątkowe, że siedzimy tak w szóstkę? Poczulałam ulgę, że nie musimy dziś poznawać nowej żony Rolanda. Jutro spojrzymy na wszystko świeżym okiem i będziemy na nią gotowi. Ale dziś wieczorem bez nich jest idealnie, prawda?

– Dla mnie mogliby w ogóle nie przyjeżdżać – oznajmił radośnie Kasim.

– Roland powinien o nas pomyśleć, gdy tak często zmienia żony – powiedziała Fran. – Stale musimy się przyzwyczajać do nowej. A zdążyliśmy już przywyknąć do Valerie.

– Mniej więcej.

– Ja nigdy do niej nie przywykłam – oświadczyła Ivy. – Miała piskliwy głos, a kiedy szła, poruszała głową jak kurczak.

– O tak – rzucił Arthur, naśladując ruchy Valerie.

– Co za ulga – powiedziała Alice – że Valerie należy już do przeszłości, bo prawda w końcu mogła wyjść na jaw.

– Nie zachęcaj ich – ostrzegła ją Fran. – I tak są nieznośni.

Po kolacji Alice poszukała w szafce świec: światło elektryczne było zbyt brutalne, zabiłoby magię.

Kiedy uporano się ze zmywaniem, łóżka zostały posłane i dzieci ucichły na górze, dorośli znów usiedli przy stole, wciąż przy otwartych oknach, bo wieczór był bardzo ciepły. Poetyckie ćmy, wyraźne w zawieszaniu mniejszych owadów, wirowały wokół płomieni świec. Harriet włożyła kardigan i związała jedwabny szal wokół szyi, w ustępstwie na rzecz form towarzyskich. Tego typu dodatki były domeną Alice, lecz ta zachęcająco dotknęła szala siostry i wykrzyknęła, że jest śliczny. Fran zdjęła fartuch i wyjęła czekoladki i butelkę armaniaku z opakowań z supermarketu. Alice podkradła papierosa Kasimowi, żeby mogła dmuchać dymem na owady, a przy okazji wysunęła z paczki jeszcze jednego.

Kasim był niezłe wstawiony i ogrzewał się w ciepłe czułej uwagi trzech skoncentrowanych na nim kobiet; każda z nich mogłaby być jego matką. Wydobywały z niego wrażliwość w sposób, którego dziewczęta w jego wieku jeszcze nie znały: uważały, że jest chłodny i inteligentny. Rozparł się wygodnie na krześle i wyciągnął długie nogi pod stołem, świadomy swojej inteligencji oraz

uwagi, którą obdarzały go siostry – nie kryły się z nią, bo wyrosły już z ograniczającego je opanowania. Znane mu dziewczęta zawsze coś odgrywały, a jeśli opuszczały gardę, często nic się za nią nie kryło. Jego błyskotliwość w towarzystwie tych starszych kobiet działała niczym seksualna siła – nawet jeśli nie była wymierzona w żadnym konkretnym celu. Zakręcił armaniakiem w kieliszku i rozlał go na koszulę, sypiąc popiołem z papierosa na dywan.

Zwrócił się do Fran, która była nauczycielką matematyki w szkole średniej i mogła go polubić najbardziej, gdyby nad nią popracował. Wydawała się bardziej zdecydowana i być może bardziej ograniczona niż siostry. Kasim kochał się kiedyś w swojej nauczycielce matematyki i pokryte piegami pulchne ręce Fran przywołały przyjemne wspomnienie równań wypisywanych starannie na tablicy. Popisywał się, rozwodził nad teorią optymalizacji i regułą łańcuchową w obliczaniu – liczba x pewnych towarów wymaga uzależnienia od ceny c , która zależy od pogody mierzonej parametrem p , i tak dalej. Tak naprawdę matematyka była nudna, poruszała się w swoich niepowstrzymanych kręgach. Ale podobało mu się, że siostry są przerażone jego rozwiązaniami kryzysu bankowego: powinniśmy pozwolić bankom upaść, tłumaczył z powagą, i pozwolić upaść firmom ubezpieczeniowym, które wykupiły obligacje zabezpieczone długiem, i pozwolić, by ludzie, którzy wzięli za duży kredyt na kupno domów, te domy stracili. Potrzebujemy mniej regulacji, nie więcej – globalne finanse działają jak system powiązanych karteli i wolny rynek jest naszą jedyną nadzieją na ich rozbitcie.

Alice była przerażona, lecz poczuła się rozgrzeszona popisem Kasima. Oczywiście znał opinie siostr, jeszcze zanim zdążyły się nimi podzielić – ich zakurzona, pełna optymizmu lewicowość, staroświeckie oczekiwanie, że państwo będzie instrumentem sprawiedliwości społecznej.

– Problem z kapitalizmem – zaczęła Alice – polega na tym, że zawsze stawia na wzrost. Ale nie możemy stale wytwarzać więcej towarów i wykorzystywać coraz więcej zasobów Ziemi. Na początek musimy zmniejszyć emisję dwutlenku węgla.

– Mówisz poważnie? Czy ktoś jeszcze naprawdę myśli, że to czas na takie rozwiązania? Wyobrażasz sobie, że chiński ciężki przemysł może korzystać z energii słonecznej?

– Musimy zacząć żyć inaczej. Musimy się nauczyć obywać bez pewnych rzeczy.

– Powiedz to Chińczykom.

Fran oświadczyła, że nie chce myśleć o globalnym ociepleniu, to zbyt przygnębiające.

– Wiesz, Kas – zaczęła Alice – Harriet w młodości była prawdziwą rewolucjonistką! Prawdziwą! Zdziwiłbyś się. Ciągłe ją aresztowali. Poszła do więzienia za swoje przekonania.

– Mówisz to tak, jakby podkładała bomby albo coś w tym stylu – skarciła ją Fran.

– Podkładałaś bomby? – zapytał Kasim. – To zabawniejsze niż ekonomia.

Przyzwyczał się do nostalgicznych przechwałek przyjaciół ojca o ich radykalnej przeszłości.

– Jasne, że nie podkładałam bomb. – Harriet z zażenowaniem spuściła wzrok na filiżankę z kawą, stukając w nią łyżeczką. – Wcale nie byłam rewolucjonistką. Nie zwracaj uwagi na Alice, dziel wszystko, co mówi, na pół. Gada tak, bo chce się wydać zajmująca.

– Chodziłaś na wszystkie protesty! Położyła się na drodze przed pociskami cruise! Filmowałaś policję podczas strajku górników! Nie cierpiałaś tego, że pochodzisz z klasy średniej, z rodziny takiej jak nasza. A wiesz, czym się teraz zajmuje? Doradza uchodźcom szukającym azylu. To taka beznadziejna robota. Ale ona jest taka dobra. Całymi dniami wysłuchuje opowieści o gwałtach i torturach.

Harriet przerwała jej zniecierpliwiona.

– Nie próbuj robić z tego dramatu. Zamieniasz to w coś, czym nie jest.

– Jestem straszną egoistką. – Alice nie ustępowała. – Żyję tylko dla siebie.

Kasim oświadczył, że to jedyny sposób: żyć dla siebie i zarabiać mnóstwo kasy.

– Ja przynajmniej nigdy nic nie zarobiłam. Nie jestem aż taka zła.

– Bardzo bym chciała być taka zła – odparła Fran. – Żałuję, że nie mam fury pieniędzy.

Leżąc na górze, Ivy słyszała ich głosy i śmiech: w dreszczu samotności identyfikowała się z sową pohukującą nad polami za oknem. Kiedy obracała niewidzialne w ciemności dłonie przed twarzą, trudno jej było uwierzyć, że kończyła się na granicy skóry i nie mogła jej przekroczyć. Wreszcie, zwinąwszy się w kłębek i podciągnąwszy kolana, zesłała po dostojnych schodach snu, zrzucając na stopnie ciężką pelerynę i rozplatając ciemne strumienie włosów, które w jej śnie opadały aż na podłogę.

Dwa

Następnego ranka Kasim jadł śniadanie, siedząc na leżaku w ogrodzie, nachmurzony, zamknięty w sobie, bez gazety czy iPada, za którymi mógłby się ukryć. Zrzucił z siebie miniony wieczór i postanowił niczego nie pamiętać. Drugi bajecznie piękny dzień z rzędu już wydał mu się monotony – co można było zrobić z piękną pogodą? Ivy i Arthur, którzy nie spali od kilku godzin, obserwowali go z pełnej szacunku odległości, siedząc po turecku na trawie; kiedy celowo odwracał się do nich plecami, przenosili się na nowe miejsce. Alice i Fran – niepokojące, miększe, starsze w szlafrokach i bez makijażu – donosiły mu hojnie kawę, sok pomarańczowy i grzanki.

Rozważał ucieczkę, wyobrażał sobie siebie w pociągu do Londynu i zapytał, czy ktoś wybiera się do miasteczka. Potem jednak wyczytał z twarzy Alice, jak bardzo byłaby zawiedziona, gdyby wyjechał, a z powodu swojego ojca Kasim czuł się szczególnie bezradny w obliczu bezbronności Alice. W każdym razie nie chciał się znaleźć w Londynie, przecież właśnie stamtąd uciekł. Po chwili zastanowienia oświadczył, że raczej zostanie. Udawał, że ma coś do zrobienia, choć nie przywiózł żadnych książek. Uspokojona Alice z szerokim uśmiechem położyła mu chłodną dłoń na czole, jakby był chory.

– Spokojnie – powiedziała. – Baw się dobrze.

Starał się nie okazać, jak bardzo chce, by zabrała dłoń. Po śniadaniu wyruszył na małą pielgrzymkę przez łąkę z krowami do bramy na końcu, by sprawdzić zasięg. Ivy i Arthur wiernie ciągnęli za nim.

– Nie, zaczekajcie tutaj – rzucił surowo, zatrzymując się w niewielkiej odległości od bramy i rysując niewidzialną linię w trawie. – Ani kroku dalej. To prywatna sprawa.

Zaferowani, trzymali się karnie za linię, przestępując jednak z nogi na nogę, by znaleźć się jak najbliżej zakazanego terenu, i wymachiwali rękami, by nie polecieć do przodu. Ivy stanowczo próbowała osadzić Arthura na miejscu. Kasim wspiał się na bramę, jak wcześniej poinstruowała go Ivy. Nie wiedział, czemu zawraca sobie tym głowę. Wśród wiadomości znalazła się jedna od matki, której nie przeczytał, i jedna od dziewczyny. Zanim ją otworzył, postanowił, że jeśli skorzystała z jakichkolwiek skrótów, czego nie znosił, nie odpowie.

„Gdz jsts, K?” – napisała.

Z westchnieniem wyłączył telefon i zauważył, że z wysokości bramy widać w oddali morze, bardziej przypominające plamę srebrnego światła niż wodę, a za nią niebieski zarys wzgórz. Nie miał pojęcia, że znajdują się tak blisko drugiego końca kraju – jaki był mały! Czasami powtarzał sobie, że czuł się bardziej u siebie w Pendżabie, choć był tam ostatni raz po śmierci dziadka, jako piętnastolatek.

Roland i jego harem – jak nazywała ich Alice, choć nigdy w obecności brata

– zjawili się w Kington w porze lunchu. Roland jeździł starym jaguarem XJ6 z oryginalną beżową, skórzaną tapicerką. Jego nowa żona, argentyńska prawniczka, spędziła podróż na studiowaniu dokumentów, wyjmując jedną po drugiej teczki z neseseru. Szesnastoletnia Molly, wyciągnięta na tylnym siedzeniu, drzemała lub bawiła się iPhone’em i stale pytała, jak daleko jeszcze – zupełnie jak wtedy, gdy miała sześć lat.

Zaparkowali na płytach za przybudówkami. Cały hałas i impet podróży ucichły i silnik chłodził się, tykając po cichu. Kiedy Roland wysiadł z samochodu, przez chwilę odbierał scenerię jako archetypicznie angielską, jakby oglądał ją cudzoziemskimi oczami Pilar: prosty biały dom z łukowatymi oknami, przypominające filary grube pnie wielkich buków z baldachimami brązowej zieleni, roztańczone srebrne brzozy, stary kościół zapadnięty na cmentarzu, białe gołębie w kamiennym gołębniku należącym do przerobionej na dom stodoły po drugiej stronie drogi. Wszystko to jednak mogło się wydać Pilar ciasne i prowincjonalne, bo przecież w dzieciństwie spędzała letnie miesiące na ranczu na argentyńskich pampasach, gdzie jej wuj hodował bydło i kuce do gry w polo. Wuj, którego kochała bardziej niż ojca, tkwił po uszy w polityce junty.

Molly i Pilar ziewały i przeciągały się, Pilar schyliła się po buty. W samochodzie zrzuciła wysokie obcasy i czytając, jak zawsze wsunęła pod siebie stopy, długie i szczupłe jak jej dłonie. Roland zaczął wypakowywać bagaże.

– To ładny przykład małego angielskiego probostwa – tłumaczył żonie. – Zbudowano je około tysiąc osiemset dwudziestego roku.

Uśmiechała się, gotowa polubić wszystko, co lubił on.

– Bardzo ładny.

– Lubię ten dom, bo dorastała tu nasza matka. Molly przyjeżdżała tu przez całe dzieciństwo. Ale oczywiście utrzymanie jest bardzo kosztowne, potrzebny jest remont.

– Nie możecie nigdy sprzedać Kington, tato – oświadczyła Molly kategorycznie. – Nie wolno wam. Musi tu być zawsze, żebyśmy mogli do niego wracać.

– Zobaczymy.

Roland martwił się, że Pilar i Molly nie dojdą do porozumienia. Jego własna relacja z córką była bezproblemowa i czuła, lecz myślał, że skryta i nieporadna Molly może irytować Pilar. Wyglądało jednak na to, że wszystko układa się pomyślnie. Podczas pierwszego spotkania przed kilkoma dniami – Molly mieszkała głównie z matką, jego pierwszą żoną – Pilar zabrała ją do fryzjera, by obciął jej włosy i wyregulował brwi, i kupiła jej nowe ciuchy. Wdzięczna Molly z zapalem uczestniczyła w tej ceremonii wtajemniczenia. Prawdopodobnie matka Molly by tego nie zaaprobowwała – krytycznie podchodziła do tematu poprawiania urody. Rolanda fascynowało, że wygląd kobiety, pozornie tak naturalny, w rzeczywistości

kryje za sobą tyle znawstwa i ciężkiej pracy. Elegancja Pilar rodziła się poza jego wzrokiem, jak codzienny cud. Żona nigdy nie prosiła o jego aprobatę.

Alice, Fran i dzieci wybiegły hałaśliwie przez boczne drzwi; stłoczyły się wokół Pilar, ucałowały najpierw ją, potem Molly.

– Nareszcie! Nareszcie jesteście wszyscy. Witajcie! Zostawcie teraz bagaże, chodźcie jeść. Nakryłyśmy do lunchu na tarasie. Pogoda jest taka cudowna. Ma tak być przez trzy tygodnie, wiem, że tak będzie. Harriet oczywiście poszła obserwować ptaki. A Jeff nie przyjedzie! Jak zwykle załatwił sobie koncerty, twierdząc, że zapomniał o wakacjach. Wygodnie ci w tych butach, Pilar? Są boskie! Ale uważaj na kamieniach.

Wchodząc do ogrodu, Alice ujęła brata pod ramię.

– Nie mogę uwierzyć, że masz na sobie biały garnitur, Roly. Pamiętasz, że kiedy miałeś dwadzieścia lat, pogardzałeś mną i Fran, bo zależało nam na ciuchach?

– Nigdy nikim nie pogardzałem.

– Ależ tak! Pogardzałeś nami. A teraz spójrz na siebie! Świetnie wyglądasz. Jak jeden z tych akademików w telewizji, którzy spacerują po zrujnowanym klasztorze czy czymś takim. Wymięty, seksowny i mądry.

Roland był niski, krępy i spokojny, stale mrugał brązowymi oczami z opadającymi powiekami; szpakowate, mocno kręcone włosy na kształtnej głowie były krótko ostrzyżone, a usta niespodziewanie miękkie, o pełnych wargach. Kiedy wyływał na nie uśmiech, zupełnie go przeobrażał. Roland nie miał nic przeciwko temu, że siostra z niego żartuje, ale nie odpowiadał jej w podobnym tonie, nigdy tego nie robił – nie był zbyt zabawny i radosny nawet w dzieciństwie.

Ciągnąc za sobą Pilar, Ivy i Arthur wymuszali na niej podziw dla stołu, na którym każde miejsce przybrali liśćmi i gałązkami niedojrzałych jeżyn.

– Bardzo ładnie – podsumowała, co nie do końca ich zadowoliło.

Misa na stole była wypełniona po brzegi owocami, inna pomidorkami koktajlowymi i plasterkami ogórka; masło i ser leżały na liściach, przy bochenku chleba czekał w gotowości nóż, wyczuli jednak, że Pilar nie jest tym poruszona. Puścili jej rękę. Powiedziała, że nie chce jeszcze siadać przy stole, bo zeszywniała po tak długiej podróży samochodem.

– Nie ma pośpiechu – powiedziała Alice. – Rozprostuj nogi. Pooddychaj świeżym powietrzem.

Ivy jęknęła, ssało ją w żołądku; jeśli ma jeszcze czekać, umrze z głodu. Ignorując ją, Fran otworzyła butelkę czegoś z bąbelkami, by wznieść toast za nowo przybyłych.

– Powinnaś zobaczyć to miejsce wiosną, Pilar – powiedziała Alice z żalem – kiedy kwiaty są takie piękne.

– Wszystko tutaj zostało tak, jak było za czasów naszych dziadków –

wyjaśnił Roland, machając ręką w stronę ocienionego salonu. – Naszych dziasiusiów, jak ich nazywaliśmy.

Bał się, że Pilar zauważy wyblakły beżowy brokat na sofie i krzesłach i plamy wilgoci na tapetach, które odłaziły w jednym rogu. W domu nie było wielu prawdziwych antyków, większość praktycznych mebli pochodziła z wojennych darów, z czasu, kiedy wprowadzili się tu dziadkowie.

Pilar była pełna zrozumienia.

– Te stare domy są takie drogie w utrzymaniu.

– Nie utrzymujemy go – odparła radośnie Alice. Siedziała na stopniach tarasu z uniesioną jasną twarzą, dłońmi splecionymi na kolanie, gotowa oczarować nową szwagierkę. – Kochamy go takim, jaki jest. Wiesz, Roly, że zapomniałam kluczy? Kiedy przyjechaliśmy, mogłam tylko zajrzeć do środka przez okna. Dom wydał się zaczarowany, jakbyśmy mogli go zobaczyć tylko w lustrze i nie mogli wejść do środka. Teraz stale czuję się tak, jakbym przeszła przez lustro i żyła tam, po drugiej stronie.

– Nasz dziadek był tu pastorem przez czterdzieści lat – powiedział Roland. – Był też poetą, chyba dobrym. Alice ci powie. Teraz to ona jest poetką w rodzinie.

– Nie jestem prawdziwą poetką – wyjaśniła Alice. – Nie jak dziadek. Lubisz poezję?

Pilar odparła, że nie ma czasu na czytanie poezji, i Alice wyraziła współczucie.

– Nigdy nie mamy na nic czasu. Co się z nim dzieje?

Molly wyjęła już gitarę z futerału. Nachyliła się nad nią, a włosy opadły jej na twarz – być może chciała się popisać, ale jej gra była tak pełna wahania, palce tak delikatne, że melodia ledwo poruszała powietrze: krótki powtarzany ciąg nut w tonacji molowej. Jej opuszki prawie nie dotykały progów. Arthur obserwował ją bacznie, zauroczony delikatną muzyką.

– Nie mogę uwierzyć, że znów pijemy – powiedziała Alice. – Przestaliśmy niecałe pięć minut temu. Powinnam mieć większego kaca. Kasim dziś rano był w paskudnej formie. Przyszedł na śniadanie, ale zaraz wrócił do swojego pokoju i od tamtej pory go nie widzieliśmy. Powiedział, że ma robotę, ale myślimy, że chyba wrócił do łóżka.

Potem musiała raz jeszcze wyjaśnić, kim jest Kasim. Roland spał się, nieufny. Wychowany w domu pełnym kobiet, uważał je za łatwiejsze w kontaktach, bardziej inspirujące i poczuł niezadowolenie na myśl o nieznanym mężczyźnie na swoim terytorium, a co dopiero o wylegującym się w łóżku do popołudnia synu Daniego. Dani był katastrofą dla Alice, pomyślał.

Wychodząc ze swojej sypialni, zaspany, trąc z irytacją oczy, Kasim natknął się na Molly z plecakiem, która właśnie stanęła na szczycie schodów. Alice i Fran co prawda wspominały o Molly, ale Kasim założył, że to jeszcze jedna mała

dziewczynka, kolejne utrapienie.

Oboje wzdrgnęli się, spotykając się tak nieoczekiwanie. Nie była to natychmiastowa fascynacja, lecz wstrząs spowodowany spotkaniem z osobnikiem swojego gatunku – młodym – w miejscu, w którym każde z nich miało być jedynym, z czym już się pogodzili i co nawet przyjęli z ulgą. Spotkanie nie tylko sprawiło, że cała sytuacja stała się interesująca, ale wprowadziło też pewne napięcie. Minęli się w milczeniu, Kasim w drodze do łazienki, Molly do swojego pokoju. Zabrał ze sobą jej obraz wyryty w głowie – twarz niczym delikatny pyszczek impertynenckiego kota, drobne, jędrne piersi – i analizował go potem, starając się sikać nie za głośno, na wypadek gdyby słuchała. Odkręcił kurek z zimną wodą, spryskał twarz, spojrział w lustro nad umywalką i przyglądał się sobie inaczej, ponieważ ona go widziała; wiedział, że teraz, sama w pokoju, też analizuje jego obraz.

Harriet skończyła obserwować ptaki i w drodze do domu przeszła przez porośniętą kępami traw łąkę, wąski pas w kształcie klina wznoszący się stromo i wciśnięty pomiędzy dwie ściany lasu. Po niejednoznacznych cieniach lasu zaskoczył ją silny blask słońca w miejscu, gdzie ścieżka otwierała się na tę przerwę między drzewami; po niebie ślizgał się czerwony latawiec, małe ptaki szeleściły w poszyciu, zbyt zmęczone upałem, by śpiewać, spośród drzew zerwał się do lotu gołąb, mocno uderzając skrzydłami. Przez środek łąki biegł strumyk, prowadząc sam ze sobą nagłą rozmowę, jego koryto było wryte nieproporcjonalnie głęboko w kamienisty grunt i odcinało się od polnych traw splątanymi, brzęczącymi od much krzewami jeżyn rosnącymi bujnie wzdłuż brzegów, gęstymi jak futro, jeszcze poznanymi tu i tam kilkoma późnymi białymi kwiatami, zwiotczalymi jak wilgotna lignina i ciężkimi od owoców, zbyt kwaśnych i zielonych, by je zbierać.

Harriet podążała za głębokim chichotem strumienia do miejsca, gdzie ten potykał się o kamień i spadał białą pianą do ciemnej zatoczki, uciekając przed słońcem pod gęstą zasłonę roślin. Przykucnęła i wyciągnęła rękę, by przerwać strumień wody, która odrywała się od kamiennej wargi idealnym szklanym łukiem, wyraziście zimna. Chciała jej spróbować, ale pomyślała, że to nierozsądne – kto wie, jakich pestycydów używano na tych polach? Podczas jej samotnych spacerów czasami osaczał ją ten strach przed wypadkami: a jeśliby upadła, gdy nikt nie wie, gdzie jest? Przytknęła więc tylko mokrą dłoń do czoła, a woda wysychała na jej skórze, gdy Harriet szła w stronę domu, przez las do drogi, obok odnowionej papierni, która sprzedawała ręcznie robiony papier artystom z Londynu.

Kiedy dotarła na miejsce, jaguar Rolanda stał między samochodami jej i Fran, a bagaż – taki piękny: drogie walizki, nesesery i laptopy, uroczy kosz wyłożony wzorzystą bawełną, z powiewającym szalem owiniętym wokół skórzanych rączek – pozostawiono na kamieniach. Harriet zawahała się – słyszała podekscytowane głosy, głównie głos Alice, dobiegające z ogrodu na tyłach.

Wejście do tego przesyconego gwarem kręgu byłoby jak przebicie skóry; wszystkie oczy zwróca się na nią i zobaczą, jaka jest zgrzana i rozchełstana po spacerze. Bała się wysiłku, który będzie musiała podjąć, by poznać nową żonę Rolanda. Nieznajoma była niczym przerażający i nieprzenikniony obcy kraj. Harriet wystraszył nawet ten bagaż ze swoją aurą życia przeżywanego według surowych, nietolerancyjnych zasad, których ona nigdy sobie nie przyswoi.

Ociągała się w przytłaczającej ciszy pustego podwórka, dopóki z komórki nie wyszedł Arthur w pokrytych pajęczynami za dużych buciorach, które musiały kiedyś należeć do jej dziadka. Nie wydawał się zaskoczony widokiem przyczajonej Harriet.

– Powinnaś tam pójść – powiedział. – Wszyscy już są.

– Chyba tak.

Arthur życzliwie wziął ją za rękę i poprowadził do domu. Przeszli razem pod kamiennym łukiem; drzwi salonu były otwarte na taras i trawnik. Stół na tarasie nakryto do lunchu. Nigdy nie przestajemy jeść, pomyślała Harriet – choć Alice tak naprawdę jadła niewiele, skubała tylko jedzenie, dbając o linię. Siedzący u szczytu stołu Roland mówił, zapomniał o widelcu z nabitym kawałkiem awokado i pomidora. Jego przemowy były zawsze przemyślane, pełne odmierzanych pauz, jakby zastanawiał się nad każdą uwagą, trzymając ją w cudzysłowie, by potem zamienić w kształtne zdanie. Siostry otaczały jego inteligencję niemalże czcią. „Kto by pomyślał?“, mówiły do siebie. Uważały to także za trochę śmieszne, nawet Harriet. Pamiętały go w krótkich spodenkach, kiedy sklejał okulary plastrem.

Roland był filozofem, lecz opublikował również kilka popularyzujących książek o filozofii i filmie, które zbyt wiele nie spopularyzowały, a teraz pisał i recenzował dla ogólnokrajowych gazet. Zaskakujący biały garnitur to na pewno wpływ nowej żony, pomyślała Harriet. Roland wyglądał w nim światowo i wytwornie. Mówił, że brytyjski film zawsze był ograniczony, bo brakuje w nim sielanki.

– W przeciwieństwie do filmów włoskich albo na przykład irańskich my potrafimy robić z sielanki tylko pastisz. Wiemy, jak podchodzić do naszych krajobrazów z nostalgią, nie potrafimy sobie wyobrazić, że w nich żyjemy.

Pilar powiedziała, że wieś wcale nie napawa jej nostalgią.

– Uwielbiam miasta. Uwielbiam Londyn. Wszystkich tych ludzi, wszystkie te wygody.

Nie miała ciężkiego akcentu, lecz był on dominujący, egzotyczny.

– Wychowała się na ranczu – wyjaśnił Roland. – Dwanaście tysięcy akrów.

– W liczbach jestem beznadziejna – odparła Alice. – To znaczy wielkie czy malutkie?

Pilar też była ubrana na biało, jej sukienka odcinała się od cieni zwisającego klematisu. Skrzyżowała długie, szczupłe nogi, a biały pantofel kołysał się na

dużym palcu wąskiej stopy, długie brązowe włosy uczesała gładko i spięła z tyłu kłamrą. Kiedy Arthur przyprowadził Harriet do stołu, zdumieli się, jakby w ogóle nie zauważyli, że jej nie ma – na stole nie było dla niej nakrycia. Roland szybko to nadrobił, całując ją, choć zwykle nie całowali się na powitanie, a potem poprowadził ją niemal uroczyście, by poznała Pilar. Harriet wyciągnęła rękę, by powstrzymać dalsze uściski, Pilar podniosła się z krzesła, by ująć jej dłoń. Była bardzo ładna i wyższa od wszystkich członków rodziny; tak naprawdę wydawała się zrobiona z innego materiału niż oni, mniej grymasna i bardziej wytworna, uproszczona do kilku mocnych akcentów – ciemne łuki brwi, długi, prosty nos, mocno zarysowana szczeka. Harriet na moment otoczyła chmura dusznych perfum, których używała bratowa; czuła ich zapach na palcach jeszcze wiele godzin później.

Obecność Pilar wpłynęła na wszystkich – ich rozmowa przy stole wydawała się sztuczna, jakby na jej użytek odgrywali sceny z życia rodzinnego. Alice i Fran były hałaśliwe, popisywały się; Fran z przesadą opowiadała o egoizmie Jeffa, jego zaniedbaniach, Ivy rozlała napój, Arthur wyskubał ser z kanapki i zostawił okruchy, Kasim, kiedy się pojawił, nie chciał usiąść przy stole – powiedział, że nie jest głodny, a potem odkroił sobie grube pajdy chleba i zjadł je, siedząc na trawie na końcu ogrodu. Pilar niezbyt często włączała się do rozmowy, jej uwagi były szybkie i silne jak jej skoncentrowane spojrzenia, jakby zamykała dyskusję, zamiast ją otwierać. Może to tylko różnica kulturowa, pomyślały wielkodusznie siostry. Może trudno być niepewnym po hiszpańsku. Kiedy zapytały ją o sytuację w Argentynie, odparła, że nienawidzi polityki.

– Tam wszystko jest polityczne. Dlatego nie mogłam się doczekać, żeby się stamtąd wyrwać.

– Nie pozwala mi poznać swojej rodziny – powiedział Roland.

– Poznasz ich – obiecała Pilar. – Na pewno. Daj mi tylko trochę czasu.

– W wieku czternastu lat musiała odpędzać kuzyna szpicrutą.

– Za bardzo się podniecił.

Nowo poślubieni małżonkowie byli na tym etapie związku, na którym każda wymiana zdań ma jakieś prywatne konotacje, czułe, lecz dla postronnych niestrawne. Szybkie spojrzenie Alice odnalazło Fran po drugiej stronie stołu.

– Problem polega na tym, że ich pokochasz – ciągnęła Pilar. – A oni pokochają ciebie. Zabiją dla ciebie zwierzę, żeby je upiec na grillu, zabiorą cię na konną przejażdżkę, będziecie spać pod gwiazdami i tak dalej. Ale ty nie znasz tego miejsca, nie możesz go naprawdę poznać. Jest takie zwariowane.

– Filozofowie kochają zwariowane miejsca – odparła Alice. – Mają dzięki temu pracę. Roland ma słabość do Ameryki Łacińskiej, podoba mu się, bo jest taki ograniczony w swoim własnym życiu. Straszny z niego purytanin. Dlatego o tym pisze.

Pilar najwyraźniej nie chciała rozmawiać o charakterze Rolanda z jego siostrami. Stawała się naprawdę rozmowna tylko wtedy, gdy opowiadała, jak zostawszy partnerem w kancelarii prawniczej, przeprowadziła bardzo skuteczną reorganizację, co obejmowało zwolnienie kilku pracowników.

– Nie mam nic przeciwko ciężkiej pracy – powiedziała – ale nie znoszę niekompetencji.

Kiedy Harriet zapytała ją, jaką dziedziną prawa się zajmuje, a Pilar odparła, że kontraktami handlowymi, zapadła niezręczna cisza, która jednak nie kryła w sobie dezaprobaty. Jakie mieli o tym pojęcie, żeby wyrażać dezaprobatę? Nie przyszło im jednak do głowy nic, co mogliby powiedzieć, a nie potrafili się zmusić do „to musi być interesujące”. Roland kroił ser, niewzruszony, jakby odmawiał im pomocy. Kontrakty handlowe, zdawał się mówić, są równie dobrym tematem do rozmowy jak każdy inny.

Kasim oświadczył, że idzie na spacer. Przymulony po zbyt długim spaniu nie był jeszcze gotowy, by stawić czoła bratu Alice, a nie chciał, żeby ta dziewczyna pomyślała, że kręci się w pobliżu z jej powodu. On i Molly nie zamienili wciąż ani słowa. Ivy stanęła w błagalnej pozie przy łokciu matki, składając ręce jak do modlitwy.

– Możemy z nim iść? Proszę, proszę. Pokażemy mu drogę do wodospadu. On się będzie nami opiekował.

Fran udała, że robi z tego wielką sprawę (nie wolno im wspinać się na drzewa, Arthurowi nie wolno się zbliżać do krawędzi stromych zboczy), ale oczywiście musiała poczuć ulgę, że pozbędzie się ich na kilka godzin, pomyślał Kasim. Potem wyposażono go w cały zapas rzeczy, jakich dzieci mogą potrzebować: butelki z wodą, wilgotne chusteczki, ciasteczka, jabłka, plastry, maść Savlon na oparzenia i ukąszenia. Musieli zrobić siusiu i zmienić buty. W końcu wyruszyli w drogę w kierunku przeciwnym do tego, z którego przyjechali z Alice taksówką dzień wcześniej. Kasim szedł naburmuszony, w nadziei, że dzieciaki nie będą w stanie dotrzymać mu kroku. Okazały się jednak niezmordowane, biegały tam i z powrotem jak szczeniaki, a usta im się nie zamykały. Ivy w błyszczącej kamizelce, z szalikiem zawiązanym pod brodą była denerwująca jak miniaturowa stara wiedźma.

Niedaleko za grupką domów droga stała się raczej nieprzejezdna dla samochodów; trawa wyrastająca ze szczelin w asfalcie powoli go rozsadzała, a gałęzie spadające ze starych dębów po obu stronach skutecznie ją zablokowały. Ivy przeprowadziła ich przez rów, a potem stromym polem do drzewa na końcu; później szli wzdłuż żywopłotu przez kilka łąk, zanim minęli kolejną bramę i zaczęli schodzić do lasu. Na słupach i drzewach wymalowano żółte znaki. Nie mogli się zgubić, wszystko w tej okolicy było obłaskawione i znane, nie groziło im żadne niebezpieczeństwo.

Mieli to wszystko dla siebie – tylko farmer na traktorze jeżdżącym z warkotem nie głośniejszym od natrętnego owada robił coś na polu na zboczu obok. Orał? Ale czy nie orze się wiosną? W lesie, jakby znalazł się wystarczająco daleko od świata, w którym musiał się godnie prezentować, Kasim odprężył się i zaczął się bawić z dziećmi: zebrał szyszki, gdy ścieżka biegła przez szkółkę iglaków, i obrzucił nimi Ivy. W pierwszej chwili znieruchomiała, lecz po chwili oboje z Arthurem zaczęli bombardować go szyszkami, wrzeszcząc przy tym wniebogłosy – głośno tupali, cudowny strach zapierał im dech w piersiach, w szale rzucania wyzwoliła się jakaś pradawna skumulowana agresja. Ivy nakrzyczyła na Arthura, że psuje zabawę, gdy się rozplakał, bo szyszka uderzyła go za mocno. Potem przez chwilę Kasim niósł go na barana.

Dotarli do zrujnowanej chaty na początku wsi, gdzie ścieżka zakręcała przy ostrym spadku terenu i prowadziła między drzewami do strumienia; chata zawisła niebezpiecznie na krawędzi zbocza. Po zacienionym lesie polana wydawała się jasnym uproszczeniem; woda gulgotała w skalistej szczelinie pod nimi, a wierzchołki drzew poruszały się na wietrze. Wszystkie okna chaty były umiejscowione po drugiej stronie, skąd roztaczał się piękniejszy widok; drewniana weranda od frontu odpadała od ściany. Dach pokrywały takie same omszałe dachówki jak w Kington, a do jednej ściany chaty przylegał piec chlebowy zbudowany z szarych kamieni ułożonych tajemniczo w półokrąg. Porośnięty trawą i polnymi kwiatami brzeg strumienia naprzeciwko wejścia zachwycał nieprawdopodobnym pięknem.

– Czy to wodospad? – zapytał Kasim, stawiając Arthura na ziemi.

– Och nie, do niego jeszcze kawał drogi.

Kasim opadł na trawę, położył się wśród kwiatów i zamknął oczy.

– Kogo obchodzi wodospad? To wystarczy.

Ivy była załamana. Kiedy tak dobrze ich prowadziła! A obietnica wodospadu – z czystą wodą na dole, gdzie kiedyś tak okropnie rozcięła sobie stopę – była jej kartą atutową. Sen Kasima, może udawany, zamazał jego obecność tak gwałtownie, jakby chmura zakryła słońce – choć niebo było czyste.

– No to może pomyszkujemy w chacie? – zapytała Ivy.

Kasim mruknął z aprobatą, nie otwierając oka.

Zardzewiała kłódka trzymała się jeszcze, choć bezsensownie, bo skobel zwisał z framugi; drzwi były uchylone, a kiedy dzieci lekko je pociągnęły, otworzyły się na tyle szeroko, by mogli się precisnąć. W środku uderzył ich okropny zapach – nie niewinna woń gnijących liści i ziemi jak na zewnątrz, lecz smród czegoś przetrzymywanego ukradkiem, dojrzewającego w tajemnicy. Na dole było tylko jedno pomieszczenie, które musiało służyć za kuchnię i pokój mieszkalny; niegdyś pomalowane na kremowo szafki były wbudowane po obu stronach komina, a na wyłożonym płytkami z lat trzydziestych kominku, z rusztem

zasypanym suchymi liśćmi i piórami wpadającymi przez komin, nadal widać było ślady czerwonej farby. Pomieszczenie okazało się puste, nie licząc taniego drewnianego kuchennego krzesła, które leżało przewrócone, jakby chciano im dać do myślenia, że ktoś właśnie wybiegł stąd w pośpiechu – choć widać było wyraźnie, że dom stał porzucony od dawna. Wszystkie powierzchnie straciły blask, przybierając ten sam ciemnobrązowy kolor ziemi, i zaczynały wyglądać, jakby nie wyszły spod ręki człowieka.

Ivy początkowo pogodziła się z faktem, że w domu nie ma schodów: jego mieszkańcy musieli dostawać się do łóżek w cudowny sposób, przez okna na górze. Potem Arthur znalazł schody za małymi drzwiami; poszukał jej dłoni, gdy prowadziła ich na górę. W dwóch maleńkich sypialniach smród był jeszcze gorszy. Tapety w pierwszej z nich mogły być kiedyś różowe; koszyczki z owocami wisiały na girlandach kwiatów. Ten pokój też był pusty poza butwiejącym stosem czasopism w rogu naprzeciwko okna. Papier stracił blask; niektóre numery leżały otwarte, jakby przerzucającemu je czytelnikowi nagle przerwano lekturę. Z gniewnym pośpiechem Ivy oglądała i odrzucała stronę po stronie pełne obnażonych, nalanych piersi i sutków, pokazywanych do góry nogami nagich, rozchylonych, mięsistych ud. Zawilgły papier był obrzydliwy w dotyku; część stron się skleiała i powoli zamieniała w papkę.

– Chodź – powiedział Arthur obojętnie, ciągnąc ją za rękę.

Drzwi do drugiego pokoju okazały się zamknięte. W środku panował półmrok, ponieważ strzępy zasłon były zaciągnięte. Kilka tłustych much poruszało się niemrawo, bzyzcząc na szybie. Kiedy oczy dzieci przyzwyczyły się do mroku, zauważyły jakąś dużą ciemną kupę na podłodze, coś skurczonego i lepkiego, co było źródłem smrodu. Arthur rozpoznał to pierwszy.

– To Mitzi – powiedział.

Mitzi była biegającym wielkimi susami, wesoło podskakującym seterem Pattenów, właścicieli przerobionej na dom stodoły naprzeciwko kościoła. Dzieci nie tęskniły za nią, bo nie zawsze była w wiosce wtedy, gdy one przyjeżdżały. Podobnie jak ich dom, stodoła była bazą wakacyjną. Ivy stwierdziła, że Arthur ma rację: kruche pasma rudej sierści Mitzi przylegały tu i tam do poczeriałego kształtu, który w przybliżeniu odpowiadał zarysowi sylwetki psa. Ostro zakończone białe kości wystawały rzędem ze sflaczałego ciała.

– Nie bądź głupi – rzuciła Ivy z pogardą. – Jak to może być Mitzi? Myślisz, że by ją tu zostawili?

– Ale to Mitzi, spójrz!

Można było bez trudu dostrzec jedno z aksamitnych, miękkich uszu, które zachowały się lepiej od reszty. Arthur zbliżył się i przykucnął. Opierając dłonie na kolanach, przyglądał się jak ekspert od kryminalistyki, marszcząc nos od smrodu.

– Czemu to się z nią stało?

Ivy zaczęła głośno wyśpiewywać pozbawione sensu słowa i się śmiać.

– La, la. Nie wiem, o czym mówisz – śpiewała. – To nie Mitzi. Arthur jest głupim ciulem. La, la, la.

Obecność brata sprawiła, że z powodu tego czegoś zrobiło się jej gorąco: gdyby była sama, mogłaby się przyglądać bardziej zachłannie, nie musiałaby niczego ukrywać. Teraz starała się odwrócić jego uwagę, jak na starszą siostrę przystało. Mitzi i wulgarne zdjęcia pływały razem w jej zażenowaniu i Ivy nieświadomie zaczęła myśleć, że tamte kobiety są martwe.

– Chodźmy stąd – powiedziała. – To tylko stare, śmierdzące paskudztwo.

– Rzeczywiście śmierdzi.

Arthur zachował spokój w obliczu koszmaru, lecz mimo to obejrzał się gwałtownie raz czy dwa, kiedy schodzili po wąskich schodach; spieszyli się i z zamętem w głowie wypadli przez drzwi na dole.

– Nie waż się nic mówić Kasimowi. Bo wpadnie w furję.

Skinął posłusznie głową; ufał jej.

Kiedy wyszli przez uchylone drzwi prosto w dzień – Ivy ostrożnie umieściła kłódkę w poprzedniej pozycji – Kasim, mrugając powiekami, podniósł głowę spośród kwiatów, gdzie rzeczywiście zasnął. Dla Ivy i Arthura zwyczajowe role dorosłych i dzieci odwróciły się na niepokojącą chwilę, ponieważ widzieli coś, czego on nie widział. Należał do zewnętrznego świata zalanego niewinnym blaskiem słońca. Kasimowi zbyt późno przyszło do głowy, że być może nie powinien był pozwalać im wchodzić do środka, nie sprawdzwszy wcześniej, czy w chacie jest bezpiecznie. Ale wyszli z niej cali i zdrowi, więc nie miało to już znaczenia. Ziewnął i oświadczył, że umiera z głodu. Ivy przygotowała piknik, wykładając ciasteczka, jabłka i chipsy.

– Arthur musi zjeść jabłko – oświadczyła stanowczo.

– Jak było w chacie?

– Nic tam nie ma – rzuciła nonszalancko.

Arthur obserwował wszystko, co robiła siostra. Wilgotne błękitne oczy wydawały się zbyt duże w jego drobnej, ładnej buzi i wyglądał, jakby dzielnie znosił jakieś cierpienie. Ivy musiała sobie przypomnieć, że on zawsze tak wygląda, nawet kiedy myśli tylko o kolacji lub o pieniądzach – był zaskakująco wyrachowany jak na swój wiek. Jak zwykle wyjął ciasteczko z opakowania, kiedy zrobiła to Ivy, ugryzł je, kiedy ona ugryzła, wypił po niej łyk wody z butelki, choć jak zwykle nie przełknął wcześniej wszystkiego, i Ivy była niezadowolona, że w wodzie pływają okruchy. Gawędząc z przesadnym ożywieniem, Ivy czuła ciężar odpowiedzialności po tym, co zobaczyli. To wszystko zmieniło, pomyślała. Nie mogli udawać, że tego nie widzieli. Ten widok pozostał niczym plama w kąciek jej oka, z której sączyła się ciemność. Mogła o niej zapomnieć, kiedy patrzyła przed siebie, ale jeśli odwróciła się zbyt szybko lub nie pamiętała o ostrożności, zalewała

ją znów brudnymi obrazami, niedopuszczalną prawdą.

Kiedy Roland i Pilar poszli rozejrzeć się po wiosce, Alice wyciągnęła się na górze na siedzisku pod oknem i zaczęła czytać. Z półki w swoim pokoju wzięła książkę o domku dla lalek, odruchowo i czule, przypomniawszy sobie, jak bardzo lubiła ją w dzieciństwie. Nie spodziewała się jednak, że osaczą ją przytłaczające emocje. Co jakiś czas podnosiła wzrok i rozglądała się wokoło, jakby zapomniała, gdzie się znajduje – ale była przecież w Kington, ukochanym miejscu ze swojej przeszłości. Jednak spojrzenie biegnące przez stare szyby w łukowatym oknie ku pożółkłej trawie w ogrodzie i olchom nad strumieniem nie przywracało równowagi. Alice wzruszało nie tylko wspomnienie związane ze słowami, które czytała, wspomnienie sięgające czasów dzieciństwa; sama historia sięgała do głębokich zasobów jej uczuć. Autor opisywał ją bardzo prawdziwie i bez sentymentalizmu – jedna z mieszkańek domku dla lalek zginęła w pożarze. Książka zdawała się przywracać Alice zdrowy i uproszczony sposób widzenia rzeczy, który dawno temu zagubiła lub zapomniała i nie miała nadziei go odnaleźć.

Mgliście zdawała sobie sprawę, że Molly gra coś melancholijnego na gitarze w swoim pokoju – smutną, niepewną frazę powtarzaną raz po raz, zawsze urywającą się w tym samym miejscu. W końcu muzyka ucichła. Molly stanęła przy Alice i spojrzała na nią z niepokojem.

– Wszystko w porządku, ciciu?

Alice uśmiechnęła się do niej przez łzy.

– Czytam coś, co czytałam jako mała dziewczynka. Ta historia mnie uszczęśliwia. Przywołuje wiele wspomnień.

– Ojej – rzuciła Molly bezradnie. – Przepraszam.

– Nie przepraszaj, nie ma sprawy.

Molly była zażenowana przejawem uczuć ciotki. Z poczuciem winy zdradziła później Harriet, że Alice czytała stare książki i była bardzo wzburzona. Harriet odparła tylko, że u Alice o wzburzenie bardzo łatwo. Jakie to do niej podobne, karciła siostrę w myślach, wyciągać swoje prywatne uczucia na użytek wszystkich i wprawiać dzieci w osłupienie.

Kiedy wrócili do domu, Ivy zrobiła scenę – oznajmiła, że nie będzie jadła risotta, które przygotowała Alice, a gdy Fran zagroziła, że jeśli nie zje, pójdzie do łóżka głodna, dziewczynka przez długą chwilę leżała na trawie, szlochając.

– Musi się nauczyć zjadać to, co ma na talerzu – oświadczyła Fran.

Alice nie mogła jednak tego znieść i powiedziała, że Ivy może dostać grzankę z serem. Potem, przed kolacją, Ivy i Arthur bawili się w strumieniu, który płynął na końcu ogrodu, jak co roku próbując zbudować tamę. Z kuchni dobiegał szcęk porcelany i sztućców, spod pokrywek na garnkach unosiła się para, Alice uderzała drewnianą łyżką o brzeg patelni, zamieszawszy jej zawartość. Słońce wisiało nisko i strumień był w większości ukryty w cieniu. Ivy i Arthur wpadli

w zgodny rytm, zachwyceni naporem wody rozbijającej się o wilgotne w środku kalosze, które wsunęli na boscie nogi. Arthur posłusznie wypełniał polecenia siostry. Postanowili zbudować rozległą, spokojną lagunę, podczas gdy spieszący się w kamienistym korycie strumień przedzierał się przez wszystkie szpary, które pozostawiali. Ivy wykrzykiwała komendy. Pewnego pamiętnego dnia, innego lata, kiedy dzieci siedziały na brzegu, krowy – z bliska takie olbrzymie – przedarły się przez strumień, burząc racicami błoto na dnie, zupełnie jakby wyrwały się na wagary z codziennego życia na łąkach.

– To była Mitzi – powiedział Arthur, stając z kamieniem w każdej dłoni.

Ivy spojrzała na niego z pogardą.

– Ciągłe myślisz o tamtym?

– Ale była.

– Nie obchodzi mnie to. Kogo w ogóle obchodzi?

Wzruszyła szczupłymi ramionami, wielkim wysiłkiem woli zrzucając z siebie przecucie. Prawdziwy wieczór rozwijał się spokojnie wokół niej niczym kontrargument do koszmaru, a lepki rój owadów wirował w ostatnich promieniach żółtego słońca.

Po kolacji, kiedy Fran położyła dzieci spać, a Molly i Harriet kończyły zmywanie, Alice poszła do łazienki na górce, a potem wśliznęła się niezauważona do pokoju brata. Niosła w ręce kubek, udając, że chce dolać wody do wazonika. Roland, Pilar i Kasim siedzieli na tarasie z kawą i brandy; ich głosy niosły się z dołu przez otwarte okna. Kasim nareszcie zaczął się otwierać – może za bardzo. Wyglądało, jakby się chwalił, że wykłady na uniwersytecie są nudne i w większości głupie.

Alice znalazła swoje kwiaty, odstawione na parapet, by nie zajmowały miejsca na toaletce pełnej przyborów toaletowych, buteleczek i słoiczek: nie tylko drogich kosmetyków do makijażu i perfum Pilar, lecz także wody kolońskiej i kremu nawilżającego Rolanda. Zapisła to zaskakujące odkrycie w pamięci, by później podzielić się nim z Fran. Po krótkiej płaczliwej rozmowie z Jeffem przez telefon w holu, żeby wszyscy mogli usłyszeć, co ma do powiedzenia, Fran oglądała jakiś serial kryminalny na ponurym małym telewizorze w gabinecie. Kto by kiedykolwiek pomyślał, że ich brat będzie używał kremu nawilżającego albo zapachu Acqua Di Parma? Alice czuła się rozdarta pomiędzy czułym szacunkiem do brata a obłóczkiem rozbawienia. Przypomniało jej się, jak przy kolacji powstało małe zamieszanie, kiedy Roland upuścił coś na białe spodnie. Pilar przykucnęła przy nim i z powagą skutecznie rozprawiła się z plamą.

Alice w półmroku rozglądała się po sypialni, wspomagana przez światło wpadające ze schodów. Na podłodze stały otwarte i na wpół rozpakowane walizki. Sukienki i bluzka Pilar – wszystkie w prostych, odważnych fasonach i kolorach, czarnym, białym i czerwonym – wisiały jak duchy na wieszakach na rzeźbionym

brzegu wielkiej starej szafy babki. Przesuwając z podziwem palcami po czerwonej szyfonowej bluzce, Alice uchwyciła swoje odbicie w owalnym lustrze na drzwiach szafy i zaskoczyło ją coś niemodnego i staroświeckiego w jej wyglądzie. Znow włożyła to bołerko vintage. Czyżby pozwoliła, że coś się jej wymknęło, straciła czujność, dbałość o styl? Ale też czasami zbyt wielka czujność jest katastrofalna, gdy człowiek się starzeje. Zatrzeszczała podłoga i Ivy cicho coś zawołała. Alice pospiesznie przeszła przez pokój Harriet do swojego.

– Śpij – rzuciła przez podest.

– Nie mogę!

Alice wsunęła głowę do pokoju dzieci. Ivy wyglądała żałośnie z oczami błyszczącymi w półmroku. Leżała na wznak jak mała dziewczynka z bajki, z zadartym ostrym nosem i warkoczami ułożonymi schludnie na poduszce.

– Możesz. Zamknij oczy i pomyśl o miłych rzeczach.

– Jakich?

Alice szukała w głowie pomysłów.

– Lody? Kociaki? Para magicznych butów, która zaprowadzi cię na wielką przygodę?

Zaczęła opowiadać Ivy historię mieszkańek domku dla lalek, lecz dziewczynka tylko westchnęła i odwróciła się twarzą do ściany. Oczy miała nadal szeroko otwarte i otuliła się chmurą rozpaczy, której nie mogły przebić naiwne pocieszenia.

Harriet weszła do swojego pokoju później, zamknęła za sobą drzwi i stała w ciemności z ulgą, że wreszcie znalazła się we własnej przestrzeni, czując, jak wyparowuje z niej wieczór spędzony w towarzystwie. Niemal natychmiast zauważyła, że prowadzące do pokoju brata drzwi w przeciwległej ścianie są otwarte – choć wcześniej starannie je zamknęła. Tam też nie paliło się światło, ale słyszała, jak Roland i Pilar poruszają się po pokoju; przyszli na górę, by dokończyć rozpakowywanie. Zakłopotana, bo nie zauważyli otwartych drzwi, Harriet zdjęła buty i przeszła ukradkiem przez pokój, by je zamknąć. Księżyc w pełni zalewał blaskiem wszystkie okna na tyłach domu; błękitne światło sączyło się przez otwarte drzwi do jej pokoju. Brat i jego żona musieli być cali spowici księżycową poświatą.

Wyciągnęła rękę, by zamknąć drzwi – były tylko uchylone. Przez szparę jej uwagę zwrócił ruch, którego początkowo nie potrafiła zinterpretować – blask księżyca zdawał się pływać wokół ogromnego kształtu ciężkiej szafy babki; sukienki Pilar, wiszące niczym blade zarysy ciał, kołysały się w księżycowym rytmie. Harriet uświadomiła sobie, że ogląda odbicie w lustrze szafy: jakiś węzeł światła i ciemności zajęty sobą, niepodobny do niczego w swoim skupieniu, nagłący. Wyglądało to bardziej na pracę niż zabawę. Obserwowała to za długo, zbyt tym widokiem pochłonięta, zanim zdała sobie sprawę, że wie, na co patrzy lub półpatrzy: świeżo upieczeni małżonkowie się kochali. Ale wtedy było już za

późno. Opierając czoło o drewnianą framugę, dotknęła dłonią swojej piersi, nie mogąc odwrócić wzroku.

Nagle chmura zakryła księżyc i przytłumiła srebrny blask, a Harriet odeszła od drzwi. Była zbyt przerażona, by teraz je zamknąć – mogliby się przecież zorientować, że ich słyszała. Dręczyły ją zdecydowane ciche odgłosy seksu (westchnienia satysfakcji, pełen zachwyty pomruk spełnienia, cichy śmiech). Potem była jak wydrażona, upokorzona. Gdy tak stała wyprostowana, sama w cichym pokoju, wyobrażając sobie siebie jako jedną z tych zjedzonych przez robaki wychudzonych średniowiecznych rzeźb, zaatakowała ją nedorzeczna tęsknota. Gdzie była w niej zamknięta? Z Christopherem i innymi, teraz to widziała, dotykała jedynie skorupy otaczającej to najważniejsze. Wymknęła się na palcach przez pokój Alice i zamknęła się w łazience; potem celowo głośno wróciła do swojego pokoju, zapaliła światło, podeszła prosto do drugich drzwi i zamknęła je zdecydowanie. Wyjęła pamiętnik spod podkoszulków w szufladzie komody i jak zwykle usiadła z nim na łóżku; zapisała datę, a potem zawahała się z długopisem nad kartką. Po chwili zaczęła pisać.

Na łące nad Bardon Huish znalazłam coś, czego nigdy nie widziałam: wodospad ukryty w szczelinie w ziemi, zarośnięty krzewami jeżyn. Owoce nadal były bardzo zielone i twarde. Mały strumień wody spadającej z miniaturowego zbocza wyginał się czysto i idealnie jak szkło, pozostając jednak w nieustannym ruchu. Przerwałam jego bieg dłonią, czując jego siłę, której byłam obojętna. Dotknęłam siebie wodą, jakby była błogosławieństwem, choć oczywiście wiedziałam, że może być trująca.

Trzy

Następnego ranka Kasim szwendał się po ogrodzie, czekając, by Molly zesła. Przykładał płomień zapalniczki do kępek suchej skoszonej trawy tylko po to, żeby zdenerwować Ivy, która stała w pobliżu na straży, udręczona odpowiedzialnością, i podbiegała, by zdusić butami wszystkie małe ogniska, na wpół zachwycona, na wpół poirytowana. Wiedział, że Molly wstała, bo nasłuchiwał pod jej drzwiami już kilka godzin temu i słyszał, jak porusza się po pokoju – nadal jednak nie odezwali się do siebie ani słowem. Chciał ją zatrzymać, przesiedział więc długą chwilę pod oknem na podeście schodów na siedzisku z miękką poduchą w paski, udając, że czyta książkę, którą zdjął z półki w pokoju Alice. Przegoniło go stamtąd dopiero słońce grzejące przez szybę. Arthur wszedł na schody, sapiąc, skupiony na jakimś własnym dziecięcym celu: nie zauważywszy Kasima, zapukał do drzwi Molly i został wchłonięty do środka. Potem z pokoju dobiegł cichy dźwięk strun, uderzanych najpierw przez Molly, która ledwie potrafiła grać, a potem przez Arthura, który nie umiał grać wcale. Kasim poddał się i zszedł z książką.

Co ona tam robi, do kurwy nędzy?

– Przygotowuje się – wyjaśniła Ivy.

– Do czego?

Kiedy Molly wreszcie się zjawiała, wychodząc na taras z miską muesli i Arturem posłusznie ciągnącym za nią, nie widać było żadnych oznak wyszukanych przygotowań. Dżinsy i podkoszulek mogła włożyć w dwie minuty, nie miała na sobie żadnej biżuterii poza prostym srebrnym kółeczkiem na rękę, z trudem dostrzegł makijaż; nie miała nawet przekłutych uszu. W rzeczywistości było coś nagiego w jej ładnej, czystej twarzy – wysokie czoło, lekko skośne długie oczy, szerokie usta – nic dziwnego, że aby to ukryć, stale opadało na nią lśniące pasmo włosów. Igrały w nich rdzawe refleksy, podobnie jak na jej rękach, a na nosie widniało kilka brązowych piegów. Siedziała na stopniu, płaski brzuch złożył się w zgrabne zakładki, jadła muesli nieśmiało i powoli, podczas gdy Ivy ją przepytywała. Uśmiechając się z pełnymi ustami, Molly tylko kiwała lub kręciła głową w odpowiedzi. Czy lubi szkołę? Nie. Jaki jest jej ulubiony przedmiot? Wzruszenie ramion. Czy ma chłopaka? Nie: rumieniec. Co chce robić, kiedy dorośnie? Wzruszenie ramion. Czy lubi żółty? Tak: jaskier trzymamy pod brodą zażółcił się w odpowiedzi.

Kasim wiedział, że Molly wie, że ją obserwuje, i odgrywa to przedstawienie dla niego, a dzieci zapewniają wygodną wymówkę, kiedy oni wzajemnie się badają. Opanowanie Molly było tajemnicze jak nieruchome jezioro; Kasim nie zdecydował jeszcze, czy jest bardzo głęboka, czy bardzo płytka. Teraz, kiedy wyjęła z kieszeni dżinsów iPhone'a, nadeszła jego chwila; zobaczył, że Ivy otwiera

usta, by wyjaśnić, i uprzedził ją, surowo marszcząc brwi.

– W jakiej jesteś sieci? Tu nie ma zasięgu.

– Och! – Ivy była wściekła. – Ja chciałam jej powiedzieć!

– Przyzwyczaiałam się do tego – odparła Molly. – Przyjeżdżam tu od lat. Pomyślałam tylko, że spróbuję.

– Ale jest szansa, pokażę ci. Musimy podejść do tamtej bramy na końcu łąki. Jeśli na niej usiądziesz, może uda ci się połączyć.

– Bez telefonu czuję się taka odcięta od świata – wyznała. – Wiesz?

Spojrzał na nią wyniośle.

– Ja swojego nie sprawdzam. Mam to gdzieś.

Ivy o mało co nie zaprotestowała – sprawdzał! – ale postanowiła nie komentować bzdur, które wygadywał. Wyruszyli na łąkę czteroosobową procesją. Kasim przypomniał dzieciom, że mają się trzymać za wyznaczoną linię, i o dziwo, posłuchały go, jakby nie można było zakwestionować tego nowego prawa. Potem oparł się o bramę i udawał, że podziwia widok pławiący się w słońcu – osnute mgiełką niebieskie lasy i nieruchome łany złotych zbóż, dalekie ptaki zawieszony w bladobłękitnym powietrzu, obserwujące ziemię w dole. Tymczasem Molly, z nagim brązowym brzuchem na wysokości jego oczu, była zajęta telefonem, pisząc z zadowolenia, kiedy udało jej się złapać zasięg, i warcząc z irytacją, kiedy go traciła. Patrzył ukradkiem na wyraz jej twarzy, która była niezwykle ożywiona, gdy dziewczyna czytała i pisała wiadomości; potem sprawdziła Facebooka, zgrabnie poruszając palcami, uśmiechając się i reagując w łączności z niewidzialną kompanią podobnych jej umysłów.

– Chodźmy na spacer – rzucił Kasim zdecydowanie. – Molly, chciałabyś się przejść?

Dzieci będą im towarzyszyć, kalkulował, przynajmniej podczas pierwszej wyprawy. Były jego pretekstem i przykrywką. Zachwycona Ivy zaproponowała, żeby wybrali się do ustronia buddystów.

– Tam są ludzie, którzy chodzą i medytują, i nie odezwą się do ciebie, nawet jeśli ich o coś zapytasz.

– Nie, chodźmy jeszcze raz do wodospadu. Tym razem chcę go naprawdę zobaczyć.

Nie zauważył, że Ivy zwróciła na niego twarz zachmurzoną wątpliwościami i niechęcią. Przyjęła jednak jego decyzję ze stoicyzmem – była tylko dzieckiem, więc nie do niej należało określanie celu wyprawy, mogła się tylko pogodzić z wyborem innych. W każdym razie prawie pragnęła wrócić do chaty, nawet jeśli trochę się tego obawiała.

– Wejdziemy znów do środka? – zapytał ją Arthur na stronie, kiedy szli łąką w dół.

– Po co? Już tam byliśmy. Same nudy.

W jadalni Fran napełniła wszystkim filiżanki świeżą kawą. Używali dobrej porcelany z kredensu, filiżanki były leciutkie i piękne, niemal przezroczyste. Jeśli trzymało się je puste pod światło, na dnie dało się zauważyć kobiecą głowę z rozwianymi pasmami włosów – babcia pokazała im ten cud, kiedy byli dziećmi. Alice, nadal w szlafroku, mówiła za dużo, nachylała się z ożywieniem nad stołem pomiędzy skórkami chleba i słoikami dżemu z wbitymi łyżeczkami, pokazując rowek między piersiami, wygłaszając jedną ze swoich diatryb przeciwko współczesnemu stylowi życia. Jej zdaniem wszyscy tracą poczucie, że codzienne rzeczy powinny być ważne i piękne. W dawnych czasach chłop wystrugał sobie miskę i łyżkę z drewna, a potem korzystał z nich, by jeść to, co uprawiał w swoim ogrodzie.

- Teraz wszystko jest banalne, przedmioty nie mają znaczenia, są wymienne.
- Ciekawe, czy tak samo myśli chłop – odparł jej brat.
- Wiedzie mu się lepiej, gdy rzeźbi miski, niż gdy pracuje w fabryce.
- Może zapytaj o to jego.

Roland był zniecierpliwiony uproszczeniami Alice – chciała iść na skróty, a prawdę dało się poznać tylko przez intelektualny wysiłek całego życia. Nie mógł wytłumaczyć w luźnej rozmowie swoich własnych zawyżonych przekonań i wniosków przeplecionych z przemyśleniami innych.

– Podchodzę nieufnie do twoich osądów – powiedział. – To jest dobre, a tamto złe. Chłopu może być lepiej w fabryce, może mieć więcej wolnego czasu i rozsądny dochód. Musisz to wziąć pod uwagę.

– Ale czy zawsze jest głupio dostrzegać wartość w innych sposobach na życie i uświadamiać sobie, co jest złego w twoim?

– Musisz zadać pytanie, jak nabrałaś akurat takich przekonań o wartości.

– Trochę za późno na chłopów wytwarzających miski, Alice – powiedziała Fran. – Chyba nie będziesz chciała zapędzić akurat tego dzina z powrotem do butelki.

– Nie chodzi tylko o chłopów. Chodzi o to, że ludzie żyli wolniej i przez całe życie mieli przy sobie te same przedmioty, dbali o nie. Cała relacja z rzeczami, które posiadamy, była inna. Nie mogę znieść, że teraz wszystko wyrzucamy.

Alice była bardziej aktorką w życiu prywatnym, pomyślał Roland, niż kiedykolwiek w tych latach, gdy próbowała grać na scenie. Bardzo chciała być aktorką, zawsze – jednak ku zdumieniu wszystkich w każdej roli poza granicami samej siebie była nieśmiała i mało przekonująca. Roland dobrze znał siostrę. Kiedy zacierała słowa w tak dramatyczny sposób, wiedział, że nie ma w tym fałszu ani udawania, że to jest jej szczerą próbą przekazania prawdy. Pilar zapytała, czy skoro tak nie lubi nowoczesności, nie chciałaby dostać znieczulenia przy operacji.

– To jasne, że nowoczesne zdobycze bardzo mnie cieszą: leki, kanalizacja, gorący prysznic i niska śmiertelność noworodków. Oczywiście. Przy terapii, którą

stosuje się dziś na raka, nasza matka prawdopodobnie nadal by żyła. Ale czy to nie jest fałszywa poprawa, fałszywe polepszenie? Czynimy świat zbyt brzydkim. Zapomnieliśmy, jak żyć.

– Byłabyś zdziwiona – odparł Roland – od jak dawna ludzie to powtarzają.

– Jesteś niepoprawną romantyczką, Alice. – W głosie Harriet zabrzmiało takie rozgoryczenie, że wszyscy na nią spojrzeli.

– Być może. Ale czy świat nie jest brzydki? I robi się coraz brzydszy.

– Nie znasz chłopów – rzuciła Pilar z przekonaniem. – Łatwo jest ich idealizować, ale ich sposób życia jest bardzo zacofany. Gdybyś go poznała, mogłabyś zmienić zdanie.

Alice milczała przez chwilę, analizując sumiennie swój wstrząs na to słowo: „zacofany”. W końcu jakie miała pojęcie o argentyńskich chłopach czy chłopach gdziekolwiek? Siostry patrzyły na Rolanda z rezerwą – mógł być przybity, czując, jak bardzo jego nowa żona nie pasuje do ich wytartych rodzinnych relacji. Zastanawiały się też, jak ta idea zacofania zostanie przyjęta na jego uniwersytecie. Roland beznamiętnie ignorował ich zainteresowanie, jak zawsze zachowując swoje zdanie dla siebie. Wiedział, że Pilar nie znajduje przyjemności w tego typu dyskusjach, kiedy nie przynoszą żadnego praktycznego efektu, nie prowadzą do podjęcia żadnej decyzji. Wierzyła, że spotkania towarzyskie powinna wyglądać akceptowana przez wszystkich uprzejmość, ograniczona i płytka.

Pilar zaczęła zbierać talerze i filiżanki na tacę i odmówiła przyjęcia pomocy, gdy Harriet ją zaoferowała. Miała na sobie białą koszulę i dżinsy, które idealnie pasowały do jej zgrabnej figury. Kiedy razem zamieszkali, Roland był zaskoczony, że Pilar codziennie wkłada czyste ubranie – zawsze nieskazitelne, nigdy nie pogniecione. Odkrył, że pod koniec tygodnia odsyłała do pralni wszystko, co miała na sobie. Początkowo uważał to za rozrzutność, lecz ostatnio zaczął postępować podobnie. Pilar targowała się dość brutalnie, gdy na odsyłanych rzeczach znajdowała najmniejszą tłustą plamkę lub zagniecenie. Pracownicy pralni chyba ją za to podziwiali.

– Pojedziemy do miasta – powiedział teraz do Alice – żeby odebrać gazety i znaleźć miejsce, gdzie można sprawdzić pocztę. Jeśli zdecydujemy się zatrzymać dom, powinniśmy zainstalować internet. Bardzo ułatwia życie.

– Ale to właśnie jest tutaj takie piękne – zaprotestowała Alice – że nie mamy połączenia ze światem zewnętrznym. To jak azyl.

Kasim zabrał mapę z gabinetu. Prowadził ich do wodospadu inną drogą, przez tunel, nad którym niegdyś przejeżdżały pociągi, potem przez porośnięte krzewami pole z drewnianymi wieżami obserwacyjnymi ustawionymi w strategicznych punktach. Zrujnowaną chatę będą mijać dopiero w drodze powrotnej. W lesie znów obrzucali się szyszkami. Molly piszcziała, gdy została trafiona, biegła ścieżką i rzucała mocno w Kasima – wyglądało na to, że razem

z Arthurem stworzyli koalicję przeciwko pozostałej dwójce. Ivy czuła się szczęśliwa, że może współpracować z Kasimem. Jej ruchy były idealnie dopasowane do jego ruchów, kiedy biegała wśród drzew, zbierając amunicję, a potem czała się w zasadzce.

Kiedy wreszcie dotarli na miejsce, wodospad okazał się rozczarowaniem. Ivy spodziewała się, że będzie opadał krystalicznym strumieniem, pieniać się na dole; w rzeczywistości okazał się srebrnym sznurkiem sunącym po długiej kotarze jaskrawozielonego mchu. Nie słychać było zdecydowanego grzmotu spadającej wody, tylko cichy szum. Ponieważ Ivy zrobiła z tego punkt kulminacyjny wyprawy, czuła się upokorzona. Kasim i Molly ledwie spojrzeli na wodospad. Molly opadła na trawę i zamknęła oczy, jakby chciała się opalać. Kasim usiadł w pobliżu i zaczął czytać książkę, którą wyjął z tylnej kieszeni szortów. Prawdę mówiąc, oboje też byli – przelotnie – rozczarowani. Nieświadomie pragnęli zobaczyć olśniewający spektakl, coś oszałamiającego, co by ich zachwyciło. Ich nagła obojętność zaskoczyła dzieci, które były przyzwyczajone, że stale znajdują się w centrum uwagi dorosłych, przynajmniej tak długo, jak dorośli są obecni. Gdyby była tu ich matka, Ivy mogłaby zrobić scenę. Taki wybuch, kiedy nie spełniało się coś, czego pragnęła i na co mocno liczyła, należał do jej popisowych numerów. Nie chciała jednak ryzykować i pogłębiać katastrofy, bo nie miała nikogo, na kim mogłaby się oprzeć. Opowiedziała więc, jak rozcięła sobie stopę na kawałku szkła w wodzie pod wodospadem; ubrana w słowa tragedia wydawała się okrojona i marna i nikt się nią nie przejął.

Molly i Kasim zupełnie o sobie zapomnieli; potem Ivy zauważyła, że kiedy Kasim z powagą marszczył brwi nad stronami książki, jednocześnie łaskotał Molly w brzuch długim źdźbłem trawy. Robił to tak nonszalancko, że początkowo Molly nie zorientowała się, że to on, i odsuwała główkę trawy, nie otwierając oczu. Kiedy łaskotanie się nasilało – jakby trawa kierowała się własną wolą, niemającą nic wspólnego z Kasimem – na twarz Molly wypłynął znaczący uśmiech. Nadal nie otwierając oczu, dziewczyna chwyciła koniec źdźbła i zmiażdżyła je w dłoni. Twarz Kasima niczego nie zdradziła.

Wykluczona Ivy poczuła nagłą nieśmiałość i chciała zrobić coś dziecinnego: poszła taplać się w wodzie z Arthurem. Strumień gaworzył tajemniczo. Piegowate żółte światło, rozproszone w wodzie barwy herbaty, złociło kamienie na piaszczystym dnie, owady śmigały nad powierzchnią, nurkując w ciemność pod paprociami. Woda otulała nogi Ivy jak zimne skarpety. Dzieci miały na sobie plastikowe sandały – można je było moczyć i chroniły przed szkłem. Arthur z powagą zajął się zabawą z kubkiem od termosu, wylewając nim wodę z jeziora pod wodospadem do szczeliny w skale. Ivy przyciskała dłonie do wilgotnego mchu pod kaskadą, ale w pewnej chwili przyszło jej do głowy, że tam mogą być ślimaki, więc rozsądnie cofnęła ręce. Potem ogarnęło ją poczucie, że ogląda siebie z oddali,

z czubków jodeł poruszających się wysoko nad nimi: malutką, zamkniętą w sobie, odciętą przy kolanach przez wodę.

Kasim wziął następną łodygę trawy i przesuwiał jej ciężką od nasion śliwkową główką po policzkach Molly i jej zamkniętych fioletoworóżowych powiekach. Z włosami odrzuconymi do tyłu i z jego kąta widzenia wyglądała zupełnie inaczej – jak szczupłe wodne zwierzę wygrzewające się na skale.

– Co ty wyprawiasz?! – zawołała. – Przestań! To łaskocze.

Zapomniał o Molly – był tak skupiony na swoich badaniach – teraz jej ucha, odstającego dziecinnie od głowy, ze złocisto-różową przezroczystą małżowiną. Przesuwając trawą po jej zwojach, snuł na głos rozważania, że łodyga trawy może być na tyle ostra, by przekłuć płatek, a potem ją nacisnąć.

Molly zapiszczała w proteście i usiadła. Oboje byli wstrząśnięci, patrząc sobie w oczy po tak intymnym kontakcie.

– Czemu nie przekłujesz sobie uszu? – zapytał z powagą Kasim. – Albo nosa, albo przynajmniej czegoś?

Wyjaśniła, że bardzo by chciała nosić kolczyki, ale przeraża ją ból przekłuwania. Prawdę mówiąc, nie mogła znieść myśli o jakimkolwiek bólu. Powiedziała to z powagą, z niewinną wyższością, jakby mówiła, że nie lubi marmite albo muzyki poważnej.

– Nigdy nawet nie musiałam mieć plomb, dzięki Bogu.

– Nigdy nie użądliła cię pszczoła ani osa?

Wzdrygnęła się na samą myśl.

– Nigdy. Nienawidzę ich.

– Nie złamałaś ręki?

– Nie. Raz skręciłam kostkę i to wystarczyło.

– Nie wbiłaś sobie zszywki w palec?

– Boże! – Ukryła twarz w dłoniach. – Nie! A ty tak?

Wierzy, że jest zaczarowana, pomyślał ze zdziwieniem. Że ma wybór. Uważa, że jest w niej coś wyjątkowego, a szczególnie subtelna wrażliwość chroni ją przed bólem – jakby inni ludzie zostali stworzeni inaczej i nie mieli nic przeciwko bólowi.

– Nikt ci nie zrobił pokrzywy? – zapytał chytrze.

– A co to takiego?

– Robiliśmy je na placu zabaw w szkole podstawowej. Daj rękę.

– Nie chcę.

– No daj.

Zacisnął dłonie na jej ręce nad nadgarstkiem, a potem przekręcił je w dwie strony, naciągając skórę lekko, ale na tyle mocno, by ją zabolalo i by wyrwała rękę, tylko na wpół rozbawiona. Potarła miejsce, na którym został czerwony ślad, łyzy wezbrały w jej oczach jak soczewki, powiększając płowe tęczęwki.

– A co z porodem? – zapytał. – Nie chcesz mieć dzieci?

– Można dostać znieczulenie – odparła. – Od pasa w dół. Moja matka tak zrobiła i powiedziała, że było w porządku.

Fran i Alice leżały na kocu na kłującej trawie w ogrodzie i podciągnęły spódnice, by opalić uda, choć uda Fran jedynie poróżwiały.

– To niesprawiedliwe – jęknęła. – Czemu nie mam twojej złotej karnacji? Harriet ma, a wcale jej na tym nie zależy. No i co myślisz o nowej pani Rolandowej?

– Boże, to gorgona! – wykrzyknęła Alice, dając upust skumulowanym uczuciom. – Biedny Roly. Co on narobił? Musiał wiedzieć, co sobie pomyślimy. Nic dziwnego, że się z nią ożenił, nie mówiąc nam ani słowa.

– Ale jemu to nie przeszkadza. Jest zachwycony.

– A przecież nie jest kobieciarzem. Nawet nie kiwnie palcem, a kobiety i tak na niego lecą. Widzą, jaki jest mądry i zagubiony, tak bardzo żonaty z niewłaściwą osobą, i pędzą mu na ratunek. Jestem gotowa przysiąc, że on w tym całym zamieszaniu jest zupełnie bierny. Wszyscy wiedzieli, że potrzebował ratunku przed Valerie, ale nie jestem pewna, czy on to wiedział, dopóki Pilar mu tego nie wyjaśniła. A teraz jest totalnie zauroczony. Seksualnie zauroczony.

– Fakt, Pilar jest bardzo atrakcyjna. Dałabym się pokroić za jej figurę.

– Ale czy nie ma odrobinę za mocnej szczęki? Nie sądzisz? Szczęki mięsożercy. I jest nam tak bardzo niechętna! Ma nas za obiboków najgorszego rodzaju.

– Uważa, że nie jesteśmy godne Rolanda.

– I powinnyśmy pełzać u jego stóp. Nic dziwnego, że jest taki zakochany. Czuję, że już nigdy nie będziemy miały Rolanda dla siebie! Żadna z jego poprzednich żon tak go od nas nie odciągała. Mogłyśmy się do nich przystosować albo one do nas.

– Nie bądź niemądra – odparła Fran. – To nie przetrwa.

– Chcesz powiedzieć, że małżeństwo nie przetrwa?

– Chodzi mi o tę fazę małżeństwa. No wiesz, to czuwanie się, kiedy wszystko, co robi druga osoba, wydaje się takie urocze i oryginalne. W następnej fazie te same rzeczy wydają się wyjątkowo irytujące.

– Przechodziłaś przez fazę czuwania się z Jeffem?

– Chyba tak, choć to wspomnienie jest tak upokarzające, że je wyparłam. Czuję się tak, jakbym od zawsze potrafiła przejrzeć go na wylot.

Na górze Harriet stała w sypialni brata. Okna były podniesione i słyszała dobiegające z ogrodu głosy siostr, choć nie mogła rozróżnić słów; zresztą nie chciała. Drobiniki kurzu wirowały w świetle słońca, a gęsta gorąca cisza w pokoju zdawała się mocno naznaczona nieobecnością mieszkańców, którzy wypełnili ją zapachami kosmetyków, perfum i płynu po goleniu. Zasłali łóżko kapą

i poduszkami w czerwono-pomarańczowe wzory; staroświeckie wyblakłe meble sztywno opierały się inwazji. W Harriet też narastał opór – była zardzewiała, stawy jej ducha trzeszczały i jęczały z braku ruchu. A jednak zakradła się tutaj. Opętana tym, co widziała zeszłej nocy, nie mogła się uwolnić od podglądanej gwałtowności, podniecenia. Nie brała pod uwagę, że seks może mieć aż taką moc. Z całą powagą wierzyła, że seks to tylko jedna z rzeczy, które można odłożyć na bok.

Przytulając twarz do szkarłatnej szyfonowej bluzki, która wisiała na wieszaku na brzegu szafy, nie dotykając jej początkowo rękami, oddychała przez nią jak przez welon. Delikatny materiał unosił się i opadał przy jej ustach i policzkach, unoszony oddechem; smakowała jego ciepły od słońca zapach pralni. Gdyby ktoś ją zobaczył, musiałby przyznać, że wygląda groteskowo z materiałem udrapowanym na twarzy. Na zewnątrz do Fran i Alice dołączył męski głos – Simona Cumminsa, który opiekował się ich ogrodem. Słyszała, jak z nim flirtują i jak on z nimi żartuje, słyszała senne gruchanie gołębi ukrytych pod pełnymi letniego splendoru spódnicami buków. Zdjęła bluzkę z wieszaka, zaniósła do swojego pokoju i rozłożyła na łóżku. Kiedy zamknęła oboje drzwi, zdjęła podkoszulek, a potem rozpięła stanik i zrzuciła go na podłogę. Pospiesznymi ruchami niezgrabnych palców przerzuciła bluzkę Pilar przez głowę – opadła na jej nagi tors – i poczuła chłodny dotyk materiału na piersiach.

Jestem wewnątrz tego, co ona będzie nosić, pomyślała.

Jak by to było być Pilar, tak piękną w swoich ubraniach, nosić je z taką pewnością siebie i z takim wdziękiem, tak dobrze czuć się we własnej skórze? Zupełnie jakby tamta kobieta należała do innego, lepszego gatunku. Potem w ramach kary Harriet spojrzała na swoje odbicie w małym okrągłym lustrze stojącym na komodzie. Co za szczęście, że jej pokój znajdował się po zacienionej stronie domu i komoda też kryła się w cieniu w rogu pomieszczenia. To, co zobaczyła Harriet, powinno się trzymać w ukryciu. W bluzce wyglądała groteskowo; obrażała ją tak dotkliwie jak policzek lub szydercza uwaga. Ostra czerwień materiału wysysała kolor z jej skóry, a duży dekolt odsłaniał jej wystające, piegowate obojczyki. Zobaczyła, że jej fryzura starszej kobiety – włosy ostrzyżone krótko przy uszach i sterczące na czubku głowy – nie była skromna ani rozsądna, jak liczyła, lecz okazała się upokarzającą pomyłką. Sięgając pod przezroczysty materiał, Harriet znów dotknęła piersi, obserwując się z odrazą. Ciało było zimne, tuliło się do jej dłoni jak stary pies.

Przebrała się z powrotem w podkoszulek i usiadła na łóżku, by pisać pamiętnik.

Zobaczyłam jastrzębia wzbijającego się do lotu z pola. Tak wielki wysiłek ramion, opadające końce skrzydeł; szlachetny dramat jego ruchu. Jestem niczym.

Kiedy Harriet zeszła i weszła do salonu z nadzieją, że będzie go miała tylko

dla siebie, znalazła tam Alice, która klęczała na podłodze przy sekretarzyku babki i majstrowała czymś przy zamku.

– Co ty wyprawiasz?

Alice była zaskoczona, lecz nie skruszona.

– Próbuję otworzyć zamek – wyjaśniła. – Wiesz, jak to się robi? Dani potrafi, ale ja nie mam jego smykałki. Czuję, że są tam listy, które mogą być interesujące. Nie sądzisz? Bo po co trzymano by je pod kluczem? Nie wiem, dlaczego nie chciałam tego zrobić wcześniej.

Harriet przeraził gniew, który ją ogarnął. Czy nie oduczyla się tego przed laty? Gdy przestała nienawidzić Alice, zapanował pokój.

– Nie wolno ci. Cokolwiek tam jest, to prywatna sprawa. Nie powinnaś tego oglądać.

– Oni nie żyją, Harriet. Nie bądź śmieszna. Jeśli my tego nie zrobimy, to kto? Chcę przeczytać ich listy, bo ich pamiętam. Kocham ich. Lepiej byłoby ich zapomnieć?

– Babcia nie mogłaby znieść, że grzebiesz w jej prywatnym życiu. Jeśli znajdziesz tam listy, powinnaś je spalić.

Alice przysiadła na piętach i spojrzała na siostrę.

– Co cię opętało? Jesteś nie w humorze. A nawiasem mówiąc, to, co powiedziałam przy śniadaniu, nie było tylko romantyczne. Wiem, że się ze mną zgadzasz, że rzeczy są brzydkie i straszne. Czemu podlizujesz się Pilar? Nie pochwali twojej pracy z uchodźcami, nie miej złudzeń. Myślę, że nie ma dla nich żadnych ciepłych uczuć. Czyż nie pochodzą z „zacofanych” miejsc?

– Tak bardzo wszystko krytykujesz, Alice. Prawie jej nie znamy. Nie wiesz, co myśli ani jak wyglądało jej życie.

Kiedy tylko się rozstały, każda z nich poczuła wyrzuty sumienia, że dała się wciągnąć w kłótnię, która je poniżyła, a obie wołały myśleć, że są pogodnie wspinałomyślne w obliczu prowokacji tej drugiej. Alice wstydziła się, że krytykowała nową szwagierkę – Harriet miała rację, było coś opryskliwego i ograniczonego w sposobie, w jaki opierała się jej wtargnięciu do ich rodziny. Pilar była godna podziwu i wartościowa, ale też budziła postrach. Kiedy rano pozmywała po śniadaniu, wysprzątała też całą kuchnię, pozostawiając ją jasną i przyjemną. Harriet zaś pomyślała, że Alice naprawdę kochała dziasiusiów, była dla nich dobra, gdy się zestarzel, a listy, jeśli jakieś w ogóle istniały, nie mają znaczenia. Przecież dziadkowie nie mogli w nich napisać nic gorszego. Alice wróciła do otwierania zamka małego sekretarzyka rozgiętym spinaczem do papieru. Próbowała sobie przypomnieć szybkie zdecydowane ruchy Daniego, kiedy pospieszył jej na ratunek, gdy zamknęła paszport w szufladzie i zgubiła klucz. Naśladowała je teraz i coś w środku ustąpiło, uwalniając pochyłą pokrywę. Ze stłumionym okrzykiem triumfu – nie chciała ściągać Harriet z powrotem – opuściła

blat, uwalniając lekko stęchły zapach: przeszłość na intymny moment znalazła się tuż pod ręką. W buteleczce wysechł atrament Quink, w przegródkach leżały ołówki, gumka, plastikowa temperówka i papier Basildon Bond, rachunki opłacone dawno temu były pospinałe skórzanymi klamrami, które ktoś podarował dziadkom w bożonarodzeniowym prezencie, końcówki książeczek czekowych wciśnięto do pudełeczka, lawenda w małym płóciennym woreczku uszytym przez babcię zamieniła się w proszek bez zapachu. Układ przedmiotów zachował ślady rąk, które ostatni raz zamknęły pokrywę dwadzieścia lat temu.

W środku było kilka listów; na pewno więcej znajdowało się w szufladach – Alice pomyślała, że je też uda się jej otworzyć, gdy już zorientowała się, jak to zrobić. Pierwsze listy nie były interesujące: głównie korespondencja z ostatnich czterech czy pięciu lat życia starszej pani, kiedy była wdową i sama prowadziła dom. Z miasta przyjeżdżała opiekunka – najpierw co kilka dni, potem codziennie – a Alice odwiedzała babkę, kiedy tylko mogła, choć w tamtym czasie w teatrze katastrofa goniła katastrofę. Znalazła kilka zdjęć z lat osiemdziesiątych: z wręczenia dyplomu Rolandowi, a potem z ukończenia studiów doktoranckich, Fran jako chudy dzieciak z nastroszonymi punkowymi włosami i oczami pomalowanymi na czarno. Pewnie przysłała je Harriet. To jej udało się utrzymać Fran w ryzach w latach po śmierci matki i odejściu ojca. Harriet prasowała szkolny mundurek Fran, robiła jej kanapki do szkoły, pomagała w odrabianiu lekcji, pilnowała, by przystępowała do egzaminów.

Alice wpatrywała się w zdjęcia młodszej siebie, jakby były przepowiedniami – wraz z nimi pojawił się wstrząs, bo zapomniała, że w ogóle zostały zrobione, że miała ubrania, w których została na nich uwieczniona. Z tamtych czasów zapamiętała niepewność i brak wiary we własne siły – a jednak młoda kobieta na zdjęciach wyglądała tak pewnie: wydmuchiwała dym, śmiała się z odrzuconą głową i na wpół przymkniętymi oczami, niezbyt starannie umalowana na jakąś imprezę. Przez cały czas, kiedy tonęła w zamęcie swoich emocji, było zupełnie tak, jakby jej zewnętrzna tożsamość prowadziła inne, całkiem udane życie niezależne od niej – życie, które z zewnątrz wydawało się godne pozazdroszczenia, a nawet podziwu. Obejrzała się teraz za siebie na pokój, w którym tapety lśniły srebrno w świetle wpadającym z ogrodu. Nikogo tam nie było, bezruch i spokój należał wyłącznie do niej, ale szeslong, pianino i przeszklona biblioteczka z powieściami babki – Elizabeth Goudge, Rebecca West i L.P. Hartley – zdawały się stać sztywno pod ścianą w oczekiwaniu. Alice znów poddała się przecuciu, że czeka na nią coś nieznanego – nie z przeszłości, lecz w przyszłości. Jej wyobraźnia była otwarta i pełna przyzwolenia, coś musi do niej wpaść i ją zapełnić. W jej historii zawsze pojawiał się jakiś mężczyzna, który odpowiadał na te narastające oczekiwania. Teraz była gotowa na kolejnego.

Jedną kupkę listów i kartek przewiązano wstążeczką. Alice uświadomiła

sobie, że to kondolencje napisane po śmierci dziadka i nekrologi wycięte z gazet. Kartki były ozdobione motywami kwiatowymi; na jednej czarna brama otwierała się na jesienną aleję. Alice wyobraziła sobie, jak babka szuka wstążeczki, uroczyście związuje listy, by potem odłożyć je na bok. *Moja droga Sophy, nasze myśli są przy Tobie... Twoje smutne wieści... Jeśli istnieje jakaś pociecha... Zaszczyt, że mogliśmy publikować... Modlę się za Ciebie...* Melancholia i stęchły zapach starych gazet zaczęły ją usypiać.

Molly zatrzymała się przed chatą.

– Pamiętam to miejsce.

Kasim rzucił dzieciom ostrzegawcze spojrzenie – nie mogą się zdradzić, że byli w środku.

– Wyobraźcie sobie, że można tu mieszkać – powiedział, jakby robił komuś wyrzuty. – Bez elektryczności. Bieżącej wody. Gorącego prysznica. Bez internetu i zasięgu w telefonie.

Molly się zamyśliła.

– Na pewno mieli elektryczność. Wszyscy ją mają.

Kasim machnął ręką w kierunku nieba wolnego od słupów, a nawet drutów telegraficznych.

– Myślisz, że tak po prostu spływa z powietrza?

Wyglądała na niepewną.

– Tam, skąd pochodzi moja rodzina – ciągnął Kasim – żyją tak setki tysięcy ludzi. A nawet miliony.

Pozostali byli pod wrażeniem.

– A skąd pochodzi twoja rodzina?

– Ale woda musi być – powiedział Arthur. – Bo jak można by było pić?

Kasim zachowywał się tak, jakby spędził w Pakistanie więcej czasu niż w rzeczywistości. Opowiedział im o głębokich studniach, o noszeniu wody ze strumieni lub zbiorników oddalonych o wiele mil. Miał mgliste pojęcie o tych sprawach, bo jego krewni w Pakistanie byli bogaci – raz tylko pił wodę ze studni na wiejskim podwórku w domu należącym do jego ciotecznego dziadka. Teraz wydawało mu się, że była wyjątkowo czysta i zimna.

– Mogłeś umrzeć – powiedział Arthur.

Ivy wiedziała, że sprawa z wodą miesza mu się z tym, co wydarzyło się w chacie.

– Mnóstwo dzieci umiera – odparł Kasim. – Umierają, bo piją złą wodę.

– Ale nie w tym kraju – dodała szybko Molly, ściskając dłoń Arthura.

– No to nie ma sprawy – rzucił zgrzyliwie Kasim.

Odwrócił się do nich tyłem, ale Molly podniosła z ziemi kępkę mchu i cisnęła w niego, gdy odchodził. Trafiła go dokładnie między łopatkami, burząc jego opanowanie; przez długą chwilę był zdumiony i obrażony, ale potem ku ich

uldze wrzasnął, jakby wyrzucał z siebie nagromadzony gniew, podniósł mech i cisnął nim równie mocno w Molly. Był to sygnał do powrotu do zabawy, której oddawali się wcześniej: Molly i Arthur szybko poszukali innych pocisków. W gasnącym słodkim świetle popołudnia, ponieważ kręciło im się w głowach od zmęczenia i gorąca, zdawali się schylać, piszczeć i biegać po ścieżce w przyjemnie zwolnionym tempie.

Ivy wycofała się na polanę i niebawem krzyki pozostałych rozbrzmiewały daleko pośród drzew na dole, a ona znów poczuła, podobnie jak nad jeziorkiem, że ogląda siebie z wysokości wierzchołków drzew, daleką i podobną do lalki. Przechodząc przez polanę i otwierając drzwi chaty, wyobrażała sobie, że jest kimś innym, o wiele dzielniejszą dziewczynką z historyjki dla dzieci. Ivy nie była odważna, tchórzyła, kiedy rozpoczynały się gry sportowe lub zabawy, kiedy należało biec w zespole albo przekłuć balon, siadając na nim. Miała jednak też w sobie chciwą ciekawość, która przypominała głód; chciała poznać prawdę sama, bo jeśli nikt się nie dowie o jej poczynaniach, nie będzie się musiała wstydić swojej dociekliwości. Mimo to, przeciskając się przez drzwi, pragnęła, by chata okazała się wysprzątana i pusta, by przez jej nieszkodliwą skorupę przewiewał czysty wiatr.

Brązowawy półmrok w pomieszczeniu na dole i zatrzymana nagłość przewróconego krzesła były takie same; jej kroki zakłócały ciszę, którą wczoraj pozostawili po sobie z Arthurem. W połowie schodów Ivy odwróciła się i o mało nie spadła przerażona, kiedy drzwi zatrzęsły się za nią, ale to tylko wszystko ułatwiło, bo powrót okazał się teraz równie przerażający jak droga w górę. Czasopisma i martwy pies zlały się w jej umyśle w jedno, gazety były koniecznym wstępem do reszty. Przewracała zawilgocone strony odważnie, ponieważ Arthur nie patrzył, tym razem chłonąc wszystko, co widziała: ciała na zetłalym papierze w najróżniejszych konfiguracjach, jednocześnie inne i takie same. Kim były te kobiety? Ponieważ wiedziała, że te zdjęcia są przeznaczone dla dorosłych, nie mogła się nadziwić, że są tak niepotrzebnie dziecinne i nieprzyzwoite. A jednak nie potrafiła ich całkowicie odrzucić; na ich widok czuła poruszające mrowienie i gwałtowną odrazę.

Potem otworzyła drzwi, które zamknęli z Arthurem, i przeszła przez próg do drugiego pokoju, zatykając nos palcami i oddychając przez usta – mimo to poczuła w gardle smród zgnilizny, intymny i paskudny. W pokoju nie było tak ciemno jak poprzednio, do środka wpadało więcej światła, bo wiatr poruszał strzępami zasłony. Wczoraj nie zauważyła, że okno nie jest zamknięte. Leniwe tłuste muchy i ich niekonsekwentne bzyczenie budziły w niej odrazę; pomyślała, że nie wytrzyma, jeśli jeszcze jedna przy niej zabzyczy. Kiedy jednak już znalazła się w pokoju, zapomniała, że ma się bać. Wszystko z wyjątkiem much było ciche, wszystko wręcz tchnęło spokojem. Nie było tu nikogo oprócz niej, mogła robić, co

chciała, oglądać bez zahamowań i skrępowania.

Mitzi była jednocześnie czymś i niczym: masa w jednym rogu pociemniała i się spłaszczyła, otaczała ją plama na podłodze, jakby wylały się z niej płyny, które potem zaschły. Tylko trzymające się w kilku miejscach na tej masie kępki rudej sierści sprawiały, że to była Mitzi. Oczodół był dziurą w czaszce, błyskając bielą przez powłokę skóry. Kiedy Ivy przykucnęła, by lepiej przyjrzeć się szczątkom, zanadto się jednak nie zbliżając, zauważyła – najpierw z niedowierzaniem, potem z rosnącą pewnością – że żywe białe czerwie wiją się niczym nici w truchle psa w miejscach, gdzie ciało nadal trzyma się kości. Docierając do najdalszego brzegu swojej odkrywczej podróży, Ivy wydała z siebie dźwięk przeznaczony tylko dla niej, bolesny, jak cichy jęk protestu. Mimo to była zafascynowana. Patrzyła, dopóki pozostali nie zaczęli wołać jej z lasu.

Przed kolacją Fran stała nachmurzona w mrocznym holu, to marszcząc, to wygładzając chodnik sandałkiem; kabel od telefonu okręcała wokół dłoni, a słuchawkę przytrzymywała ramieniem przy uchu. Stary brązowy telefon, relikw lat siedemdziesiątych, stał osamotniony na drewnianym stoliku, jakby dla ozdoby, niczym aspidistra albo wazon. Kiedy Molly chciała z niego skorzystać, musieli jej pokazać, jak wykręcić numer. Przy stoliku nie stało krzesło: dziadusi nie chcieli zachęcać do długich przyjemnych pogawędek, bo były bardzo drogie. Fran raz po raz wykręcała numer Jeffa, ale nie mogła się z nim połączyć. Pełna urazy wyobrażała sobie, jak pije piwo, gra w snookera i pali z resztą zespołu, nie zwracając uwagi na dzwoniący w kieszeni telefon. Roland i Pilar piekli w kuchni dwa kurczaki z winogronami i jabłkami według hiszpańskiego przepisu. Ich współpraca przebiegała gładko – Pilar miała wszystko dopracowane, a Roland, owinięty fartuchem, wykonywał jej polecenia, obierając jabłka i wyciskając sok z winogron. Valerie postępowała z nim zupełnie inaczej: opiekowała się nim, jakby był całkowicie bezradny. Teraz podchodził do procesu gotowania ze szczerym technicznym zainteresowaniem.

Kasim się nudził, bo Molly uczyła dzieci układać pasjansa zegar. Wybrał się sam na przechadzkę na cmentarz i nie zauważył Alice, dopóki prawie się o nią nie przewrócił; siedziała w wysokiej trawie, opierając się plecami o szary nagrobek. Zaskoczony, przez chwilę czuł złość, jakby celowo wpakowała się mu pod nogi. Jako mały chłopiec był upokarzająco świadomy obecności Alice w jego domu – jej bielizna leżała w koszu na brudy, pościel ojca pachniała jej perfumami. Teraz jej cichy okrzyk i uśmiech w oczach, które na niego podniosła, wydawały się zbyt pojednawcze, przywarły do niego.

– Kas, masz papierosa?

Powinna sobie kupić fajki, pomyślał, zamiast udawać, że nie pali. Znalazł jednak papierosy dla obojga i usiadł po turecku na trawie, opierając się plecami o nagrobek naprzeciwko niej. Na dole, wśród traw, znajdował się zupełnie inny

wszechświat, gorętszy i przyjemnie kwaśny od zapachu fermentujących soków; tutaj liczyła się tylko relacja z bezkresnym niebem. Wykręcił szyję, by przeczytać słowa za sobą, niedające się odcyfrować w miejscach, gdzie kamień się wykruszył: „Zasnął w Panu, 1882”.

– Zasnął i go pogrzebali? Jak dobrze, że jestem muzułmaninem.

Alice pragnęła okazać się na tyle silna, by nie zapytać go, czy dobrze się bawi. Nie powinna okazać, że szuka jego aprobaty.

– Podoba ci się Molly? – zapytała zamiast tego.

Wpatrywał się w zapalony koniuszek papierosa. Beznamiętnie, posłusznie, nie zdradzając niczego, powiedział, że tak.

– Ale kim jest Molly? Czym jest?³

Alice zaśpiewała jego słowa do melodii *Kim jest Sylvia?*.

– Jesteś pewna, że naprawdę jest córką twojego brata? Nie jest do niego podobna. On jest bezpośredni, ona jest zagadką.

– Żartujesz. Ale fakt, że Molly nie jest najbystrzejsza, nie oznacza, że nie jest wyjątkowa.

– Mówię śmiertelnie poważnie. Uważam, że jest głęboka, być może ma pieczę nad sekretem wszechświata. A skoro jesteśmy przy temacie zagadek, kim jest Jill Fellowes?

– Czemu pytasz?

Kasim wyjął z tylnej kieszeni książkę, którą nosił przy sobie cały dzień, i nie zauważył, jak Alice wzdrygnęła się na widok zagiętych rogów okładki.

– Spójrz. To nazwisko jest tu zapisane. To tomik poezji. To twoja babka?

Alice wyjęła mu książkę z rąk i czule wygładziła okładkę.

– Czytałeś te wiersze?

– Tylko udawałem, żeby zaintrygować Molly. Jestem ekonomistą, nie wiem, jaką funkcję spełnia poezja.

– To nazwisko mojej matki. Panieńskie. Mnóstwo książek na tej półce, na której znalazłeś ten tomik, to książki z jej dzieciństwa. To niesamowite, że wymieniał jej nazwisko, bo przyszłam tutaj, żeby o niej pomyśleć. Wiesz, umarła, kiedy miałam zaledwie trzynaście lat.

Spojrzał na nią skonsternowany.

– Ale to nie są wiersze dla dzieci – powiedział apodyktycznym tonem.

– Kiedyś były. Teraz dajemy dzieciom do czytania głównie balsam.

Kasim melodramatycznym gestem ujął głowę w dłonie; zobaczyła włosy na jej czubku, lśniące i bardzo czarne.

– Czy powiedziałem coś strasznego, przywołując nazwisko twojej matki? Jesteś załamana? Była święta?

– Nie bądź głupi, jasne, że nie – odparła Alice. – Ale była niezwykła. Uduchowiona i bardzo mądra. Wyobraź sobie, że dorastała tutaj, w tym cudownym

miejscu. Niesamowite, że kiedy tylko zamknęłam oczy, żeby o niej pomyśleć, zjawiał się ty z jej książką. Nic nie dzieje się przypadkiem.

– A jednak wiele rzeczy wydarza się przypadkowo.

Pokręciła głową mądrze, irytująco.

– Nie wierzę w zbiegi okoliczności.

Światło przeciekało przez poruszające się łodygi traw, które pochylały się pod ciężarem ciężkich od nasion kłosów, i migotało na twarzy Alice w kształcie serca, w czarnych oczach, na miękkiej skórze i we włosach. Powiedziała, że w kościele znajduje się tablica pamiątkowa; bardzo piękna, jej dziadek wybrał napis. Oczywiście śmierć córki, jedyne dziecko, zupełnie złamała serce dziadkom. Nie zniszczyła wiary dziadka tylko dlatego, że była to wiara utwardzona w oczekiwaniu najokrutniejszych wydarzeń. Kiedy Kasim zapytał, czy ojciec Alice nadal żyje, odparła, że tak, prawdopodobnie gdzieś w Dordogne. Nie widziała go od kilku lat i niewiele o to dba. Po tym, jak matka umarła na raka piersi, ojciec zupełnie się rozsypał – co było wybacalne – i uciekł do Francji z inną kobietą, porzucając osierocone dzieci – czego już wybaczyć się nie dało. Ale to dawne dzieje. Ojciec myślał, że ucieka przed starością, ale ta w końcu go dopadła. Rozmawiała o tym wszystkim ze swoją terapeutką przez tyle lat, że zupełnie wyczerpały temat.

– Podobno był artystą – powiedziała. – Tak się tłumaczył.

– Jakiego rodzaju?

– Malarzem. Niezbyt dobrym. Kobiety na tle pejzaży jak ze snów: po części Van Gogh, po części okładki płyt. Nigdy nie sprzedawał zbyt wielu obrazów. To jego nowa żona, nie ta, z którą uciekł, zarabia pieniądze. Jest pośredniczką w handlu nieruchomościami, sprzedaje stare farmy Brytyjczykom, gdy francuscy chłopcy przenoszą się do miast. Czy to nie jest zabawne?

– A jest?

– Nie, chodzi mi o porzucanie farm i wyludnienie. Gdybyś tylko słyszał kilka pięknych rzeczy, które ojciec opowiada o życiu artysty.

Alice weszła do domu, by się uczesać przed kolacją. Pamiętała, jak zawsze, że jej matka siadywała przed tą samą toaletką: najpierw jako dziewczyna i potem, kiedy dzieci spędzały tu lato, a ojciec wyjeżdżał malować. Padające z ukosa późne słońce odbijało się od flakoników perfum i buteleczek lakieru do paznokci, dzbanka z bukietem owiniętym złotymi sznureczkami jak szalikiem, biżuterii – może nie cennej, lecz każda sztuka była oryginalna i ciekawa, pełna sentymentalnych skojarzeń. Gdzie tylko Alice się zatrzymywała, miała dar dodawania drobnych akcentów, które sprawiały, że miejsce stawało się wyraziste i atrakcyjne, jakby przygotowywała scenografię do sztuki. W Londynie bardzo często przenosiła się z jednego pokoju lub mieszkania do drugiego, przekształcając każde wnętrze w gniazdko pełne ciekawostek i przyjemnych drobiazków. Patrząc

teraz w lustro, zawiesiła rękę ze szczotką w powietrzu i ponad ramieniem spoglądała na odbicie pokoju w lustrze. Szepnęła cicho: „Mój Boże”, choć nie wiedziała, do kogo się zwraca. Jej piękne włosy naelektryzowały się i uniosły do szczotki.

Nagle pojawiła się Harriet, przerywając jej zadumę, blokując przestrzeń odbitą w lustrze, wdzierając się w jej rozmarzenie. Oczywiście to nie była wina Harriet, że musiała przejść przez pokój Alice – ale skradała się tak cicho! Zaskoczona Alice nie mogła opanować irytacji. Przez Harriet poczuła się przyłapaną na próżności. Opuściła szczotkę i odwróciła się od lustra.

– Boże, szpiegujesz mnie?

– Pomyślałam, że powinnam ci powiedzieć – burknęła Harriet – że załatwiłam sobie w pracy dłuższy urlop. W końcu będę mogła zostać tu dłużej.

Alice z poczuciem winy zorientowała się, że jej reakcja była przesadna. Zerwała się ze stołka przed toaletką, by ucałować siostrę, i poczuła, że Harriet stoi sztywno w jej uścisku, nie wiedząc, jak mu się poddać.

– Och, Hettie! Tak się cieszę! Dziękuję! – wykrzyknęła. – Wiem, że nie zasługuję, żebyś robiła dla mnie coś miłego. Jestem zrzędliwą starą babą. Przepraszam.

– Nie zrobiłam tego dla ciebie – odparła Harriet. – Przyda mi się odpoczynek. Dobrze się bawię.

Wcale na to nie wygląda, pomyślała Alice. Siostra sprawiała wrażenie przemęczonej, pod jej oczami odznaczały się sine kręgi, jakby nie spała – Alice miała nadzieję, że nie stało się tak dlatego, że umieścili ją w tej niewygodnej klitce. Miała bardzo sprytny korektor, który działał cuda pod oczami, ale nie śmiała go zaoferować w obawie, że wzbudzi w siostrze pogardę.

Harriet przesuwała buteleczki na toaletce.

– Nigdy nie próbowałam tego wszystkiego – powiedziała. – Po co to komu?

Alice przyglądała się jej uważnie.

– Usiądź na stołku – powiedziała. – Pozwól, że czegoś spróbuję. Czegoś malutkiego. Cieniuteńkiej warstewki. Nikt nie zauważy, a będziesz wyglądać ładniej.

Kiedy Harriet się wahała, wyraz jej twarzy dziwnie oscylował pomiędzy niechęcią a tęsknotą. Poddała się i usiadła posłusznie tyłem do lustra. Alice poszperała w kosmetyczce i bardzo ostrożnie, delikatnie nałożyła korektor, a potem bardzo lekki podkład, konturówkę do oczu, cień do powiek, mascarę. Ich twarze przynajmniej raz znalazły się bardzo blisko siebie, bez cienia wrogości, twarz Harriet bezbronne uniesiona, twarz Alice skupiona na tym, co tak dobrze знаła.

– Och nie – rzuciła Harriet z przerażeniem, kiedy wreszcie spojrzała na swoje odbicie. – To nie ja. Nie pasuje. Zmyj to, Alice.

Cztery

Fran i Alice pojechały z dziećmi do miasta – Fran chciała kupić na targu ryby, żeby zrobić zapiekankę. Kiedy skończyły zakupy na targu i w supermarkecie Co-op, kupiły lody w cytrynowożółtej Esplanade Café, która przetrwała od czasu dzieciństwa sióstr, choć w ogrodzie z rabatkami i minigolfem wyglądała prowizorycznie jak letni domek. W dzieciństwie jadły lody Wall ukryte między dwoma wafelkami – teraz robiono je na miejscu z owczego mleka. Fran i dzieci zamówili po dwie gałki, Alice jedną; potem Ivy upuściła swoje i się rozplakała, więc trzeba było kupić drugą porcję.

– Zawsze tak robi – powiedziała Fran.

Siostry oparły się o falochron, by zjeść lody, i patrzyły, jak Ivy i Arthur bawią się na plaży, grzecznie i niepewnie, bo byli nowo przybyłymi wśród plażujących rodzin. Powietrze było lekko zamglone od upału, niebieskie od dymu ze zjełczałego tłuszczu do smażenia i cukrowej waty. Okrzyki dzieci odbijały się od zatłoczonego brzegu, falochronu i długich, kamiennych poprzecznych tam wzniesionych na plaży, by powstrzymać erozję.

Nadmorskie miasteczko nie było tak całkiem nadmorskie, mimo wszystkich staroświeckich wakacyjnych atrybutów na wystawach sklepów na końcu głównej ulicy: wiaderek, łopatek, parawanów i plastikowych wiatraczków. Piasek zwożono z dalszej części wybrzeża; jeśli zaczynał się odpływ, każdy, kto chciał popływać, musiał iść, zdawałoby się, całe mile w wodzie po kostki lub łydki do głębokiego ujścia rzeki, a migotliwe światło ciągnące się długimi, szerokimi plamami przez środek wody sprawiało, że brzeg wydawał się daleki. Po surowej nocy woda, mętna od mułu, potrafiła być brązowa jak mleczna czekolada; ostrygojady, kuliki i rzadsze ptaki żerowały na licznych gatunkach robaków, które pozostały w błocie po cofnięciu się wody. Bez trudu można było dostrzec Walię – błękitne wzgórza i białego ducha elektrowni w Aberthaw – tak że bezmiar wody wydawał się oswojony, dobrze znany, choć zdradziecki.

Fran i Alice z lubością plotkowały o rodzinie – kiedy nadeszła kolej Molly, Fran zauważyła, że wydaje się bardzo niedojrzała jak na swój wiek.

– Rzeczywiście, jest trochę pozbawiona wyrazu – zgodziła się Alice.

– Ale wygląda na to, że dobrze dogaduje się z Pilar.

– Zauważyłaś, że choć Roland uwielbia Molly, tak naprawdę nigdy z nią nie rozmawia? O różnych problemach, o książkach? Ona jest taka łagodna.

– I taka dobra dla dzieci. Ale czy potrafi ugotować jajko?

– I niesamowicie piękna. Kas zupełnie stracił głowę. Roly nie może znieść, gdy ktoś patrzy na nią z seksualnym podtekstem. Aż się w nim gotuje, gdy Kas się do niej zbliża. Ale nie sądzę, żeby ją tknął choćby palcem. To niewiniątko, choć wydaje mu się, że jest okropnie niegodziwy i wyrafinowany.

- No myślę, że jej nie tknął – odparła Fran sztywno. – To jeszcze dziecko.
- Ma szesnaście lat. Co kombinowałaś, mając szesnaście lat?
- No właśnie.

Fran zawsze utrzymywała, że nie pozwoli, by jej dzieciom upiekło się cokolwiek z tego, co sama kiedyś wyrabiała. Alice zaprotestowała, że to tak, jakby zjeść swój kawałek tortu i nie pozwolić nikomu innemu zjeść swojego.

– W każdym razie kiedy przyjdzie kolej na Ivy, nie będziesz miała pojęcia, co kombinuje. Na pewno ci nie powie.

Fran jęknęła na myśl, że kiedyś przyjdzie kolej na Ivy.

– Czytam stare listy mamy – powiedziała Alice – które pisała z pierwszego roku w Oksfordzie. Opowiada tylko o wykładach i zabawnych zdarzeniach, ale kto wie, co się tam naprawdę działo.

– To niezdrowe, Alice, babrać się w tych starociach. To zbyt przygnębiające. Nie ma sensu przez cały czas oglądać się za siebie.

– Czemu nie? Lubię spoglądać wstecz. To niesamowite wyobrazić ją sobie, kiedy była dziewczyną i życie jeszcze się jej nie przytrafiło. Lata sześćdziesiąte, rewolucja, spodnie dzwony i tak dalej. To wszystko miało dopiero nadejść. Tato też.

– Przestań się wściekać na ojca – ostrzegła ją Fran – i obwiniać go o wszystko.

Jako jedyna z czworga rodzeństwa utrzymywała kontakt z ojcem; kilka razy zabrała dzieci, by odwiedzić go we Francji.

– Przestałam się na niego wściekać lata temu. Teraz prawie o nim nie myślę. Uderza mnie to, jak wielką mama miała wiedzę. Znała łacinę i grekę, wiedziała mnóstwo o historii i literaturze, o wiele więcej niż my. Może w tamtych czasach ludzie po prostu więcej wiedzieli. Na pewno o wiele więcej niż Molly.

– Molly nie wie nic.

Zadzwoił telefon i Fran odwróciła się od siostry, by rozmawiając, przejść się nad morzem. Szła skulona, nie zwracając uwagi na otoczenie – rodziny jedzące frytki i watę cukrową i nadzorujące wszystko mewy o szklanych oczach, z dziobami zakończonymi czerwoną plamką. Alice wiedziała, że dzwoni Jeff. Przez większość czasu twarz Fran emanowała pewnością siebie, niebieskie oczy były lekko zamglone, a jasne brwi ledwo widoczne. Kiedy rozmawiała z Jeffem, wyraz jej twarzy zdecydowanie się wyostrzał.

– Jakies wieści? – zapytała Alice, gdy siostra wróciła. – Przyjeżdża?

W tej chwili światło wydało się Fran wyjątkowo bezczelne, odbijając się od okularów przeciwsłonecznych Alice – zauważyła, że ludzie odwracają głowy, by na nie spojrzeć, zastanawiając się, czy znają jej uderzająco piękną siostrę z telewizji. W Londynie Alice nie wyróżniała się w ogólnej masie uderzająco pięknych ludzi.

– Mówiłam ci, że nawet nie chcę go tu widzieć – odparła Fran. – Skończyłam z nim. Co takiego nam daje? To zawsze ja daję wszystko.

– Ale go kochasz. Jest tym jedynym. Nie kłóć się z nim przez cały czas.

– Nie będę wysłuchiwać od ciebie rad, jak sobie radzić z życiem intymnym. Sama nie poradziłaś sobie znów tak wspaniale. Harriet ma rację, jesteś niepoprawną romantyczką.

– Wolę być romantyczna niż zblazowana. Przynajmniej miałam życie intymne. Nawet jeśli niekiedy z perspektywy czasu romans wydaje się nierzeczywisty. Zakochiwanie się i odkochywanie to ciężka praca. I nie pozostawia żadnego śladu, przynajmniej widocznego.

– No to powinnaś była mieć dzieci. Dzieci są prawdziwe. Są śladem.

– Fran, jak możesz? To nie był mój wybór.

– Tak? Kiedy miałabyś czas na dzieci pomiędzy wszystkimi tymi przygodami?

Obie poczuły się urażone. Dąsały się przez pięć minut i nie mogły sobie wybaczyć, dopóki o wszystkim nie zapomniały i nie wróciły do plotek. Gdy mijały dni wakacji, rodzeństwo czuło czasami poirytowanie i konsternację związane z rodzinną koegzystencją: miłość i przywiązanie kruszyły się powoli, choć były mocne i trwałe, kiedy wszyscy znajdowali się z dala od siebie. Znali się nawzajem dobrze, zbyt dobrze, a jednak byli nieustannie zaskakiwani przez zapomniane trudne zawiłości swoich charakterów, tak znajomych, gdy tylko się pojawiały.

Kiedy Roland wybierał się z Pilar na przejażdżkę po wrzosowiskach, Harriet zapytała, czy może pojechać z nimi. Choć Roland wolałby zostać z żoną sam, był bardzo życzliwy dla starszej siostry. Domyślał się, że życie Harriet jest monotonne, ale nie mógł dać jej tego odczuć. Nie była głupia i mnóstwo czytała: okazało się na przykład, że jest na bieżąco z ostatnimi doniesieniami o rozwoju argentyńskiej gospodarki. I oczywiście podziwiał to, co robiła w pracy. Ale jej życie wydawało mu się takie ograniczone, nie miała okazji dzielić się swoimi przemyśleniami w szerszym gronie. Ponoć mogła rozmawiać z Christopherem, ale przecież on stale jeździł na rowerze. Roland był zdecydowanie antysportowy i nie potrafił traktować Christophera poważnie, gdy ten paradował w obcisłym kolarskim stroju z lycry.

W blasku słońca wrzosowiska wyglądały niegroźnie, brązowe jak tytoń i fioletoworóżowe. Musieli opowiedzieć Pilar, jak surowo wyglądają zimą lub przy złej pogodzie. Wysiedli z samochodu, by podziwiać widoki, szli przez wypłowiałe, wyschnięte polacie poprzecinane ścieżkami, gdzie owce pozostawiały lśniące ciemne bobki i kłaczki wełny w pachnących kokosem kolcolistach. Harriet zerwała fioletową gałązkę i wręczyła Pilar, mówiąc, że przynosi szczęście. Pojechali potem do miejsca, gdzie po płaskich kamieniach można było przejść przez rzekę do ogródka, w którym podawano herbatę ze śmietanką. Kiedy Roland postawił tacę na stoliku, zauważył, że Pilar w swoich obcisłych spodniach i ciemnych okularach

przyciąga spojrzenia innych turystów.

Zastanawiał się, czy Harriet będzie niechętna Pilar z powodu jej pochodzenia, ponieważ w przeszłości siostra należała do komitetów protestujących przeciwko wypaczeniom argentyńskiej junty. Ostatnio jednak wydawała się bardziej ożywiona i nieśmiała, mniej krytyczna; zawiązała też szalik wokół szyi i miała coś lśniącego na powiekach. Z powodu siwych włosów i sztywnej postawy, z tymi ptasimi wymijającymi spojrzeniami pewnie przypominała Pilar bardziej starszą ciotkę Rolanda niż siostrę. Teraz przejawiała niemal przesadne zainteresowanie życiem w Argentynie, o którym Pilar nie chciała opowiadać.

– Anglia musi ci się wydawać bardzo prowincjonalna po tamtejszym rozmachu polityki, historii i oczywiście krajobrazów.

– Moje życie jest tutaj – odparła Pilar ostro. – Wybrałam Anglię, mieszkam tu od dziesięciu lat, wyszłam za mąż za Anglika. Ludzie, którzy postanowili tu zamieszkać, nie zawsze chcą oglądać się za siebie.

Harriet zaczerwieniła się i zasmuciła.

– Oczywiście. Nie chciałam przez to powiedzieć, że nie jesteś tu w domu. To twój dom tak samo jak nasz.

Dotknęła nagiego ramienia Pilar, by ją uspokoić, i jej poznaczona żyłkami, piegowata dłoń z niepomalowanymi paznokciami obgryzionymi jak u małej dziewczynki odcinała się jak płaz na gładkiej brązowej skórze bratowej. Pilar przyjęła ten drobny gest hołdu i uniosła ciężki dzbanek, by w geście wybaczenia nalać herbatę najpierw Harriet.

– Mogę czynić honory domu? – zapytała.

Wytrwale starała się przyswoić sobie typowo angielskie gesty. Rolanda jednak przyciągnęła jej odmiennosc od Angielek; Harriet też wydawała się tym zainteresowana. Zastanawiał się, czy wzajemne niezrozumienie nie może się okazać najbardziej inspirującym układem w małżeństwie.

Wzruszyło go, że Harriet zdawała się szczerze lubić jego żonę, choć wcześniej postanowił, że nie będzie się przejmował, jeśli siostry jej nie polubią. Pilar nie miała w sobie tej ulotnej dwuznaczności, która była specjalnością Alice. Latynoskie kobiety, pomyślał, zachęcane do bardziej konwencjonalnego rozwoju niż Angielki – w konsekwencji wydawały się silniejsze, bardziej zdecydowane i pewne swego. Oczywiście jego siostry były dziwne po części dlatego, że kiedy były nastolatkami, przydarzyły im się dziwne rzeczy, gdy po śmierci matki radzili sobie w domu sami. Harriet przejęła dowodzenie, mając zaledwie siedemnaście lat.

Po herbacie spacerowali ścieżką nad rzeką. Pilar zrzuciła sandały i zeszła z kamienistego brzegu do wody, piszcząc i sapiąc z zimna, ze spodniami podwiniętymi do kolan i okularami podniesionymi na włosy.

– To miłe – powiedziała. – Chodźcie!

Harriet zawahała się przez chwilę, a potem do niej dołączyła. Kiedy Pilar

zachwiała się pod naporem wartkiego nurtu, mimo że woda sięgała im zaledwie do połowy łydek, musiała chwycić Harriet za rękę i ze śmiechem się jej przytrzymała. Harriet stała niewzruszenie. Roland nie mógł ich słyszeć przez szum strumienia.

– Moje życie w Argentynie jest teraz pełne komplikacji – powiedziała szybko Pilar do Harriet. – Dużo strasznych rzeczy dzieje się w mojej rodzinie. Cieszę się, że jestem daleko od tego wszystkiego.

– Rozmawiałaś o tym z Rolandem?

– To takie paskudne. Nie musi tego wiedzieć. Ma ważniejsze rzeczy na głowie. Proszę, nic mu nie mów.

Harriet poruszyło to nieoczekiwane wyznanie. W pracy z uchodźcami jej pełna współczucia wrażliwość była stale wystawiana na najcięższe próby i siostrę Rolanda wstydem napawała myśl, że przeszła przez życie właściwie bez szwanku. Jej własne cierpienia się nie liczyły. Zapewniła Pilar, że oczywiście niczego nie zdradzi. Szorstko, nie chcąc wydać się wścibska, dodała, że jeśli Pilar będzie chciała porozmawiać, ona z radością jej wysłucha. Pod powierzchnią tej układności była jednak oszołomiona faktem, że Pilar wybrała ją, by się zwierzyć; powiew dramatu uniósł się znad płynącej wartko wody.

Obserwując je z brzegu, Roland pomyślał, że potrafi sobie wyobrazić Pilar jako apodyktyczną, rozflirtowaną nastolatkę otoczoną wianuszkami przyjaciółek. Zrobił zdjęcie dwóch kobiet, które obejmowały się w zmiennym świetle odbijającym się od strumienia. Sam nie poszedł w ich ślady, nie znosił wkładania nóg do zimnej wody i nie miał nic przeciwko temu, że wygląda komicznie: Anglik w płóciennym letnim ubraniu, skarpetkach i butach, wzdrygający się i uśmiechający dobrotliwie na brzegu, gdy one przyskały na niego wodą.

Kasim siedział po turecku w ogrodzie, pałac i obserwując Molly z oddali. Ivy i Arthur przycupnęli nieopodal, też po turecku, i nie spuszczała z niej oka. Zarys jej szczupłej sylwetki odbijał się od nieba, gdy siedziała na bramie na końcu łąki, zupełnie dla nich stracona, pochłonięta rozmowami, kołysząc się skulona nad telefonem lub odrzucając ze śmiechem głowę do tyłu i kręcąc się z zachwytu. Od czasu do czasu wpadała w złość, gdy urywał się zasięg. Słyszeli jej głos, ale nie mogli odróżnić słów. Cichy ślad jej śmiechu był jednocześnie czarujący i usypiający, tworząc nagłą ciszę wokół ich trojga. Molly wydawała się taka tajemnicza, jakby mówiła do siebie, jakby miała przywidzenia. W ogrodzie popołudnie było spokojne i gorące. Arthur przeliczał zawartość skarbonki, którą Kasim pomógł mu otworzyć, choć Ivy protestowała, że nie wolno.

– Pieniądze i tak są moje – wyjaśnił Arthur, marszcząc brwi nad obliczeniami i zakładając długie włosy za uszy.

Musiał świetnie sobie radzić z liczeniem plastikowych pieniędzy podczas zabawy w sklep w szkole.

– Ale nie wolno ich jeszcze wyciągać. Są na później, kiedy będziesz

potrzebował różnych rzeczy.

– Potrzebuję ich teraz.

Wiedząc, że brat potrafi liczyć tylko do siedmiu, a potem zaczyna od początku, Ivy kopnęła go czubkiem buta, którego lakierowana skórka starła się prawie do szarości. Stara kremowa nylonowa halka z koronkowym brzegiem sięgała jej do kostek. Alice znalazła ją w szafce i ubrawszy w nią siostrzenicę, obwiązała ją szalem w pasie, spłaszczając usztywniony stanik. Przez jakiś czas Ivy chodziła w niej posuwicie, ze wzrokiem utkwionym w dal, wyobrażając sobie, że ją obserwują. Delikatny materiał owijający się wokół nóg nadawał jej eteryczny wygląd. Teraz halka była poplamiona na zielono, bo Ivy turlała się po trawie, a materiał naciągnął się na ostrych kolanach.

Odczuli to tak, jakby Molly raczyła wrócić do ich świata, gdy w końcu ruszyła ku nim przez łąkę. Kontakt z tym, co było na zewnątrz, pozostawił ślady na jej twarzy: smugi rozbawienia i połączenie, które z niczym nie łączyło. Nuciała pod nosem melodię, której nie rozpoznali. Usiadła na trawie obok nich; w szortach i czerwonym staniku od bikini cała składała się z długich kończyn, pełna niezgrabnego wdzięku; jej ramiona i nogi pokrywały złote włoski, które połyskiwały w słońcu.

– Jesteś uzależniona od tego telefonu – oskarżył ją Kasim lekceważąco.

Molly przyznała się do tego pogodnie.

– Nie martwi cię, że zamieniasz prawdziwe życie na jakieś marne substytuty? Może ci coś umykać. Na przykład rzeczywistość.

– Ty jesteś uzależniony od tych okropnych papierosów. Mój nałóg przynajmniej mnie nie zabije.

Zaśmiał się głucho.

– Tylko tak myślisz. Poczekaj, aż udowodnię wpływ telefonów na raka mózgu.

Molly, niewzruszona, uczyła się od niego nieustępliwości w negocjacjach.

– Jaki wpływ? Gdyby jakiś istniał, już by nam o nim powiedzieli. Wszyscy używają telefonów.

Kasim spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Nigdy wcześniej nie spotkałem kogoś tak ufego. *Oni*? Jak myślisz, kim są ci oni? Twoim dobrym wujkiem? Tak się składa, że mógłbym rzucić palenie choćby jutro.

– Założę się, że nie.

– Tylko nie chcę zawracać sobie tym głowy.

– Jak mówiłam, jesteś uzależniony.

Zwinnym ruchem, prawie nie ruszając się z miejsca, gdzie leżał oparty na łokciach, Kasim wziął na wpół pustą paczkę papierosów i cisnął ją do strumienia. Wpadła z pluskiem do wody, podskoczyła kilka razy, a potem utknęła przy

kamieniu jak śmieć, niszcząc cały dramatyzm sceny. Arthur z półśmiechem podniósł wzrok znad pieniędzy i podziwiał rozmach tego gestu. Ivy zerwała się z krzykiem i chciała wejść do wody, by ratować cenną paczkę, lecz Kasim złapał ją za brzeg halki.

– Zastanowiłbym się głębiej nad tą fajką – oznajmił z żalem – gdybym wiedział, że to ostatnia w życiu.

– Nie wierzę ci – powiedziała Molly, której mimo wszystko ten gest zaimponował. – Założę się, że kupisz następną, kiedy znów pojedziesz do miasta.

Spojrzał na nią spode łba, prezentując cały swój urok.

– W moim kraju obietnica mężczyzny to kwestia honoru. Wolałbym umrzeć, niż złamać słowo.

– W porządku – odparła. – Niech ci będzie.

– Palenie naprawdę powoduje raka – zapewniła go ochoczo Ivy. – Dobrze zrobiłeś.

Kasim jednym płynnym ruchem zerwał się na nogi.

– A teraz, panno Molly, chyba powinnaś zrezygnować z telefonu, jeśli ja rzuciłem palenie. Wet za wet, jeśli można to tak ująć.

Zanim Molly zrozumiała, co mówi, porwał jej iPhone'a z miejsca, gdzie położyła go na trawie. Trzymając go wysoko nad głową, drażnił się z nią, odskakując, gdy się do niego zbliżyła, a potem uciekając, gdy goniła go po ogrodzie. Dzieci też wstały, zafascynowane podnieceniem starszych; Kasim rzucił telefon do Arthura, wykrzykując jego imię. Arthurowi jakimś cudem udało się go złapać i przytulił go obiema dłońmi do piersi.

Molly pobiegła w jego stronę z błaganiem:

– Kochanie, proszę, oddaj mi go.

– Rzuć do mnie! – zawołał Kasim.

Rozochocony zabawą i własną zdradą Arthur rzucił telefon na oślep, lecz Kasim zanurkował i ocalił go przed upadkiem na ziemię, po czym, gramoląc się, wstał.

– Ivy, Ivy! Łap!

Telefon wyleciał w powietrze idealnym łukiem, który powinien się zakończyć w wyciągniętych dłoniach Ivy – lecz dziewczynka, zaplątawszy się w halce, nie złapała go. Telefon z cichym, niezbyt imponującym pluskiem wpadł do wody.

– Kurwa – zaklął Kasim.

– Nie wolno przeklinać – skarciła go Ivy.

Jęcząc z rozpaczy, Molly weszła do wody w sandałach, by wyjąć telefon, a potem stała, wycierając go desperacko o szorty, gdy strumień rozdzielał się na małe fale wokół jej kostek.

– Będzie działał – oświadczył stanowczo Arthur.

– Nie będzie! – jęknęła Molly. – Mojej przyjaciółce wpadł do toalety tylko na sekundę i już było po nim. Widzisz? Nie działa. Nie chce się włączyć.

Kiedy wyszła na brzeg, cała czwórka skupiła się wokół telefonu, wpatrując się w pusty ekran, zaklinając go bez słów, by dał jakiś znak życia.

– Będę miała przez to spore kłopoty. To był prezent urodzinowy. Wszystko przez ciebie. Czemu zrobiłeś coś tak głupiego?

– To Ivy go upuściła.

Ivy zaczęła ryczeć, wciskając pięści do oczu jak dziecko na ilustracji w książce. Gniew Molly był dojrzały, a nawet dostojny.

– To nie była wina Ivy. Jak możesz zwać swoją własną głupotę na dziecko? Powinieneś się wstydić.

– Przynajmniej ja go nie upuściłem – powiedział Arthur.

Wsunął dłoń w dłoń Molly, która go nie odrzuciła. Powiedziała, że powinni wejść do domu i spróbować wysuszyć telefon, choć nie sądziła, by to pomogło. Arthur nadal był pełen nadziei. Poszli do pokoju Molly poważną procesją, jakby jedno z nich zachorowało. Panował w nim zaskakujący bałagan. Kasim, który nigdy tam nie był, wyobrażał sobie, że wszystko będzie tak czyste i poukładane jak Molly, ale wyglądało na to, że po prostu zdejmowała wieczorem ubranie i ciskała je na podłogę, a na to rzucała mokre ręczniki z łazienki. Talerze wysmarowane jajkiem i kubki z niedopitą kawą i herbatą stały na parapecie, podłodze i szafce przy łóżku. Narzuta była zwinięta w kłęb, a prześcieradło w linę na nagim materacu. Molly najwyraźniej nie czuła potrzeby, by przeprosić za bałagan, gdy szukała suszarki do włosów.

– Myślicie, że to pomoże? A jeśli jest za gorąca?

Ostrożnie podsunęli iPhone'a pod strumień ciepłego powietrza, ale telefon odmówił współpracy. Zrozpaczona Molly usiadła na brzegu łóżka, Kasim przysiadł obok niej, a dzieci przycupnęły u jej stóp na podłodze. Jej milczenie było dużo gorsze od łez. Arthur zaczął gładzić ją po kolanie, wydając kojące dźwięki – potem dołączyła do niego Ivy, gładząc ją po drugiej nodze. Lśniaca fala włosów Molly pachnących szamponem spływała bardzo blisko Kasima, skrywając przed nim jej twarz – wydawało mu się, że wyczuwa za nią drżenie. Potem, zupełnie jakby dołączał do dzieci, zaczął ją gładzić po głowie; pod jedwabistymi, śliskimi włosami wyczuwał nieduży idealny kształt jej czaszki. Molly powiedziała, że zaczeka do następnego dnia, zanim powie ojcu, co się stało, bo może iPhone jeszcze ożyje.

– Tak się go boisz? – zapytał Kasim. – Wydaje się łagodny jak baranek. Można by pomyśleć, że jest bardzo łatwy w obsłudze.

– Nie boję się go. Tato jest dla mnie naprawdę dobry, nigdy się nie złości. Ale nie chcę go zawieść. Obiecałam, że będę dbać o telefon.

Kasima opadły wyrzuty sumienia i próbował odwrócić uwagę Molly, opowiadając z przesadą, jak okropny jest jego ojciec.

– Bierze narkotyki, jest egocentrykiem, odbija mu, jeśli pomyśli, że robisz sobie jaja albo marnujesz jego czas. Stale miał jakieś babki, sprowadzał je do domu, kiedy byłem mały, i musiałem zakładać słuchawki, żeby ich nie słyszeć.

– A co takiego robili? – dopytywała się Ivy.

– Nie twoja sprawa – odparła Molly.

Poczuła się wstrząśnięta i było jej go żal.

– Wiem, że mój telefon nie jest ważny – powiedziała. – To tylko przedmiot.

Kiedy Roland i Pilar wrócili do domu, usiedli z gazetami w ogrodzie – ona rozłożyła swoją na dziale finansowym, lecz tylko drzemała w blasku późnego słońca. Otworzyła oczy, gdy z salonu wyszła Alice i stanęła na szczycie schodków prowadzących na taras; drzwi balkonowe za nią zdawały się otwierać na ciemność, jakby wyłoniła się z wykopalisk w podziemnym świecie. Roland i Pilar – wyciągnięci na leżakach na trawniku – natychmiast się zirytowali, gdy wciągnęła ich w swoje przedstawienie. Na schodach Fran obcinała nożyczkami szypułki agrestu, Harriet czytała książkę na kocu na trawie. Cała młodzież zgromadziła się gdzieś na górze. Alice oślepił blask słońca, mrugała powiekami, by odpędzić łzy, które – z powodu teatralności jej pojawienia się – wyglądały jak sztuczne. Jej głos drżał od emocji.

– Posłuchaj tego, Rolandzie. Zobacz, co znalazłam. To są twoje listy do mamy, które pisałeś, gdy była w szpitalu.

– Wątpię. Nie pamiętam, żebym pisał jakieś listy.

– Ale pisałeś! Są piękne. „Kochana Mater”. Pamiętasz, że tak ją nazywałeś? To miał być żart z edukacji w szkołach prywatnych, ale mimo to chciałeś być jednym z tych chłopców i miałeś dodatkowe lekcje łaciny. „Kochana Mater, tutaj prawie nic się nie zmieniło, choć bez Ciebie nic nie jest już takie samo, jest okropnie”.

Roland ostrzegawczo opuścił gazetę.

– Nie czytaj ich, proszę.

– Czemu nie? Nie wstydz się swoich uczuć. „Spodziewam się, że użalasz się nad sobą w szpitalu. Wiem, że ja bym się użalał. Przesyłam Ci więc kilka perełek z życia rodzinnego, żeby Cię rozerwać. Tato robi nam herbatę, ale jest okropna, bo on nie ma Twojego kobiecego podejścia. Nawet Twoja fasola w sosie pomidorowym, jak się okazuje, jest przejawem Twojego kulinarnego geniuszu. Tato przypala grzanki, a potem smaruje je za grubo masłem. Czasami, kiedy leżę w łóżku, wydaje mi się, że słyszę na dole Twój głos”.

Brat i siostry pobledli w ostrym świetle i siedzieli jak skamieniali, jakby wystraszyło ich coś, co przechodziło przez ogród.

– Alice, jesteś naprawdę nie do wytrzymania – powiedział Roland.

– „Mater, chciałbym, żebyś wiedziała...”.

Pilar zerwała się na nogi, mnąc gazetę, a potem weszła na taras i wyrwała

Alice listy z ręki, zanim ta zdążyła się cofnąć.

– Nie możesz mi ich zabierać – zaprotestowała Alice. – To listy mojej matki.

– Obawiam się, że każdy sąd uzna, że to są listy Rolanda.

Obie kobiety patrzyły na siebie z wściekłością, Pilar przyciskała listy do piersi. Na tle rysującej się za nimi ciemności ich rysy zdawały się zamrożone, ich twarze przypominały maski, a światło starło z nich wszystkie niuanse.

– Nie jesteśmy w sądzie! – wykrzyknęła Alice. – To rodzina, może nie zauważyłaś.

– Zauważyłam bardzo dobrze. Rodziny są zawsze najgorsze, najbardziej skłonne do konfliktu. Wolę prawo.

– My jesteśmy inni. Nie żyjemy według ustalonych zasad. Może trudno będzie ci się dopasować.

Roland siedział zażenowany. Złapał listy, które rzuciła mu Pilar, ale nie patrzył na nie. Pilar wyciągnęła buty spod leżaka, a potem weszła do domu, mijając Alice. Bezradni wsłuchiwali się w dźwięk jej kroków dudniących na pozbawionych chodnika schodach.

– Świetnie rozegrane – powiedział Roland.

Uśmiechając się do siebie, odłożył okulary, złożył gazetę, a potem wsunął list do koperty, nie czytając go. Nie patrzył na siostry i tylko opuszczone ramiona, gdy wchodził za żoną do domu, sugerowały, jak bardzo jest zrezygnowany i znudzony tym wybuchem głupoty.

– Och, Alice! – wykrzyknęła Fran. – Na miłość boską!

– Jak mogłaś? – rzuciła Harriet.

Alice była wyraźnie zraniona.

– Nie wiem, dlaczego wszyscy są na mnie tacy źli. Czy ten list nie był uroczy?

– Chodzi o twój brak taktu. To był list Rolanda.

Wydawała się zdumiona.

– Byłam nietaktowna?

W sypialni Rolanda i Pilar oba okna były otwarte. Siostry siłą rzeczy musiały słyszeć, co się tam dzieje, choć nie rozumiały, co Pilar wykrzykuje w powodzi hiszpańskich słów. Nie mogły sobie pozwolić na zbyt wielkie zdziwienie faktem, że Roland odpowiada płynnie w jej języku. Jak to się stało, że się tym nie pochwalił? Jakie to irytujące, że ci dwoje w towarzystwie rodziny zawsze mówili po angielsku, jak denerwująco taktowne. I jakie komiczne, że jego hiszpański jest tak bardzo angielski: pojednawczy i rozsądny. Harriet chwyciła koc i książkę, Fran cedzak z agrestem: chciały uciec przed konsekwencjami postępków Alice. Potem Roland – był to jedyny przejaw jego wściekłości – zamknął okna, aż zadrżały ramy, tłumiąc gwałtownie głosy małżonków. Nadal jednak słyszały grzechoczące szuflady komody, otwierane z hukiem drzwi szafy.

– Pakuje się? – Harriet była przerażona. – Alice, będziesz musiała przeprosić. Idź i z nią porozmawiaj. Zaraz.

– Ale nie mogę, bo nie jest mi przykro.

Fran zaniósł agrest do kuchni, by zrobić z nim ciasto; Harriet zawahała się w ogrodzie, podsłuchując z bólem, lecz niczego nie rozumiejąc. Alice wymknęła się przez wyrwę w murze na cmentarz, a potem nawet skryła się w kościele, gdzie zwykle nie zaglądała – bała się go, przesądnie, z powodu pogrzebów, które się tam odbyły: matki, siedem lat później dziadka, a potem babki. Zamknęła za sobą najpierw siatkowe drzwi, chroniące wewnątrz przed ptakami, a potem ciężkie drewniane. Ogarnęły ją mrok i chłód. Dźwięki odbijały się echem w ciszy, jak kamienie wrzucane do studni. Alice zasunęła zasuwę, po czym weszła w swoje własne echo, przechodząc przez nawę, by skulić się przy pomalowanej na biało, oślizłej, poznaczonej zielonymi plamami ścianie na końcu ławki, gdzie – jak przekonywała samą siebie – będzie niewidzialna, gdyby ktoś za nią przyszedł. Nie patrzyła – nigdy nie była w stanie – na mosiężną tabliczkę z nazwiskiem matki, datami urodzin i śmierci i linijką wiersza dziadka. Babka nie mogła mu wybaczyć tego przejawu próżności – wybrał słowa z własnego wiersza.

Światło, ze zmarszczkami jak na wodzie, wpadało rozedrgane przez okna, zabarwione lekko zielenią liści na zewnątrz. Alice starała się nie ruszać, by kościół mógł pozostać taki sam jak wtedy, gdy jej tu nie było. Jego zimny oddech – wymowny od przeżartego przez korniki drewna, ciężkiego żelaza, zatłuszczonego aksamitu, zawilgoconych śpiewników, chłodnych kamieni – czekał na nią przez cały ten czas. Teraz panowała tu większa wilgoć, bo z kościoła korzystano tylko raz na cztery tygodnie. Spojrzała prawie z ciekawością, jak turystka, na galerię dla muzyków w zachodnim końcu, na starą kamienną chrzcielnicę, z niemal pozbawionymi wyrazu rzeźbieniami, gdzie ochrzczono Harriet, ale nie resztę dzieci („Zabrakło nam pary”, powiedziała kiedyś matka i Alice przez lata myślała, że dzieci chrzci się w gorącej wodzie). Obrus ołtarzowy babki – kremowy, żółty i czarny, utrzymany w stylu czasów, w których go haftowała, z odważnymi postaciami dzieci jak z obrazów Johna Pipera – znaczyły na brzegu plamy pleśni.

Reperkusje kłótni z Pilar nadal w niej pulsowały – Alice czuła szarpiący ból. Ale niemal od razu, już gdy siadała na końcu ławki, przestała bronić siebie przed sobą. Sumienie – jak coś ulotnego, eterycznego – spłynęło na nią z powietrza; stary kościół musiał być nim wypełniony po brzegi, wszak wierni przez wieki roztrząsali tu swoje uczynki. Przekonała się, że oskarżenie siebie i zrezygnowanie z wszystkich argumentów zawsze przynosi ulgę. Z takim samym nietaktem, z jakim obrażała, wyobraziła sobie, że uzyskała przebaczenie, bo przecież było jej tak okropnie przykro. Jak mogła odczytać na głos słowa Rolanda, wyciągając na światło dzienne jego uczucia, kiedy był tak skryty? Pewnie nikt nie czytał tych listów, z wyjątkiem ich matki i babki. Skuliła się i westchnęła głośno, patrząc na

swój wybryk oskarżycielskim wzrokiem. Co za popis! Pilar miała absolutną rację, wyrwijając jej listy. Z ukłuciem winy Alice poczuła, jak przemawiają przeciwko niej przyzwoitość i racje nowej szwagierki, tak nieskazitelne jak jej ubrania – które nigdy nie były wystudiowane lub zbyt wyszukane. Czując odrazę do własnego gustu, Alice uznała, że jest w nim coś staroświeckiego, że jej wybory są szalone i ryzykowne, bo zawsze za bardzo się stara.

Kryjówka Ivy i Arthura znajdowała się na szczycie muru, od frontu obrośniętego dziwnie pachnącym żywopłotem, a zakończonego kruszącym się słupem, który dawno już zapomniał o przymocowanej do niego bramie. Łatwo dało się tam wspiąć od strony ogrodu, ale zejście na kamienną ścieżkę zasypaną rudawym pyłem było o wiele bardziej strome, kryjówki więc zakazano. Ivy łączyła niebezpieczeństwo z gorzkim zapachem ligustru. Był to dobry punkt obserwacyjny, ale w zasadzie nie było stąd wiele do obserwowania, bo nikt nie zapuszczał się aż tak daleko. Czasem z alejki na farmę przed Kington skręcał traktor z przyczepą wyładowaną belami siana lub plastikowymi worami z kiszonką albo kilka beczących owiec.

Ivy przykucnęła na pokrytych mchem kamiennych płytach, którymi wyłożono mur, i z trudem zaczęła układać pasjansa zegar. W kryjówce halka była utrapieniem, bo stale czepiała się gałązek ligustru. Arthur patrzył zaabsorbowany, jak siostra przekłada karty, wzdychając z ulgą za każdym razem, gdy nie pokazywał się król, i irytował ją swoim optymizmem. Karty się sklejały i Ivy zazdrościła Molly jej sprawnych palców. Czy liczyłoby się, gdyby pasjans wyszedł, a nikt tego nie zobaczył? I tak by im nie uwierzyli. Przybita niefortunnym zdarzeniem z telefonem, oszukała raz, gdy Arthur nie patrzył. Kiedy ponownie utknęła, zniechęcona zebrała karty i wsunęła do kieszeni szortów, które miała pod halką.

Ze strategicznego punktu na murze widzieli podwórko przebudowanej stodoły Pattenów po drugiej stronie drogi. Podwórko było puste od czasu, gdy Ivy i Arthur przyjechali do Kington, róże przekwitwały i nie było nikogo, kto by je ściał, dni przemijały niezauważone – oglądały je tylko dzieci – na tle różowych ścian wysokiej stodoły ze szczelinami w szczycie, w których mieszkały gołębie. Kiedy przyjeżdżali Pattenowie, Mitzi zwykle biegała po podwórku, węsząc w zakamarkach i sygnalizując swoje odkrycia machaniem puszystego ogona, lub leżała wyciągnięta w upale na kamieniach. Ivy nie przepadała za psami. Brzydziła się sierści Mitzi – która wyglądała jedwabście, ale była tłusta w dotyku – jej śmierdzącego oddechu i śliny. Teraz jednak idea Mitzi wbiła się sugestywnie w świadomość Ivy, jak część krajobrazu pozostająca w ukryciu; zrujnowana chata uprościła się w jej wyobraźni do dręczącego węzła niepokoju. Z dała od niej Ivy traciła pewność tego, co znajdowało się w środku. Czy nie byli za mali, by jako jedyni wiedzieć o czymś tak ważnym?

Kiedy Arthur był zaniepokojony, żyłki na jego bladych skroniach zawsze stawały się bardziej niebieskie.

– Jak myślisz, dlaczego zamknęli drzwi? – zapytał.

Udawała, że nie wie, o czym mówi.

– Jakie drzwi?

– Ktoś mógł tam zamknąć Mitzi na chwilę, a potem odejść i zapomnieć, że to zrobił, i wszędzie jej szukali.

Ivy prychnęła pogardliwie.

– To bardzo prawdopodobne, co? Nagle stracić pamięć, tak?

– Albo też – ciągnął Arthur (musiał to wszystko wcześniej przemyśleć) – mogła tam pobiec sama. Kiedy skończyła węszyć, mogła popchnąć drzwi nosem, żeby wyjść. – Zademonstrował to w zabawny sposób. – Ale zamiast tego je zatrasnęła.

Ivy pomyślała, że to możliwe, choć tego nie przyznała. To prawda, że Mitzi wędrowała sama po lesie całymi godzinami. Zatrzaśnięcie drzwi początkowo nie musiało wydawać się katastrofą: mogła powęszyć w pokoju, potem trochę poszukać, a potem ułożyć się i czekać, aż ktoś się pojawi. Mogła znaleźć wygodne miejsce na kupce liści. Z jakiegoś powodu ta cicha, nic nieznacząca przygoda wydawała się gorsza niż wyobrażanie sobie czyjegoś okrucieństwa lub zaniedbania. Ivy ze stoickim spokojem odmawiała wyrażenia Arthurowi, najmniejszym choćby gestem, współczucia, że jego domysły mogą być trafne. Jej twarz zastygła w odmowie.

Alice szukała Pilar, by się ukorzyć. W kuchni Fran ubijała ziemniaki na zapiekanekę z rybą.

– Nadal są na górze – powiedziała ponuro. – Ale przynajmniej zapadła cisza. Robię dużą zapiekanekę, bo zakładam, że szybko nie wyjadą.

W swoim zapale Alice o mało co nie zapomniała zapukać do drzwi sypialni Rolanda – przypomniawszy sobie o tym, cofnęła dłoń od gałki, jakby ta parzyła. Ich głosy nie były teraz podniesione, lecz ciche i czułe – nie dało się rozróżnić, czy mówią po angielsku, czy po hiszpańsku. W każdym razie żar kłótni przeminął. Kiedy zapukała, usłyszała w pokoju stłumioną krzątaninę i protest, który rozpoznała, i w pierwszym odruchu chciała wybuchnąć śmiechem – jakie to zabawne przyłapać brata na uprawianiu seksu po południu. Potem przypomniała sobie, że brat nie jest już jej tak bliski, jego życie intymne nie jest jej sprawą.

– To tylko ja – powiedziała przepraszająco.

Odprawiając pokutę, długo czekała na podeście schodów, dopóki Roland z powagą nie otworzył drzwi. Stał, blokując wejście, całkiem ubrany, lecz bosy, a jego krótkie włosy były zmierzwione, choć wydawało się to niemożliwe. Pomyślała, że obrzucił ją spojrzeniem od stóp do głów, by ocenić, jakie jeszcze może sprawić kłopoty – jak policjant sprawdzający, czy przyszyła uzbrojona.

– Jestem straszną idiotką, Roly – zaczęła błagalnie. – Wybaczysz mi?

To go nie przekonało, zmarszczył brwi, czekając nieufnie na komplikację.

– Potraktowałam Pilar paskudnie. Czy rozumie, że jestem po prostu zazdrosna? Jak duże dziecko pragnę niepodzielnej uwagi i wszystko psuję. Moja terapeutka mówi, że nigdy nie pogodziłam się z tym, że pojawiła się Fran i zajęła moje miejsce.

Roland odparł, że ma nadzieję, iż terapeutka nie liczy sobie dużo, jeśli tylko na to ją stać – ale potem odsunął się od drzwi. Oba okna w pokoju znów były otwarte, delikatne cienie olch poruszały się w słońcu na różowych tapetach, głosy dzieci niosły się z ogrodu. Pilar siedziała w halce przed toaletką i upinała gęste kasztanowe włosy. Jej uniesione ręce były brązowe i mocne i Alice pomyślała, że emanuje z niej seksualne spełnienie i radość, że jest kochana. Napotkała spojrzenie Pilar w lustrze i mężnie, wierząc w swoją nową pokorę, nie próbowała się w nim dopatrywać przebiegłego triumfu.

– Pilar, tak bardzo mi przykro z powodu tego, co powiedziałam. Myliłam się zupełnie, a ty miałaś rację.

Pilar w lustrze wytrzymała spojrzenie Alice, lecz nie zaprotestowała łaskawie, mówiąc, że ona też jest winna lub że zareagowała zbyt mocno.

– Było, minęło – powiedziała tylko, jakby wypróbowywała nowy zwrot, którego się nauczyła, by sprawdzić, jak zadziała.

– Czasami zupełnie nie zważam na uczucia innych – ciągnęła pospiesznie Alice.

– Nie przesadzaj – powiedział Roland. – To wystarczy. Nie jesteś gorsza niż ja.

Siostra zamknęła go w uścisku, wprawiając go w zakłopotanie; wyswobodził się z uśmiechem. Przez kilka lat Roland był bardzo mocno związany z Alice, w tym bolesnym wczesnonastoletnim okresie – oboje świetnie radzili sobie w szkole i na wyścigi odrabiali zadania domowe. Później, choć była młodsza, wskoczyła w dorosłość przed nim, zaczęła umawiać się z chłopakami, uprawiać seks i zakochiwać się, podczas gdy on włókł się żałośnie z tyłu, beznadziejny we wszystkim z wyjątkiem książek i swoich studiów. Właśnie w tym czasie, gdy był tak sparaliżowany towarzyskim nieobyciem, zyskał naukową przewagę nad siostrą i znalazł swoją drogę do dorosłości.

Teraz Alice zabrała się do czytania rodzinnej korespondencji. Oświadczyła, że napisze książkę o dziadku, ale nie wierzył, że to zrobi, bo brakowało jej dyscypliny. Kiedy wracali do domu z wycieczek, czasami spała w łóżku w środku popołudnia albo podnosiła na nich wzrok znad stosu starych listów, z twarzą ubrudzoną kurzem, jakby prawie ich nie знаła lub spodziewała się kogoś innego. Roland martwił się, że Alice płynie przez życie bez celu. Od kiedy zrezygnowała z aktorstwa, podejmowała wiele różnych prac: jako kelnerka i barmanka, bileterka

w różnych teatrach, udzielała też prywatnych lekcji. Radziła sobie przy bardzo skąpych dochodach. Opublikowała kilka wierszy, lecz nigdy nie poświęciła się pisaniu z bezwzględnością, jakiej to wymagało. Jej wiersze były zbyt delikatne, myślał, za bardzo starały się zadowolić czytelnika. Kiedy zasugerował, że powinni porozmawiać o planach dotyczących domu, Alice błagała o więcej czasu, przekonywała, że przecież im się nie spieszy. Ale niebawem będą musieli usiąść i odbyć poważną rozmowę. Nie musieli jednak jeszcze podejmować żadnych decyzji. Tak świetnie się bawili, szkoda by było to niszczyć. No cóż, ona prawie to zniszczyła.

Leżąc wieczorem w łóżkach, dzieci wymyśliły nową zabawę. Jama pod kołdrą Ivy była podziemną salą lub świątynią, a ona i Arthur wracali tam z wypraw do niebezpiecznego świata. Często odnosili rany, lecz dzięki mocy magicznych sosnowych szyszek odzyskiwali siły – Arthur szczególnie przejmująco jęczał i udawał omdlenie, przewracając oczami. Nawet jeśli dorośli słyszeli ich z dołu, nie zwracali na nich uwagi. Ivy ostrym głosem rzucała polecenia. Tylko przelotnie wspomniała o Martwych Kobietach, cichutko, jakby musiał wiedzieć, o kogo jej chodzi: one kazały dzieciom zawiązać góry od piżamy na głowie albo one kazały przynosić z łazienki świętą wodę w kubku do mycia zębów. Martwe Kobiety nie były do końca ich wrogami, a jednak Ivy mówiła o nich ostrożnie, pełnym rezerwy głosem. Pola za oknem zalewał niebieski blask księżycy, a nocne cienie zdawały się bardziej materialne niż te za dnia. Usłyszeli pohukiwanie samca sowy i cichszą odpowiedź samicy, jakby ptaki rozmawiały z ożywieniem.

– Co robi sowa? – szepnął Arthur.

– Zabija – odparła obojętnie Ivy.

Następnego ranka Kasim spał głęboko, kiedy Molly otworzyła drzwi do jego sypialni. Jej wtargnięcie musiało włączyć alarm gdzieś w głębi jego ciała i przywołało go do rzeczywistości, bo usiadł szybko.

– Co ty tu robisz?! – wrzasnął. – Która godzina?

Wydawało mu się, że musi być niemądrze wcześniej – co najmniej świt. Molly miała mokre włosy, a na sobie wielki szlafrok; jej skóra była różowa i wilgotna po kąpieli.

– Dziewiąta. Wszyscy wstają. Mam dobre wieści. Zgadnij!

Krępująco pobudzony i spocony po tym, co mu się śniło, Kasim czuł, że znajduje się w niekorzystnej sytuacji: oddech pewnie też mu cuchnął. Kiedy Molly przysiadła na brzegu łóżka, wyobraził sobie, że czuje, jak jej wilgoć przenika pościel. Czy pod szlafrokiem była naga?

Molly z radością oznajmiła, że iPhone zaczął działać.

– Pewnie suszarka pomogła – powiedziała. – Nigdy bym nie pomyślała, że coś z tego wyjdzie. Świetnie, prawda? Strasznie mi ulżyło.

Był zdumiony jej paplaniną o telefonie – jakby go to w ogóle obchodziło.

A kiedy wyszła, poczuł się obnażony, bo zajrzała do jego pokoju, który był zbyt czysty i pusty: surowy jak cela, z cienkim dywanikiem na podłodze i ścianami pomalowanymi na okropny jasny błękit. Ten wystrój reprezentował pewien rodzaj angielskości klasy średniej, którą Kasim pogardzał – zimny, wyniosły i opanowany, mający za nic materialne wygody. Ubranie leżało zbyt schludnie złożone na krześle, adidas stały pod nim ustawione grzecznie obok siebie. Na potrzeby innych Kasim otoczył się aurą tajemniczości i udawał, że wraca do swojego pokoju, by pracować. Teraz Molly przekonała się na własne oczy, że nie zabrał żadnych książek, a pokój jest tylko ponury i pusty.

Pięć

Pilar narzekała, że traci kondycję, bo przestała regularnie pływać. Harriet przypomniała sobie, że w pobliskim hotelu jest basen, z którego mogłyby skorzystać, więc pewnego ranka po śniadaniu pojechały tam razem samochodem Harriet. Hotel mieścił się w ponurym wiktoriańskim budynku z czerwonego kamienia stojącym nad zatoczką, otoczonym parkiem dla przyczep kempingowych. Basen znajdował się w podziemiu, oświetlony sztucznym światłem. Dziewczyna z recepcji niechętnie go dla nich otworzyła i musiała zadzwonić do kierownika, by zapytać, ile policzyć za wstęp, gdyż nie były gośćmi hotelowymi. Harriet chciała przeprosić szwagierkę – basen musiał się wydawać okropnie klaustrofobiczny dla kogoś przyzwyczajonego do pływania w otwartych wodach. Potem przypomniała sobie, że Pilar skarciła ją za ciągłe aluzje do Argentyny. Być może potraktowała ten głupi basen jako część Anglii, do której tak bardzo chciała należeć.

Złote kinkiety przypominające połówki muszli rzucały światło w górę i w efekcie woda wydawała się tłusta, przesuając się płasko, gdy zakłóciły jej spokój. Pilar i Harriet przebrały się w podobne proste czarne kostiumy. Obie świetnie pływały i wołały kraula; basen naprawdę był dla nich za krótki, ale przynajmniej miały go tylko dla siebie. Zamknięta w stłumionej podziemnej akustyce Harriet po raz pierwszy poczuła, że jest równa tej drugiej kobiecie – w wodzie jej ciało, szczupłe i opływowe, jej nie zawodziło. Być może w końcu uda im się zaprzyjaźnić; Harriet nadal była zadowolona, że to jej Pilar postanowiła się zwierzyć, nawet jeśli tylko połowicznie. Przez jakiś czas pływały tam i z powrotem, nie zwracając na siebie uwagi, pochłonięte fizycznym ćwiczeniem. Potem Pilar wyzwała Harriet na wyścig – cztery długości basenu. Harriet wiedziała, że jest szybsza: zazwyczaj nie lubiła współzawodnictwa, lecz teraz dała z siebie wszystko, by wygrać, i poczuła przypływ mocy – mogła bez trudu przepłynąć dwadzieścia albo czterdzieści długości. Dysząc ciężko przy końcu basenu, gdy chlorowana woda zalewała jej nos i oczy, śmiała się zadowolona. Zaczęły się ścigać jeszcze raz, gdy tylko odzyskały oddech. Cała nieśmiałość i niezgrabność Harriet zniknęły, gdy przecinała wodę, unoszona nieoczekiwanym szczęściem.

Po pływaniu zdjęły kostiumy i wycierały się w osobnych kabinach; ubrały się bez słowa, słysząc tylko siebie nawzajem, jak się poruszają i objają o cienkie ściany. Wyszły na zewnątrz, by napić się gorącej czekolady w hotelowym ogródku na tarasach nad zalesioną doliną opadającą stromo do ujścia rzeki. Słońce nad wodą w dole zamieniało jej spokojną powierzchnię w lśniący arkusz cynku, zbyt jasny, by na niego patrzeć. Pilar przeczesywała palcami wilgotne włosy. Wydawała się zaabsorbowana i poważna i zaczęła zadawać pytania – szorstko, patrząc nad ramieniem Harriet – o jej dawne życie, gdy zaangażowała się w politykę i działała

aktywnie na wielu różnych polach. Czy kiedykolwiek żałowała swojej dawnej działalności?

– Czemu chcesz wiedzieć? To trudne pytanie.

– Nie wyglądasz na rewolucjonistkę – odparła szczerze Pilar.

Harriet nie zgodziłaby się rozmawiać o tych bolesnych sprawach z kimkolwiek innym, ale zauważyła, ile wysiłku wymagało od Pilar zadanie tego pytania; jej rozmowy w większości były praktyczne i bezosobowe. Roland powiedział im, jak cieżko działalności politycznej wujka Pilar wisiał nad całą rodziną – bardzo prawdopodobne, że tajemnice rodzinne miały wiele wspólnego właśnie z nim. Harriet powiedziała, że tak naprawdę nie była rewolucjonistką, nigdy nie zrobiła niczego odważnego ani sensacyjnego.

– Myślałam, że pomagam rewolucji, co teraz wydaje mi się śmieszne. Wszystkie te kampanie i ulotki, spotkania i demonstracje. Zarabiałam na życie, pracując dorywczo głównie w biurach, ale wydawało mi się, że tamta ja, która haruje cały dzień, prawie nie istnieje. Kiedyś wierzyłam, że poświęcam samą siebie dla czegoś. I poświęcałam, ale dla złej sprawy. To było bez sensu. Nie miało nic wspólnego z prawdziwą polityką. Inni ludzie zajmowali się prawdziwą polityczną działalnością, próbując zmieniać rzeczy na lepsze. Pogardzaliśmy nimi, bo wspierali reformy, nie byli dość rewolucyjni.

Opowiadana w blasku słońca w wiejskim ogródku, jej historia wydawała się naciągana. Siedziały same, nadal było wcześnie, palące słońce sprawiało, że białe porcelanowe filiżanki płonęły na stoliku. Kamyki na rogach stołu zabezpieczały plastikowy obrus przed podmuchami wiatru wiejącego w głąb łądy, lecz w tej chwili cisza i upał wydawały się absolutne. Nic się nie poruszało, z wyjątkiem pszczoł i innych owadów na grządkach obrośniętych wysokimi spiczastymi jukami, akantem i ozdobnymi trawami. Pilar intensywnie wpatrywała się w twarz Harriet.

– Interesują mnie ludzie, którzy zmieniają zdanie – powiedziała. – Przerzucają się z jednej rzeczy na drugą. Zmieniłaś zdanie z nienacka? Jednego dnia?

– Oczywiście, że nie jednego – odparła Harriet.

I nie przerzuciła się z jednej rzeczy na drugą: nie stała się faszystką, konserwatystką czy kimś podobnym. Nie przestała nienawidzić niesprawiedliwości, okrucieństwa i cierpienia ani nie przestała wierzyć, że trzeba im aktywnie przeciwdziałać. Ale wycofała się ze swego dawnego życia, pozostawiając je za sobą jak skorupę. A potem poczuła, że bez niej sama nie ma żadnego kształtu. Nie zostało w niej nic energii, by zaangażować się na nowo. Przez jakiś czas była chora, bardzo poważnie. Christopher pomógł jej przetrwać ten trudny czas – on też był apostatą.

– Tutaj rewolucja przypomina podwieczorek dla dzieci – powiedziała Pilar. – W Anglii tyle rzeczy uważacie za oczywiste. Nie macie pojęcia.

– Nie mamy. Wiem.

– Tam, skąd pochodzę, rewolucjoniści są strasznymi ludźmi. A inni są równie straszni. Jest tylko śmierć i nieustanny konflikt, co oznacza kłopoty dla ludzi, którzy chcą po prostu spokojnie żyć.

– Jakie kłopoty? Szczególnie dla twojej rodziny. Wspominałaś o czymś kilka dni temu.

Pilar lekceważącym gestem odsunęła filiżankę.

– Nie mogę – odparła. – Nie jestem gotowa, by zacząć o tym mówić. Nie chciałam wprowadzać tych głupich komplikacji w życie Rolanda.

Harriet poczuła szaleńczo, że chce wyznać wszystko. Chciała wytłumaczyć Pilar, że kiedyś by ją krytykowała tylko z powodu jej pochodzenia i tego, że jest właśnie taka – ale nie wiedziała, jak Pilar zareaguje, nie chciała, żeby się wzdrygnęła. Nie mogła znieść teraz myśli o swojej dawnej mylnej pewności, kiedy dzieliła świat na tych, których skrzywdzono, i tych, którzy ich skrzywdzili. Wyobrażała sobie oczywiście, że jej własna rodzina – burżuazyjna – znalazła się po stronie winnych. Nie byli nawet bogaci, ale mieli wykształcenie i poczucie wyższości, byli dziedzicami, a nie wydziedziczonymi. Myślała, że całe jej życie powinno być pewnego rodzaju pokutą za ten przywilej. Z perspektywy czasu wszystko to wydawało się jej komediowe.

Ivy siedziała sama w kryjówce na murze i znów układała pasjansa zegar, kiedy – wdzierając się w spokój, który wydawał się nieprzenikniony – na alejce pojawił się nagle z hukiem samochód Pattenów. Lśniący czerwony dach przesunął się złowieszczo tuż pod Ivy, potem auto skręciło na podwórko przed stodołą, zgrzytając na drobnych kamyczkach, które wyskakiwały spod kół. Ivy patrzyła z nadzieją, jak Janice Patten wysiada od strony kierowcy: wydawało się całkiem możliwe, że przez jakiś szczęśliwy traf lub lukę w dzieciennym rozumowaniu Ivy, gdy Janice otworzy tylne drzwi, z czerwonego samochodu wyskoczy Mitzi i pobiegnie obwąchać swoje ulubione miejsca. Potem wszystko znów będzie dobrze. Jednak z samochodu wysiadł Claude Patten i przeciągnął się z jękiem na zwirowanym podwórku. Z tylnego siedzenia Janice wzięła tylko kilka toreb. Jak mogli zachowywać się tak zwyczajnie, skoro ich pies nie żył?

Ostatni król – karowy – pojawił się zbyt szybko; Ivy zebrała karty, zeszała z muru i wróciła do domu. W salonie Alice grała na pianinie jakąś rzewną melodię i muzyka napełniła Ivy zabobonnym strachem. Poszła na górę, nie wspominając nikomu o przyjeździe Pattenów. Wsunęła się pod kołdrę i zaczęła czytać książkę, którą pożyczyła sobie z półki w pokoju Alice i już wcześniej w Kington czytała. Przez cały czas słyszała dobiegające z dołu głosy i czuła się wykluczona. Kiedy w pewnej chwili doleciał ją zapach pieczenia, uświadomiła sobie z przykrością, że nie jadła lunchu. Skończyła książkę, odłożyła ją na miejsce i wzięła następną. Czytanie przynosiło pociechę, kiedy z góry wiedziało się o wszystkim, co się

wydarzy.

Kiedy Pilar pływała z Harriet, Roland pojechał do miasta, żeby kupić gazety i sprawdzić pocztę, choć Alice powiedziała, że nie chcą gazet, nie w Kington.

– Czy przez jakiś czas możemy nie śledzić wiadomości? Świat poradzi sobie doskonale, gdy my nie będziemy wiedzieć, co się w nim dzieje.

– Nikt nie każe ci ich czytać.

– Ale jeśli nie będę ich czytać, będą leżały w oczekiwaniu, a wiadomości będą się z nich sączyć.

Molly zapytała, czy może się z nim zabrać: chciała pokazać Kasimowi salon gier automatycznych, który uwielbiała jako dziecko. W drodze do miasta młodzi siedzieli na tylnym siedzeniu jaguara. Roland wyobrażał sobie dłoń Kasima na nodze Molly, nagiej poniżej szortów, chociaż nigdy nie widział, żeby się dotykały, i nie było żadnych oznak, by łączyło ich coś więcej poza dreszczem zauroczenia. Córka zawsze go zachwycała – uwielbiał jej zdolność przystosowywania się, wdzięk; kochał ją bez wysiłku, mocnym uczuciem. Ponieważ widać było wyraźnie, że nie jest typem intelektualistki, nigdy nie naciskał na nią, by uzyskiwała najlepsze wyniki w szkole; ta okropna rodzicielska fiksacja na punkcie osiągnięć dzieci odwracała uwagę od prawdziwych wartości sztuki i myśli. Teraz zaskoczyło go, jak bardzo niepokoi się myślą o jej życiu seksualnym. Nie lubił Kasima; trudno było mieć nad nim przewagę w rozmowie, negocjować z jego ignorancją, refleksem, wysokim mniemaniem o sobie. Przypochlebiał się Rolandowi niemal nonszalancko, jakby ten miał obowiązek poczuć zadowolenie, i radośnie wygłaszał swoje ponure opinie na temat polityki, gospodarki i przyszłości planety. Roland ucieszył się, gdy zaparkowawszy przed supermarketem Co-op, zgodzili się iść każde w swoją stronę.

Ujmująco uprzejmy oczarował bibliotekarkę, potem sprawdził pocztę, siedząc wśród zielistek, opasłych romansideł, z widokiem na malutkie krzeselka w dziale dla dzieci. Wydawca chciał dostać przedmowę do nowej serii scenariuszy filmowych; komuś zależało na myśli przewodniej do konferencji o filmowej ikonografii; agent przekazał mu kilka ciepłych uwag na temat jego artykułu do „Guardiana” – wszystko to ponownie połączyło Rolanda z jego publicznym wcieleniem. Nie potrafił wyobrazić sobie życia bez pracy w jego centrum; praca stanowiła odkupienie wszystkiego, co było pełne wad i niekompletne. Bał się, że dotrze do kresu swoich zainteresowań, że poczuje nudę; po trzydziestce wpadł w panikę, czuł się osaczony na swoim wydziale, potem podjął strategiczne wysiłki, by rozwinąć karierę wykraczającą poza jego ramy. Próbował sobie wyobrazić, co musi czuć Alice, która związała wszystkie swoje aspiracje z osobistym spełnieniem i relacjami z ludźmi. Może jej życie ułożyłoby się inaczej, gdyby odniosła sukces jako aktorka.

Kiedy skończył pracę w bibliotece, kupił sobie kawę i kanapkę i usiadł

z gazetą przy stoliku na ulicy, a zauważywszy przechodzących obok Molly i Kasima, udał, że ich nie widzi. Kasim jadł hamburgera owiniętego w zatłuszczoną serwetkę, a Molly lody. Spacerując w tłumie znudzonych wczasowiczów, nie wyglądali jak inni. Bez względu na to, jak niechlujnie i niedbale byli ubrani, wyróżniali się pochodzeniem, wykształceniem i śniadą skórą Kasima – te staroświeckie kurorty nadal były przede wszystkim białe, co uderzało, gdy było się przyzwyczajonym do tłumów w dużych miastach. Roland wbrew sobie zirytował się w duchu na ograniczenie i nudę małego miasteczka. Siedząc tak na ulicy w jakimkolwiek małym miasteczku we Francji, w Tunezji czy Brazylii, czułby, że żyje, byłby pobudzony, obserwując wszystko z podnieceniem, chłonąc atmosferę. Tym miejscem nie mógł się cieszyć, było zbyt znajome, było domem.

Molly i Kasim zagrali w salonie w hokeja na lodzie, przesuwając płaskie krążki po stole, a potem mechanicznym ramieniem łowili pluszowe zabawki. Wymienili całe garście zdobytych kuponów na biały porcelanowy wazon w kształcie zniszczonego buta, którym Kasim zamierzał obdarować Alice tylko po to, żeby ją postawić w niezręcznej sytuacji, kiedy będzie musiała okazać wdzięczność za najbrzydszą rzecz, jaką w życiu widziała.

Idąc ulicą, minęli salon tatuażu i Kasim próbował namówić Molly na tatuaż.

– Tylko malutki, malusieńki. Na przykład motylek. Na kostce.

– Żartujesz! Na pewno żartujesz. Wolałabym umrzeć.

– Nie wiem, o co robisz tyle szumu. Rzuciłem palenie, myślisz, że nie cierpię? To tylko mała igła, która nakłuwa naskórek. I wcale nie trwa to długo. Kilka godzin. Małe igły z tuszem. I tyle. Bardzo dbają o czystość. Twoja kostka znajduje się daleko od mózgu.

– Robisz to celowo! – wykrzyknęła, tylko na wpół rozbawiona. – Nabijasz się ze mnie! Wiem, że tak.

Matka Ivy spojrzała na nią podejrzliwie od drzwi i zapytała, co knuje.

– Dlaczego nie bawisz się w ogrodzie? Taka ładna pogoda.

– Czemu miałabym się bawić? Nienawidzę wszystkich.

– Nie bądź niemądra. Przyjechali Pattenowie i Janice wpadła z wizytą. Alice upiekła ciasto. Nie muszę dodawać, że zostawiła w kuchni okropny bałagan.

– Ja chciałam upiec ciasto – odparła dziewczynka. – To niesprawiedliwe.

Matka zamknęła drzwi i odeszła.

Kiedy Ivy usłyszała głos Janice Patten w salonie – niski jak u mężczyzny, lecz bardziej gawędziarski – zostawiła otwartą książkę na poduszce i z ociąganiem zeszła po schodach, najpierw jednak przewiesiła się przez poręcz, by ponasłuchiwać. Potem starała się wśliznąć niepostrzeżenie do pokoju: chciałyby móc wpełznąć do środka jak wąż, a potem ukryć się pod krzesłem. Ale Janice była czujna.

– Moje małe oczko widzi... – powiedziała lekkim głosem z udanym

zaskoczeniem. – O, to chyba księżniczka Ivy.

Janice wyrobiła sobie opinię o swoich sąsiadach, że pozują na artystów i są ekscentryczni, i gromadziła historie na ich temat. Byli częścią lokalnej historii razem z ich dziadkiem, nawet jeśli pozwalali, żeby ten piękny stary dom popadał w ruinę. Ivy zapomniała, że ma na sobie halkę, która teraz była poplamiona i podarta. Włożyła ją rano tylko w akcie pokuty. Rezygnując z pełzania, usiadła na krześle i wydeła usta.

– Ktoś tu ma humory – powiedziała Fran.

– Ja chciałam coś upiec – odparła Ivy. – Obiecałaś, mamo.

– Kochanie, żałuję, że mi nie pomogłaś – powiedziała Alice. – Czemu nie powiedziałaś? Moje ciasto to katastrofa, jest płaskie jak naleśnik. Janice, jeśli wolisz herbatnika...

Janice uspokoiła ją nieszczerze.

Alice przyjrzała się ciastu.

– Tak naprawdę *to* jest herbatnik.

Fran i Alice były tak przesadnie gościnne – skakały koło Janice, przywoływały starą historię o damie z rozwianymi włosami na dnie filiżanek (Janice specjalizowała się w antykach) – że Ivy wolałaby chyba, żeby Janice się nie zjawiała. Była wysoka i zwalista, z małą głową i różową skórą, małymi, szybkimi, niebieskimi oczkami, które rzucały spojrzenia na prawo i lewo. Zaskakująca grzywa jej jasnych kręconych włosów zaczynała siwieć, a jedwabna bluzka tak napinała się na biuście, że guzik trzymał się ostatkiem sił.

– A skoro mowa o humorach – powiedziała. – Claude położył się do łóżka. Twierdzi, że jest wykończony po podróży, mimo że to ja cały czas prowadziłam.

– Bo to może wykończyć – odparła Alice ze współczuciem. – Ja też prowadzę z siedzenia pasażera i wiem, co czuje Claude. Prawdę mówiąc, wykańcza mnie sama myśl o prowadzeniu. Mogłabym się położyć do łóżka z Claude'em. Oczywiście nie dosłownie.

Janice oświadczyła, że Alice może go sobie wziąć, ostrzegając przy tym, że Claude strasznie chrapie i kopie jak koń.

Arthur siedział po turecku na podłodze i malował paznokcie bezbarwnym lakierem Molly, z wielkim skupieniem zanurzając pędzelek w buteleczce.

– Czy ktoś nie powinien mu tego zabrać? – zapytała Ivy ze znużeniem. – Nie popaprze wszystkiego lakierem? Ten bezbarwny to i tak strata czasu. Zero efektu.

– Wzmacnia paznokcie – odparł Arthur.

– Świetnie sobie radzi – powiedziała Fran. – Molly nie będzie miała nic przeciwko temu.

Arthur podniósł wzrok na siostrę z niemym, smutnym wyrzutem. Tylko ona wiedziała, że wcale nie jest taki niewinny.

– Czemu nie przywieźliście Mitzi? – zapytał Janice.

– Właśnie, gdzie jest Mitzi? – włączyła się wesoło Alice, podając Ivy talerzyk z ciastem.

Janice właśnie ugryzła kawałek ciasta i musiała zasłonić usta dłonią, gdy przeżuwała, wyrazem twarzy sygnalizując niepokój, zanim mogła cokolwiek powiedzieć. Zagrożenie było zbyt wielkie: Ivy upuściła talerzyk – z tego samego kompletu co filiżanki. Zapanowała typowa dla kreskówek chwila zawieszenia: ogromne napięcie, zanim wylądował dnem do góry na dywanie, nie rozbijając się. Ivy zerwała się z miejsca, nastąpiła butem na talerzyk i usłyszała trzask.

– Spójrz, co narobiłaś! – rzuciła oskarżycielsko Fran.

Alice pospieszyła z zapewnieniem, że to nic takiego, jest jeszcze dużo talerzyków, a dla ciasta tak będzie najlepiej.

– Nie ma więcej talerzyków! – wykrzyknęła Ivy. – Tylko te zostały.

Janice przełknęła kęs ze zmartwioną miną.

– Nie wiedzieliście? – zapytała. – Straciliśmy Mitzi! Myślałam, że wiecie.

– Nie wiedzieliśmy. Raczej z nikim nie utrzymujemy kontaktów. Rozmawialiśmy z Simonem Cumminsem, ale nic nie powiedział.

Janice musiała wycierać oczy chusteczką higieniczną wyjętą z rękawa, kiedy opowiadała im całą historię; Arthur przez cały czas wydawał się zaabsorbowany paznokciami, wymachując palcami w powietrzu, by wysuszyć lakier, czego nauczył się, obserwując Molly.

– To zdarzyło się, kiedy przyjechaliśmy tu na Wielkanoc. Pewnego ranka po prostu zniknęła i początkowo nie zwracałam sobie tym głowy, przecież stale gdzieś biegała. Ale tym razem nie wróciła. Szukaliśmy jej wszędzie przez wiele dni. Claude myśli, że wpadła pod samochód; to prawda, była wyjątkowo nieostrożna. Ale ja jestem przekonana, że została porwana. Rasowe psy są warte mnóstwo pieniędzy. Powtarzam sobie, że wiecie gdzieś luksusowe życie z czułymi nowymi opiekunami, sypia na aksamitnych poduszkach, je piersi z kurczaka i pomidory z grilla. Pamiętacie, jak uwielbiała pomidory z grilla? Choć nadal myślę, że za nami tęskni; skąd nowi właściciele mogliby wiedzieć o pomidorach? Zostaliśmy tu o wiele dłużej, niż planowaliśmy, bo nie mogłam się uwolnić od myśli, że ona wróci do domu, a nas nie będzie. Co wieczór wydawało mi się, że skrobie do drzwi i piszczy. W końcu Claude nie chciał już schodzić i sprawdzać, powiedział, że mi odbija. To tylko pies, powiedział.

– To nie był tylko pies! – wykrzyknęła Alice. – To była Mitzi!

– Gdyby potrafił ją samochód – powiedziała Fran, zbierając szczątki talerzyka – ktoś na pewno znalazłby już jej ciało.

– Też tak myślę. Ale Claude twierdzi, że ludzie, którzy zabijają psy, nie chcą ponosić konsekwencji, więc odjeżdżają z ciałem zwierzaka i pozbywają się go na drugim końcu kraju.

– Claude ma bujną wyobraźnię.

– Ale słyszy się zdumiewające historie o psach – wtrąciła Alice – które po wielu latach wracają do właścicieli.

– Wiem – odparła Janice. – I na to liczę.

Ivy zdawała sobie sprawę, że Arthur wpatruje się w nią wyczekująco, i wiedziała, że powinna przekreślić ich nadzieje, bo to się nie mogło wydarzyć. Otworzyła usta, by coś powiedzieć. W tej jednak chwili Fran zaczęła ze złością zamiatać okruchy talerzyka wokół Ivy, odsuwając jej stopy końcem zmiotki, jakby obojętny był jej los psa. Patrząc na klęczącą matkę, Ivy poczuła nagle, że musi chronić swój sekret: należał do niej w całej swej brzydocie i nie chciała, by rozmawiali o nim dorośli, roztrzásając go i zamiatając, jeszcze nie – choć niewypowiedziane słowa dławili ją w gardle. Była pewna, że Arthur nic nie powie, jeśli ona tego nie zrobi. Wiedziała, że zachowując to dla siebie, przekreśla przyzwoitość i odrzuca bezpieczeństwo. Kiedy wszyscy nadal użalali się nad losem Mitzi, oświadczyła butnie, że ma ochotę na jeszcze jeden kawałek ciasta.

– Nikt tutaj nie dostrzega, że umieram z głodu.

Janice ją skarciła: nie powinna używać słowa „umierać”, kiedy dzieci w krajach afrykańskich naprawdę umierają z głodu. Potem Alice przyznała, że Janice obudziła w niej wyrzuty sumienia, bo ona zawsze używa tego zwrotu. Kiedy Ivy zjadła kawałek suchego placka, którym o mało co się nie zadławiła, wróciła na górę, tupiąc na schodach, przygnieciona ciężarem; zdawała sobie sprawę, że jest niemożliwa. Pomalowała usta szminką przy toalecie Alice, przyciskając zbyt mocno i łamiąc czerwony sztyfcik. Potem zajrzała do pokoju obok, poszperała w komodzie Harriet i znalazła ukryty pod ubraniami pamiętnik. Charakter pisma był bardzo drobny i zapełniał stronę po stronie. Nie było tam nic tajemniczego, tylko opisy spacerów, ptaków i ludzi. *Dziś przy kolacji siedziałam obok P. Czy jestem szczęśliwa? Chyba tak, ale to bliskie szaleństwa.*

Ivy pomazała strony złamaną szminką. Napisała „kórwa” do góry nogami, robiąc celowo błąd, a potem dopisała imię Arthura dziecinnymi kulfonami, które nie miały nic wspólnego ze starannym pismem chłopca. Cynobrowe plamy szminki poznały białą poduszkę i prześcieradło Harriet.

Tego popołudnia Alice wybrała się na spacer. Chciała być sama: poirytowała ją rozmowa z Janice w salonie, taka banalna i oklepana. Kiedy Pilar i Harriet wróciły z basenu, nie było lepiej; Pilar i Fran zaczęły rozmawiać o cenach domów. Alice często czuła się rozczarowana w towarzystwie. Marzyła o idealnej kompanii, w której ubierałaby z łatwością w słowa swoje najbardziej uporczywe i najważniejsze myśli, byłaby rozumiana i dostrojona do przemysłów innych. Kiedyś razem z Rolyem gadali godzinami o wszystkim – religii, sztuce i śmierci – doskonale się rozumiejąc. Ale teraz miał się na baczności i ustawiał swoją inteligencję i wiedzę jak barierę, by trzymać ją na dystans. Od jego przyjazdu z Pilar do Kington Alice nie miała go dla siebie ani przez moment.

To ją bolało – a jednak tego ranka miała wyrzuty sumienia po swoim okropnym zachowaniu poprzedniego dnia. Upiekła ciasto jako serdeczną, dodając otuchy niespodziankę, by zebrać przy nim całą rodzinę – ale ciasto nie wyrosło i nikt nie chciał go jeść. Zjawiła się też Janice Patten. Alice było przykro z powodu psa, ale przenikliwe oczka Janice zaglądały wszędzie i można było wyczuć, że sąsiadka gromadzi szczegóły do późniejszych opowieści; przyjaźniła się niemal ze wszystkimi w wiosce, choć nie spędzała w niej więcej czasu od nich. Zawsze opowiadała im historie o ludziach, których nazwisk nie kojarzyli. Ogólnie rzecz biorąc, Alice wołała Claude’a od Janice, choć był rozpuszczony i nazbyt sobie pobażał, z wydatnym brzuchem i łysiną jak tonsura, z której obrzeży spływały na ramiona tłuste siwawe włosy. Claude był architektem – dlatego ich przebudowana stodoła była taka ładna, choć jednocześnie trochę sztuczna i zbyt sterylna.

Gdy Alice szła przed siebie, spłynęła z niej cała irytacja. Mój ukochany, pomyślała, przemierzając pierwszą część lasu, gdzie w iglastym młodniku podszycie nie było zbyt gęste. Nie chodziło jej o Claude’a Pattena – roześmiała się na głos na samą myśl. Promienie słońca przeszywały gęsty sosnowy baldachim i opadały na zakurzoną brązową ziemię, która skojarzyła się jej z pustym teatrem. Mój ukochany, najdroższy, jedyny. To nie był Claude! Od czasu pobytu w Kington jej samotna zaduma przyjmowała intonację listu miłosnego – listu, jakiego nigdy nie napisała. W prawdziwych listach miłosnych przyjmowała lekki, zabawny i ironiczny ton – albo ton smutny i dziki. W każdym razie nikt już nie pisywał listów miłosnych, nikt nie pisywał listów w ogóle. Kochankowie kontaktowali się ze sobą co godzina telefonicznie, wymieniając banały. Jednak ten pełen tęsknoty wewnętrzny głos przypominał tik nerwowy, nowy zwyczaj serca, które zdawało się pulsować podnieceniem w jej piersi. A jednak nie było nikogo. Żyła w pobudzonym oczekiwaniu, nie mając na myśli żadnego konkretnego mężczyzny. Czy taką formę przyjmie obsesja w średnim wieku? Będzie musiała to omówić ze swoją terapeutką. Alice nazywała tak Evę, ale w rzeczywistości nie mogła sobie pozwolić na terapeutkę z prawdziwego zdarzenia; Eva była bardziej doradczynią i często przekraczała granice, dając jej dość zdecydowane rady. Ich rozmowy przypominały bardziej intymne pogaduszki przyjaciółek. Kiedyś Eva powiedziała nawet, by Alice wzięła się w garść. Z drugiej strony, nie brała od niej za sesje, jeśli Alice nie miała akurat pieniędzy.

Idąc przez las, Alice dotarła do stromej ścieżki, która pięła się na wzgórze – nikogo nie spotkała, nie minął jej żaden samochód. Nikt się tu nie zapuszczał. Ścieżka była zasłana gałęziami, które połamały się podczas ostatniej wichury; wielkie dęby rosnące po obu jej stronach były powykrzywiane ze starości, szara kora pełna wyrw i szczelin. W wysokich żywopłotach delikatne rośliny kwitnące wczesnym latem ustąpiły miejsca pokrzywom, jeżynom i szczawiowi, wybujającym w upale. Alice przeszła przez rów, a potem wspięła się po pochyłej łące do miejsca,

gdzie w brogu ułożono bele siana. Na szczycie wzgórza krajobraz był wyblakły i zalany słońcem, oczyszczony z ciemności: przez migotliwą zatokę mogła dostrzec niebieskie wzgórza Walii, a za sobą wrzosowiska w głębi łądu. Alice nie szukała jednak tak szerokiej perspektywy, gdy miejsce zdawało się zrozumiałe i osadzone w kontekście, jakby rozłożono mapę. Roland podczas spaceru w każdym momencie potrafił określić, gdzie znajduje się północ. Ona wolała zagłębić się w miejscu, w którym była, i zatracić się, nie zdając sobie sprawy, jak doskonale pasują do siebie misterne fałdy wzgórz.

Po drodze w dół długo leżała na wznak w ukrytym rogu łąki porośniętej wysoką trawą, w półcieniu pod kępą jadalnych kasztanów. Myślała o programie naukowym, który oglądała w telewizji, i czuła się tak, jakby mogła poznać znaczenie twórczych i destrukcyjnych pulsów, które składały się na dynamikę stworzenia. Na tym późnym etapie, teraz, gdyby było to możliwe, czy chciałaby mieć dziecko? Czy tego brakowało jej w życiu? Pomiedzy listami babki znalazła owinięte w bibułę pasemka jasnych dziecięcych włosów, lekkich jak oddech, i malutkie ząbki. Mogły należeć do jej matki albo do rodzeństwa, albo do niej; nikomu ich nie pokazała, wywołały pogmatwany ból wykluczenia i straty. Prawda jednak wyglądała tak, że kiedy tylko w przeszłości zbliżała się do kwestii posiadania dziecka, nie czuła żadnego radosnego oczekiwania, tylko stłumioną panikę, jakby zamykała się nad nią ciemność. Alice wyobrażała sobie, że wszystkie te malutkie jajeczka, które znajdowały się w niej, gdy się urodziła, mogły się przełożyć na rzędy malutkich białych ząbków, i myśli, że znikają jedno po drugim, napełniała ją jednocześnie ulgą i żalem.

Potem wydało jej się, że widzi wzbijającego się w niebo skowronka, balansującego ze śpiewem na niewidzialnym strumieniu powietrza – kiedy jednak oparła się na łokciach, nie była już pewna, czy wzrok jej nie mylił. Ptak był tylko kropką na niebie, za daleko, by móc rozpoznać gatunek. Z tej części kraju skowronki zniknęły już dawno temu. Wszystko chyliło się ku upadkowi. Przyszło jej do głowy, że są przegranym pokoleniem. Materialnie mieli tak wiele, a jednak nie dawało im spokoju poczucie, że egzystują na ściernisku, że to, co najlepsze, już przeminęło.

Kiedy nadeszła pora, by kłaść się do łóżka, Ivy dostała jednego ze swoich napadów złości. Przez jakiś czas dom zdawał się puchnąć od jej głośnego płaczu i oskarżeń.

– Nie mogę spać w tym brudnym starym łóżku! Z materaca wystają sprężyny: spójrz, jakie mam podrapane nogi. To jak izba tortur! Chcę mieć swój pokój. Nigdy o mnie nie myślisz. Kochasz tylko Arthura. Chcę wrócić do domu, do tatusia! Inne dzieci wyjeżdżają na prawdziwe wakacje, samolotami. Nienawidzę tego miejsca! Chciałabym umrzeć. Tak strasznie mi się nudzi. Tu nie ma nic do roboty.

– Rzeczywiście, nuda – wsparł ją niezawodnie Arthur.

– Tu jest tak nudno bez komputera.

Alice próbowała wytłumaczyć, dlaczego dobrze im zrobi dłuższy pobyt z dala od komputerów, kiedy będą musieli korzystać z własnej wyobraźni. Fran przymilała się ze spokojem, aż w końcu straciła cierpliwość, uderzyła Ivy mocno w nogi, zaczęła na nią krzyczeć i tylko pogorszyła całą sytuację, mówiąc, że ma wszystkiego po dziurki w nosie, a Ivy doprowadza ją do szału swoim egoizmem i zachowaniem rozpuszczonego bachora. Alice rzuciła siostrze nieznośne spojrzeń, jednocześnie pełne rozczarowania i współczucia.

– Dzieci są przemęczone – wyjaśniła wojowniczo Fran, kiedy zeszała, z twarzą pokraśniałą od złości i wstydu. – Pewnie też za długo przebywały na słońcu. Zapomniałam im przypomnieć o czapkach.

Pozostali dorośli spoglądali na nią z niedowierzaniem, przerażeni wybuchem rozpaczy, który zamienił kamienne ściany domu w papier. Niczego nie powiedzieli, ale oczywiście każde myślało, że nigdy nie pozwoliłoby swojemu dziecku na takie zachowanie. Fran z wściekłością zadawała sobie w duchu pytanie, jakie mieli pojęcie o wychowywaniu dzieci. Roland nigdy nie został wystawiony na próbę z Molly, słodkim dzieckiem, podczas gdy Ivy była żmiją, którą Fran wykarmiła własną piersią. Fran obwinała Jeffa; chciała zadzwonić do niego właśnie w tej chwili i o wszystkim mu opowiedzieć, gdy rana była jeszcze świeża. Mimo wszystko nie powinna była tracić panowania nad sobą. Kiedy siedziała sztywno na schodkach komórki, tyłem do domu, pozostali kręcili się w kuchni, znosząc talerze ze stołu i zmywając, cichym głosem wymieniali praktyczne uwagi i zaczęli opowiadać łagodne dowcipy, które szybko ginęły w nowych wybuchach lamentów. Kasim i Molly odgrywali coś na kształt pantomimy; ona chichotała, gdy on groził jej szpikulcem znalezionym w szufladzie ze sztuczcami. Teraźniejszość ziała pustką, jakby na górze ktoś się rodził albo umierał.

Od czasu do czasu Ivy wychodziła z pokoju, by szlochać przeraźliwie u szczytu schodów lub by schodzić z rozpaczą do chwili, gdy Fran nakazywała jej wrócić do łóżka. Kiedy Ivy wpadała w złość, nie potrafiła odpuścić i raz po raz wkraczała na scenę dramatu, przedłużając go w nieskończoność.

– Nienawidzisz mnie, prawda? Wszyscy myślą, że jestem okropna, wiem, że tak! Teraz już po wszystkim, już za późno.

Leżąc cnotliwie w łóżku, Arthur obserwował poczynania siostry chłodnym okiem konesera. Kiedy w końcu zniknęła pod kołdrą, zanosząc się histerycznym kaszlem, ocenił, że nadeszła odpowiednia pora, by wstać i wsunąć się do jej łóżka, by ją pocieszyć i objąć ramieniem, z niewielkim tylko odcieniem litości. Cała drżąca, leżała tyłem do niego, zwinięta w kłębek, z kolanami podciągniętymi do piersi; kręgi na plecach gniotły go przez cienką piżamę, a warkocz, na którym się położył, był twardy jak sznur.

– Tylko udawałam – szepnęła gorączkowo.

Arthur rzucił pojednawczo, że wie, i zapytał, czy chce pograć w grę.

– Martwię się – odparła z resztkami szloch w oddechu. – Myślę, że Kobiety są rozgniewane. Możemy zrobić tylko jedno.

– Co?

Odparła, że muszą ponacinać zasłony nożyczkami, na ofiarę.

Arthur posłusznie poszedł do łazienki po nożyczki do paznokci. Ivy instruowała go doświadczonym głosem nauczycielki, ale Arthur, zmagając się z grubym materiałem, który klinował się pomiędzy ostrzami i nie chciał dać się przeciąć, wiedział, że siostra wymyśla wszystko na bieżąco.

– Musimy wrócić jutro do chaty – powiedziała. – Musimy zabrać próbki z czasopism.

– Czemu nie powiedziałaś dorosłym? Wiesz, o czym.

Ivy wzruszyła ramionami i odparła, że ich nienawidzi i guzik ją obchodzi, co wiedzą.

Tego wieczoru Pilar miała na sobie szyfonową bluzkę i trochę zmarzła. Kiedy Alice robiła kawę w spokoju, który w końcu zapanował po wybuchach Ivy, poszła do swojego pokoju, by znaleźć coś, co mogłaby narzucić na ramiona. Roland przyszedł za nią, bo chciał zmienić buty. Słyszeli stłumione dźwięki z pokoju dzieci, które nie spały i konferowały przytłumionymi głosami – pewnie knuły zemstę. Rano Roland podniósł okna najwyżej, jak się dało, bo w pokojach na górze za dnia było strasznie gorąco; teraz szybko je zamknął, by do środka nie wpadły nocne owady. W ogrodzie sylwetki drzew rysowały się na tle nieba wypełnionego ostatnim płynnym światłem; między nimi latały nietoperze, a niewidzialny kos zanosił się śpiewem; powietrze w pokoju było gęste jak aksamit. W wazonie na parapecie zwiędły fioletowe kwiaty, płatki przykleiły się do szyby, biały pączek róży zbrązował i zwiędł nierozwinięty w mętnej wodzie.

Pilar zapytała go o pocztę: czy dostał coś ciekawego? Klęczała przed toaletką, szukając w szufladach szala. Roland powiedział jej o reklamie konferencji i wydawcy, który potrzebował przedmowy do nowej serii.

Wzruszyła go jej czuła troska o jego renomę, choć wiedział, że nie interesują jej jego idee. Pilar nie miała pojęcia, do czego może się przydać filozofia – nie był pewien, czy wie nawet, po co są filmy. Jej własne życie zawodowe nie miało w sobie ani grama pasji, poza szczerą wiarą, którą Pilar pokładała w całej instytucjonalnej strukturze prawa. Zdaniem Pilar praca jednostki była rodzajem nieustającego wyzwania – powinno się dawać z siebie wszystko. Jego akademicką i publiczną karierę interpretowała jako zwykłą bitwę, serię porażek i triumfalnych zwycięstw. A przez cały czas, gdy zadawała mu pytania – Czy to jest pożyteczny układ? Czy projekt ma odpowiedni status? – mocowała się z wypaczonymi szufladami taniej toaletki z czasów wojny. Zawsze się zacinały, a potem nagle

wypadały, trzeba było je wpychać na miejsce, uderzając pięściami. Babka smarowała ich brzegi woskiem. Roland podziwiał cierpliwość żony, która znosiła wszelkie niewygody w rozpadającym się starym domu; nawet sprężyny w łóżku, które, jak skarżyła się Ivy, sterczały z materaca.

Siostry kurczowo trzymały się tych niewygód, jakby stanowiły one łącznik z przeszłością, lecz Pilar była przyzwyczajona do sprawnie działających najnowszych udogodnień i komfortu. Pomyślał, że są sentymentalną rodziną; może dobrze by było, gdyby pozbyli się domu. Czy nie poczuliby ulgi? Dla Rolanda każdy pokój nosił w sobie niezatarte piętno pierwszego lata, które spędzili tu bez matki. Do tamtego czasu nie wiedział – a miał piętnaście lat – jak światło lub jego brak potrafi zmienić materialne rzeczy, gdy się na nie patrzy. Śmierć matki i jej następstwa, nowe widzenie rzeczy, które za sobą pociągnęła, zdawały się przenikać wszystko – koce na łóżkach, klawisze pianina i kamienne ściany.

Wprawnym ruchem Roland wsunął szufladę w prowadnice i ją zamknął. Potem stanął za Pilar, gdy szczytkowała włosy przed owalnym lustrem w drzwiach szafy, i nie patrzył na siebie, lecz na nią. Jej zdecydowana, wręcz surowa uroda napełniała go pragnieniem, którego najważniejszym elementem było to, że nie można go zaspokoić. Urzekająca powierzchowność, przyciągająca go raz po raz, sama była znaczeniem, które niczego nie oznaczało – jej uroda nie poddawała się jego zrozumieniu. Wsunął dłonie pod luźną czerwoną bluzkę.

– Możemy pojechać, gdzie tylko zechcesz – powiedział. – Pokazaliśmy się tutaj i wszystkich poznałaś. Moglibyśmy zostawić Molly i wyjechać sami na kilka dni. Wiem, że siostry potrafią zaleźć za skórę, Alice była wczoraj okropna. Moglibyśmy pojechać do Veneto, pokazałbym ci wille.

Pilar zdawała się zaskoczona tą propozycją. Poddała się jego dotykowi.

– Nie, zostańmy. Podoba mi się tutaj. To przecież prawdziwa Anglia. Zaczynam ją lubić.

Przy kawie w salonie Kasim uroczyście wręczył Alice porcelanowy but.

– Kupiłem to dla ciebie – powiedział, zacinając się i odwracając wzrok, jakby przepełniały go emocje. – Pomyślałem, że ci się spodoba, i chciałem ci podziękować, że mnie tu zaprosiłaś. To wiele dla mnie znaczy. Chciałem ci więc dać coś specjalnego.

Alice rozpakowała prezent i zawahała się tylko na ułamek sekundy. Jasna twarz i urocze zaskoczenie zawsze były na podorędziu, gotowe, by je wykorzystać.

– Och, jaki cudowny but, kochanie. Spójrz, jak sprytnie jest zrobiony, ze wszystkimi skórzanymi fałdkami! Napełnię go kwiatami. Jest piękny. Dziękuję.

Zachowywała się łaskawie, jakby była aktorką wyćwiczoną w przyjmowaniu hołdów. Molly cierpiała na widok oszustwa, nie mogła znieść litowania się nad ich głupią nadzieją.

– On wie, że wazon nie jest cudowny, ciociu – powiedziała. – Tylko się

z ciebie nabija. Wygraliśmy go w salonie gier.

– Teraz Molly wszystko zepsuła – rzucił ze złością Kas. – Czemu to zrobiłaś?

Fran parsknęła śmiechem i przypomniała sobie, że w dzieciństwie też kiedyś wygrała taki but. Twarz Alice była nadal otwarta i uśmiechnięta, przemknął przez nią tylko cień i bardzo chciała udawać rozbawienie własną naiwnością.

– A byłam taka wzruszona, myśląc, że wybrałeś go specjalnie dla mnie, Kas. Chyba powinnam poczuć się urażona.

Jej cechą szczególną było to, że dotknięta nie chowała się w sobie, lecz brnęła dalej. Opowiedziała wszystkim o spacerze, pięknie krajobrazu i swoim szczęściu, gdy po południu leżała w trawie. To było transcendentne przeżycie, wydawało się jej, że czuje w swoim ciele puls wszechświata, i w końcu zrozumiała starożytne mity, w których bogowie przyjmowali postać ludzką, by kochać się ze śmiertelnikami. Roland był zażenowany słowami siostry; swoje uniesienia powinna zachowywać dla siebie. Czemu zawsze musi wszystko sprowadzać do seksu? Nie mogła się powstrzymać i zawsze zaczynała flirtować, nawet jeśli nie było z kim. Czy nie przyszło jej do głowy, że dla Kasima jest właściwie staruszką, która najlepszy czas ma za sobą? Wystarczyło, że jej romans z jego ojcem ciągnął się boleśnie przez lata. Roland był niezadowolony, że musi oglądać swoją siostrę oczami tego chłopaka.

Harriet i Pilar siedziały razem na tarasie. Przy kolacji Harriet obserwowała zafascynowana, jak miękko układa się czerwona szyfonowa bluzka na ramionach i dekolcie Pilar. W półmroku szal zsunął się z ramion, czerwień bluzki przygasła i tkanina stała się przezroczysta, tak że Harriet mogła dostrzec, co Pilar nosi pod spodem – nie stanik, lecz połyskliwą jedwabną halkę, która z każdym ruchem przesuwiała się na piersiach. Srebrne kolczyki migotały, wyłapując światło wpadające z pokoju. Ciemność zgęstniała wokół nich i Harriet poddała się pragnieniu, obserwując usta Pilar, gdy ta mówiła: pełne wargi, tłuste od szkarłatu, zaciskające się i otwierające zdecydowanie, dojrzały akcent przybierający zmysłową formę. Ojczysty angielski wydawał się w porównaniu z angielszczyzną Pilar zwiotczały i słaby. Pilar skarżyła się, że matka Molly jest oporna i trudna; Roland rzekomo uważał, że Molly powinna się przenieść do prywatnej szkoły, by tam skończyć szóstą klasę. Ponieważ Roland zawsze wspierał państwowe szkolnictwo, było prawdopodobne, że pomysł ten podrzuciła Pilar. Harriet się nie spodobał, poza tym lubiła matkę Molly. Ale te odmienne opinie i osądy nie miały żadnego znaczenia. Wypiła kilka kieliszków wina. Pocałunek w jej wyobraźni był cudowny, wilgotny, palący; wciągnął ją jak przepaść.

Harriet zauważyła ślady szminki na pościeli po południu, lecz nic nie powiedziała, nie chcąc przysparzać dzieciom kłopotów. Kiedy wieczorem poszła na górę, zauważyła, że wszystkie starannie złożone podkoszulki były skłębione

w szufladzie, a pamiętnik leżał zniszczony z jedną wyrwaną kartką. Nie przyszło jej do głowy wątpić, że to Arthur napisał „Arthur” i inne rzeczy. Wpatrywała się w jego kulfony. Brat i Pilar krzatali się w sąsiednim pokoju, przygotowując się do spania, i Harriet przez cały czas była dotkliwie świadoma ich ruchów i szeptanych cicho czułych słów. Ile Arthur mógł zrozumieć z tego, co przeczytał? Był tylko dzieckiem, zaczynał naukę czytania w pierwszej klasie, ona zaś wierzyła, że prawdziwe znaczenie jej słów było ukryte w niewinnych opisach, czytelne tylko dla niej. Nabazgrane słowa sprawiły jednak, że poczuła się tak, jakby została odkryta – wyciągnął z jej wpisów to, co było najbardziej upokarzające i bolesne. *Jesteś gupia. Kurwa. Kórwa. Piepszyć cię. Zostaf mnie w spokoju.* Przywołała zdrowy rozsądek: dzieci są zdolne do głupich złośliwości, nie powinna traktować tego poważnie. Ale wydawało się, że Arthur ją lubi. Poczuła jego zdradę i okrucieństwo jego pasji – „piepszyć cię, piepszyć, kórwa” – odrażające i straszne jak wbijający się w ciało nóż.

Sześć

Alice siedziała na bramie, przyciskając ramieniem telefon do ucha; rozmawiała z przyjaciółmi, po kolei. Na wpół zaabsorbowana rozmową, odwróciła się powoli, chłonąc krajobraz, którego przyjaciele nie mogli widzieć. Poranek był olśniewający, zwiewny, słońce kładło się na polach jak gaza. Poniżej błyszczał spadzisty dach Kington House, panele słoneczne na innych dachach czerpały energię. Kilka myszołowów krążyło w pewnej odległości jeden od drugiego, unosząc się na ciepłych prądach nad doliną. Alice czuła, że też się unosi w błękitnym powietrzu. Las po drugiej stronie doliny był ciemnoniebieski, zgarnawszy ciemność pod liściasty baldachim. Wzór krajobrazu wydawał się prosty jak układanka dla dzieci z dużych kawałków. Dwa stare konie zbliżyły się do płotu, by przyjrzeć się Alice, strzygąc uszami na dźwięk jej głosu, który musiał im się wydawać głupiutką lśniąca nicią na niemej powierzchni ich dnia. Ognisko płonące daleko na polu było bladą pomarańczową plamą w całej tej jasności, unoszący się dym zasnuwał światło mgłą, wykrzywając je jak stare lustro. Alice wyobraziła sobie, że słyszy trzask ognia potęgowany przez odległość.

– Halo, zgadnij kto? To ja. Wiem, że nie wiesz, gdzie jestem. Jestem w pustelni, nie, nie dosłownie, nie złożyłam ślubów ani nic w tym stylu. Choć może kiedyś, nigdy nic nie wiadomo. Uwielbiam być odcięta od wszystkiego, zanurzać się tylko coraz głębiej w sobie. Choć nie wydaje mi się, żebym mogła znieść wczesne wstawanie – to znaczy gdybym została zakonnica. W każdym razie jak się miewasz? Co porabiasz? Myślałam o tobie. Do nikogo nie dzwoniłam, ale chciałam porozmawiać z tobą.

Często połączenie urywało się w połowie zdania – zasięg pozostawiał wiele do życzenia – i Alice nie zawracała sobie głowy oddzwanianiem, tylko dzwoniła do następnej osoby. Mogła skorzystać z telefonu stacjonarnego w domu, ale stary brązowy aparat w holu nie sprzyjał frywolności. Lepiej było przysiąc tutaj, ze światem rozkładającym się dookoła niczym wizja możliwości. Przynajmniej połowa przyjaciół, do których dzwoniła, była mężczyznami. Alice znakomicie nawiązywała i podtrzymywała przyjaźnie z obiema płciami, była lojalna, zaangażowana i hojnie obdarzała wszystkich swoim czasem, a jej znajomi prawie nie zdawali sobie sprawy z drugiej strony jej osobowości – gdy chciała odczołgać się od wszystkich, gdzieś zagrzebać i leżeć bez ruchu. Często im o tym opowiadała, ale tak żartobliwym tonem, że nie brali tego poważnie.

Kiedy obudziła się dziś rano, poczuła się silna i młoda. Wyłoniła się z niezwykłego snu o niewinnym, przyjemnym, nieskomplikowanym seksie – z kimś niewyraźnym, kogo nie знаła. Sen ją zaskoczył; była przekonana, że to jakaś wiadomość, wyjęła więc telefon spod ubrań w szufladzie, gdzie go schowała, i podłączyła do ładowarki. Teraz kontaktowała się ze wszystkimi lekkomyślnie,

uwodzicielsko. Jeden z nich musi być właśnie tym. Żyła w wielkim oczekiwaniu, że coś się wydarzy: istniało kilka możliwości. Czuła, że przepełnia ją pełna otwartości wyobraźnia, była gotowa znów się zakochać, dokonywać nowych odkryć. „Byłaś uwielbiana, Alice, uwielbiana”, usłyszała w powietrzu droczący się z nią szept. To mógł być którykolwiek z jej ulubionych mężczyzn: poeta, prawdziwy, który wykładał na Goldsmiths, albo bileter, który pracował z nią w teatrze, kilka lat młodszy, ale mógł o tym nie wiedzieć, albo łagodny, subtelny mężczyzna, który niedawno zrobił dla niej kilka półek na książki we wnęce – do niego nie zadzwoniła, nie miała żadnej wymówki poza nowym zamówieniem, na które nie było ją stać.

– Tutaj jest cudownie – powiedziała do starego przyjaciela pracującego z młodzieżą, który niedawno rozstał się z żoną. – Jestem z bratem, siostrami i ich rodzinami. Jemy, pijemy, śpimy, spacerujemy po łąkach. Wczoraj leżałam w samotności pod drzewami i wydawało mi się, że czuję, jak ziemia się obraca. Myślałam o starożytnych bogach, którzy przybierali ludzką postać, by kochać się ze śmiertelniczkami. Czułam się jak jedna z tych kobiet. Nie jak Dafne, która zamieniła się w drzewo. Czy jest taka, która zamienia się w grudę ziemi? Bo tak się czułam, jak nieodłączna część ziemi. To najpiękniejsze miejsce w Anglii, ale nie mów nikomu, bo nie chcemy, żeby wszyscy się o tym dowiedzieli.

Każdy z nich rozmawiał z nią bardzo miło i cieszył się z jej telefonu; pojawił się też flirt. Słyszała, jak żartuje, i wpadła w znaną sobie rutynę z lekkim szarpnięciem, jakby zaczynała pracę dobrze naoliwiona, sprawdzona maszyna. A jednak nic nie pobudzało jej wyobraźni ani nie przenikało nastroju: lubiła ich wszystkich, ale tylko lubiła, i ujrzała ich w rozczarującym jasnym świetle, nieskalanych pożądaniem czy pragnieniem. Kiedy zeszła z bramy, była tak samo przejmująco samotna jak na początku wszystkich rozmów. Czuła się znakomicie – a nawet bezpieczniej, była panią samej siebie. Ale też jakaś część jej wrażliwości, na którą liczyła, zamknęła się tak zdecydowanie jak nigdy dotąd. Czy to ją czekało w średnim wieku? Mnóstwo cieplej przyjaźni, lecz nie głębokie zanurzenie się, nie sekret podkreślający całą resztę? Ale skąd wziął się ten dziwny sen?

Kiedy Alice wróciła do domu i zanurzyła się w półmroku przybudówki, oślepiona przez kontrast z blaskiem na zewnątrz, zatrzymała ją Harriet, prosząc, by na coś spojrzeła. Powiedziała, że potrzebuje jej rady. Poprowadziła ją na górę, potem szybko zamknęła drzwi i wyjęła spod łóżka plastikową reklamówkę.

– Ty się znasz na tych rzeczach. Kupiłam to. Ale to pewnie katastrofa. Musisz mi powiedzieć prawdę, Alice. Nie rób tego, co zawsze, gdy schlebiasz ludziom.

– Kupiłaś sobie sukienkę! Niesamowite! Sto lat nie widziałam cię w sukience. Ale gdzie tu znalazłaś sklep z ciuchami?

Zdenerwowana Harriet odparła, że kupiła ją w sklepie przy High Street. Czy

to błąd? Jechała dziś z Pilar nad morze i zastanawiała się, czy powinna ją włożyć. Alice starała się nie dać po sobie poznać, że nawet nie spojrzęłyby na wystawy tych sklepów. Wiszące tam ubrania były okropne – staroświeckie, ciociovate, nie do noszenia. Włożenie ich oznaczało zaprzepaszczenie wszelkiej nadziei na radość. Harriet kupiła coś kwiecistego i wymyślnego w różu i błękicie, szyfon obramowany bawełną, z szeroką spódnicą, jak wizytowa sukienka dla małej dziewczynki. Przy odrobinie wyobraźni sukienka mogła wyglądać seksownie jako parodia stylu retro na szesnastolatce, na Molly.

– Ładna – rzuciła z wahaniem. – Nie, nie, naprawdę jest ładna.

– Nie podoba ci się.

– Musisz ją włożyć, bo inaczej nie będę widziała, czy do ciebie pasuje.

Szkoda, że nie zabrałaś mnie ze sobą.

Harriet, zrezygnowana, z zaciętą twarzą, zdjęła podkoszulek i spodnie, a potem szybko wciągnęła sukienkę, wyłaniając się z niej z dziwnym efektem, jakby zniszczoną drewnianą lalkę ubrano w strój Barbie, jakby ją w nim ukrzyżowano. Jej brązowe ręce i brązowe umięśnione łydki wydawały się androginiczne w zderzeniu z bladym szyfonem.

– Żałuj, że nie widzisz swojej twarzy, Alice! Jest aż tak źle?

Alice zrobiło się przykro.

– Zawsze wszystko psuję. Nie jest dobrze. Sukienka jest zbyt, no wiesz, frywolna. To nie twój krój, a przede wszystkim jest za szeroka w biuście. Możesz ją zwrócić?

Harriet zaczęła błaznować, jakby nadal były dziećmi, maszerując sztywno po pokoju, wymachując nogami i mizdrząc się, by rozśmieszyć Alice.

– Jestem szaloną staruszką, obok której nikt nie chce siadać w autobusie, prawda?

– Przestań. Po prostu nie masz doświadczenia w kupowaniu ciuchów. To zabiera całe lata: musisz wiedzieć, czego chcesz. Trzeba spędzić całe godziny na planowaniu, skupiając się wyłącznie na tym. I oczywiście musisz podążać za idiotyczną modą. Wstyd mi za siebie, że ci to wszystko mówię. Nie byłaś dość próżna, Hettie. Wiesz co? Pożyczę ci coś, jeśli chcesz się wystroić.

– Nie, włożę tę! – upierała się Harriet, żartując i chowając się w rogu pokoju.

– Niech wszyscy zobaczą!

Alice kazała jej zdjąć sukienkę i przyniosła lepsze rzeczy do przymierzenia.

– Musisz się ubierać tak, by pokazać tę cudowną figurę – powiedziała. – Masz szczęście, że jesteś taka szczupła bez żadnych wyrzeczeń. Ta figura wygląda wspaniale pod ubraniami.

W geście prawdziwej bezinteresowności – lubiła te rzeczy, a nigdy nie miała pieniędzy, by kupić, co chciała – Alice dała siostrze prostą szarą spódnicę ze sztruku i kremową jedwabną bluzkę ze ślicznym okrągłym kołnierzykiem. Stała

za Harriet, która włożyła nowe rzeczy, i zrobiła coś z jej włosami, przesuając przez nie palce delikatnie jak fryzjerka, strosząc je i spoglądając w lustro.

– No proszę – powiedziała. – Zapuść je trochę, żeby okalały ci twarz. Starzejemy się, nie możemy sobie pozwolić, by traktować siebie tak surowo. Potrzebujesz też naszyjnika albo koralu, pojedynczego sznurka, nic wymyślnego. Sprawdzę, co mam. Powinnaś wybierać takie proste, subtelne rzeczy, jak Francuzki. Pasują do ciebie, wyglądasz dystyngowanie.

– Dystyngowanie? To eufemizm dla czego?

– Niczego. Taka jesteś.

Alice jeszcze przez chwilę trzymała dłonie na głowie siostry, czując ciepło jej czaszki, spokój jej nieoczekiwanego poddania się. Chciała jej opowiedzieć o pełnym seksu śnie z zeszłej nocy i o tym, jak zabarwił jej poranek, napęniając ją tajemniczym szczęściem, ale oczywiście nie mogła. Nie można opisywać takich rzeczy na głos na jawie: powolne ruchy, czuły, pozbawiony twarzy nieznany kochanek, cudowne doznania. Nie ma takich słów, które pasowałyby do ich niewinności. Ubrana w słowa zamieniłaby się w coś taniego, Harriet byłaby zniesmaczona.

Ivy i Arthur mieli posłać łóżka. Sprowadzało się to tylko do wsunięcia piżam pod poduszki i wygładzenia narzut, ale jęczeli, protestowali i powłóczyli nogami, jakby ta praca ich wykańczała. Kiedy myli zęby w łazience, matka stała nad nimi, zaplatając długie włosy Ivy w warkocze i ściągając ich końce gumką, by mogły zgrabnie się kołysać.

– Tato nigdy nie każe nam myć zębów – skarżyła się Ivy. – Ani rano, ani wieczorem.

– To bardzo nieodpowiedzialne. Chcecie mieć zepsute zęby jak tato, pełne plomb?

– Jego są prawie brązowe – powiedział z powagą Arthur.

– To jest naprawdę niesprawiedliwe. Czekają na nas, pójdą bez nas!

– Nie pójdą. I musisz się zachowywać rozsądnie, Ivy. Ty jesteś odpowiedzialna za to, żeby Arthur nie zbliżał się do krawędzi ścieżki, jeśli będzie stromo. Rób wszystko, co każe Molly.

Spluwając do umywalki, Ivy rzuciła matce spojrzenie ciężkie od znużenia światem. Fran pocałowała oboje dzieci i wytarła im usta ręcznikiem; odwracały twarze, zniecierpliwione, choć bez wrogości, a kiedy wyruszyły z Kasimem i Molly, nie wiedziała, co ma bez nich robić. Alice czytała stare listy, Roland pisał coś w swoim pokoju, Harriet i Pilar pojechały popływać. Pod koniec każdego semestru, kiedy zbliżały się wakacje, Fran marzyła, by uciec od pracy i wrócić do domowego życia, umęczona przebywaniem w klasie z uczniami, poirytowana szkolną rutyną. Po kilku tygodniach wakacji zaczynała ciążyć w drugą stronę – chciała wrócić do uporządkowanej rutyny klasy. Fran lubiano jako nauczycielkę,

choć była surowa, czasami ostro z uczniów żartowała i dużo od nich wymagała, co skutkowało dobrymi ocenami. Za punkt honoru stawiała sobie, by wymagać tyle samo od trudnych uczniów co od tych bezproblemowych. Tymczasem w Kington każdy dzień był taki bezkształtny; zniechęcała ją konieczność wymyślenia sposobu na wypełnienie tylu pustych godzin.

Włączyła radio w komórce przy kuchni i zaczęła pracować ręcznie brudne ubrania w dużym emaliowanym zlewie. Przynajmniej pozostawała satysfakcja z przedzierania się przez listę rzeczy, które trzeba zrobić. Ogromną starą elektryczną wirówkę babki trzeba było odsunąć od ściany. Podskakując z zadziwiającą gwałtownością na kamiennej podłodze, wypluwała z siebie rdzę razem z wodą z płukania, którą Fran zbierała do miski, bo wąż gdzieś się zapodział. Co roku spodziewali się, że wirówka padnie albo porazi kogoś prądem, ona jednak trwała, zbudowana solidnie jak czołg. W końcu Fran rozwiesiła pranie na sznurze na słońcu i na chwilę zrobiło się sielankowo. W domu miała pralkę automatyczną i suszarkę bębnową. Już prawie zapomniała, jaką przyjemność sprawia rozwieszanie prania.

Potem siedziała w gabinecie z włączonym telewizorem, w którym migąły poranne programy. Kupiła w mieście pocztówki przedstawiające kuce rasy Exmoor pasące się na łąkach. *Kochany Jeffie, napisała. Dzieci tęsknią za Tobą. Uważają, że jestem tyranem, a Ty jesteś dużo lepszy, co pewnie jest zgodne z prawdą. Tylko że ja jestem tutaj, a Ciebie nie ma.* Długopisem narysowała dymek wychodzący z pyska kuca i napisała: *Żałuję, że nie gram w zespole.*

Kiedy rodzina przyjeżdżała do Kington, miała zwyczaj okopywać się w domu. Jeździli tylko do miasta lub podjeżdżali milę czy dwie do początku ulubionej trasy spacerowej lub na wyprawę do sklepu z używanymi książkami w głębi łądu. Twierdzili, że nigdy nie mają dość spacerów, które zaczynały się przed bramą domu. To było coś więcej niż tylko pograżanie się w lenistwie: przeszłość tego miejsca otaczała ich zaraz po przyjeździe, wpadali w ustalone wzory i powtórzenia, ogarniani przez to, co robiono tu dawniej. Potem nie mogli odróżnić jednego dnia spędzonego w Kington od drugiego. Wszystkie te spacery, pikniki, leniwe godziny jedzenia i picia przy stole zlewały się w jedno – dni słoneczne, deszczowe i śnieżne. Kiedy Molly przywiozła te dwie przyjaciółki, które prawie się nie odzywały, tylko narzekały wściekle, gdy były z nią sam na sam, na łazienkę i jedzenie? Kiedy Christopher przejechał całą drogę ze stacji rowerem, pokonując strome wzgórza? Wszystkie Boże Narodzenia, które spędzili tutaj, wyglądały na zdjęciach tak samo: zmieniały się tylko fryzury. Starzeli się powoli, mając na głowach te same papierowe czapeczki. Z niemowląt wyrastały dzieci, jedne żony Rolanda ustępowały miejsca następnym w długiej procesji, jak z przesadą podkreślała Alice.

Harriet i Pilar jechały aż na drugi koniec wrzosowiska, by znaleźć plażę, na

której można by popływać, w miejscu, gdzie ujście rzeki przechodzi w otwarte morze. To zerwanie z tradycją było dla Harriet przełomowe, choć przemierzyły tylko trzydzieści mil. Nie była pewna, jak ma jechać, i Pilar sprawdzała trasę na mapie. Kiedy tak jechały, poczuła, że poprawia się jej nastrój, otwierają się nowe możliwości. Kulfony Arthura nic nie znaczyły. Porażka z sukienką była tylko zabawna, nie liczyła się. Zazwyczaj surowość wrzosowisk skłaniała do niewesołych refleksji, lecz dziś porośnięte krzewami torfowiska były w słońcu łagodne i zdawały się zapraszać do zabawy, a ich fioletoworóżowe i brązowe połacie były przejrzyste i beztroskie. Harriet wyglądała dobrze w bluzce podarowanej przez Alice; siostra naprawdę się na tym znała. Może włoży ją, kiedy pójdą do Pattenów na kolację. Może jednak bycie dystyngowaną wcale nie jest śmieszne.

Wszystko, o czym myślała, wydawało się proste i oferowało nowe możliwości, ponieważ obok niej siedziała Pilar. Za każdym razem, gdy Harriet zmieniała bieg, spoglądała na nią ukradkiem. To Pilar wpadła na pomysł wycieczki i dała jasno do zrozumienia, że nie chce, by Roland im towarzyszył. „Tylko pływacy – powiedziała. – Chcemy popływać w prawdziwym morzu”. Teraz ten dziewczęcy upór pozostawał w zawieszeniu i Pilar milczała, czasami spoglądając na krajobraz w taki sposób, jakby nie potrafił na dłużej przykuć jej uwagi. Włosy miała nisko związane w koński ogon. Harriet była zbyt nieśmiała, by zapytać, o czym szwagierka myśli lub co zamierza. Obecność drugiej kobiety – dar losu, którego blask ją oślepił – wymagała poddania się, nieprzesłuchiwania. Harriet ukrywała swoje przemyślenia nawet przed samą sobą, grzebiąc je głęboko w zmieniającej się, zalanej słońcem scenerii każdej chwili. W powiewach powietrza w samochodzie czuła zapach perfum Pilar; musiały jechać z otwartymi oknami, bo oczywiście w jej starym renault nie było klimatyzacji. Kiedy zatrzymały się w połowie drogi, by zjeść lunch w ogródku przy pubie, nie przeszkadzało jej, że Pilar prawie się nie odzywa. Zwykle cierpiała, o milczenie innych obwiniając swoją własną powściągliwość w rozmowach. Ale dzisiejsza swoboda z Pilar, bez słów, wydawała się dowodem intymności.

Cudownie było znaleźć się o wiele dalej na południe i zachód niż zwykle, dalej od wszystkiego, kiedy wjechały wreszcie do małego nadmorskiego miasteczka położonego na pochyłości. Zamiast ujścia rzeki i jej błotnistego nurtu tutaj światło nie miało granic, a srebrne morze ciągnęło się aż po horyzont. Ludzka osada trzymała się rozpaczliwie stromego zbocza; małe wiktoriańskie nadmorskie wille wyglądały, jakby wycięto je z papieru, a pięknie zdobione szyldy przypominały fantastyczne dzieła sztuki prymitywnej. Miasteczko było zapuszczone, uwięzione w czasie, przeładowane kawiarenkami i kioskami z rybą i frytkami; tłum na plaży też wyglądał, jakby pochodził z innej epoki. Harriet pomyślała, że te dzieci są tu od zawsze: napełniają plastikowe wiaderka piaskiem i taplają się

w małych jeziorkach, które pozostawił przyływ. Pływały twarzami w dół na materacach, skakały i piszczwały w pianie monotonnie załamujących się fal, które wypływały z siebie drobne kamyczki niczym myśli po chwili zastanowienia. Tam, gdzie skały wyrastały prosto z wody, morze rozbijało się o nie, bryzgając oślepiająco białą pianą.

Zamknęły cenne rzeczy w bagażniku samochodu, by móc zostawić na plaży tylko zwinięte w kłębek ubrania i ręczniki. Szybko się rozebrały i weszły do płytkiej wody, która przyplęwała, cofała się, a potem znów wracała, by oblać je łagodnie. Śmiejąc się i piszcząc z zimna, ruszyły dalej, jeszcze z wahaniem, z podniesionymi rękami – aż powierzchnia wody, matowa jak ciemne szkło, pełna wijących się wodorostów, zafalowała wokół ich talii, dotykając ich intymnie niczym osłonięte rękawiczkami chłodne dłonie. Pilar upięła włosy na czubku głowy, by schować je pod różowym gumowym czepkiem, jej długa twarz była surowo naga, w migoczącym świetle skóra wydawała się miększa i bardziej różowa, z błękitnym poblaskiem. Harriet zanurkowała pierwsza, pogrążając się w szoku innej perspektywy, horyzont znalazł się na wysokości oczu, gęsta słona woda rozstała się przed jej rękami, jej plusk rozbrzmiewał w uszach na przemian z podwodną ciszą. Zimno wody zaczęło ustępować przed ciepłem jej ciała, podnosząc ją na duchu.

– Jest cudownie! – krzyknęła, oszołomiona zdradliwym chłodem pierwszego zanurzenia.

Pilar przyglądała się jej z wahaniem, a potem z zabawnym gestem, jakby zbierała lejce, zacisnęła wargi i rzuciła się w morze.

Wyplęnęły daleko, potem wróciły, by dać się unosić powracającym falom, i znów wypływały na głębię z dala od rybek baraszkujących w pianie. Ich radość z pływania była niemal nieludzka; przeniesiona z powietrza do wody świadomość była wyciszona i zarazem wzmożona, ruchy w wodzie zastępowały rozmowę. Mewy szybowały na tle słońca, krzycząc i przecinając powietrze skrzydłami jak ostrza, albo wznosiły się i opadały niekonsekwentnie na powierzchnię wody jak ptaki zabawki ze zwiniętymi skrzydłami i szklanym wzrokiem. Harriet raz zanurzyła się pod wodę. Otworzyła oczy, by przez brązowo-zieloną mieszaninę wirujących drobinek zobaczyć kopiące nogi Pilar, załamane promienie słońca i zachować to w pamięci na długo. Wydawało się jej, że nie odwiedzała tego miejsca od czasów dzieciństwa, zapomniała o nim; kiedy wyłoniła się znów na hałaśliwy dzień, niemal oczekiwała, że znajdzie się w innym życiu. Potem zobaczyła Pilar machającą do niej z oddali. Pływały, dopóki się nie zorientowały, że są zbyt wyczerpane i kąpiel może się stać niebezpieczna. Wychodząc, z trudem podnosiły kolana i ledwo utrzymywały się na nogach.

Ciałem Harriet wstrząsały dreszcze; musiała zacisnąć zęby i zamknąć oczy, by się uspokoić, skulona na piasku, owinięta zniszczonym ręcznikiem w paski

z szafki w Kington. Pilar nacierała się pracownicie olejkiem do opalania, który pachniał orzechami i przyprawami, jak coś, czego kiedyś używała ich matka. Teraz chyba już nikt w Anglii nie kupuje takich olejków.

Potem Pilar zaproponowała, że nasmaruje też Harriet.

– Masz taką jasną skórę.

Harriet zsunęła ręcznik i spuściła głowę. Pilar z powagą zaczęła smarować jej ramiona; Harriet wyrzuciła z myśli ich biel i chudość.

– Z tobą mogę swobodnie rozmawiać – powiedziała Pilar, przesuwając silnymi palcami po łopatkach Harriet, delikatnie smarując szyję, miejsce tuż pod włosami, za uszami, wokół ramion, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie. – Bo są rzeczy, o których nie mogę rozmawiać z Rolandem. Chcę, żeby wszystko było dla niego miłe, nie chcę niszczyć zmartwieniami tego, co nas łączy. Valerie stale go dręczyła, prawda? Ale jest pewien problem z moją ciotką. Po części dlatego nie palę się do powrotu do domu. Ciotka chce, żebym zrobiła pewne badania, a ja się przed tym bronię.

Pilar masowała z taką wprawą, że całe ciało Harriet przetopilo się w odczuwanie. Jak w delirium wyobrażała sobie, że natłuszczone dłonie wsuwają się pod mokry kostium, zapuszczając się coraz dalej, na pełne pragnienia piersi i niżej, do miejsca, gdzie spotykały się jej zaciśnięte uda, posiniałe z zimna. Nikt nie dotykał jej tak swobodnie, tak długo – być może nigdy, od kiedy była dorosła. Niechętnie wróciła myślami do tego, co mówiła szwagierka.

– Jakie badania?

Pilar naturalnym ruchem zsunęła ramiączka kostiumu Harriet. Badania DNA, wyjaśniła, bo niektórzy ludzie są przekonani, że jej rodzice nie są zgodnie z prawem jej rodzicami. Nie przepada za nimi, co nie oznacza, że chce mieć nową grupę krewnych; jedna rodzina w zupełności wystarczy.

– Nie masz pojęcia, jacy oni są. Ci bojownicy, lewicowcy: mają obsesję, dzień i noc myślą tylko o jednym. Oczywiście rozumiem to. Ale nie chcę do nich należeć. Uważają, że badania przywrócą im synów i córki?

Harriet starała się to wszystko rozwikłać.

– Czy to oznacza, że mogłaś zostać adoptowana?

– Wszyscy wiedzą, że zostaliśmy z bratem adoptowani. To było w czasie, gdy znikali ludzie, ale my znajdowaliśmy się w sierocińcu i wszystko odbyło się zgodnie z prawem. Mamy wszystkie dokumenty. Poza tym co takie badania mogą udowodnić? Nie należę do tych ludzi, pochodzą z innego świata. Mój wujek mówi, że co było, minęło.

Wbijając palce w piasek, szukając kawałków muszli, Harriet poczuła, że przeszywa ją jednocześnie poczucie winy i niezwykła przyjemność: jak mogła być tak egoistycznie szczęśliwa, gdy Pilar cierpi? Słyszała co nieco o tych historiach – że dzieci znikających ludzi przekazywano do adopcji uprzywilejowanym

zwolennikom reżimu. Odsunęła jednak od siebie skomplikowaną ocenę moralną tej sytuacji. Bezpieczna w swoim życiu pod kloszem, nie miała prawa o to wypytywać. Co mogła wiedzieć? Pilar wydawała się jej wspaniała, bohaterska i stoicka; żyła w politycznej rzeczywistości ze strasznymi konsekwencjami przemocy.

Kasim oświadczył, że dzieci mogą wejść do zrujnowanej chaty. Kiedy Molly zaniepokoiła się, że to może być niebezpieczne, uspokoił ją beztrzesko.

– Stoi tutaj od stu lat i postoi jeszcze sto. Poza tym byli już w środku, wszyscy tam weszliśmy, nie ma się czego bać.

– Lepiej pójdę z nimi – odparła Molly. – Mimo że przyprawia mnie o gęsią skórkę. I śmierdzi.

Zadrżała jak kot wachający zimną wodę.

Kasim musiał połączyć siły z Ivy, by ją od tego odwieść. Mrugnął do niej znacząco.

– To nasz sekret – oświadczyła Ivy złowieszczo. – Nie możesz tam wejść.

– Usiądź tu na brzegu – powiedział Kasim, prowadząc Molly za ramiona. – Nie martw się o dzieci, poradzą sobie. Dzień przed twoim przyjazdem zasnąłem tutaj. To zaczarowane miejsce, natychmiast zapadasz w sen. Spójrz, widać jeszcze zarys miejsca, gdzie leżałem, trawa jest przygnieciona. Spróbuj.

– Nie widzę żadnego zarysu.

Popychał ją w dół łagodnie, ale zdecydowanie, pozornie skupiony na niej i jednocześnie ledwo jej świadomy, jakby wypełniał jakiś swój przygotowany z góry program. Najpierw usiadła po turecku.

– Nie, musisz się położyć. Staraj się nie zasypiać, spróbuj, czy dasz radę. Zamknij oczy: załóż się, że zaśniesz w pół minuty. Wydaje mi się, że jesteś bardzo podatna na sugestie, prawda?

Molly posłusznie położyła się na trawie, z odrzuconymi włosami, zamkniętymi oczami i twarzą wystawioną do słońca. Była blada, słońce prawie wcale jej nie opaliło – poza chmurą niewyraźnych piegów na nosie i rdzawym poblaskiem u nasady włosów, zupełnie jakby się nie myła, choć był pewny, że myje się bardzo dokładnie i często, słyszał, jak woda w łazience leje się godzinami, w dzień i wieczorem. Lekko fioletowe powieki były nieprzyzwoicie ogromne, gdy je zamknęła, a pełne usta rozchyliły się z ufnością – wyschłyby i popękały, gdyby stale nie smarowała ich maścią z tubki, którą nosiła w kieszeni, zawsze dbając o wygląd. Jej małe piersi spłaszczyły się, gdy leżała na wznak, tak więc pod koszulką unosił się i opadał głównie stanik; jej pępek był wystającym brązowym guziczkiem w nagim wgłębieniu pomiędzy kośćmi biodrowymi.

Kasim nachylił się nad Molly, nie dotykając jej, studiując ją, przemawiając do niej kojąco, dbając, by nie padł na nią jego cień i jej nie przeszkodził. Pomyślał, że gdyby mógł zobaczyć ją wyraźnie, byłby w stanie ją zrozumieć i przejrzeć, co

takiego kryje się w jej powierzchowności, co go blokuje i powstrzymuje. Jej uroda była tylko subiektywnym, ulotnym efektem chwili; przejęła go świadomość, że Molly zestarzeje się i zmieni. Pomyślał o rozflirtowanej Alice, o tym, jak skóra pod jej brodą i pod ramionami zaczyna wiotczeć i opadać. Nie oznaczało to, że ramiona jego matki, umięśnione po siłowni, były lepsze.

– Mój ojciec nie ma pojęcia – zaczął bez sensu, pragnąc ją czymś zająć, żeby nie otworzyła oczu i nie odpowiedziała mu spojrzeniem. – Jest takim starym lewakiem, wiesz? Można by pomyśleć, że teraz zaczniesz się zastanawiać: no cóż, moje pokolenie nie bardzo sobie poradziło, może pomimo wszystkich wysiłków nie udało nam się zrealizować idei socjalizmu, wygląda na to, że wszystko zeszło na psy. Ale nie: to nigdy nie jest jego wina, zawsze kogoś innego. Gdyby tylko posłuchali mnie i moich kumpli, myśli, nie tkwilibyśmy teraz w tym bałaganie. To wszystko jest jedną wielką zmarnowaną okazją. I tego nie mogę znieść, Molly, naprawdę. Jest tak pełen energii. Hej! Tato! Czas trochę zwolnić. Nie zaczynaj kolejnej pieprzonej krucjaty dla czarnej młodzieży, błagam.

Kasim poczuł prawdziwą falę irytacji na ojca, jakby pierwotna męskość Daniego rzuciła cień na popołudnie. Molly uśmiechnęła się z zamkniętymi oczami.

– Daj sobie z tym spokój – powiedziała. – To nieważne. Poza tym chyba mówiłeś, że mieszka w Pakistanie.

– Skąd ci to przyszło do głowy? Mieszka w Ladbroke Grove. Ja też tam z nim mieszkam, kiedy nie jestem na uniwersytecie albo u mamy. Muszę się stamtąd wyrwać.

Kiedy Ivy weszła do chaty, wpadła w jakiś amok. Musiała uwolnić się od tego miejsca, zaczęła więc głośno tupać, krzyczeć i kopać zeschnięte liście na palenisku, rozrzucając je po czerwonej betonowej podłodze. Wśród liści wyczuła czubkiem plastikowego sandałka coś miększego i bardziej podatnego, co zignorowała, a jednak nie kopnęła tego czegoś jeszcze raz. Martwy ptak? Mogła wyczuć lekkie trząśnięcie ptasich piór lub kości – każdy horror był możliwy. Popisywała się przed Arthurem, demonstrując swoją uprzywilejowaną pozycję w chacie, chwając się, że była tu kiedyś całkiem sama, bez niego.

– Kiedy?

– Tamtego dnia, kiedy wy się bawiliście.

Ta samotna wizyta już była owiana mitem: z trudem mogła uwierzyć w zuchwałość tamtej drugiej Ivy, która odważnie ruszyła po schodach na spotkanie z tym czymś na górze. Arthur był wyraźnie sceptyczny i dzwonił drobnymi w kieszeni szortów.

– Przyszłam tutaj, naprawdę! Po co zabrałeś pieniądze, głupolu? Tu nie ma ich na co wydać.

Myślał, że może będą przechodzić obok sklepu. Ivy spojrzała na niego z pogardą, ale nagle wpadła na pomysł.

– W sumie to dobrze, że je zabrałeś. To będzie część ofiary, którą musimy złożyć.

– Jakiej ofiary?

W jej głosie zabrzmiała pokora.

– Mówiłam ci. Dla tych Martwych Kobiet.

Chwilę zajęło jej przekonanie Arthura, by zgodził się rozstać z funtową monetą – w końcu musiała odginać zaciśnięte blade palce, gdy chronił swój skarb w dłoni. Kiedy jednak już go wypuścił, z wdziękiem przyłączył się do rytuału, który wymyśliła Ivy. Na górze, w pierwszym pomieszczeniu, wyrwali wyblakłe różowe kawałki ciała ze stron czasopisma, zgnetli w kulkę i ułożyli na podłodze wokół monety. Inne próbki, jak nazwała je Ivy, dziewczynka włożyła do kieszeni. Krzątając się i przygotowując ofiarę, czasami niemal zapominała, że ma się bać tego miejsca, i raz otworzyła drzwi do ostatniego pomieszczenia niemal niedbale, jakby tylko sprawdzała, czy Mitzi nadal tam jest. Oczywiście była. Nigdzie się nie wybierała – jej szczątki wydawały się nawet mniejsze i ściągnięte w drobniejszy, niekonkretny kształt przypominający coś zrobionego ze skóry. Zaczynała powoli wydawać się częścią tej samej materii co pomieszczenie, zmieniał się też jej zapach: nadal był paskudny, ale bardziej stęchły i stary. Obojętność Ivy, gdy na nią patrzyła, znamionowała doświadczoną kapłankę kultu. Arthur patrzył na Mitzi dłużej niż siostra – ona była zaprawiona.

Używając zapalniczki Kasima – którą Ivy zabrała z biurka w gabinecie, bo Kas już jej nie potrzebował – podpalili skrawki papieru. Zwinęły się i zbrązowiły na brzegach, gdy lizały je płomienie, a jedna z kobiet wyglądała przez chwilę, jakby się przeciągała, rozwijając bujnie na całą długość, zanim pochłonął ją krótki błysk ciepła i światła. Kiedy zapobiegliwie zdusili ostatnie iskry, Arthur chciał odzyskać monetę, lecz Ivy oświadczyła, że to przyniosłoby pecha, moneta należała teraz do Kobiet, więc niechętnie, oglądając się przez ramię, gdy wychodził z pomieszczenia, zostawił ją na podłodze. Schodzili zupełnie inaczej niż za pierwszym razem, gdy ścigał ich koszmar. Ivy uchyliła frontowe drzwi, unosząc je na zawiasach, Arthur precyzyjnie przeczesał się obok niej. Oboje jednocześnie zauważyli Kasima i Molly, którzy leżeli na trawie, oszołomieni i zdezorientowani w blasku słońca, nieświadomi obserwujących ich dzieci.

W tej właśnie chwili Molly oparła się na łokciach i uniosła usta do Kasa, który podtrzymał jej głowę dłonią, przekrzywił ramiona, by znaleźć się pod odpowiednim kątem, i zbliżył swoje rozchylone wargi, by ją pocałować. Ich głowy poruszały się w powolnym, zgodnym rytmie, jakby lizali lody. Dzieci nie były przygotowane na ten pocałunek i wstrząśnięte jego nagłością wymieniały spojrzenia pełne pogardy i konsternacji. Kiedy tylko tamci usłyszeli zbliżające się dzieci, odsunęli się od siebie, jakby nic się nie wydarzyło, a dzieci udawały, że niczego nie widziały.

Roland i Alice pili z płaskich kieliszków resztki musującego wina, wyciągnięci na trawie w popołudniowym słońcu, dzieląc się w ramach lunchu miseczką solonych orzeszków. Mieli dom tylko dla siebie, bo wszyscy wyszli. Roland był bardzo rozmowny po całym ranku pisania na laptopie w swoim pokoju, gdzie pracował nad recenzją. Alice wyznała, że kiedy była aktorką, recenzje omal jej nie zabiły. Myśl o nieprzejeźdanej krytyce, o krytyce ubranej w słowa, których nie dało się zmiękczyć ani wymazać, była dla niej straszna. Choć raz, zamiast atakować Alice (czy Roland zauważył, że sprzeciwia się z cierpliwą wyrozumiałością wszystkiemu, co ona mówi?), potraktował jej słowa ze współczuciem. Skąd się brało to zwątpienie we własne siły? Kiedy mieli piętnaście czy szesnaście lat, można było pomyśleć, że to Alice jest najbardziej pewna siebie, zachowywała się w tak bez troski i wyrafinowany sposób. Nikt nie mógłby sobie wtedy wyobrazić, że to Roland będzie przemawiał tak pewnie, mając po swojej stronie powagę autorytetu.

– W innych czasach, Roly, byłbyś idealnym pastorem. Naprawdę szlachetnym. Założyłbyś zgromadzenie albo niósłbyś Dobrą Nowinę poganom czy coś w tym stylu. Potrafię to sobie wyobrazić. My, straszne stare panny, siedziałybyśmy w domu i robiły dla ciebie ciepłe kamizelki na drutach, otaczając cudownego brata kultem i nienawidząc go w duchu.

– To nie brzmi zbyt sympatycznie.

– Stare panny pewnie lepiej by się bawiły. Ty zapadłbyś na żółtą febrę i w ostatnich dniach pielęgnowałby cię oddany tubylec, ale podtrzymywałaby cię na duchu twoja wiara. Myślisz, że wiara podtrzymywała dziadka? Kiedy zmarła mama? A może ją stracił?

Roland przypomniał sobie, że w dzień pogrzebu matki ojciec pojechał gdzieś z Alice starą furgonetką; wrócili bardzo późno, gdy wszystko już się skończyło, a potem Alice wymiotowała całą noc, bo zjadła za dużo czekolady. Roland słyszał jednak przy dwóch różnych okazjach, kiedy już będąc dorosła, wypowiadała się tak, jakby brała udział w pogrzebie i była przekonana, że ceremonia odbyła się tutaj, w Kington, a nie w kościele w Marylebone. Ich tata twierdził, że nie może znieść religijnej hipokryzji, a Alice udawała, że czuje to samo, choć była za mała, by wiedzieć, co to takiego. Roland przejrzał ich oboje, ojca i córkę: wiedział, że po prostu się bali. Alice miała na sobie jakąś obcisłą srebrną punkową sukienkę, która podkreślała jej dziecięcy tłuszczyk i pierwszy zarys piersi. Wszystko tamtego dnia było szalone i niezorganizowane, nawet babka nie mogła przywrócić porządku. Czasami Rolanda ogarniała litość dla siostry – choć nie leżało to w jego charakterze i nie miał przekonania, że litość może komuś pomóc. Alice byłaby skonsternowana, gdyby się dowiedziała, że ją odczuwał.

Przesunął palcami przez swoje kręcone włosy.

– Podejrzewam, że dziadek wierzył, że opatrność boska jest niezgłębiona.

Tak myślą poważni chrześcijanie. I to wydaje się rozsądne. Ja też myślę podobnie, tylko że bez Boga.

Miał skórę poznaną delikatnymi brązowymi plamkami i ze swoimi brązowymi oczami przypominał Alice nakrapianego drozda; na jego twarzy widać było przepływający jak podwodny prąd strumień świadomości. Pomyślała, że przez chwilę są sobie tak bliscy jak dawniej. Poszukała palcami orzeszków w miseczce, lecz znalazła tylko sól.

– Bo jest niezgłębiona, prawda? Dla mnie życie jest dość przerażające, dla ciebie nie? I jestem takim tchórzem. Na pewno nie wiem, co wszystko oznacza. Chodzi mi o to, że przerażają mnie nawet najzwyklejsze rzeczy, smutek zmian, starzenia się i niewykorzystanych szans. No i jest jeszcze ten paskudny kierunek, w którym wszystko zmierza – na przykład sprawy środowiska. Wiem, że się złościś, kiedy myślisz, że ogarnia mnie nostalgia za dawnymi czasami, jakby w przeszłości wszystko było lepsze. Może rzeczywiście nie było. Ale nie boisz się oceanów pełnych plastiku, topniejącej pokrywy lodowej, wielkich przemysłowych farm z jeziorami ścieków? Wycinają wszystkie lasy w Zambii, gatunki zwierząt wymierają za naszego życia, w ziemi szukają brudnych złóż mineralnych i ludzie zapominają, jak tworzyć piękne rzeczy. Czy to wszystko nie jest obrzydliwe i przerażające?

– Ale nigdy nie byłeś w Zambii.

– Czytałam o tym w książce.

Roland przeciągnął się w słońcu i zamknął oczy.

– Czy się boję? W tej chwili odczuwam zwierzęcą pewność dobrobytu, wbrew podpowiedziom intelektu. Poza tym jak udało nam się tak szybko dojść do apokalipsy? Ty wszystko sprowadzasz do apokalipsy, Alice.

– Bądź poważny. Przyznaj się, że się boisz.

Ale Roland nie chciał się przyznać, uśmiechnął się, nie otwierając oczu, jakby strach był tylko zjawiskiem, które rozważał na tle innych zjawisk, zainteresowany zbadaniem jego następstw.

– Naprawdę uważam, że Pilar jest cudowna – powiedziała Alice. – Wiesz, że tamtego dnia nie mówiłam poważnie. Jestem pewna, że do nas pasuje. Choć przyznaję, że jest trochę przerażająca. Taka zorganizowana i energiczna, musi myśleć, że jestem do niczego. To miłe, że tak świetnie dogaduje się z Harriet.

Roland zamknął się w sobie. Nie chciał rozmawiać z nią o Pilar.

Wszyscy, razem z dziećmi, zostali zaproszeni na kolację do Pattenów. Było coś ceremonialnego w sposobie, w jaki przechodzili przez drogę wczesnym wieczorem, niosąc butelki; Ivy, skupiona, ze szklanym półmiskiem pełnym zrobionych przez Fran czekoladowych truflí przykrytych folią. Pilar wzięła białe róże, ścięte pod murem otaczającym ogród. Czuli się jak członkowie klanu: związani ze sobą i rozpoznawalni, choć raz, jako rodzina. Roland niósł Arthura na

barana, jakby mężczyźni musieli górować nad hordą kobiet. Arthur jechał na wuju ze spokojem, a na jego ustach błąkał się uśmiech; sterując lekko dłońmi opartymi na głowie Rolanda, wyglądał jak książątko przywykłe do hołdów.

W milczeniu przygotowywali się na godziny nadciągającej pogawędki, wzbijając stopami obłoczki pyłu na drodze; perfumy kobiet mieszały się w ciężkim powietrzu. Nawet Harriet skropiła się perfumami, nawet Roland spryskał się wodą kolońską. Harriet szła z pewną siebie sztywnością, która zniechęcała do komentarzy. Miała na sobie bluzkę i spódnicę подарowane przez Alice, a na szyi zawiązała swoją jedwabną apaszkę, której Alice by już nie doradzała. Ale śliczne kolczyki Harriet, kupione prawdopodobnie w jakimś odwiedzionym przez nią muzeum, wychwytywały światło, a jej twarz była ożywiona, opalona i zaróżowiona po wyprawie nad morze. Molly poruszała się po pocałunku z nową płynną pełnością, którą rozumiały tylko dzieci; ojciec, obserwujący jej rozmarzenie, poczuł ukłucie niepokoju, myśląc, jak jest dziecinna i niedoświadczona. Kasim miał się spóźnić na przyjęcie, ponieważ wybrał akurat ten moment, by wziąć kąpiel, choć wcześniej godzinami siedział w swoim pokoju. Molly prawie za nim nie tęskniła – poczucie jego bliskości było tak silne, że niemal obawiała się jego fizycznej obecności, która mogła tylko wszystko skomplikować.

Blask późnego słońca padał przez okna kościoła za nimi; wypełniał kamienne wnętrza i nadawał mu lekkości, po czym snuł się jak duch pomiędzy grobami. Tego ranka, kiedy część z nich jeszcze leżała w łózkach, z wnętrza kościoła dobiegły ich drżące głosy śpiewające hymny. Ponieważ kościół wykorzystywany był na przemian z trzema innymi, zapomnieli już, że należy się tego spodziewać. Żadne z nich nigdy nie brało udziału w nabożeństwach, nigdy nie klęczało na haftowanych w polne kwiaty podnózkach babki. Jeśli właśnie odbywało się nabożeństwo, poruszali się tylko bardziej godnie i z poczuciem winy po terenie dawnej plebanii i każdy uświadamiał sobie, że czas upływa według ustalonego wzoru, który wyróżniał się w powodzi ich własnych dni, niczym się od siebie nieróżniących. Kościół odmierzał czas, podczas gdy oni byli rozkojarzeni.

Teraz, gdy wchodzili na podwórko Pattenów, białe gołębie spłynęły z nieba z szumem piór, przed wylądowaniem składając skrzydła z dźwiękiem, który wydaje z siebie strzepywany w powietrzu duży kawał materiału. Claude Patten, choć projektował głównie domy starszych ludzi i centra handlowe, okazał się na tyle mądry, by nie niszczyć starego gołębnika w stodole. Janice sprawdziła w internecie, jakie gołębie wybrać i jak się nimi zajmować. Czekala teraz, zaróżowiona po prysznicu, z wilgotnymi włosami, ubrana w błękitną jak zimorodek tunikę, cała w uśmiechach dumnej gospodyni przy wysokich oszklonych drzwiach otwartych na podwórko. Ze środka dolatywały bogate zapachy potraw: mięsa duszonego na wolnym ogniu z pomidorami, winem i ziołami oraz domowego chleba. W środku zwieszające się na łańcuchach z krokwi

matowe białe kule rzucały słabe światło na długi niczym w refektarzu stół nakryty błękitnym szkłem i żółtymi lnianymi serwetkami. Alice pomyślała, że wszystko wygląda jak w pretensjonalnej restauracji. Nadal mocniej od lamp świeciło wiszące nisko na niebie cytrynowe słońce, które niebawem miało zejść za rozciągającym się aż po horyzont polem wysokiej egzotycznej rozplenicy słoniowej, uprawianej na biopaliwo. Janice nie znosiła tego trawiska – „psuje mi widok, ale przede wszystkim to kwestia ekologiczna” – i pokłóciła się o nią z farmerem.

Witała gości, całowała ich, z wdziękiem przyjęła róże i trufle i powiedziała Rolandowi, że się go boi, bo jest taki mądry. Skruszony Roland zdjął Arthura z ramion i ostrożnie postawił na ziemi. Janice dźwięcznym głosem przywołała Claude'a z miejsca, w którym się zaczął, i nalegała, by zajął się butelkami. Goście poczuli, że długa chwila milczenia, która towarzyszyła im podczas przejścia przez drogę, stała się nagle ich słodkim sekretem, gdy ją hałaśliwie przerwali.

Przechodząc przez drogę (prawdopodobnie za późno – pomyślał ponuro i obojętnie – chyba w ogóle nie powinien sobie zwracać tym głowy), Kas siedł niemal w ciemności. Ogromne wieczorne niebo rozciągające się nad głową miało żywą barwę granatu usianego iskrami gwiazd. Osadziło go na miejscu, stał więc nieruchomo na środku drogi, jakby czegoś zapomniał. Włosy miał nadal mokre po kąpieli, przyciągały wieczorny chłód i moczyły mu kołnierzyk ostatniej czystej koszuli; był zbyt dumny albo zbyt leniwy, by zapytać, gdzie może zrobić pranie, więc czekał, by gdzieś zmaterializowała się pralka automatyczna. Przecież widział dziś, że na sznurze w ogrodzie suszy się pranie.

Wysokie okna stodoły były jasno oświetlone i szeroko otwarte, a z wnętrza dobiegał gwar głosów zmieszany ze szczękiem sztućców i dźwiękiem kieliszków. Kasim zadrzał, wchodząc na podwórko; nie chciał przynależeć do tego zgromadzenia. Czuł, że nie chce zostać wprowadzony do hałaśliwego tłumu przyjaciół i rodziny, jednak ich roszczenia objęły go niczym poufale ramię. Teraz czuł, że żyje, teraz. Nad lękiem można było zapanować, tylko trzymając się z daleka. Alice protestowała przeciwko czemuś, jak zwykle przeciągając samogłoski, przez co zawsze można było odnieść wrażenie, że zaraz zaleje się łzami albo zacznie żartować.

– Boję się wszystkiego – mówiła. – Ale Roland nie chce się przyznać do strachu, po prostu nie chce.

Zniesmaczony Kasim wyobraził sobie, jak wszyscy się śmieją z pełnymi ustami. Ale zależało mu na Molly i musiał wejść do środka. Molly w tłumie była równie milcząca jak on. Na wspomnienie ich pocałunku ogarnęło go pożądanie. Potem na jego policzek spadła niespodziewana gruba kropla ciepłego deszczu z pogodnego wieczornego nieba, na którym nie było widać ani jednej chmury. Początkowo myślał, że woda kapie mu z włosów, potem poczuł kolejną kroplę i usłyszał sekretny szum, zbyt cichy, by mogli go zauważyć w środku, gdy szeleścił

na wyźwirowanym podwórku Pattenów, wzbijając obłoczki pyłu.

Część druga
Przeszłość

Jeden

Gdy Jill Fellowes przyjechała do domu rodziców w Kington w 1968 roku razem z trójką dzieci, uciekając od męża, była przekonana, że skończyła z nim na dobre. Nigdy nie przestała używać nazwiska Fellowes – w myślach, a przede wszystkim gdy przedstawiała się nowym znajomym – choć bycie żoną przynosiło korzyści w szkole Harriet i u lekarza. Kiedy pisała do niej matka, listy zawsze były adresowane do pani T.R. Crane'owej. Matka pisała co tydzień, a jej listy wypełniały przyprawione nieodłączną ironią doniesienia o mało istotnych wydarzeniach w Kington. *Ważną wiadomością w okolicy jest to, że sklep się poddał i nie chce sprzedawać niczego poza krojonym chlebem, mówią, że to za dużo kłopotu, a wiesz, że Twój ojciec nie weźmie go do ust. Spodziewam się, że kazanie w najbliższą niedzielę będzie druzgocące.* Co tydzień Jill słała posłuszne, nieciekawe odpowiedzi. Nie zwierzała się matce z niczego.

Pewnego późnego popołudnia w maju matka Jill, ubrana w najstarsze spodnie i koszulę do pracy w ogrodzie, wyprostowała się podczas pielienia w ogródku od frontu starego białego domu obok kościoła. Była bardzo chuda – koścista, jak mawiała – pełna wdzięku i wypłowiła, z bladymi szaroniebieskimi oczami i szpakowatymi włosami, które rosły dziwnie w górę, jak czub. Czy myślała w tej chwili o pączkujących różach i zapiekance z mięsa i ziemniaków na kolację, jak karykatura żony pastora? Właśnie wtedy w pogodny, nudny spokój tego miejsca wdarł się hałas i jej ukochana jedyna córka i wnuki wygramolili się z nieznanego samochodu na drodze przed domem jak duchy, zupełnie nieoczekiwanie. Samochodem był morris traveller z drewnianymi elementami karoserii.

Sophy nie myślała o zapiekance. Zanurzyła się, jak często robiła w samotności, w ciemną głębię siebie: mogła tak stać, marząc o niczym przez pięć sekund albo pięć minut. Kiedy więc ujrzała córkę, w pierwszej chwili pomyślała – nietypowo dla siebie, ponieważ była racjonalna i sceptyczna, a wiara, która ją podtrzymywała, wydawała się czasem cienka jak nić – że ma widzenie. Takie w stylu Stanleya Spencera: udomowiony cud. Dzieci były śliczne jak aniołki, ale też lepkie i brudne. Hettie była blada jak ściana, nosek okularów Rolanda sklejoną taśmą, a loczki malutkiej Ali spłaszczone od potu, jakby obudzono ją ze snu przy ciele matki. Protestując jękiem przeciwko postawieniu jej na ziemi, szła za matką, potykając się i czepiając się jej płaszczka, tak że Jill o mało co się o nią nie przewróciła.

– Trzymaj ją, Hettie, dobrze?

Morris traveller nie należał do Jill. Nie miała prawa jazdy, a poza tym nigdy nie byłoby jej stać na samochód. Przyjechali z Londynu pociągiem, potem autobusem, a kiedy szykowali się, by przejść dwie mile krętymi ścieżkami do

Kington – przypominając uchodźców z pustyni – ktoś przejeżdżający drogą ulitował się nad nimi i podrzucił ich na plebanię. Kiedy Jill wyjęła zza tylnego siedzenia składany wózek i walizkę, nachyliła się z uśmiechem do otwartego okna od strony pasażera i Sophy usłyszała, jak córka wylewnie i uroczo dziękuje, jak ją nauczo: „To takie uprzejme z państwa strony... uratowaliście nam życie”. Morris wycofał do wjazdu na farmę Brodych po drugiej stronie drogi i odjechał, kiedy Sophy zdążyła rzucić łopatę i podbiec do bramy.

– Moje skarby jedyne! – zawołała. – Co się stało?

– Śmierdzimy – odparła Jill beznamyślnie. – Będą musieli otworzyć wszystkie okna, żeby po nas wywietrzyć. Harriet wymiotowała w autobusie, nie miałam czym jej wytrzeć poza jej swetrem. Cała podróż była istnym piekłem. A oni wcale nie jechali do Kington, zbczyli z drogi tylko dla nas. Nie mam pojęcia, kim byli, wyglądało tylko na to, że nas znają. Koniecznie musimy się wykąpać.

– Ale kto to był? – Sophy przejmowała się zawiłą siecią zobowiązań i przysług. – To takie miłe z ich strony! Chciałabym im podziękować.

– Udawałam, że wiem. Zapytałam przebiegle: „Jak się wszyscy miewacie?”. Ale byli zbyt nijacy, żeby ich zidentyfikować. Córka ma na imię Penny, kto to kojarzy? W każdym razie byli wścibscy, dopytywali się, czemu tata nie odebrał nas ze stacji. Powiedziałam, że przyjechaliśmy z niezapowiedzianą wizytą. Bo tak jest.

– Kochanie, mogłaś zadzwonić do Smithów. Jak mam was wszystkich nakarmić? Cud z rozmnożeniem chleba i ryb nie działa w przypadku zapiekanki, kiedy jest taka malutka. A wiesz, że Smithowie nie mają nic przeciwko temu. Tylko przez upór ojca nie mamy jeszcze telefonu. A sklep jest już zamknięty. Będę musiała pójść do Brodych po jajka.

– Nie jadamy jajek – obwieścił Roland z powagą.

– O Boże – westchnęła Jill. – Już zaczynałam myśleć, że nigdy tu nie dotrzemy, że będziemy musieli spać gdzieś pod płotem. A ty się przejmujesz takim drobiazgiem jak jajka.

– Nie powinnaś mówić „Boże” – skarciła ją Hettie. – Dziadek tego nie lubi.

– Nie ma go w domu. Odwiedza chorych.

– Dzięki Bogu za chorych – odparła Jill. – Możemy mówić, co chcemy, do jego powrotu.

Sophy nastawiła wodę na herbatę. Zdumiewające, że Jill i dzieci stali się nagle realni i byli z nią w domu. Zwykle przed ich odwiedzinami – albo przed jej wizytami w nieporządnym, nieodpowiednim mieszkaniu nad sklepem przy Marylebone High Street – miała czas, by się przygotować na zdumienie. Gdyby miała przynajmniej chwilę, żeby się przebrać z tych starych łachów. Uświadomiła sobie, że lepiej znała tęskny sen o córce niż samą córkę: zdecydowaną kobietę z wymizerowaną twarzą typową dla młodej matki, z kołyszącym się brązowym

końskim ogonem spiętym na czubku głowy, z kolorami, które przywodziły Sophy na myśl skojarzenie z drozdem. Wymięta koszulowa sukienka Jill była taka krótka – Sophy zauważyła, że córka skróciła ją sama, wielkimi dziecinnymi szwami. Błada szminka popękała na wargach, oczy podkreślał makijaż. Kiedy spuściła wzrok, ciężkie, mocno wypukłe brązowe powieki mogły należeć do świętej, ale kiedy je podnosiła, oczy patrzyły na wszystko ze zbyt wielkim apetytem.

Jill miała na sobie zimowy płaszcz, ponieważ było to łatwiejsze, niż nieść go pod pachą; płaszcz był za gruby na łagodny, choć pochmurny wiosenny dzień i na jej policzkach wykwitły ogniste rumieńce. Teraz rzuciła go na krzesło w holu, przeszła przez dom i przez otwarte drzwi na taras wyszła do ogrodu, gdzie rzuciła się na trawę: chłód ziemi przenikał przez sukienkę, odświeżając ją. Przez moment było tak, jakby nadal miała siedemnaście lat i nigdy stąd nie wyjeżdżała. Potem malutka przydreptała za nią i z uśmiechem triumfu usiadła na niej okrakiem, podskakując, aż Jill jęknęła, zsunęła ją, uniosła przód pajacyka w truskawki i zaczęła prychać jej w brzuszek.

Przy herbacie matka zapytała ostrożnie, gdzie jest Tom.

– W Paryżu. Buntuje się.

Choć raz ironia zawiodła Sophy.

– Buntuje?

– No wiesz. Czyż nie to robią rewolucjoniści? Buntują się.

– Wielkie nieba. Mam nadzieję, że nie wpakuje się w kłopoty.

– Na tym polega rewolucja, mamó – odparła Jill. – Szuka się kłopotów.

W każdym razie Tom ma nadzieję, że je znajdzie, żeby mógł o tym napisać do gazety.

Sophy powstrzymała się od komentarza i zamieszała herbatę w filiżance, dzwoniąc łyżeczką o porcelanę. Jej zastrzeżenia w stosunku do Toma, czytelne dla córki, w większości pozostawały niewypowiedziane.

– Bardzo bym chciała usłyszeć, co on myśli. Nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Czy studenci nie posuwają się za daleko? Na początku było tyle idealizmu. A francuska policja jest brutalna, prawda?

– W przeciwieństwie do miłych angielskich policjantów.

Jill nie chciała się wdawać z matką w kłótnię o politykę. Miała już dość swoich wysłużonych, starych opinii i gniewu; prawdę mówiąc, w tej chwili Paryż niewiele ją obchodził. Mogła sobie wyobrazić, co się tam dzieje: wszyscy odrzucają całe zło świata, jakby nigdy wcześniej nikt tego nie robił, studenci, którzy nie przepracowali ani jednego dnia w życiu, zachwycają się swoją ofiarą w imieniu „robotników”. Oczywiście kiedy wyobrażała sobie te rzeczy, tak naprawdę wyobrażała sobie Toma.

Myślała, że kiedy przyjedzie do domu, od razu zrzuci z siebie wszystkie smutki. Podczas trudów i niewygód długiej podróży z dziećmi towarzyszyło jej

poczucie, jakby trzymała ciężar tych smutków z dala od siebie i strzegła go swoim życiem: jak posłaniec w dawnych czasach niosący coś ogromnie ważnego, sygnał do wybuchu wojny albo odciętą głowę wroga. Kiedy jednak znalazła się w Kington, tamta nagła potrzeba się rozwiązała. Jak mogła zapomnieć, że w tym domu otwarte rozmowy odkładano na później, które nigdy nie nadchodziło? Zamiast tego martwili się o jajka i Jill przekonała się, że też zaczyna się tym przejmować: jajkami, pościelą, gorącą wodą, jakby to były zakodowane uogólnione wyrazy uczucia i troski. Czekala, by matka zapytała, dlaczego przyjechała tak nagle, bez zapowiedzi. Być może Sophy rzeczywiście nie wyczytała niczego między wierszami wszystkich listów od córki, nie wyczuła, że jej małżeństwo jest porażką. Jill poczuła jednocześnie satysfakcję i osamotnienie; miała wrażenie, że jest o wiele bardziej doświadczona od matki.

Później, kiedy Sophy poszła na górę z naręczem czystej pościeli, którą dosuszała przed piecem, przez otwarte drzwi łazienki zauważyła, że Jill siedzi naga w wannie z dziećmi. Zaskoczona odwróciła wzrok od tego kłębowiska ciał, od gramolenia się, ślizgania, pulchnych rączek zaróżowionych od gorącej wody i od nagich piersi córki, nadal kształtnych i jędrnych, mimo że wykarmiły trójkę dzieci. Stłoczeni w wannie, pryskali wodą na linoleum. Sophy wiedziała, że niektórzy miejscowi patrzyliby z dezaprobatą na taką rozwiązlą kąpiel. Ona nie czuła dezaprobaty, lecz ten widok sprawił, że zaczęła bać się Jill, jakby wspólna kąpiel była symbolem życia, którego Sophy nie potrafiła sobie wyobrazić, a które córka teraz wiodła, wprowadzona w Bóg jeden wie co w Londynie, z Tomem. Sophy pomyślała, że od dawna nie patrzyła otwarcie na niczyją nagość: ani męża, ani własną. Kiedy rozkładała idealnie wyprasowane prześcieradło na łóżku w pokoju Jill, zaskoczył ją widok starej kobiety – na szczęście ubranej – w lustrze na toaletce: wysokiej i tak chudej, że przypominała mebel z giętego drewna, zupełnie pozbawionej koloru, który zniknął nawet z jej oczu. Sophy pomyślała, że wiele mówiący, podejrzliwy wyraz ciemnych warg szpeci grymas wątpliwości, a zaskakujący czub włosów sprawiał, że wyglądała jak urażony ptak: czasami zapominała o spinkach, by je trochę okiełznać.

Kiedy malutka i Roland leżeli w łóżku, a Hettie czytała z babcią w salonie, Jill chodziła po ciemnym pokoju w skarpetkach, susząc gęste włosy ręcznikiem. Przez okna wpadał świeży zapach wieczornych pól, przyciągając ją. Nieoczekiwanie dotarło do niej, że porzucenie mężczyzny nie jest cnotliwe ani nie ma w sobie nic zakonnego; wręcz przeciwnie – tli się w tym seksualny podtekst. Wyjrzała przez okno w pokoju rodziców na olchy poruszające się nad rzeką, usłyszała wodę spieszącą z tym dyskretnym niepokojem, który brzmiał jak deszcz, kiedy człowiek budził się w nocy; jej odbicie zaskoczyło ją w lustrze ogromnej szafy, zniecierpliwiona odwróciła wzrok. Takiego właśnie wytchnienia pragnęła, gdy czuła się osaczona i na wpół oszalała, sama z dziećmi w mieszkaniu

w Londynie, wypełniając dni wyprawami do parku lub odwiedzinami u przyjaciółek. Te nie były pociechą, ponieważ nie wyjawiała im, co się dzieje z Tomem, nie chciała ich opinii ani rad. Cały jej gniew i ból, wzmożone podniecenie w ciągu minionych tygodni skupiły się w jej tęsknocie, by wrócić do domu, jakby samo to było rozwiązaniem. Ale teraz, gdy była już w Kington, zdawała się czekać na coś innego.

Kiedy ojciec wrócił do domu, wszystkie dzieci leżały już w łóżkach, a Jill przebrała się w czystą bluzkę i spódnice.

– Nigdy nie zgadniesz, kto tu jest – usłyszała głos matki w holu, gdy pomagała mu zdjąć płaszcz.

Wszedł do salonu, mrużąc z poirytowaniem, niezadowolony z powodu najścia gości, przywołując cierpliwość, zaciskając pasek czarnej bonzurki z szerokimi wyłogami, z której Tom szydził, widząc w niej wyraz próżności i farsę. Grantham Fellowes był niski, chudy, z twarzą ciemną jak stara skóra. Jego policzki i oczodoły wyglądały jak wyrzeźbione; nad wysokim czołem wznosiły się gęste bielutkie włosy, delikatne jak puch. Tom mawiał, że Grantham pielęgnuje ten wygląd średniowiecznego Świętego Hieronima – lub jego prerafaelickiej kopii. Jill zdawała sobie sprawę, że sama też tworzy sugestywny obraz, gdy siedziała pod lampą, z rozpuszczonymi włosami i z otwartą książką na kolanach – choć wcale jej nie czytała, nie mogła się skoncentrować. Jej opanowanie było fałszywe, ale to dobrze, bo wolała pokazać ojcu nieprzeniknioną powierzchnię, popisową wizję spełnionej siebie. Potrafiła sobie wyobrazić, że zwierza się matce, ale nie do zniesienia była myśl, że ojciec mógłby się dowiedzieć o jej porażce i ją osądzać.

– Czyż to nie urocze? – powiedziała Sophy.

Zaskoczenie na moment odebrało mu przewagę.

– Charlie! Czemu zawdzięczamy ten nieoczekiwany zaszczyt?

– To tylko kaprys – odparła Jill. – Witaj, tatusiu.

Nazywał ją Charlie w czasach, gdy wszędzie chodzili razem, a ona chciała być chłopcem. Zaczął ją uczyć łaciny i historii starożytnej, gdy była jeszcze w szkole podstawowej, a podczas długich spacerów uczył ją botaniki – nigdy się nie skarżyła, że bołą ją nogi. Chodziła z nim do chat bez bieżącej wody i elektryczności, gdzie starzy ludzie leżeli chorzy albo umierający; kiedyś odwiedzili też młodego mężczyznę, któremu pierś zmiażdżyły spadające bele słomy i którego matka chciała, żeby się modlił, choć on nawet nie spojrzał na pastora. Odwrócił głowę, rżąc i wypluwając straszliwe bańki krwi, które zaplamiły brudną poduszkę. Ktoś szybko wyprowadził Jill, zanim zobaczyła za dużo, choć to, co zobaczyła, już było za dużo. Ojciec stracił zdrowie, walcząc o poprawę warunków bytowych robotników rolnych, choć nigdy się z nimi nie identyfikował, a oni nigdy go nie kochali – był zbyt wyniosły, daleki, nie umiał sprawić, by prości ludzie poczuli się swobodnie w jego towarzystwie. W wierszach

czasem pisał o nich, jakby byli nieodłącznym elementem krajobrazu, jak kamienie czy stare drzewa. Miał wizję prostej chrześcijańskiej społeczności, zahartowanej przez trudy i kontakt z surowym prawem natury; nie potrafił ich wspierać, gdy ludzie na wsi chcieli mieć telewizory i lodówki. Teraz, po mechanizacji farm, wielu opuszczało wieś, by szukać pracy w miastach, i jego trzódkę stanowiły głównie stare kobiety i kilkoro przyjezdnych emerytów. Jill wiedziała, że przyjmuje tę kolej losu jako komiczną ironię urągającą jego dumie.

W sypialni, którą zajmowały dzieci, panowała zupełna ciemność, ale w Hettie, leżącej w łóżku i wpatrującej się szeroko otwartymi oczami w pustkę, każdy zmysł był wyczulony na różnicę pomiędzy dwoma domami. Nawet ciemność wydawała się inna: w Marylebone do ich pokoju wpadał pomarańczowy blask ulicznej latarni, tak że zawsze widziała skulonego w łóżku Roly'ego – spał na brzuchu, z wypiętą pupą i twarzą ukrytą w poduszce – i cień rzucany na ścianę przez szczelki dzieciennego łóżeczka. Tam reflektory przejeżdżających samochodów przemierzały sufit cudownie tajemniczym powolnym łukiem; noc zawsze była pełna odgłosów londyńskiej ulicy.

Ciemność w Kington była gęsta jak dłoń położona na twarzy, a chłodna pościel babki dziwnie pachniała lawendą. W domu Jill z trudem znajdowała czas, by prać pościel, nie mówiąc już o prasowaniu, i Hettie przyzwyczała się, że co wieczór zagrzebuje się w pomięty materiał pachnący nią samą, jej śliną, okruciami herbatników i słonymi włosami. Coś zaszczekało w lesie: lis czy wilk? Na wsi było tyle pustej ciszy, że każdy dźwięk znaczył coś w sposób, którego Hettie nie potrafiła zrozumieć; jej tata też ich nie rozumiał. Jill знаła nazwy wszystkich kwiatów i potrafiła rozpoznawać ptaki po śpiewie, a kiedy Tom powiedział, że guzik go to obchodzi, Hettie poczuła się ułaskawiona i schowała prawie w ogóle nieotwierane książeczki z obrazkami ze wsi, które były powodem jej wstydu. Woląa dzikie zwierzęta w londyńskim zoo, bezpieczne za kratami i opisane na tabliczkach przymocowanych do klatek, które to napisy powoli zaczynała czytać.

Przez jakiś czas leżała udręczona, użalając się nad sobą; chciało się jej siusiu i była rozczarowana swoim ciałem, jak w autobusie, kiedy wiedziała, że zwymiotuje. W końcu wystawiła nogi z pościeli i zsunęła się z łóżka, aż jej stopy dotknęły gołej drewnianej podłogi, szukając palcami dywanika. Z przerażeniem pomyślała, że w tej ciemności rzeczywistość może powstawać i zniknąć, przyprawiając o zawrót głowy, mogą się przed nią otwierać nieprzewidziane przepaście, których nie było, gdy kładła się spać. Ostrożnie szła po omacku, przesuwając dłońmi po ścianie. Ali poruszyła się w łóżeczku, kiedy o nie uderzyła, i cicho zamlaskała. Przynajmniej dało się dostrzec – w bladym świetle dobiegającym z miejsca, gdzie dorośli rozmawiali na dole – wielkie prostokątne kształty wielu drzwi, otwartych i zamkniętych, prowadzących do pokoi przeraźliwie nieużywanych, pełnych pustki. W odsłoniętych łukowatych oknach na

drugim końcu podestu widać było granatowoczarne niebo. W łazience zrobiła siusiu i – jak pokazała jej mama – tarła w dłoniach szorstki papier toaletowy, dopóki nie zrobił się miękki, a potem pociągnęła bardzo ważny długi łańcuszek. Na parapecie resztki mydła roztopiały się w słoiku po dżemie; dziadek mył nim włosy. To była jedna z zabawnych historii, które tato opowiadał im o skąpstwie dziadka. Oślepiąca jasnością łazienki, wyszła na podest.

Głos Jill niósł się z dołu, tłumiąc pomruki babci i dziadka.

– Bawi się rewelacyjnie – powiedziała. – *Vive les étudiants! À bas le C.R.S.*

Hettie nie miała pojęcia, dlaczego mama mówi w nieznanym języku ani co robi jej ojciec, ale pomyślała, że dziadek pewnie rzuci jakąś kąśliwą uwagę. Stale miała się na baczności przed dezaprobatą dziadka, i to w imieniu całej rodziny – Rolanda, bo grymasił przy jedzeniu, malutkiej z jej hałaśliwością i zaciskającymi się tłustymi paluszkami, choć dziadek w zasadzie tolerował te lepkie paluszki, lubił Ali. Przy kilku okazjach w przeszłości Hettie zachowała się bardzo niegrzecznie, co wywołało niesmak na twarzy dziadka. Im mniej zwracał na nią uwagę, tym bardziej szaleńczo starała się ją przyciągać, wybuchając złością i demonstrując skrajną głupotę, i bała się, że dziadek o tym nie zapomni. Ale przynajmniej zawsze była babcia, na której miłość można było liczyć – choć w konsekwencji Hettie nieco mniej ceniła jej aprobatę.

Idąc na paluszkach przez ciemny podest, nie chciała wracać do lawendowego łóżka. W pokoju matki zasłony nie były zaciągnięte, okno było podniesione o kilka centymetrów, wpuszczając dojrzałe nocne powietrze, zimne jak woda. Dotykem Hettie zidentyfikowała ułożone na toalecie znajome ukochane przedmioty: szczotkę do włosów, krem do twarzy, flakonik perfum. Mała, niska lampa z chromowaną podstawą podsunęła jej wyłącznik, któremu Hettie nie mogła się oprzeć; nacisnęła go i pokój rozkwitł w uspokajający byt z wypożyczoną z biblioteki książką matki, Margaret Drabble, widokówką używaną jako zakładka, zapasowymi butami matki, płaszczem na wieszaku utrzymującym kształt jej ciała. Hettie wdychała zapach *L'Air du temps* i pragnęła wśliznąć się pomiędzy różową atlasową kołdrę i koc przykrywający łóżko; kiedy spróbowała, było tak idealnie, że z zachwyty zamknęła oczy. Jill obudziła ją później, zagniewana, gdy przyszła się położyć.

– Na wsi, kiedy zapalasz w nocy światło – powiedziała – musisz najpierw zamknąć okna. Spójrz, ile robali wleciało.

Hettie pomyślała z poczuciem winy, że nadal śni: na ścianach pokoju pojawiały się i znikwały cienie ciem.

– Zgubiłam się. Przypadkiem weszłam do twojego pokoju, tutaj w nocy jest za ciemno.

Matka była nieustępliwa w sprawie powrotu Hettie do jej łóżka.

– Jesteś moją dużą dziewczynką. Musisz być rozsądna.

Następnego dnia Jill zostawiła dzieci z Sophy i złapała autobus do miasta; wyjeżdżał z wioski rano i wracał wczesnym popołudniem. Potrzebowała kilku rzeczy ze sklepów – jedzenia, maści cynkowej na odparzenia malutkiej, tamponów. I miała też do załatwienia sprawy, o których nie wspomniała matce: zajrzała do agencji nieruchomości, by sprawdzić, czy w okolicy są jakieś domy do wynajęcia. Dziwnie było wrócić na te znajome ulice, co więcej, po raz pierwszy od tygodni – nawet miesięcy – była gdzieś sama. Bez wózka i czepiających się jej dzieci niemal płynęła nad ziemią. Pośrednik, z którym rozmawiała, był jej znajomym ze szkoły podstawowej; znaleźli się razem w małej grupie zdolnych uczniów, którzy w wieku jedenastu lat mieli zdawać egzamin decydujący o dalszej edukacji. Potężnie zbudowany i rumiany nie pasował teraz do ciasnego biura, ale pewnie wolał to od życia na rodzinnej farmie. Ze względu na wspólną przeszłość Jill czule patrzyła na jego piegowaty różowy nadgarstek wystający z mankietu koszuli. Zdawała sobie sprawę, że odgrywa rolę wyrafinowanej mężatki. Rano upięła włosy przed lustrem, a teraz chwaliła się obrączką i w zwracający uwagę sposób krzyżowała nogi, szeleszcząc nylonem rajstop pod krótką spódnicą. Ważne było, by przekonać ich wszystkich, że jest rozsądna i światowa, nawet jeśli snuła szalone plany, by radzić sobie sama.

– Mój mąż mnóstwo podróżuje służbowo – powiedziała. – Jeśli wynajmiemy coś tutaj, mieszkałabym bliżej rodziców i matka mogłaby mi pomóc przy dzieciach.

Kiedy uścisnęli sobie dłonie, nazwał ją panią Crane i zapytał, czy przesłać jej nowe oferty, gdy się pojawią, Jill nie chciała jednak, by rodzice poznali jej plany, jeszcze nie.

– Proszę sobie nie zawracać głowy wysyłaniem – odparła z czarującym uśmiechem. – Zajrzę tutaj, kiedy będę w mieście.

Po zakupach miała dość czasu, by napić się kawy w The Bungalow przy głównej ulicy. Tom pogardzałby The Bungalow, gdzie sztuczne belki u sufitu były ozdobione chomątami i mosiężnymi ozdobami uprząży, w wazonikach stały plastikowe kwiaty, a starsze kelnerki – z pewnością nazwałby je pomarszczonymi – nosiły czarne sukienki i białe fartuszki z organdy z wykrochmalonymi falbankami. Siedząca przy stoliku przyjaciółka Sophy – z Koła Kobiet i z tenisa – pomachała do niej i Jill odmachwała w odpowiedzi. Równie dobrze mogłabym tu mieszkać, pomyślała. Bo tutaj życie jest życiem, mogę znaleźć miejsce dla siebie gdziekolwiek. Kto mówi, że nasi radykalni przyjaciele w Londynie mają rację, wszystko potępiając? Człowiek żyje, jak może.

Czytając oferty, które dostała od pośrednika, czuła się w pełni samowystarczalna, mimo że nie znalazła niczego, co choć trochę pasowałoby do jej pomysłu, bo dawny kolega ze szkoły, nie znając jej, wybrał dla niej same nowoczesne koszmarki, nowo wybudowane pudełka na przedmieściach, na które

nigdy nie byłoby jej stać. Marzyła o czymś na obrzeżach życia towarzyskiego, gdzie czułaby się wolna, nieprzytłoczona fałszem. Tak naprawdę nie wiedziała, jakie fundusze ma do dyspozycji, choć zdawała sobie sprawę, że bardzo skromne, nawet jeśli Tom przysyłałby jej połowę swojej pensji, czemu na pewno się sprzeciwi. W Londynie robiła korekty dla kilku wydawców, ale nie sądziła, by nadal chcieli korzystać z jej usług, jeśli się przeprowadzi. Lekkomyślnie zjadła bułeczkę z masłem, potem zamówiła jeszcze jedną. Przez kilka okropnych ostatnich tygodni prawie zapominała o jedzeniu; teraz była wściekle głodna i spragniona.

Przyjaciółka Sophy – mizerna, wypudrowana i lekko artystowska ze swoimi długimi kolczykami – zatrzymała się, wychodząc, by zapytać z tęsknotą o londyńskie teatry. Powiedziała, że zawsze szuka w gazetach artykułów Toma. Jest taki mądry.

– Sophy nie wspominała, że przyjeżdżasz. Długo zostaniesz? Na pewno się cieszy, że ma cię w domu. Ale czy wakacje się nie skończyły? Harriet pewnie zaczęła już szkołę?

Jill gładko skłamała, że dzieci były poważnie przeziębione i teraz muszą dojść do siebie na świeżym wiejskim powietrzu. Ponieważ była córką pastora, nauczyła się kłamać bardzo wcześnie, nie dbając o to, czy ktoś jej uwierzy, i zawsze potrafiła uciąć dalsze pytania. Kiedy zapłaciła za bułeczki i kawę, odkryła, że matka włożyła jej do portfela dziesięcioszylingową monetę – było to lekko irytujące, ale użyteczne. Sophy celowała w takich tajemniczych szczodrych gestach, nieśmiały jak drżenie nerwów. Ociągając się w drodze na przystanek autobusowy, na wystawie sklepu z włóczką Jill zauważyła ogłoszenie o poszukiwaniu pracownicy na pół etatu i powodowana impulsem weszła do środka, nie dbając o to, kto może ją zobaczyć. Nie rozpoznała kobiety, która zapisała jej dane. Kierowniczką dzisiaj nie ma – może Jill zajrzy znów w poniedziałek?

Wyczuła, że kobieta nie uważa jej za odpowiednią kandydatkę do sprzedawania włóczki, z tą krótką spódnicą, umalowanymi oczami i wyszukany akcentem – podczas gdy ją samą ten pomysł perwersyjnie podniecał: skończyć tutaj z dyplomem wydziału filologii klasycznej na Oksfordzie! Przekonywała, że świetnie potrafi robić na drutach, i nie mijała się z prawdą. Robiła takie cudne rzeczy przed narodzinami Hettie, między innymi szal z cieniutkiej białej wełny, delikatny jak pajęczyna, w skomplikowany wzór w liście. W ciąży pracowała jako recepcjonistka w wydawnictwie, a kiedy nie musiała obwiązywać sznurkiem paczek z książkami, całymi godzinami śmigała na drutach. Ciepłe kaftaniki i buciki na wystawie sklepu – z żółtego i cynobrowego nylonu – nie przypominały w niczym gustownych staroświeckich rzeczy, które robiła. Wyobrażała sobie, że macierzyństwo będzie rozmarzone i nieznacznie absorbujące, jak robótki na

drutach. Potem wszystkie śliczne ubranka, które przygotowała, okazały się bezużyteczne w dniach wstrząsów i przemocy – jak o nich myślała – które zaczęły się wraz z przyjściem na świat dziecka. Delikatne wełniane kamizelki i sweterki szybko wyblakły i skurczyły się w praniu, poza tym Hettie miała od nich wysypkę. No i wyrosła z nich po kilku tygodniach. Przed porodem Jill wyobrażała sobie, że jej dziecko zawsze będzie malutkim, smutnym, skulonym stworzonkiem.

Pastor wyjechał na kilka dni na spotkanie w diecezji i Sophy znalazła Rolanda w gabinecie dziadka, gdzie wpatrywał się w oprawioną w skórę książkę, którą trzymał na pokrytych strupami kolanach. Okazało się, że to dzieła Herodota w oryginale. Zanotowała w pamięci, by opowiedzieć o tym Jill jako anegdotkę, potem jednak taktownie postanowiła zachować to dla siebie. Jill ostatnio żartowała ze wszystkiego, w tym z dzieci – wierzyła, że lepiej je motywować, niż rozpieszczać. Sophy truchlała czasem na widok oschłych, szorstkich reakcji córki. Jill wspomniała już, jakby to było zabawne, że Roland wolno uczy się liter.

– Jest kochany, ale na pewno nie jest Einsteinem – oświadczyła wesoło.

Trzymał jednak Herodota jak należy i odwracał kartki bardzo ostrożnie, sprawiając wrażenie, jakby wczytywał się w słowa. Jego mała szczerą buzia była brązowa i okrągła jak orzech i na jej widok babce ścisnęło się serce. Jedwabiste włosy kręciły się na głowie jak u czarnego jagnięcia. Powiedział jej, że czyta książkę dziadka.

– To bardzo interesujące, kochanie. O czym jest?

– O wielu rzeczach, babciu. Nie mogę o nich powiedzieć, bo czytam ją tylko w myślach.

– Oczywiście, to naturalne, robię tak samo.

– Ale czym jest myślenie?

Sophy odsunęła od siebie wizję chwil zapomnienia, kiedy pogrążała się w głębokich wodach: czy to się liczyło jako myślenie?

– To chyba rodzaj pracy – powiedziała. – Czujesz, że odbywa się w twoim mózgu, kiedy rozumiesz rzeczy. Na przykład kiedy czytasz słowa w książce i próbujesz się dowiedzieć, co znaczą. Ta książka jest po grecku, więc babcia nie potrafi jej przeczytać, ale twoja mama i dziadek potrafią.

– Ja potrafię.

Podnosząc wzrok, Roland zmarszczył nos, by podtrzymać okulary, odrzucając jednocześnie głowę do tyłu jak mały staruszek. Sophy nie lubiła tego nowego nawyku, niepokoił ją. Okulary skleiono byle jak plastrem, który musiał utrudniać mu patrzenie. Przy pierwszej okazji zabierze go do Corrigana, żeby je porządnie naprawił. Wspomniała o tym, gdy tylko Jill wróciła do domu z koszykiem wyładowanym zakupami, i oczywiście córka potraktowała to jako krytykę, choć była w świetnym nastroju i szybko matce wybaczyła.

– Myślisz, że nie naprawiałam ich już dziesięć razy? Zaraz znów je złamię.

A stary Corrigan jest odrażający, kładł mi kiedyś dłoń na kolanie. Ale jeśli chcesz, nie ma sprawy.

Tego popołudnia uroda Jill była uderzająca; w jej młodej twarzy czaiło się coś surowego, palącego. Sophy musiała odwrócić wzrok. Jill nie była wytworna jak jej rodzice: miała długi prosty nos, lekko cofniętą szczękę, zbyt duże, leniwe usta, a złocisty koloryt cery przechodził u niej na policzkach w ostry róż.

– Nie mogę uwierzyć, że w mieście nic się nie zmieniło. Wszystkich poznałam. Wpadłam na Mikeya Wallera, pracuje jako pośrednik nieruchomości, wiedziałaś? A w The Bungalow była Ailsa. Dziękuję za dziesięć szylingów. Czułam się jak uczennica z dodatkowym kieszonkowym, zjadłam dwie bułeczki i kupiłam mrożone dla wszystkich.

– Hura, hura! – wykrzyknęła Hettie, podchwytnąjąc nastrój matki. Pod jej nieobecność przez cały ranek była spokojna, kolorując książeczkę w kuchni.

– Ailsa stale przesiaduje w The Bungalow – odparła Sophy. – Nic dziwnego, że jest taka nerwowa, to wszystko przez tę kawę.

– Niewinna kochana mama! Ailsa ma problem z piciem, ale nie kawy.

Sophy zmarszczyła brwi nad głowami dzieci i ledwo zauważalnie pokręciła głową, czujna Hettie jednak to dostrzegła i zaczęła przebiegać spojrzeniem od matki do babki.

– Kto to jest Ailsa? – chciała wiedzieć. – I czemu ma problem z piciem?

Jill parsknęła śmiechem i nie chciała jej powiedzieć, a kiedy Hettie się upierała, straciła panowanie nad sobą i dała jej klapsa w pupę.

– Zapomnij o bułeczce!

Krzyki Hettie obudziły malutką z drzemki i Sophy pomyślała o mieszkaniu w Marylebone, gdzie wszyscy siedzieli sobie na głowie. Kiedy Jill była mała, w domu nigdy nie panował chaos. Ale bez wątpienia łatwiej jest nad wszystkim zapanować, kiedy ma się tylko jedno dziecko, poza tym Jill była pogodna od chwili narodzin – uparta i zdecydowana, ale nigdy niegrzeczna. Sophy być może nie zdawała sobie sprawy, jak osobliwa była ich rodzina, z dzieckiem, które było spokojnym towarzyszem rodziców, biorącym udział we wszystkich życiowych sprawach: wojennym wysiłku w parafii, klubie tenisowym, łacinie, grece i poezji. To dzieciństwo wydawało się jeszcze dziwniejsze w zderzeniu z dorosłym życiem Jill, która zdecydowanie odrzuciła styl życia rodziców.

Sophy pomyślała, że jej własne doświadczenie prawie się nie liczyło jako macierzyństwo – ominęło ją coś hałaśliwego, co wywracało życie do góry nogami. Pewnie była zbyt dziecinna. Jill miała rację – jej naiwność była okropna. Choć wiedziała o Ailsie. Bez wątpienia życie, jakie wiedli Jill i Tom, utrudniało posiadanie dzieci. Kiedy Tom bawił się z nimi, były zachwycone; turlał się po podłodze, rycząc jak niedźwiedź, ale szybko się nudził i zbyt często brakowało go w domu. Biedna Jill musiała zupełnie sama ustanowić zasady życia rodzinnego.

I Sophy dostrzegała, że często raniła dzieci, bo potrafiła być niekonsekwentna i kapryśna. Pomyślała, że Jill zbyt otwarcie uwielbia syna i jest za surowa dla małej Hettie.

Jill zabrała dzieci do lasu, by tam zjadły bułeczki. Nawet Hettie, kiedy przeprosiła, dostała swoją. Rozłożyli koc wśród kampanuli – niebieskie kwiaty pociemniały i przywiędły – i Jill naląła dzieciom soku pomarańczowego do plastikowych kubków. Przytłoczone ogromem lasu i wysokimi drzewami dzieci były bardzo spokojne. Gładkie pnie brzoź wznosiły się wysoko wokół nich, a nad ich głowami wyrastały młode listki, delikatne jak strzępki miękkiego materiału. Kiedy nie było przy niej innych dorosłych, Jill odpuszczała sobie gryzącą ironię, jakby ta ją wyczerpywała. Dzieci wiedziały o tym i uwielbiały być z nią same. Ali z determinacją wpychała sobie do buzi liście i przestali ją już powstrzymywać – w końcu to tylko część ziemi, uspokoił matkę Roland. W rozmytym świetle kolory były czyste, małe ptaki szeleściły w poszyciu, leśny gołąb zrywał się od czasu do czasu do lotu, co brzmiało jak wystrzał. Za tym spokojem czuli nadchodzącą wiosnę, popychającą wszystko do przodu.

Po pikniku Hettie i Roland biegali ścieżką wśród drzew, a Jill prowadziła stąpającą niepewnie malutką w szelkach do nauki chodzenia. Ali pochylała się nieporadnie jak korpulentny staruszek i zgrabnie ujmowała śmieci w dwa paluszki: patyczek po lizaku, papierek od cukierka, niedopałek papierosa, wszystko porzucone dawno temu i wysuszone na ten sam brąz co las. Jill zamieniła szpilki na japonki, które znalazła w komórce; co jakiś czas zdejmowała je, żeby dogonić resztę, i biegła boso, trzymając japonki na palcu, a malutka podskakiwała i zanosila się śmiechem na jej biodrze. Jill pomyślała, że razem z dziećmi zajrzy do starszego małżeństwa, które mieszkało w samotnej chacie przycupniętej na zakręcie ścieżki, ze studnią w ogrodzie, skąd przez drzewa rozciągał się widok na zaciszną dolinę. Zaglądali tu już wcześniej i pani Good dała Hettie cukierki – jak kiedyś Jill, gdy ta była dzieckiem; Jill zawsze grzecznie dziękowała, po czym z nieczystym sumieniem wyrzucała je do kosza na śmieci na plebanii. Nie pamiętała teraz, czego się bała. Być może trucizny, jak w bajce, z powodu nazwiska starszej pani i chaty stojącej podejrzenie daleko od wsi.

Kiedy dotarli do chaty i zapukali do drzwi, wyglądało na to, że nikogo tam nie ma. Wszystkie okna były umiejscowione na niewidocznej tylnej ścianie od strony doliny, nie mogli więc zajrzeć do środka. Roland spróbował nacisnąć klamkę i przestraszył się, gdy drzwi się otworzyły. Przechodząc przez próg do malutkiego jedyne go pomieszczenia na parterze, Jill zawołała na wypadek, gdyby na górze ktoś leżał chory albo miał jakieś kłopoty. Cisza i bezruch w chacie były wstrząsem po nieustannym ruchu na zewnątrz; tutaj powietrze nie ruszało się od wielu godzin, może nawet dni. Nawet światło było zatechłe. Jill poczuła się tak, jakby wdarła się na jakieś zakazane terytorium. Naczynia na malowanej komodzie

i dywanik przez paleniskiem potęgowały wrażenie pustki, nad którą czuwały święte obrazy na ścianach: Jezus spoglądał z wyrzutem, na innym niósł pod pachą latarnię i zagubioną owieczkę. Państwo Good byli ostatnimi członkami Zboru Biblijnych Chrześcijan, do którego należało kiedyś wielu rolników.

Jill jeszcze raz zawołała panią Good, a kiedy nikt nie odpowiedział, z ulgą wyszła z chaty i zamknęła za sobą drzwi, nie decydując się wejść na górę. Roland zapytał ją, co zobaczyła w środku.

– Nic ciekawego. Państwo Good gdzieś wyszli, a dom wygląda zwyczajnie.

Kiedy wrócili do domu, na Jill czekała wiadomość od Smithów, właścicieli Roddings, największej i najstarszej farmy w wiosce, gdzie był telefon. Dzwonił Tom i zostawił numer, pod którym można się z nim skontaktować, jeśli zadzwonić o dziewiątej tego wieczoru. Pani Smith wypisała to wszystko dużym, szkolnym charakterem pisma fioletowym kopiającym ołówkiem na kartce wyrwanej z notesu z reklamą mleczarni – krowa wysoko podnosiła racice, przeskakując księżyc.

Jill spojrzała na kartkę i podejrzliwie zmarszczyła brwi.

– To paryski numer?

Jakie to wkurzające – Tom wysłał instrukcje, domagając się, by zaplanowała życie dla jego wygody. I tak by nie zadzwoniła. Niech sobie siedzi i czeka. Niech się przekona, jak to jest.

Spoglądając na numer, Sophy się zaniepokoiła.

– I co myślisz?

– To raczej ważne z powodu różnicy czasu. Nie sądzę, by to był Paryż, numer jest za krótki. To chyba Londyn. Tomowi nie przyszłoby do głowy, żeby zabrać ze sobą numer do Smithów, więc musiał wrócić do domu. Dziwię się, że pamiętał, gdzie go zapisałam. A tak przy okazji, co się stało z Goodami? Poszliśmy do chaty, drzwi były otwarte, ale w domu nie zastaliśmy nikogo.

Sophy wydawała się rozkojarzona, nadal myślała o Tomie.

– Nie powinny być otwarte. Powinniśmy się tym zająć. Mają siostrzenicę, która może chcieć zabrać coś z domu. Nie pisałam ci? On zmarł tuż przed Bożym Narodzeniem, a ona przeniosła się do domu opieki, biedactwo. Tato ją odwiedza, ale ona nie chce go widzieć, ma dość ekscentryczne przekonania religijne. Nie wiem, co się stanie z domem. Bez bieżącej wody nikt tam nie zamieszka.

Jill odparła, że wszystkie przekonania religijne są ekscentryczne, także taty. Na matce nie zrobiło to wrażenia.

– No cóż, moje są najbardziej ekscentryczne ze wszystkich. Gdybyś знаła choć połowę zabawnych rzeczy, w które wierzę. Tylko nie zaczynaj żadnych teologicznych dyskusji z ojcem, dopóki nie skończy kolacji. Zapomina o jedzeniu, jeśli dobrze się bawi.

– Ty jesteś starą poganką. – Jill się zaśmiała. – Wiem wszystko. Przynosisz wstyd Kościołowi.

Przez cały czas aż gotowała się w środku z powodu telefonu Toma: przywołał znów ten upajający gniew, który czuła podczas ostatnich tygodni w Londynie, i radosne udawanie. Czyj numer podał? To nie było jego biuro. Może mieszkanie jakiejś kobiety? Poniżył ją i wyrzuciła ze swojej wyjątkowej duszy banał stary jak świat, nie pozwoli, by powodem jej odejścia stała się zazdrość. I jak śmiała zakładać, że będzie chciała z nim rozmawiać?

Ale kilka minut przed dziewiątą – dzieci już spały – Jill wysliznęła się z domu w ciemność, jakby powodowana przymusem, by pójść do budki telefonicznej w wiosce. Ojciec pracował nad kazaniem, Sophy siedziała przy sekretarzyku i pisała do dawnych szkolnych przyjaciółek. Jill nie chciała, by towarzyszyli jej choćby tylko w myślach. Z ulgą zbiegła po kamiennych stopniach od frontu w chłodną wilgoć żywopłotu z ligustru, słysząc rozbrzmiewający we wnętrzu głos z radia. Blask księżyca oświetlał krawędzie skłębionych chmur. Sophy zostawiła szylingi i sześciopensówki przy jej torebce i Jill nie zauważyła, jak mocno je ściska, dopóki nie rozboleły jej palce. Trawiła ją nienawiść, z którą pędziła na tę schadzkę, uchwyciła się jej, skupiona na oświetlonej budce i jej zatęchłym powietrzu, gorączkowym poszukiwaniu numeru w kieszeni, terkocie w ciężkiej słuchawce, chwili oczekiwania w zawieszeniu, instrukcjach wiszących na ścianie i reklamach, które czytała, nie widząc ich. Dwa światy – tutaj i gdzie indziej – znalazły się na kolizyjnym kursie.

Odbierając telefon, Tom popełnił błąd. Jak dobrze go znała! Na pewno zaplanował, by podnieść słuchawkę po pierwszym dzwonku i powitać ją z powagą, czule. Ale na moment stracił koncentrację i zapomniał: pewnie coś czytał lub zapisywał jakieś pomysły do artykułu. Odebrał więc telefon lekkim głosem, bezmyślnie, jak robił to w biurze.

– Tom Crane.

Prawie parsknęła śmiechem.

Szybko zmienił głos na niski i głęboki, zatroskany.

– Jill, to ty?

– Gdzie jesteś? Czyj to numer? Guzik mnie to obchodzi, muszę tylko wiedzieć.

– Berniego. Zatrzymałem się u niego. Nie mogę znieść mieszkania bez ciebie.

– Przyzwyczajasz się.

Czy uwierzyła mu, że jest u Berniego? Jego milczenie miało być pełne wyrzutu, ale jakoś mu nie wychodziło.

– Wszystko się zmieniło, Jilly. Człabyś się inaczej, gdybyś zobaczyła to, co ja widziałem. Nic nie będzie takie jak dawniej, nie po tym. Posłuchaj, zostaną parę dni w domu z dziećmi, a ty możesz tam pojechać, stać się częścią tamtych wydarzeń. Nie mam nic przeciwko temu.

– Gdzie mam jechać? – zapytała zimno. – Och, chodzi ci o Paryż. Zapomniałam o Paryżu. Nie, nie mam ochoty tam jechać.

– To szaleństwo, mówię ci. Ależ te dzieciaki są odważne! Policja ma pałki i gaz łzawiący, ściągnęli rezerwistów z Bretanii, chłopaków ze wsi, radykalnych nacjonalistów. Ktoś powiedział, że wrzucają ciała do Sekwany. A ludzie rzucają z okien czekoladę i *saucisson* dla studentów, przynoszą im kawę. W spokojne noce burżuazja jeździ do *quartier* z przedmieść, zwiedza, robi sobie zdjęcia na barykadach. Trzy miliony ludzi wzięły udział w marszu, protestując przeciwko represjom policji. Stałem na wysepce na jezdni i widziałem rzekę ludzi biegnących przez cały Boulevard Saint-Michel i znikających w oddali. Wiesz, co śpiewali? *Nous sommes tous des juifs allemands*, z powodu Cohna-Bendita, władze grożą, że go deportują. Czyż to nie piękne?

– Trzy miliony to mało prawdopodobne. W Paryżu mieszka tylko osiem i pół miliona ludzi.

Jill wiedziała, że Tom nie znosi, gdy tak wszystko kwestionuje. Przypominała wtedy ojca, z jego wiedzą jak zatrzaskująca się pułapka.

– Słyszałam, że wycinają drzewa – powiedziała. – Piękne stare paryskie platany. Szybko nie odrosną.

Tom odparł sentencjonalnie, że nie pora martwić się o drzewa.

– Potem będzie za późno, by się o nie martwić. No, ale czego chciałeś? Zostawiłeś wiadomość, żebym zadzwoniła.

Zmienił ton głosu na niski, perswadujący, którego używał, gdy chciał, żeby się z nim kochała.

– Chciałem tylko z tobą porozmawiać, Jilly. Chciałem usłyszeć twój głos. Potrzebuję cię. Nie mogę żyć bez ciebie i dzieci. Kiedy wrócisz? Robisz wielkie halo wokół niczego. To, co się zdarzyło z Wandą, było niczym. Doprowadza mnie do szału. Jest głupia, nawet jej nie lubię. Jesteś jedyna, Jilly. Tylko ty rozumiesz to wszystko. Tak bardzo za tobą tęsknię. Potrzebuję cię.

Jill milczała. Oplatała niespokojnie sznur od telefonu wokół lewej ręki i przytrzymywała słuchawkę brodą, wyciągając szyję, jakby bolały ją ramiona, i przyciskając plecy do ciężkich drzwi budki, aż otworzyły się pod jej ciężarem i wpuściły nocne powietrze. Prawie nie wiedziała, że obserwuje przelatującą sowę, pozornie pozbawioną ciężaru, jak pasek szyfonu na tle ponurego nieba. Słuchała męża. Nie chciała go już. Ale mimo wszystko chciała to usłyszeć, nie mogła nic na to poradzić. Kiedy w końcu zamilkł, starając się ocenić, jakie znaczenie ma dla niego jej milczenie, odłożyła słuchawkę.

Dwa

W niedzielny poranek malutka obudziła się wcześniej. Jill wyrwało ze snu trzeszczenie drewnianego łóżeczka, kiedy Ali po raz pierwszy wygramoliła się przez jego bok. Po chwili – być może z zaskoczenia tą nową, tak łatwo osiągniętą wolnością – zdecydowane drobne kroczyki zatupotały na podeście schodów, a potem, po chwili wahania, skierowały się do pokoju Jill. Jill zdawała sobie sprawę, że chcąc poleżeć kilka sekund dłużej w ciepłe łóżka, próbuje przekonać samą siebie, że skoro Ali potrafiła się wygramolić z łóżeczka, to równie bezpiecznie ominie schody. Drzwi sypialni uchyliły się delikatnie i malutka stanęła na progu w opadającej mokrej pieluszce i błękitnej piżamce we wzór z łódkami, która należała kiedyś do Rolanda. Patrzyła z powagą, jakby nie była pewna, co może znaleźć w świecie, którego nikt dla niej nie przygotował. Jill nie potrafiła powstrzymać śmiechu na widok okrągłych oczu i pulchnych różowych policzków. Jasne włoski Ali były tak delikatne, że wyglądała, jakby była łysa. Z czystą radością odpowiedziała matce śmiechem.

– I co ty wyprawiasz, urwisie? Czemu nie leżysz w łóżeczku?

Jill wstała, chwyciła małą na ręce i pocałowała ją, potem przez chwilę nasłuchiwała przy drzwiach i cicho je zamknęła. Jeśli Ali nie obudziła reszty, to po zmianie pieluszki i porannej butelce mleka (stojącej w gotowości na toaletce) być może uda jej się jeszcze na chwilę zasnąć. Ali była najspokojniejszym i najłagodniejszym z trojga jej dzieci. Z Hettie za bardzo starała się trzymać zasad; Roland przerażał ją swoimi dziecięcymi drgawkami.

– Jest jeszcze noc, kurczątko. Możesz wypić mleko z mamą w łóżku, jeśli potem zaśniesz. No, zamknij oczka.

Jill trzymała ją w zagięciu ramienia, pod kocami i kołdrą. Na początku Ali, ssąc butelkę, patrzyła na matkę rezolutnie, zachwycona humorem całej sytuacji. Kiedy uśmiechnęła się szeroko, gumowy smoczek wysunął jej się z ust i mleko pociekło z ich kącika. W końcu ciężkie powieki opadły, uniosły się na moment, znów opadły. Jill odstawiła butelkę na szafkę przy łóżku i też próbowała zasnąć. Śpiące dziecko przycisnęło się mocno do jej ciała, paląc ją swoim ciepłem, cienkie włoski unosiły się w oddechu Jill, pod nosem czuła duszny zapach mleka – głęboko w myślach była jednak poruszona kłótnią z Tomem, czego nie czuła, gdy kładła się spać. W szarym świetle, które zaczęło spowijać ciężkie meble, widziała rzeczy w ich ostateczności. Od tej pory, pomyślała, przeznaczenie przydzieliło im role wrogów ustawionych na różnych biegunach doświadczenia. Niegdyś byli równi w swojej oddzielnej wolności. Postanowili mieć dzieci tak lekko, jakby bawili się w dom, a teraz jej z konieczności domowe życie nudziło go, a ona była z nim związana ciałem i wyobraźnią. Ten brak równowagi był wpisany w ich biologię.

Jill obawiała się swojego wolnego ja, jakby dostrzegła młodą kobietę

znikającą w oddali na drodze. Jaki pożytek miała jej dorosła wiedza – zdobyta przez tyle wyrzeczeń, z takim ryzykiem – w świecie maluchów, o które trzeba było dbać? Tom powiedział kiedyś, że każdy poradzi sobie z macierzyństwem. Prawdę mówiąc, dodał, im mniej jesteś skomplikowana, tym lepszym materiałem na matkę. To pewnie prawda, ale mało pocieszająca. Cały ten głupi epizodyczny flirt z Wandą był wkurzający, ponieważ okazał się tak nieistotny i nie powinien mieć znaczenia – Tom lawirował wśród swoich obowiązków z irytującą sprawnością, a Jill przytłaczało upokorzenie. Pomyślała o chacie Goodów w lesie. Być może znalazłaby inny rodzaj wolności, gdyby tam zamieszkała. Gdyby dzień po dniu wyglądała przez tamte okna i nie widziała ludzkiej twarzy, tylko szeleszczącą zasłonę liści pomiędzy nią a niebem... Jakie to proste! Zapadając w sen, wyobraziła sobie samotne życie w tych malutkich pokojach, tylko ona i dzieci.

Sophy opiekowała się malutką, kiedy Jill poszła do kościoła ze starszą dwójką. Hettie i Roland czuli się tak, jakby szli za inną matką, gdy Jill w płaszczu i pożyczonym od babci ślicznym niebieskim kapeluszu z piórkiem zatkniętym za niebieską wstążkę trzymała nad nimi wielki parasol w mżącym deszczu. Przeszli przez wyrwę w murze pomiędzy ogrodem a cmentarzem, co było ich przywilejem – reszta wiernych musiała wchodzić przez bramę. Ta druga matka przypominała matki z książek: była surowsza, a jednak bardziej wytworna i spokojniejsza niż jej codzienna wersja. Odległa. W kościele Jill zawsze wiedziała, co robić. Wypełniała tajemnicze rytuały ze spokojną pewnością siebie, wstając, siadając i klękając przed wszystkimi, śpiewając hymny silnym głosem, prawie nie patrząc na tekst w książeczce. Dzieci jako pogańskie mieszcuchy odczuwały wstyd, mrużąc słowa i wykonując gesty długo po niej. Po chwili Roland dał sobie spokój z udawaniem, gdyż wolał wpatrywać się w kościół w milczeniu, jakby wyczuwał jego rytm. Słuchał kazania dziadka, o nadziei, z obojętnym zainteresowaniem. Kiedy koniuszki palców matki – poruszone świadomością oddzielną od uwagi, z jaką słuchała kazania ojca – przesunęły się po jego głowie wśród gęstych loków, odsunął się lekko, nie chcąc, by kościół przyłapał ich na niewadze.

Przynajmniej Hettie знаła *Modlitwę Pańską*. Nauczyła się jej w szkole, a babcia dała im książeczkę z ilustrowaną wersją modlitwy. Strona w środku poświęcona była przewinieniom, o których sama wzmianka – „jako i my przebaczymy naszym winowajcom” – dręczyła i moralnie niepokoiła, ponieważ, jak rozumowała Hettie, można było jednocześnie dopuszczać się przewinień i być ich obiektem. Te obrazki przyciągały, budząc pełną wstydu fascynację: chłopczyk odciskał dłoń w mokrej farbie, gdy jego ojciec malował ścianę, a jego siostra zniszczyła mu zabawki: samolot i dźwig. Twarze były pełne gniewu, poczucia winy i urazy. Moralna dwuznaczność w wizji Hettie wiązała się z samym budynkiem kościoła, którego kamienny kształt wznosił się poprzecinany szkłem okien, a jednak pozostawał tam, gdzie zawsze czuło się pod nogami wilgotną

ziemię. Wielki piec Gurney z żelaznymi żebrami rozłożonymi jak poruszane przez wiatr kartki książki dawał tylko iluzję ciepła. Dziadkowie bardzo nad tym boleli, ale parafii nie stać było na nowy; nic dziwnego, że książeczki z hymnami pachniały pleśnią. W chłodniejsze dni włączali piecyk elektryczny. Uszyty i wyhaftowany przez babkę obrus ołtarzowy był jedyną wykwintną rzeczą w surowym, pozbawionym ozdób miejscu. Jasnowłose anioły wygrywały coś na trąbach na tle kremowego atłasu, odwracając twarze od wielkich gwoździ, które trzymały, jakby chciały coś udowodnić. „Widzicie?”. Gwoździe wyglądały jak grube woskowe kredki w szkole.

Wspólnota wiernych była nieliczna i w większości płci żeńskiej, niemłoda i wyrazista – nawet jeśli znało się jej członkinie również w codziennym, zwykłym wydaniu – w sztywnych, dopasowanych niedzielnych ubraniach, kapeluszach lub chustkach na głowach. Jeśli zdarzyło się zostać przytulonym do kłapy ozdobionej drapiącą broszką, to czuło się wydzielany przez ubrania zapach czegoś chemicznego i wrogiego. Hettie zauważyła, że kościół był miejscem wyznaczonym do tego, co w codziennym świecie musiało być tłumione i pomijane. Nie zatajano na przykład śmierci w tablicach pamiątkowych na ścianach czy podłodze kościoła, podobnie jak na grobach na cmentarzu. Hettie była wstrząśnięta, kiedy pierwszy raz dowiedziała się, co oznaczają te obojętne daty towarzyszące każdemu nazwisku. Nic dziwnego, że ojciec nigdy nie wchodził do środka. Hettie myślała, że sprzeciwia się śmierci i ciężarowi jej znaczeń. Kiedy wierni pograżyli się w cichej modlitwie, matka efektownie złożyła głowę na rękach opartych na ławce przed sobą, a Roland rozglądał się dookoła. Hettie słyszała deszcz uderzający w dach kościoła, spływający po szybach, otulający ciche wnętrza nagłącymi falami miękkich dźwięków.

Tradycyjnie podczas niedzielnego obiadu, po wygłoszeniu kazania, pastor pił przyzwoite wino. Nalał po kieliszku żonie i córce, podczas gdy Sophy nakładała w kuchni do misek rozgotowane warzywa i podawała je przez okienko do wydawania posiłków razem z pieczonym kurczakiem przygotowanym na cześć gości. Jill zaczęła kroić pierś na małe kawałeczki dla Ali, która siedziała ze śliniaczkiem na starym wysokim krzeselku Jill, radośnie wymachując łyżką.

– Charlie miała na sobie najkrótszą spódniczkę, jaką widziano w moim kościele – zażartował ojciec. – Nie przeszła niezauważona.

Jill wzruszyła ramionami.

– Nie przywiozłam innych ubrań.

– On nie ma nic przeciwko temu! – zawołała Sophy przez okienko do wydawania potraw. – Podoba mu się. Bardzo by chciał widzieć w kościele mnóstwo młodych kobiet w krótkich spódniczkach.

– Ale nie mów o tym biskupowi – odparł Grantham.

Na plebanii panował wspianiały nastrój, bo na tydzień był spokój z kazaniem

i do domu przyjechała córka. Sophy śmiała się w kuchni, jakby już wypłało wino.

Ponieważ Grantham Fellowes był w młodości piękny (i nie znosił tego, mimo że uważał za rzecz oczywistą władzę, jaka się z tym wiązała), nigdy nie stracił nawyku, by dominować w pomieszczeniu. Źródłem dużej części jego duchowego bólu było pokrętnie zmaganie z własną próżnością, którą uważał jedynie za intelektualną arogancję. Nie miał świadomości, jak kobiety – a i niektórzy mężczyźni – reagują na jego obecność. Tylko Sophy nie trzepotała rzęsami w małej grupie kobiet z klasy średniej skupionej wokół niego w parafii, które zazwyczaj traktował źle, *de haut en bas*. Kilku mężczyzn go nienawidziło. Jego twarz była teraz brązowa jak drewno, wyczelowana, z głębokimi zmarszczkami, stanowczo i bezwstydnie stara – miał siedemdziesiąt lat, a wyglądał chyba starzej. Nadal jednak było coś żwawego i wyniosłego w rzeźbionych rysach i dalekim błękitnie małych oczu, z których wyzierała wymierzana samemu sobie kara. Jill była podatna na zmiany w wyrazie twarzy ojca, jakby jego nastroje wpisywały się w jej świadomość, przyciągały ją, chociaż odwróciła się od niego wiele lat temu i pożegłowała w przeciwnym kierunku.

Kiedy pokroił kurczaka, podawali sobie sosjerkę i dyskutowali o kazaniu.

– Wiem, co znaczyło – powiedział Roland. – Czasem masz nadzieję, że coś otrzymasz, ale możesz dostać coś innego, co okaże się bardziej przydatne.

Dziadek był zadowolony.

– Stojąc na ambonie, widziałem te sceptyczne okulariki, które wpatrywały się we mnie krytycznie. Ten chłopiec naprawdę słuchał! Świetna robota, Childe Roland.

– Ja też słuchałam – powiedziała Hettie.

– Jesteś małą wiercipiętą – odparła jej matka. – Kręciłaś głowę, by gapić się na wszystko.

– Słyszałam – protestowała Hettie, rozglądając się wyzywająco i starając się być zabawna, a oczy lśniły jej w zarumienionej buzi. – Dziadek mówił w kazaniu o paskudnym, starym śmierdzącym krecie.

– Starym śmierdzącym krecie, kochanie? – Sophy była rozbawiona i zadowolona. – Szkoda, że tego nie wychwycałam!

– Nie zwracaj na nią uwagi – odparła Jill. – Popisuje się i wygaduje bzdury. Nie może znieść, gdy uwaga skupia się na kimś innym.

– Zabaw nas ode złego. Bo twój jest chleb powszedni.

– Widzisz – powiedziała Sophy. – Słuchała.

– Niezbyt uważnie.

Pastor skończył małą porcję na swoim talerzu. Nie zwracając uwagi na przedstawienie Hettie, wsunął łyżeczkę z tartą marchewką do buzi Ali. Nawet malutka wyczuwała jego protekcjonalność, posłusznie obracając w ustach pomarańczową papkę.

– A jaka jest twoja opinia, Rolandzie? – zapytał. – Czy musimy przede wszystkim w pełni wykorzystywać te pożyteczne rzeczy, na które nigdy nie liczyliśmy? A może to przejaw bojaźni?

Roland przesunął warzywa na talerzu nożem i widelcem: matka zapowiedziała mu, że musi je zjeść.

– Bojaźń – dodała szybko Jill – to nierobienie czegoś, bo się boimy.

Roland zastanawiał się, poprawiając okulary na nosie.

– To by zależało od tego, co dostaniemy – powiedział. – Od rzeczy, którą otrzymujemy zamiast tej, której chcieliśmy. Czy rzeczywiście jest użyteczna.

Dziadek parsknął śmiechem z aprobatą, a babka uwolniła Rolanda od kapusty, gdy nikt nie patrzył. Jill wiedziała, że ojciec chce teraz od niej usłyszeć pochwałę kazania – i rzeczywiście, kiedy go słuchała, zamknięta w jego głosie, w surowym kościółku zalanym wilgotnym światłem, które było jądrem jej dzieciństwa i przeszłości, jego słowa obudziły w niej potężne emocje. Kiedy oparła głowę na rękach, by się pomodlić, przez kilka chwil bała się, że straci nad sobą kontrolę, padnie na kamienną podłogę albo zacznie przeraźliwie szlochać – co by było straszliwie nieanglikańskie. Grantham oparł swoje kazanie na krótkim wierszu Herberta *Nadzieja*. Klarowne, wyważone słowa wiersza i mądre, pełne refleksji ich wytłumaczenie przez ojca wydawały się w tamtej chwili w pełni oddawać jej doświadczenie: wszystko poza nimi było zatarte. Dziwiła się sobie, że skoro poczuła się tak poruszona, teraz nie chciała, by ojciec się o tym dowiedział.

– Poeta pragnie pierścionka – powiedziała do Rolanda. – Ale Bóg go nie ześle.

– Czemu *pierścionka*? – dopytywała się Hettie zbyt głośno, zdeprymowana.

Sama bardzo by chciała mieć pierścionek, ale nie wyobrażała sobie, by mógł go pragnąć mężczyzna.

Jill walczyła ze sobą i w końcu pokonała niechęć.

– Byłeś dobry, tatusiu. To piękne kazanie.

Była jedyną osobą w kościele, jak zauważył z kwaśną ironią Grantham, która rozpoznała Herberta. Zawsze zbywał pochwały w ten sposób, jakby sięgały poniżej poziomu, do którego aspirował, żona i córka wiedziały jednak z doświadczenia, jak bardzo jest ich głodny; potrafił siedzieć naburmuszony, jeśli ich nie usłyszał. Tom uważał, że to próżność w najczystszej postaci, i nie słuchał Jill, gdy mówiła, że próżność nie jest ważna, istnieje w innej części osobowości niż pisanie. Czyż wszyscy pisarze nie są próżni?

– Czy nie wybrałeś tego wiersza – zasugerowała Sophy – tylko dlatego, że Jill jest z nami?

Grantham skwitował to delikatnym grymasem poirytowania.

– Wiele kazań opieram na poezji i nie oczekuję, że ktoś to zauważy.

Sophy powoli jadła zimną kapustę. Uwielbiała wiersze, lecz łatwo je

zapominała, poza tym i tak słuchała kazań męża jednym uchem. Nie dlatego, żeby nie była nimi zainteresowana. Część osobliwości małżeństwa, myślała, polega na tym, że niemądrze jest zajmować się zbyt intensywnie drugą osobą. Było to przeciwieństwem tego, co naiwnie sobie wyobrażała jako młoda dziewczyna. Osobom niezwiązanym małżeństwem wydaje się, że para musi być nieustannie przed sobą obnażona – ale tak naprawdę to jest nie do zniesienia. Aby miłość mogła przetrwać, trzeba się do pewnego stopnia zamknąć w sobie.

Kiedy Jill znów pojechała do miasta, na wystawie sklepu z włóczką nie było już kartki, a gdy weszła do środka, kierowniczką – zaaferowana, bezbarwna, z mocno wymalowanymi ustami i okularami inkrustowanymi kolorowymi szkiełkami – szybko podeszła, by wyjaśnić sprawę. Widać było, że zainteresowanie Jill pracą wywołało konsternację i że bladą nową dziewczynę z nerwowymi oczami królika ustawiono za kasą, by nie dopuścić do zakłopotania wynikającego z odrzucenia oferty Jill.

– Zachowamy pani dane – zapewniła ją nieszczercze kierowniczką. – Na wypadek, gdyby coś się pojawiło.

Myśl o spędzeniu więcej niż kilku minut w dusznym, gorącym sklepiku wypełnionym motkami wełny stała się nagle koszmarem – jak Jill mogła sobie w ogóle wyobrażać, że coś z tego będzie? Tutejsze sklepy nie przypominały londyńskich, z nieustannym strumieniem klientów. Umarłaby, gdyby utknęła tutaj z kimś takim jak ta dziewczyna królik, zmuszana do prowadzenia rozmowy i pomagania starszym paniom w wyborze wzorów na bliźniaki i pokrowce do samochodu. Poczowała jednak ukłucie upokorzenia, ponieważ nie chcieli jej.

– Proszę się nie przejmować – odparła z wdziękiem, wiedząc, że jej tego nie wybaczą. – Zauważyłam ogłoszenie, bo szukałam jakiegoś zajęcia na kilka godzin w tygodniu. Ale nie jest to praca, do jakiej przywykłam.

Agencja nieruchomości będzie bardziej odpowiednia, pomyślała. Ze swoją inteligencją na pewno szybko połapie się w obowiązkach. Zastanawiała się, czy kogoś potrzebują. Kiedy otworzyła drzwi, kobieta podniosła wzrok znad koparki Gestetner, która wyrzucała z siebie szczegóły ofert. Na dźwięk głosu Jill z biura na tyłach wyszedł Mikey Waller.

– W porządku, Rose – powiedział. – Zajmę się panią Crane.

Jill odniosła wrażenie, że Mikey cieszy się z jej wizyty. Zaproponował kawę: w kącie biura trzymał elektryczny czajnik, słoik Nescafé i kubki na tacy. Zastanawiała się, czy nie zasugerować, żeby przeszli na drugą stronę ulicy do The Bungalow, ale chyba powinna poruszać się ostrożnie, bo nie wiedziała, czy jest żonaty. Nasypał kawy do dwóch kubków i wymieszał ją z mlekiem w proszku. Jill nadal nie mogła się pogodzić z tym, że znajduje go w tak małym biurze z cienkimi ściankami działowymi. Pamiętała czasy, gdy mieściła się tu czarująca drogeria: musieli zerwać ze ścian stare lustro i wyrzucić szuflady i półki z polerowanego

mahoni. Mikey był zbyt mocno zbudowany jak na to miejsce, powinien wybrać karierę bardziej pasującą do jego krępej sylwetki i zwinnych, ostrożnych rąk. Kiedy ze skupieniem mieszała dwie łyżeczki cukru w swojej kawie, przypomniała sobie, że w szkole nauczyciel zawsze liczył, że to on będzie tym rozsądnym, który pozbiera śmieci po zakończeniu dnia sportu albo wytrze tablice podczas przerwy. W ostatniej klasie podstawówki oboje byli dyżurnymi odpowiedzialnymi za dyscyplinę. Musiał bardzo cierpieć, oprowadzając klientów po przygnębiających domach i namawiając ich do kupna. Być może wpadnie do niej z wizytą, gdy już znajdzie coś do wynajęcia. Kiedy zapytała o chatę Goodów, spojrzął na nią z niedowierzaniem.

– Chodzi ci o tę starą chatę w lesie Cutcombe? Nie możesz tam mieszkać. Nie nadaje się.

– Czemu nie? Goodowie mieszkali tam przez lata. W studni chyba jest jeszcze woda?

– W studni? – Roześmiał się. – Nikt już nie czerpie wody ze studni. Nie wspominając o tym, że nie ma tam łazienki, toalety ani elektryczności. I nie można tam dojechać.

Nie pomyślała o toalecie i nie miała pojęcia, czy znajduje się tam wychodek albo jakiegokolwiek inne rozwiązanie. Być może Mikey będzie wiedział.

– Ludzie radzą sobie bez tych rzeczy.

– Może ty byś sobie poradziła – odparł. – Zawsze byłaś trochę inna.

Traktował ją poważnie i obserwował z uwagą. Mikey nie był przystojny. Miał wiotkie włosy koloru piasku i piegowate powieki z krótkimi jasnym rzęsami; poruszał sztywno ramionami, odwracając cały tors. Ale Jill pomyślała teraz, że zawsze lubiła jego nieskrępowany spokój, jakby coś ukrywał.

– Pewnie mieli miedziany kocioł do grzania wody – powiedział. – Drewna nie brakowało. Na pewno jest tam cicho i spokojnie. Dawno tam nie byłem. Ale chyba widzę cię w takim miejscu, jeśli naprawdę nie przeszkadza ci brak wygód.

Z jakiegoś powodu Jill poczuła się w tej chwili zawstydzona, jakby się popisowała. To była rzecz, o jakiej opowiadali jej londyńscy przyjaciele: nowe życie na wsi, bliskość natury, bez zdobyczy techniki. Zwykle to ona przekłuwiała baloniki ich fantazji, mówiąc, że nie mają pojęcia, czym jest ciężka praca, gdy trzeba żyć z uprawy ziemi, a wieś nie jest pustym miejscem, do którego można wpaść jak do rajskiego ogrodu. Mieszkają tam prawdziwi ludzie, którzy przeważnie nie patrzą przychylnie na obcych. A teraz sama udawała, że jest Cyganką, jak każda romantyczka. Mikey obiecał, że się dowie, kto jest właścicielem chaty – sądził, że jest pewnie przypisana do jednej z dużych posiadłości, i nie podejrzewał, by Goodowie płacili wysoki czynsz. Chata zapewne popadnie w ruinę, jeśli nikt jej nie zechce.

Potem Jill powiedziała, że próbowała znaleźć pracę w sklepie z włóczką.

– Ale nie byłam dość dobra, nie chcieli mnie.
– W sklepie z włóczką? – zapytał z niedowierzaniem. – Nie masz zbyt wysokich kwalifikacji na coś takiego?

– Tu raczej nie ma zapotrzebowania na filologów klasycznych. Prawdę mówiąc, nigdzie nie ma. A potrzebuję pieniędzy.

– Zapomniałem, że studiowałaś filologię klasyczną. To ty byłaś ta mądra.

– A ty rozwiązywałaś wszystkie zadania matematyczne w szkole podstawowej.

Spodobało mu się, że o tym przypomniała.

– Napelnianie zbiorników, tyle litrów, taka a taka pojemność, jak długo to potrwa i tak dalej. Tak, lubiłem to.

Zauważyła, że Mikey jest ciekawy, zastanawia się, czemu potrzebuje pieniędzy, skoro ma męża, który pisuje do gazet. Z powodu jej pytań o chatę musiało mu przejść przez myśl, że ona coś knuje, wygrzebuje się z jakiejś katastrofy. Być może kiedyś powinna mu to wyjaśnić. Chciałaby, żeby jeszcze ktoś na świecie wiedział, co planuje, co czuje i czym jest Tom – czym naprawdę jest, raz na zawsze, czego nie dostrzegał nikt poza nią. Choć to oczywiście nonsens. Ludzie nie byli „naprawdę” czymś, nigdy nie byli do końca określeni. Przez moment miała nadzieję, że Mikey powie, że jeśli szuka pracy, potrzebują pomocy w sortowaniu dokumentów tutaj, w agencji. Zamiast tego zapytał, ile ma dzieci. Mógł się martwić o chatę i wychodek, przypominając jej o rzeczach przyziemnych i jej obowiązkach. Czy krył się w tym wyrzut? Z mężczyznami nigdy nie wiadomo, co wbili sobie do głowy na temat pożądanych zachowań matek.

– Dwie córki i syna. Najstarsza ma siedem lat, najmłodsza półtora roku.

– To wygląda na spore wyzwanie.

– Mama opiekuje się nimi dziś po południu. Nawet nie wiesz, jakie to cudowne, że mogę tu siedzieć, rozmawiać przy kawie i nie muszę się przejmować, że ktoś jest niegrzeczny, przewraca się albo trzeba mu zmienić pieluchę. A ty? Masz dzieci?

– Jeszcze się nie zaobrączkowałem – odparł szybko, przesuwając palcem po brzegu kubka, jakby próbował zrobić obrączkę. – Nie mam zielonego pojęcia o zajmowaniu się dziećmi. Kiedyś byłem zaręczony, ale nic z tego nie wyszło. Więc nadal jestem wolny jak ptak.

Słowa zabrzmiały tak, jakby Mikey gdzieś je podsłuchał: nie pasowały do niego. Śmiesznie było myśleć o nim jak o ptaku, był zbyt powolny i ciężki. Oboje poczuli skrępowanie i Jill zaczęła wyjaśniać, jakimi domami jest zainteresowana – nie tymi nowoczesnymi, które wyglądają jak anonimowe pudełka. I nie chce też niczego w mieście – wolałaby mieszkać na wsi. Może zrobi prawo jazdy, a poza tym nie ma nic przeciwko korzystaniu z autobusu.

– Byłam skłonna myśleć, że spieszno ci do żeniaczki – powiedziała, gdy

szukał w szafce na dokumenty innych propozycji. – Że przyciągasz kobiety.

– Ostatnio jakoś nie ustawiają się w kolejce – odparł, przerzucając papiery ze zmarszczonymi brwiami. – No, mam. Spójrz na te dwa miejsca. Przynajmniej mają bieżącą wodę, choć nie są wzorem wygody. Jeśli byłabyś zainteresowana, mógłbym ci je pokazać. Któregoś popołudnia w tym tygodniu? Albo w przyszłym?

Jill pomyślała o Rose w biurze od ulicy – była w średnim wieku, ze sztywną blond trwałą, ale wszystko mogło się zdarzyć, jeśli kobieta i mężczyzna spędzają każdy dzień razem. Potem zaczęła się obawiać, że Mikey mógł się poczuć urażony, gdy tak arbitralnie twierdziła, że go zna – a może przez jej uwagę o domach pudełkach. Pewnie wyszła na okropną snobkę, która nimi pogardza. Większość ludzi była wdzięczna, że ma dach nad głową i łazienkę. Podejrzewała, że pod powolnością i prostolinijnością Mikeya kryją się delikatna wnikliwość i wycucie.

Sophy powiedziała sortującej pranie Jill, że wybiera się do Roddings. Dzieci bawiły się w ogrodzie – nad wszystkim czuwała Hettie, która miała zadbać, by żadne nie wpadło do strumienia. Eve Smith zajmuje się kwiatami do kościoła w tym tygodniu, wyjaśniła Sophy, i potrzebuje bzu do kompozycji kolorystycznej. Wszystko to było zgodne z prawdą i przed wyjściem Sophy zerwała naręcze bzu rosnącego przy bramie na plebanię. Ale kiedy podała go Eve, która zaczęła napełniać wodą zlew w komórce na tyłach Roddings, zapytała również, czy mogłaby skorzystać z telefonu. Eve miała różową, okrągłą, cierpliwą twarz i proste, siwiejące ciemne włosy, które stale opadały jej na oczy. Wyglądała na wyczerpaną pracą przy farmie i trzech dorastających synach osiłkach mieszkających w domu. Powiedziała Sophy, żeby się nie krępowała, odgarniając włosy pokrytym plamami przedramieniem, bo miała mokre dłonie. Sophy przyniosła ze sobą półkoronówkę, by zostawić ją dyskretnie przy telefonie; jak zawsze obawiała się, że to za mało albo za dużo. Nigdy nie można zapominać, że jest się żoną pastora, co pociąga za sobą nieufność wiejskich kobiet i ukrytą wrogość.

Smithowie zainstalowali telefon w biurze farmy, które znajdowało się przy wejściu na podwórze, niczym śluzka pomiędzy światem zewnętrznym a wewnętrznym. Maszyny i sprzęt weterynaryjny mieszały się tam z butami, skarpetami i kurtkami przeciwdeszczowymi, na półce nad wielkim zimnym kominkiem tykał zegar, na biurku między papierami walały się paczki nabojów. Grantham mówił, że część Roddings pochodzi z czternastego wieku; belki w niskim suficie miały trzydzieści centymetrów grubości. Gdyby John Smith albo któryś z chłopców był w biurze, Sophy zrezygnowałaby z rozmowy. Wprawdzie nie miała nic przeciwko Johnowi, ale za nic nie mogłaby mu wytłumaczyć, co jej chodzi po głowie. Najpierw wybrała numer mieszkania w Marylebone, choć nie spodziewała się, by ktokolwiek odebrał, i rzeczywiście tak się stało.

Potem wyjęła skrawek papieru z kieszeni płaszcza i wybrała drugi numer, pozostawiony przez Toma w zeszłym tygodniu dla Jill. Sophy przepisała go, zanim

dała wiadomość córce – po części ze strachu, że jak zwykle go zgubi, a po części, ponieważ pomyślała, że będzie się chciała skontaktować z Tomem bez wiedzy Jill. Nie robiła sobie zbyt wielkich nadziei, że uda się jej go złapać, ale warto było spróbować. Najwyraźniej młodzi się pokłócili. Sophy za nic nie chciała być matką, która domaga się wyjaśnień, ale wbiła sobie do głowy, że jej obowiązkiem jest ośmielić Toma i powiedzieć mu, żeby nie zniechęcał się nieustępliwością Jill. Jej córka potrafiła otaczać się lśniąca, odstręczającą aurą pewności. Jill wierzyła, że za każdym razem, kiedy się zmienia, jest to ostatni raz. Upierała się, że nie rozmawiała z Tomem tamtego wieczoru, choć wzięła garść monet, które Sophy dla niej zostawiła. Pozostawiony sam sobie Tom może nie wytrwać. Udawał takiego nieustraszonego, szokował ludzi swoimi włosami, żartami i opiniami, lecz Sophy nie ufała mu, że nie podda się przy pierwszej przeszkodzie. Czasami dostrzegała w jego oczach zmęczenie, jakby brawura była ciężką pracą.

Telefon odebrała kobieta, lekko zasapana, jakby przerwała coś zabawnego. Sophy zapytała, czy może rozmawiać z panem Crane'em. Po chwili wahania kobieta odpowiedziała ostrożniej, choć w jej głosie słychać było coś bezwstydnego, jakby lada moment znów miała wybuchnąć śmiechem.

– Kto mówi?

Sophy za nic nie mogła się przyznać, że jest jego teściową.

– Sophy.

– Obawiam się, że pana Crane'a nie ma. – Głos kobiety brzmiał, jakby na czyjś użytek parodiowała bardzo profesjonalną sekretarkę. – Ma ważne spotkanie. Bardzo ważne. Nie mam pojęcia, kiedy wróci. Wiesz, Bernie?

Sophy usłyszała w tle męski głos – nie brzmiał jak głos Toma.

– Bernie też nie ma pojęcia. Czy mam poprosić pana Crane'a, żeby do pani oddzwonił?

Sophy odparła, że zadzwoni kiedy indziej. Dziwnie było odkładać słuchawkę i oglądać znajome ściany biura Roddings, pociemniałe przez lata od dymu tytoniowego na żółtobrazowy kolor. Jej rozmowa zawisała w powietrzu niczym frywolna, młodsza tęcza z innego świata. Czy powinna poczuć niepokój, bo telefon odebrała kobieta? Zdecydowanie głos mężczyzny w tle nie należał do Toma. Pewnie byli parą, jego przyjaciółmi. Ale w jej wyobraźni pojawiły się niepokojące możliwości, całkiem nieproszone: to, że byli parą, nie wykluczało innych układów, eksperymentalnych kombinacji. Zaniepokojona swoją pomysłowością zaczęła się zastanawiać, czy tamta kobieta nie odebrała telefonu półnaga, wsparta na łokciu w skotłowanej pościeli, w środku dnia. To nadzwyczajne, jak dużo można się dowiedzieć o ludziach nawet w czasie tak krótkiej rozmowy. Ci przyjaciele Toma nie byli otwarci, poważni, śmiali się z niej. Sophy czuła się przyłapaną, jakby należała do pradawnej, szczerzej historii.

W środku nocy w sen Jill wdarł się hałas i sen się rozwiął. Bardzo żałowała,

bo był misterny i smakowity – jak pływanie w płytkiej ciepłej wodzie pełnej wodorostów. Początkowo założyła, że obudziło ją wołanie jednego z dzieci. Potem hałas pojawił się znów, uderzając w okno jak mokry śnieg, bezczelny i natarczywy: jakiś ptak musiał obijać się o szybę, szaleńczo pragnąc dostać się do środka. Jej pierwszą myślą było wstać i zamknąć okno, które było uniesione o jakieś dziesięć centymetrów. Od dzieciństwa przywykła spać przy uchylonym oknie, nawet w najzimniejsze noce.

Ogród od frontu zalewał blask księżyca. Nie było wiatru, a jednak młoda srebrna brzoza zdawała się drzeć w podnieceniu; jakieś duże zwierzę kręciło się wokół jej pnia. Kiedy się wyprostowało, Jill dostrzegła, że to człowiek – Tom w obszernej kurtce z kapturem nasuniętym na głowę. Zbierał kolejną garść ziemi i kamyków pod drzewem, by rzucić w szybę. Na szczęście rodzice spali na tyłach domu. Wściekła podciągnęła okno i wychyliła się, czując na ramionach zimne powietrze. Miała na sobie różową nylonową koszulę nocną, którą kupił jej na ostatnie urodziny – nie przywiozła jej z sentymentu, była po prostu jedyną czystą, jaką mogła zabrać.

– Co ty wyprawiasz? – syknęła.

Rzucił ziemię, otrzepał dłonie i podniósł do niej blady owal twarzy otoczonej kapturem jak u mnicha.

– Zejdź.

– Nie chcę cię tutaj, idź sobie.

– Na miłość boską, Jill, zejdź i porozmawiaj ze mną.

Naprawdę nie czuła w tej chwili satysfakcji, mimo że przejechał taki kawał, żeby się z nią spotkać. Cała jej złość, która trochę traciła na sile, ożyła na jego widok. Oczywiście nie mogła go odesłać, choć bardzo tego chciała; w środku nocy nie miał dokąd pójść. I bała się, że narobi jeszcze więcej hałasu i obudzi rodziców, a to tylko potwierdzi ich podejrzenia, że wybierając Toma, popełniła poważny błąd. Kazała mu poczekać, po czym zamknęła okno i stała w sypialni w rozterce, nie wiedząc, co z nim zrobić. Ten pokój, w którym spała sama przez całe dzieciństwo i okres dorastania, wydawał się w tej chwili dziewiczy i nienaruszalny – mimo że po ślubie spędziła w nim z Tomem wiele nocy, kiedy razem odwiedzali rodziców. Ale jej małżeństwo wydawało się teraz czymś ulotnym i prowizorycznym, a czar samotności znów zyskał na sile. Każdy nerw w jej ciele sprzeciwiał się jego wtargnięciu tutaj.

Zsunęła koszulę przez głowę i szybko włożyła ubranie, które zrzuciła wieczorem, uzupełniając je o dodatkowy sweter i płaszcz. W szybę uderzyła kolejna garść ziemi zmieszanej z kamykami, co przypomniało jej, że Tom nie jest cierpliwy. Nawet kiedy kolacja była prawie gotowa, czasami nie mógł się powstrzymać, by nie zjeść dwóch lub trzech kromek chleba grubo posmarowanych masłem, psując sobie apetyt: szeroko otwarte oczy patrzyły na nią przeprasząco,

choć miał pełne usta. Jill szybko zeszła po schodach, niosąc buty w ręce, przemknęła przez kuchnię i wyszła na zewnątrz przez boczne drzwi, zamknęła je cicho za sobą, po czym skierowała się do ogrodu od frontu. Niebo było zaskakująco niebieskie, tak jasne, że wydawało się odcinać w zdumieniu od ziemi; opuchnięty księżyc parował światłem nad starym, podniszczonym dachem Brodych, który był teraz płachtą czystego srebra. Nie widziała nigdzie Toma; dopiero po chwili wyszedł zza domu. Podejrzewała, że próbował się dostać do środka od tyłu. Był potężnym mężczyzną, mierzącym metr osiemdziesiąt pięć czy siedem i ważącym dziewięćdziesiąt kilogramów, ale szedł przygarbiony jak nastolatek, z rękami w kieszeniach, lekko kołysząc biodrami.

– Dzięki Bogu – powiedział. – Kurewsko tu zimno. Wpuść mnie do środka.

Parka pachniała jak mokry pies – w podróży musiał go złapać deszcz. Jill rzuciła ostrym szeptem, żeby nie przeklinał, nie tutaj, i ogarnięta nagłą wściekłością wymierzyła mu siarczysty policzek, choć materiał kaptura złagodził jego siłę. Nigdy wcześniej go nie uderzyła i był zdumiony, choć komicznie skruszony, i zapanował nad gniewem. Naprawdę mógł wpaść w szal.

– Za co to?

Widziała, że zalewa go fala użalania się nad sobą.

– Nie chciałam, żebyś tu przyjeżdżał. Nie prosiłam o to.

Całą rozmowę prowadzili szczekliwym szeptem, a Jill ujęła Toma pod ramię i poprowadziła ścieżką dalej od domu. Powiedział płaczliwie, że przyjechał, bo dzwoniła jej matka: pomyślał, że coś musiało się stać jej albo jednemu z dzieci.

– Jechałem autostopem, zajęło mi to całą noc, bo drogi były puste, padał deszcz. Ostatnie kilka mil z West Huish musiałem przejść piechotą. I zgubiłem się, poszedłem w złą stronę.

– Matka nie dzwoniła – prychnęła pogardliwie Jill. – Zapomniałeś, że nawet nie mamy telefonu!

– Dzwoniła, rozmawiała z Carol. Tak się złożyło, że była u Berniego. Później ci wyjaśnię, co się między nimi dzieje, to dość skomplikowane.

Jill pomyślała, że Sophy musiała grzebać jej w kieszeniach.

– To naprawdę był numer Berniego?

– Jasne, że tak – odparł z oburzeniem. – Przez całą podróż byłem niespokojny, martwiłem się o was, a kiedy tu dotarłem, traktujesz mnie jak pariasa. I jestem głodny, nic nie jadłem od wyjazdu, nie mam pieniędzy.

Wiedziała, że będzie głodny, więc po drodze wzięła z kuchni paczkę czekoladowych minibatoników. Tom w ciemności mocował się ze sreberkiem, po czym kilkoma dużymi kęsami pochłoniął batonik, wypluwając strzępki folii.

– Mogę wejść do środka? – dopytywał się między czekoladowymi kęsami. – Jilly, musimy porozmawiać. To się robi śmieszne. Z powodu jednego głupiego błędu.

– Daj mi batonik. Też jestem głodna. Wyrwałeś mnie ze snu.

– Nie jestem pewny, czy mogę ci dać. Umieram z głodu, a nie są zbyt pożywne. Ale proszę. Widzisz, jak bardzo cię kocham? Co moje, to twoje. Nieważne, że najpierw było twoje.

Jill zjadła batonik mniejszymi kęsami, zamyślona.

– Jeśli chcesz ze mną porozmawiać, musimy iść. Znam jedno miejsce. Nie wpuszczę cię do domu; nie chcę, żeby rodzice się dowiedzieli, że tu jesteś.

Odparł z rezygnacją, że nie ma nic przeciwko spacerowi. Kiedy otworzyli bramę, alejka była tak jasna w świetle księżyca między dwoma ciemnymi ścianami żywopłotu, że mieli wrażenie, jakby wchodzili do wody. Nadal szeptali, nawet kiedy nikt z domu nie mógł ich już usłyszeć. Przy drugim batoniku Tom zapytał, czy powiedziała rodzicom wiesz-o-czym: o Vandzie.

– Nie. Za bardzo się wstydzę.

– Wstydzisz się mnie?

– Siebie. Że wyszłam za męża za kogoś zdolnego do czegoś tak przyziemnego jak romans z sekretarką.

– Nie była moją sekretarką. Nie mam sekretarki.

– No to sekretarką kogoś innego. To dopiero przyziemne.

Tom gwizdnął z udanym podziwem.

– Dziesięć dni w domu i z powrotem stałaś się córką pastora.

Odwróciła się na pięcie, by znów go uderzyć, lecz tym razem był przygotowany – bez trudu ze śmiechem złapał ją za oba nadgarstki.

– Daj spokój, musisz przyznać, że było w tym coś z twojego staruszka. Coś z ambony.

Jill przestała walczyć i stanęła nieruchomo, zwieszając ramiona pod grubym wełnianym płaszczem, ze spuszczoną głową, jakby z ciemności spadał na nią jakiś ciężar, jakaś świadomość bezcelowości. Tom nie był głupi, nie wziął tego za gest poddania się. Ostrożnie objął ją ramieniem i znów ruszyli przed siebie, tym razem wolniej. Kiedy wyszli z blasku księżyca, musieli zwolnić jeszcze bardziej, bo nie widzieli drogi. Po chwili oparła się o niego, przerzucając na niego część ciężaru w sposób, który był jej znajomy, a nawet pocieszający, choć skarżyła się, że jego kurtka okropnie śmierdzi i drapie ją w twarz.

– Posłuchaj – zaczął Tom. – Opowiem ci o Paryżu. Tam trwa rewolucja. Dzieciaki rozbijają mury więzienia. Wszystko, co wydawało się ustalone i wykute w kamieniu, okazuje się ulotne jak mgła.

– Napisałeś to wszystko w jednym ze swoich artykułów?

Odparł, że studenci proszą tylko o edukację – prawdziwą edukację. Na Sorbonie na grupach dyskusyjnych jest tłum, w dzień i w nocy. Wszyscy mają swoje egzemplarze Czerwonej Książeczki. Czy wiedziała, że tylko osiem procent studentów we Francji pochodzi z klasy pracującej? Robotnicy z Renault przyszli,

by opowiedzieć studentom o pracy w fabryce, wielu opowiadało historię swojego życia. To było piękne. Atmosfera była jak naelektryzowana. Przez cały czas wszyscy słuchali wiadomości na tranzystorach, nawet burżuje, wynosili je na ulice, żeby niczego nie przegapić: nie słuchali stacji rządowych, tylko Radia Luksemburg albo Europe I.

– Pewnego wieczoru jedliśmy kolację w *quartier*, a kiedy wyszliśmy, po drugiej stronie ulicy była ściana ognia, musieliśmy zasłaniać usta chusteczkami przed gazem łzawiącym. Policja to brutale, biją rannych, nawet jeśli ci leżą na noszach, biją lekarzy. Wszędzie walają się śmieci, bo nikt ich nie wywozi. I spalone samochody. Miałaś rację co do drzew. To smutne. Ale zasadzą nowe.

Zeszli z alejki na leśną ścieżkę; Jill miała w kieszeni latarkę. A jeśli to prawda? – pomyślała. Jeśli ta absolutna, twórcza przemiana w nowe życie naprawdę jest możliwa i jeśli to jej wina, że nie potrafi jej dostrzec, bo utknęła w starym?

– Dziennikarstwo zaczyna mnie mierzić – powiedział Tom. – To tylko część całej tej maszyny. Zastanawiam się, czy nie wrócić do malarstwa. Mam parę pomysłów. Chcę choć raz zrobić coś prawdziwego. Coś naprawdę innego, co będzie częścią zmian.

Zaprowadziła go do chaty Goodów, weszli do środka. Było tam ciemniej i zimniej niż w lesie.

– Możemy się tu na chwilę zatrzymać – powiedziała. – Jeśli naprawdę chcesz porozmawiać.

– Co to za miejsce? Kto tu mieszka? Nie będą mieli nic przeciwko? Paskudnie tu śmierdzi.

– On umarł, a ona oszalała. Dom jest pusty.

Ich głosy brzmiały bezbarwnie w malutkim zatechłym pomieszczeniu. Tom poświecił dookoła latarką, ukazując wyrwane kupony zatknięte przed talerzami w kredensie, wydziergany ochraniacz na zagłówek, Jezusa patrzącego na nich tęsknie, zwiędłe czasopismo – „The People’s Friend” – na drucianej podstawie, brudną skórkę od chleba w podartym plastikowym worku na podłodze. Niewidzialne poza promieniem latarki nieliczne meble były jeszcze bardziej obecne. Jill miała ze sobą zapalki i spróbowała rozpalić ogień w kominku – w wiaderku znalazła podpałkę i przyniosła kilka polan ze stosu na zewnątrz. Ale w kominie nie było dobrego ciągu i pomieszczenie wypełnił dym. Tom poszedł rozejrzeć się na górze i wrócił z naręczem kołder i koców.

– Strasznie tam ponuro – powiedział. – Miałem wrażenie, że on umarł w tym łóżku, kimkolwiek był.

Wilgoć kołder i dym wywołały u Toma atak duszności i musiał skorzystać z różowej gumowej pompki z efedryną, którą zawsze nosił przy sobie. Rozłożyli kołdry na podłodze i owinęli się kocami, potem zjedli ostatni batonik; okazało się,

że Tom ma przy sobie resztkę ćwiartki brandy, choć twierdził, że nie ma pieniędzy. Wielkodusznie pozwolił Jill wypić niemal wszystko. Wysunęła się spod koca i poprawiła polana, dorzucając jeszcze jedno – miała talent do rozpalania ognia i z tym też sobie poradziła, już tak bardzo nie dymiło. Kiedy tkwiła tam na czworakach, opierając ciężar ciała na rękach i zbliżając twarz do płomieni, Tom ściągnął gumkę z jej końskiego ogona i włosy rozsypały się na jej ramionach. Potem wsunął pod nie rękę, cały czas wydając z siebie cichy odgłos, jakby mruczał z zadowolenia, i nachylił głowę, by pocałować brzeg jej ucha. Jednocześnie wsuwał drugą rękę od tyłu między jej nogi, ślizgając się po gładkim nylonie pończoch, odsuwając spódnicę, krążąc wokół gumki majtek. Jill zamknęła oczy i przesunęła ciężar ciała tak, że teraz przyciskała je do jego dłoni. Pomyślała, że właśnie na to cały czas czekała, że po to tu przyszła. Świszczenie w piersi Toma było wyraziste jak dźwięk silnika statku.

– Tęskniłem za tobą – powiedział. – Tak bardzo tęskniłem.

Jill nie byłaby w stanie powstrzymać się przed kochaniem się z nim, gdyby nie przemówił. Czar tego dziwnego miejsca w środku lasu, gdzie żadne z nich nie było sobą, działał z niezwykłą siłą – już prawie mu się poddała. Ale potem usłyszała znajomą satysfakcję w głosie Toma. Był tak pewny, że wszystko naprawi. Szybkim ruchem oderwała się od niego i obciągnęła spódnicę. Nadal była na czworakach, lecz teraz twarzą do niego. Stali przed sobą jak dwa wrogie psy.

– Jak możesz? Jak możesz tak po prostu wracać do tego, jakby nic się nie stało?

– Do niczego nie wracam.

– Wracasz! Kiedy mówisz, że chcesz porozmawiać, chodzi ci o *to*.

– Nie bądź cnotką – odparł. – Nie mów mi, że też tego nie chcesz.

– Jesteś taki ordynarny. Nie chodzi mi o seks. Tylko o seks przez cały czas.

– Wiem, że nie – uspokajał ją. – Mnie też nie. Ale nadal chodzi o Wandę, prawda? Nigdy nie przyszło mi do głowy, że tak się uczepisz tej staromodnej zaborczości. Myślałem, że zgodziliśmy się, że nie mamy siebie na własność.

– Nawet nie zapytałeś o dzieci.

– No dobra, pytam teraz.

Jill jęknęła ze złością i powiedziała, że nie chodzi tylko o pytanie.

– Chodzi o to, jaki jesteś, jak możesz wyrzucić je z głowy na tyle dni, nawet tygodni. Zupełnie jakbyś był wolny. A ja nie mogę.

– Powiedziałem, że się nimi trochę zajmę, jeśli chcesz pojechać do Paryża. Albo dokądkolwiek. Nie mam nic przeciwko temu!

– Niczego nie traktujesz poważnie. Teraz zajmiesz się malowaniem, a nie dziennikarstwem. Co będzie w przyszłym tygodniu?

– Chodzi ci o to, żebym był poważny jak twój stary? Poważny, nieszczęsny, pieprzony poeta? I nawiasem mówiąc, nie uważam, że seks jest ordynarny.

Przyprowadziłaś mnie do tego dziwnego i cudownego miejsca, znam cię, mając w głowie seks. To nie jest ordynarne. A teraz kopiesz mnie w jaja. Jestem poważny. Spójrz na mnie. W tej sprawie jestem najbardziej poważny na świecie.

Jill spojrzała na niego niemal czule. Nic dziwnego, że kobiety rzucały mu się do stóp. Blask ognia pełzał po jego pociągłej ogorzałej twarzy, która była twarzą wojownika lub kowboja z jej wyobraźni: wysokie, mocne kości policzkowe, wypukłe czoło o napiętej skórze. W szarych oczach zawsze czaił się ślad sennego zadowolenia, czegoś nabożnego i rozmarzonego.

– Wiesz co? – powiedziała. – Będę się zbierać. Zostawię cię tutaj.

– Oszalałaś. Nie możesz tego zrobić.

– Nie idź za mną. Nie chcę. Zabieram latarkę, bez niej się zgubisz. Poradzisz tu sobie do rana. Jest mnóstwo drewna. Rano nie chcę cię widzieć. Nie chcę, żebyś przychodził do domu.

Stojąc w oknie o świcie, Hettie zauważyła coś bardzo dziwnego. Na wsi często budziło ją światło: kiedy otwierała oczy wyrwana ze snów, nowy dzień czekający w pokoju był tak wyrazisty, zaskakująco obecny, że wydawało się niemożliwe – prawie niegrzeczne – znów je zamknąć, jakby go nie zauważyła. Sypialnia dzieci wychodziła na ogród od frontu, jak sypialnia matki. W ten szczególny dzień, gdy tylko Hettie zajęła pozycję pomiędzy jedwabistymi liliowymi zasłonami – w koszuli nocnej, bosa w przeraźliwym zimnie, które zbierało się na podłodze aż po kostki – dostrzegła ojca idącego alejką. Miał na sobie wielką parkę z opuszczonym kapturem.

Tak naprawdę najpierw go usłyszała; w ciszy wczesnego poranka od strony lasu dobiegł odgłos jego kroków, chrzęst kamyków wylatujących w powietrze. Dzięki temu wiedziała, że jest prawdziwy. A kiedy go zobaczyła, ujrzała tylko górną jedną trzecią ciała, bo resztę zasłaniał mur. Ale była pewna, że to on. Nikt tutaj nie miał tak długich włosów, takiej zmierzwionej brody i nie chodził tak zdecydowanie z opuszczoną głową wciśniętą w ramiona. Jakim cudem jednak zbliżał się od strony lasu, kiedy dopiero świtało? I co najdziwniejsze, nie zatrzymał się przy domu i nie wszedł, by się z nimi zobaczyć. Oczywiście spodziewała się, że skręci w bramę i wejdzie na ścieżkę. Była gotowa zbiec po schodach i go wpuścić, jako pierwsza triumfalnie wpaść mu w ramiona i ogłosić śpiącemu domowi, że przyjechał.

Ale minął bramę i zniknął jej z oczu, nawet nie odwrócił głowy, by spojrzeć na dom, choć znał go tak dobrze jak oni i na pewno wiedział, gdzie jest. Nie podniósł głowy i nie zobaczył córki stojącej w oknie. A potem zniknął, choć jeszcze przez chwilę Hettie słyszała w oddali jego kroki. Cała rzecz była tak nieprawdopodobna, że potem, gdy osunęła się jej w pamięć, Hettie pomyślała, że to się jej przyśniło albo że pomyliła rzeczywistość z ilustracją w książce. Przecież wiedziała, że tato był w Londynie albo w Paryżu. Nigdy nie wspomniała nikomu

o tym, co widziała, bo to się nie mogło wydarzyć naprawdę, a matka złościła się, gdy Hettie zmyślała. Kiedy dotarła do pewnej strony w książce z wierszykami – Pan Foster pojechał do Gloucester w deszczu, narysowany fioletową kredką, w cylindrze – szybko ją przeczuciła, bo przywołała bolesne rozczarowanie.

Trzy

Z upływem dni dzieci przyzwyczajały się do plebanii i zaczęły zapominać o życiu w Londynie, jak wcześniej podczas wakacji. Hettie pogodziła się z tym, że nie chodzi do szkoły, choć od czasu do czasu zdawała sobie sprawę, że zajęcia z tamtego innego życia – na których zaczynała sobie radzić – odbywają się bez niej, i ogarniało ją porażające poczucie, że coś ją omija. Potem szybko krzywiła się i odsuwała od siebie te myśli. Może już nigdy tam nie wróca, być może już nigdy nie będzie chodzić do szkoły. Pokoje mieszkania w Marylebone wydawały się w pamięci chaotyczną płataniną – zastawione brzydkimi meblami właściciela, zabawkami i dziecięcymi sprzętami, pełne wysiłków matki, by stworzyć prawdziwy dom dzięki plamom jasnych kolorów na ścianach, egzotycznym tkaninom narzuconym na kanapy lub rozpiętym na ścianach, plakatom związanym ze sztuką i polityką. W sklepie ze starociami Jill kupiła za grosze wypchaną czapkę pod szklanym kloszem i ogromne lustro w złoczonej ramie z roztańczonymi amorkami wśród girland kwiatów. W zlewie zawsze było pełno naczyń, przy stole w kuchni zawsze przesiadywali goście gadający bez przerwy i popijający herbatę z poobijanych ceramicznych kubków, a dzieci jawiły się jako przybysze z kosmosu. Tymczasem królestwo plebanii należało tylko do nich. W wyblakłych pustych pokojach było więcej pola dla wyobraźni – zwłaszcza w pełnych wyczekiwania sypialniach na górze, niewykorzystywanych do niczego, pozbawionych mebli z wyjątkiem łóżek, komód i skąpych dywaników lekko zalatujących wilgocią.

Dla kogo były przeznaczone te łóżka? Pustka pokoi, która straszyla Hettie nocą, za dnia pobudzała wyobraźnię. Posągowy manekin stał w jednym rogu niczym zjawa. Małe niewyraźne akwarele, skazane na tło gołej ściany, w tym oderwaniu od wszystkiego nabierały wielkiej wagi. Dzieci wpatrywały się w zamazane pejzaże i wyblakłe portrety, jakby te były wyroczniami opowiadającymi o przeszłości i zmarłych. Wymyśliły zabawę, podczas której biegały pomiędzy łukowatymi oknami, tupiąc głośno po podeście i krzycząc, jakby coś ścigały albo były obiektem pościgu – nawet Ali mogła się przyłączyć, jeśli umocowały krzesło na szczycie schodów, żeby z nich nie spadła. W tej zabawie pojawiał się dodatkowy smaczek, jeśli padał deszcz – jego szum i strugi wody na nagich wysokich oknach rozpały dzieci do szaleństwa. Wskakiwały na puste łóżka i turlały się po nich z krzykiem. Oczywiście mogły się w to bawić tylko wtedy, gdy dziadka nie było w domu. Babci to nie przeszkadzało: z błysku w jej jasnych oczach dało się nawet wyczytać, że poruszało to w niej jakieś ukryte, niespełnione nigdy pragnienie, by się do nich przyłączyć i poturlać na łóżku. Babcię mogli sobie wyobrazić jako chudą, czujną dziewczynkę, za nic jednak nie umieli sobie wyobrazić matki inaczej niż jako dorosłej kobiety o kobiecych

kształtach i bardzo pewnej siebie. Często opowiadała o swoim dzieciństwie – zdjęcia były dowodem, że taki czas istniał – ale dzieci tak naprawdę w to nie wierzyły.

Całymi godzinami, kiedy nie padało albo gdy tylko mżyło, Hettie i Roland brodzili w kaloszach w strumieniu, z wiaderkami w rękach, szukając węgorki i cierników. Albo buszowali w domu na dole, gdzie codzienna praca przebiegała w sposób bardziej uporządkowany i w mniejszym napięciu niż u rodziców. Rankiem babcia musiała się chyba zrywać z łóżka w pełni ubrana – nie było marudnego, lepkiego rytuału szlafroków, zamieszania przy śniadaniu i przygotowywania się, zanim wszystko mogło się na dobre zacząć. Na stole w jadalni rozkładano obrus, w wazonie stały kwiaty, a dzieci spokojnie zanurzały kawałki chleba z masłem w jajkach przynoszonych od Brodych po drugiej stronie drogi, jakby jadły je przez całe życie. Kiedy babcia wypijała herbatę, podnosiła filiżankę pod światło i pokazywała im twarz kobiety ukrytą w porcelanie. Dwa razy w tygodniu pani Cummins – ta od drapiących broszek, znana im z kościoła – przychodziła, by zająć się cięższymi pracami, nieskrępowana ciasnym kościelnym kostiumem, lecz swobodna i energiczna w dresie. Wyjmowała parującą pościel z kociołka, potem ją płukała i przeciągała przez wyżymaczkę, szorowała podłogi na kolanach z pełnym pogardy świstem, który musiała wydawać szczotka, choć wydawało się, że to świszczy pani Cummins.

Jeśli dziadek był w domu, wszystko kręciło się wokół niewidzialnej pracy, która toczyła się za zamkniętymi drzwiami jego gabinetu. Ale nawet związane z tym zakazy, szeptanie i sekrety (od czasu do czasu drzwi otwierały się i zalewała ich jego zimna skarga) niosły otuchę i miały w sobie coś romantycznego. Ponieważ on zajmował się ważnymi sprawami, kobiety i dzieci mogły wypełniać swój czas wolne od odpowiedzialności. Zawsze była jakaś kobieca praca, ale nie tak podniosła lub wymagająca jak religia czy poezja. A kiedy wychodził, sprężyna, która trzymała ich w ryzach, puszczała i mogli poczuć się wolni. Nawet Jill, przy desce do prasowania lub zlewie, zdawała się unosić w łagodnym, przebiegłym rozradowaniu – jakby stawała się inną kobietą, bardziej zwyczajną. Kiedy kota nie ma, mawiała babcia, myszy harcują – choć dziadka trudno było nazwać kotem. Nie był tyranem. Babcia stawiała wodę na herbatę, choć nie nadeszła jeszcze pora podwieczorku. Co dziwne, nie mogli się cieszyć tą swobodą, dopóki na plebanii była pani Cummins. Utrzymywała ich w pionie pod nieobecność pastora.

W jego gabinecie nawet pachniało inaczej niż w całym domu: przydymione brązowe nuty – tytoniu do fajki, książek, zimnych węgli na kominku, whisky – były na wpół odpychające, sugerowały coś pełnego treści. Hettie i Roland zbadali raz zawartość kryształowej karafki i odkryli, że whisky, która wyglądała i pachniała obiecująco jak płynny karmel, smakowała jak trucizna. Czy ktoś mógł to pić dla przyjemności? To musiała być jedna z tych złowrogich inicjacji

w dorosłość, podobnie jak te straszne książki na półkach. Bez względu na to, jak długo Hettie czytała zawarte w nich słowa, literując jedno po drugim, zdania uparcie nie dawały się zrozumieć. Dziadek powiedział im, że pisze wiersze o kimś, kto w piątym wieku przetłumaczył Ewangelię według świętego Jana na grekę i pisał hymny do pogańskiego boga. Roland był wkurzający z tym swoim spokojnym założeniem, że bardzo szybko to wszystko zrozumie. Hettie nie mogła pojąć, dlaczego dorośli uznają to za urocze. Przypomniała mu surowo, że nawet nie potrafi czytać.

– Dziadek powiedział, że to nieważne, bo już myślę o różnych rzeczach.

– Jakich?

– Zastanawiam się, czego muszę się nauczyć, o historii i nauce, i ludziach mówiących w różnych językach.

Po lunchu babcia zniknęła tajemniczo w swoim pokoju i schodziła jakiś czas później ubrana w inną suknię, chyba że zamierzała pracować w ogrodzie. Późnym popołudniem matka czasami grała na pianinie, a jego dźwięki opływały Alice zajądającą się stokrotkami w kojcu ustawionym na trawie i docierały do Hettie i Rolanda, którzy budowali tamę na strumieniu; Hettie wykrzykiwała rozkazy. Muzyka, dopóki trwała, przejmująco i zadowalająco okalała i charakteryzowała ich życie, sprawiając, że dało się je zobaczyć jakby z daleka. Dzieci zawsze były zaskoczone, że matka potrafi grać; pianino wydawało się kwintesencją całych obszarów wolnego czasu, poświęcanego na rozmarzoną introspekcję, której nie kojarzyli z matką. Nagle Jill gwałtownie urywała, kiedy pomyliła się w jakimś skomplikowanym pasażu, uderzała mocno dłońmi w klawisze i zatrzaskiwała pokrywę. Mgliście zdawali sobie sprawę, że matka przez cały czas, gdy przystosowywali się do życia w Kington, zmaga się z problemami.

– Nie mogę tego znieść – powiedziała raz na głos dość spokojnie, z dłońmi nadal uniesionymi nad klawiaturą w ten imponujący sposób, zakrzywionymi i pełnymi pasji.

– Czego nie możesz znieść? – zapytała Sophy.

Umączonymi rękami zagniała ciasto na babeczki na stole w kuchni. Jill przyszła, by przygotować kolację dla malutkiej, i kucnąwszy przed szafką w rogu, grzechotała garnkami, szukając małego rondelka.

– Że nie mogę zagrać utworów, które kiedyś znałam. To takie frustrujące.

Matka wycinała szklanką krążki ciasta i układała je na blasze, podczas gdy Jill w zamyśleniu przysiadła na piętach na linoleum, z rondelkiem w dłoni.

– Ale to nie wszystko. W tej chwili nie mogę znieść mnóstwa rzeczy. Na przykład mojego męża, jeśli naprawdę chcesz wiedzieć. To małżeństwo jest skończone. Popełniłam błąd z Tomem i nic z tego nie wyszło. Więc tak to wygląda.

Mówiła lekkim głosem, jakby to wszystko było tematem ironicznej anegdoty, a Sophy nadal wycinała krążki jak najbliższej jeden drugiego, by jak

najlepiej wykorzystać rozwałkowane ciasto.

– Wiedziałam, że coś jest nie tak! – wykrzyknęła, nie patrząc na córkę.

– Postanowiłam wrócić i zamieszkać tutaj – powiedziała Jill. – Mikey Waller pomaga mi znaleźć dom do wynajęcia. Może uda mi się dostać jakąś pracę. Pomyślałam, że mogłabyś się zająć dziećmi przez kilka ranków w tygodniu.

– Jaką pracę?

– Jakąkolwiek. Obojętnie. Pomyślałam, że zapytam w bibliotece.

– Jesteś okrutna – odparła Sophy. Kiedy wycięła już tyle krążków, ile się dało, zebrała resztki ciasta i zrobiła z nich kulę, po czym rozpląszczyła ją zwinnymi palcami. – Tak strasznie mnie kusisz. Niczego na świecie nie pragnę bardziej, niż żebyście wszyscy tu zamieszkali. Byłabym taka szczęśliwa, mając was w pobliżu przez cały czas. Albo tutaj, na plebanii. Po co nam te wszystkie wolne pokoje? Pomagać ci w opiece nad dziećmi? O niczym innym nie marzę.

– Ale – odparła Jill. – Zaraz powiesz: *ale* to niemożliwe. *Ale* musisz być grzeczna albo coś w tym stylu. Nie możemy mieć wszystkiego, czego chcemy. Przypomnisz mi o obowiązku, że powinnam z nim zostać. Dla dobra dzieci i tak dalej. Te rzeczy nic już nie znaczą, mamó. Nie liczą się. Kobiety już je przejrzały. No i nie zapytałaś, co się popsuło.

– A co?

Jill westchnęła i przyłożyła zimny metal rondelka do twarzy.

– Na początek to, że sypia z innymi kobietami. To najprostsze.

Sophy zaczęła wykrawać nowe kółka, zanurzając szklanekę w torebce z mąką, a potem przyciskając ją mocno do ciasta.

– Z iloma?

– Mamó, jesteś zabawna. Czy to ważne z iloma? Nie wiem. Z jedną na pewno, bo niedawno się do tego przyznał. Jeśli chcesz poznać obrzydliwe szczegóły, znalazłam jej majtki w naszym łóżku, kiedy zmieniałam pościel. Była skotłowana, prawie sztywna, bo nie piorę jej zbyt często, a majtki leżały wciśnięte w rogu, pod prześcieradłem. Sprowadził ją do domu, kiedy zabrałam dzieci na weekend do Candice Markham. Musieli szukać wszędzie. Wróciła do domu bez majtek, biedna Vanda. Pewnie pomyślała, że je ukradł, żeby nosić w kieszeni czy coś w tym stylu. Z czerwonego nylonu, z falbankami, na pewno nie mogły należeć do mnie: w kwestii bielizny nadal jestem córką pastora i noszę białą bawełnę. Biedna Vanda. Nawet nie lubi jej tak bardzo.

Dodała, że na pewno były też inne kobiety.

– Mam podejrzenia przynajmniej co do dwóch. Teraz pewnie też z kimś jest. Z jakąś brudną paryżanką maoistką, którą poznał na *manif*, manifestacji. A może jakaś kobieta mieszka u Berniego, mogłaś z nią rozmawiać, kiedy tam dzwoniłaś.

– Ta chyba jest z Berniem.

– Kto wie? Może sypiać z nimi dwoma. Chodzi o to, że Tom nie ma

skrupułów, jeśli sprawa się nie wyda. Ale niewierność naprawdę nie jest najważniejszym problemem. Może ma rację, że nie musimy mieć siebie na własność. Może ja też mogłabym mieć kochanków, żeby wszystko zrównoważyć.

Jill była zadowolona, że siedzi na podłodze. Z tej niezwyklej perspektywy wszystko w kuchni – znajomej jak życie – wyglądało nieoczekiwanie, tak że te nadzwyczajne słowa, które tu nie pasowały, mogły swobodnie płynąć z jej ust, uwolnione przez nową obcość pomieszczenia. Ze swojego miejsca widziała brudny spód blatu stołu, którego pani Cummins nie szorowała co tydzień, i metalowe rozpórki, które kiedyś przykręcono, by lepiej zamocować blat do nóg.

– Prawdziwy problem polega na tym, że już nie podziwiam Toma. Nie chodzi mi tylko o jego zdrady, choć oczywiście niedobrze mi się robi na myśl o nich i jestem zazdrosna, to normalne. Ale chodzi mi o podziw intelektualny dla myśliciela i pisarza. Kiedyś byłam przekonana, że jest taki błyskotliwy. Wybrałam go na przewodnika po wszystkim, pokazał mi, jak odnaleźć swoją drogę w świecie. Ale teraz widzę gotowce w jego myśleniu, te wszystkie skróty. Nie wie nawet połowy tego, co udaje, że wie. Jest pełen entuzjazmu, ale nie zastanawia się nad niczym głęboko. Potrafię śledzić złożoną dyskusję lepiej niż on, szybciej potrafię dopatrzeć się fałszu, sprawniej łączę różne rzeczy. I lepiej piszę. Co mam zrobić z tym odkryciem? Nie wiem, jak mam z nim być, jeśli nie jest już dla mnie wzorem. Zaprogramowano mnie, żebym wierzyła, że mężczyzna, którego wybiorę, musi być moim mistrzem. Wiem, że to absurdalne oczekiwanie, ale nie potrafię go wyrzucić z miejsca, w którym zakorzeniło się w mojej psychice.

Jill nigdy wcześniej nie mówiła tych rzeczy na głos; z trudem rozpoznawała, czy są prawdą. A matki inteligencja i tak nie obchodziła. W tej sprawie raczej nie będzie po stronie Jill. Sophy wierzyła, że kobiety powinny ukrywać swój sceptycyzm i krytykę i nie ryzykować obnażenia się – tak jak obnażali się mężczyźni – wypowiadając się z wielką pewnością. Nie pochwalałaby języka intelektualnego współzawodnictwa, którego użyła Jill, potraktowałaby to ze swoją sekretną ironią. Ale jednocześnie musiała odczuć satysfakcję, gdy usłyszała to wszystko o Tomie. Ostatnimi laty relacja Jill z matką często przypominała cichy spór, niewypowiedziana krytyka Sophy pod adresem Toma odbijała się od linii obrony córki. Teraz Sophy smarowała babeczki mieszaniną jajka i mleka i zapytała, co Jill ugotuje malutkiej na kolację. Czy Alice zje zapiekankę z sera i kalafiora, która została z wczoraj? Jill wpatrywała się bezradnie w pusty rondel.

– Nie bardzo jej smakowała. Pomyślałam, że ugotuję ziemniaki z groszkiem i posypię je tartym serem.

– Dobry pomysł.

Sophy otworzyła drzwiczki piekarnika ręką owiniętą w ścierkę, wsunęła do środka blachę z babeczkami i poszukała w skrzynce ziemniaków.

– To zaskakujące – zaczęła – bo możesz być przekonana, że wszystko sobie

poukładałaś, dotarłaś do sedna, a potem nagle pojawia się jakiś zakręt albo skręcasz za róg i wszystko znów wygląda inaczej. Jakbyś jechała przez nieznaną okolicę.

– Naprawdę? Często tak się dzieje?

Sophy się zastanowiła.

– Do pewnego stopnia.

Jill skuliła się w rogu, jakby pewien stopień nie wystarczał.

– Nawiasem mówiąc – ciągnęła matka – nie dbam o to, żeby być dobrą i grzeczną tak bardzo, jak ci się wydaje. Ale naprawdę uważam, że nie powinnaś tu wracać. Choć byłabym zachwycona. Powinnaś zostać w świecie, tam, gdzie wszystko się dzieje. Na twoim miejscu tego bym właśnie chciała. Nie chciałabym tu wracać. Nic tu dla ciebie nie ma.

Wieczorem w sypialni Sophy zdjęła suknię, umieściła ją starannie na wieszaku i powiesiła na rzeźbionym brzegu szafy, żeby się przewietrzyła i żeby z wełnianej krepy zniknęły wszystkie załamania. Zsunęła ramiączka halki, a potem wciągnęła przez głowę koszulę nocną, żeby jak co wieczór zdjąć pod nią resztę ubrania. Woląca nie szczotkować włosów, siedząc przed lustrem toaletki, bo musiałaby patrzeć na swoją zniszczoną twarz, która wyglądała na tak zamkniętą i smutną, jakby coś się w niej dokonało, a wcale tak się nie czuła. Szczotkowała więc włosy przy oknie, podziwiając nocne niebo. Kiedy zaciągała zasłony, zawsze zostawiała szparę, przez którą mogła wyglądać. Tutaj też zobaczyła swoją odbitą w szybie twarz, ale nie przeszkadzały jej rozbiegane, dzikie oczy na tle granatu na zewnątrz, sztywne włosy rozjaśnione przez blask księżyca ani blade oblicze jak drugi księżyc. Okna ich sypialni na tyłach domu wychodziły na dolinę, więc miała wrażenie, jakby w nią pikowała, niczym sowa, którą często widywała na tle nocnego nieba.

Spała z mężem w tym samym łóżku od czasu, gdy podczas wojny przyjechali do tej parafii i tego domu z czteroletnią Jill. Tutejsi ludzie nigdy nie przyjęli jej jako swojej, ale okolica i dom wchłonęły ją tolerancyjnie. Grantham już był w łóżku, siedział sztywno oparty o poduszki jak kukła, trzymając książkę; oboje czytali wieczorami, czasem przez wiele godzin. Nie było to kojące czytanie, o którym opowiadali ich sąsiedzi z klasy średniej, pomagające zapaść w sen – ekwiwalent środków nasennych, gdy zakładka przesuwająca się w książce bardzo powoli. Sophy i Grantham pochłaniali książki: czytanie było wolnością wydartą z ustalonej rutyny dnia. Nawet o tym nie wspominając, każde wiedziało, że druga strona pochwała zwyczaj odwracania ustawionego na siódmą budzika do ściany, by nie wiedzieli, ile czasu minęło na przewracaniu kartek, jak bardzo byli lekkomyślni i jak słono za to zapłacą następnego dnia. Oczywiście czytali zupełnie inne rzeczy: ona powieści z biblioteki, on poważne książki. Zwykle to Sophy pierwsza się poddawała, kładąc rozłożoną książkę grzbietem do góry na podłodze – łamiesz grzbiet, upominał ją Grantham – i rezygnując z przebywania w innym świecie

z westchnieniem, które ocierało się o zmysłowość.

Tego wieczoru, stojąc z podniesionymi rękami przy oknie, tyłem do leżącego w łóżku męża, powiedziała mu, że Jill zamierza odejść od męża.

– Nie wiem, jak daleko to zaszło. To może być tylko przelotna kłótnia.

Nie odwróciła się od razu, by spojrzeć na Granthama, świadoma niezadowolenia męża z jej przewagi – dowiedziała się jako pierwsza i miała moc, by go zaniepokoić, przekazując mu tę wiadomość. Bardzo będzie chciał się dowiedzieć więcej, ale nie może jej zapytać.

– Nie jestem zaskoczony – powiedział. – Wiedziałem, że coś jest nie tak.

Sophy będzie musiała się ugiąć pierwsza, jak zawsze, ale nie dbała o ten mały taniec supremacji. A jednak poczuła perwersyjny impuls, by chronić Toma przed potępieniem ze strony Granthama. Z pewnością nigdy nie powtórzyłaby mu opowieści Jill o czerwonych majtkach znalezionych w łóżku, wiedząc, że ten szczególnie mocno przemówi do wyobraźni męża, wbije się w nią i napełni go wstrętem.

– Mówi, że chce tu wrócić. Mikey Waller szuka dla niej domu do wynajęcia.

Grantham chciał się dowiedzieć, jak zareagowała na to Sophy, by móc zająć przeciwne stanowisko. Powiedziała, że nie wie, czy jest tu coś dla Jill.

– Trzeba też myśleć o dzieciach, szkole, wszystkich korzyściach Londynu.

– Nie muszą niczego wynajmować – odparł. – Mogą zamieszkać z nami, nie ma najmniejszych wątpliwości. Z nami będzie jej lepiej. Może wrócić na studia.

– Wiesz, że ludziom to się nie spodoba.

– Nie obchodzi mnie, co się im podoba. O co w ogóle w tym wszystkim chodzi, co ten idiota narobił?

– Jill mówi, że go przejrzała.

– To wszystko? Łatwo go przejrzeć.

– Jest bardziej przekonujący, niż ci się zdaje.

– Mnie nigdy nie przekonał. Podejrzewam, że chodzi o inną kobietę? Oczywiście. Nie mogę uwierzyć, że tak długo mu się udawało. Śmierdzi kobietami.

Sophy wiedziała, że użył tych mocnych słów, by nią wstrząsnąć – i sobą, bo się zdenerwował. Nie mógł znieść myśli, że ktoś skrzywdził Jill. I Sophy *była* wstrząśnięta, choć miała nadzieję, że tego nie zauważył; potem zastanowiła się nad tym, że kobiety – pewnego typu kobiety – zostawiają swój zapach na mężczyznach, by inni mężczyźni mogli go poczuć. Wszystkie rodzaje wstydu zbiegły się w jeden: wstyd pozostawienia śladu swoich gruczołów albo wstyd braku jakiegokolwiek zapachu. Usiadłszy tyłem do męża na brzegu łóżka, wpatrywała się w swoje długie fioletoworóżowe palce u nóg na dywanie.

– Myślę, że powinna przeczekać – powiedziała. – To minie. Boję się myśleć, że będzie wychowywała troje dzieci sama, bez męża. Dzieci na tym ucierpią. Ludzie potrafią być bardzo okrutni.

– Przeczekać? – jęknął. – Mówisz jak harcerka. Czemu miałyby przeczekiwać, jeśli on jest do niczego, jeśli nie jest dla niej dość dobry? Czemu nie miałyby się go pozbyć, jeśli tego chce? Czyż nie to robią dzisiaj kobiety?

– Być może. Pozbywamy się starego, niech nadchodzi nowe.

W łóżku, kiedy szukała miejsca w książce, przez materiał poczuła znajomy dotyk szczupłego ciała męża koszuli: leżeli blisko siebie, bo łóżko jeszcze się nie zagrzało (na wszelki wypadek włożyła skarpetki). Ich współżycie jeszcze nie ustało, ale ostatnimi czasy ich kontakty najczęściej były przyjacielskie. Po spaniu razem przez tyle lat nie musieli już przechodzić przez skomplikowaną procedurę zbliżeń lub godzenia się, zanim się dotknęli, nawet jeśli podczas rozmowy nie zgadzali się ze sobą. Ich ciała, bardziej prozaiczne niż dusze, łączyła intymna więź głębsza niż ich spory.

Mikey Waller przyjechał pewnego popołudnia po Jill, by pokazać jej kilka domów do wynajęcia. Zdumiał ją jego samochód – z jakiegoś powodu wyobrażała sobie, że jeździ czymś solidnym i staromodnym, tymczasem zjawił się w jasnoczerwonym sportowym hillmanie, bardzo z niego zadowolony, jakby chciał zrobić na niej wrażenie. Sophy wyszła z domu z malutką Ali opartą na biodrze, by przywitać się z Mikeyem, i osłaniała dłonią oczy w rozmytym blasku słońca. Cały ranek padało, lecz teraz słońce odbijało się w kałużach na ścieżce. Roland i Hettie zbierali ślimaki do słoika po dżemie; Hettie wyjaśniła, że ich nie zabijają, tylko będą trzymać jako zwierzątka domowe. Choć raz zapomniała o swojej zagniewanej nieśmiałości i wyglądała niemal ładnie.

Mikey był uprzejmy i życzliwy, żartował z dziećmi, uścisnął dłoń Sophy i mile z nią gawędził. Być może było w nim więcej z pośrednika w handlu nieruchomościami, niż przewidywała Jill, kiedy uznała, że chyba jest nieśmiały. Zarumieniona, chciała pochwalić się dziećmi i jednocześnie żałowała, że Mikey musiał je poznać, ponieważ kiedy rozmawiała z nim w biurze, czuła się lekka i wolna, jakby mogła wrócić do jasnych, trudnych, egoistycznych czasów, gdy musiała myśleć tylko o sobie. I martwiła się, skrępowana, że być może źle się ubrała na oglądanie domów: umalowała się, starannie uczesała i skropiła perfumami, jakby Mikey zaprosił ją na randkę. Ponieważ zrobiło się ciepło, zrezygnowała z zimowego płaszcza i włożyła lekką kurtkę; kiedy wsiadała do samochodu, obciągnęła i wygładziła krótką spódnicę, jakby mogła ją wydłużyć. Za każdym razem, gdy Mikey zmieniał bieg – bardzo fachowo i gładko, nie szarpiąc dźwigni jak Tom – zdawała sobie sprawę ze swoich obnażonych ud tak blisko jego dłoni, jakby chciała go skusić. I prawdopodobnie chciała, choć teraz nie wydawało się to już takim dobrym pomysłem.

– Pewnie wydaje ci się, że jestem staruszką – powiedziała. – Teraz, kiedy poznałeś moje wspaniałe duże dzieci, z których jedno chodzi już do szkoły.

– Wyglądają bardzo sympatycznie – odparł. – Nigdy nie wiem, co

powiedzieć, kiedy ludzie chcą, żebym podziwiał ich dzieci. To świat, o którym nie mam pojęcia.

Jill powiedziała, że nie ma obowiązku ich podziwiać; nie dodała, że jej pytanie tak naprawdę wcale nie dotyczyło dzieci. Jechali jedną z krętych dróg prowadzących w dół doliny, a potem pięli się na drugą stronę; droga była tak wąska, że wilgotne gałęzie żywopłotów ocierały się o boki samochodu, a ostry zapach wiosennych soków wpadał przez otwarte okna. Późne pierwiosnki kryły się u stóp porośniętych mchem poboczy, fioletowe naparstnice z bladymi plamiastymi gardłami wyrastały w górę jak płomienie, żywopłoty były usiane bodziszkiem i czerwoną firletką. Pokrzywnice i trznadle zrywały się z drogi do lotu. Gdyby spotkali jakiś pojazd jadący z przeciwka, jeden z kierowców musiałby cofać aż do miejsca, gdzie mogliby się minąć: taka jazda nie mogła się odbywać mimochodem i oboje byli w nią mocno zaangażowani; Jill oglądała się przez ramię, by mu pomagać. Rozmawiali o jej kursie na prawo jazdy, który musiałaby ukończyć, gdyby się tu przeprowadziła.

– Możliwe, że odejdę od męża, więc muszę się nauczyć radzić sobie sama – powiedziała, gdy Mikey był pochłonięty wyjątkowo trudnym manewrem, mijając ciągnik z farmy Roddings. Jill pomachała do jednego z chłopców Smithów, który kierował traktorem. Pomyślała, że Mikey jest zaskoczony jej oświadczeniem, bo zmienił bieg ze zgrzytem, a potem zżymał się na siebie za nieudolność.

– Przykro mi to słyszeć – odparł oficjalnie.

– Czemu miałoby ci być przykro? Mnie nie jest. To znaczy jest, oczywiście, ze względu na dzieci i tak dalej. Ale nie jest mi przykro, że porzucam Toma. Nie nadaje się do życia rodzinnego i byłam nieszczęśliwa.

– Czemu nie miałabyś spróbować jeszcze raz?

– Być szczęśliwa? Tak.

Powiedziała mu o wiele więcej, niż powinna; nie wolno jej było zakładać, że Mikey interesuje się jej obecnym życiem tylko dlatego, że razem dorastali. W każdym razie nie palił się do rozmowy o tym, za to chętnie przeszedł do tematu domów, które mieli obejrzeć, wyjaśniając wszystko wyćwiczonym profesjonalnym tonem, zachęcając ją uprzejmie, bez nachalności. Jako pierwszy obejrzel dom wciśnięty w zakręt drogi, tuż przed skrzyżowaniem z inną. Był okropny, ciasny i ciemny, wykończony malowanymi belkami, z szybami ze sztucznego szkła butelkowego i kominkiem w niszy – i był za drogi. Obecny najemca oprowadził ich i Jill wychwalała wszystko głosem rodem z Oksfordu, nie mogąc się doczekać, kiedy stamtąd wyjdzie.

Potem pojechali szybko do następnego domu – przy dwupasmowej drodze, która biegła ponad doliną, by potem zostawić ją za sobą. Prawie nie spotykali innych samochodów. Zeszłoroczne uschnięte liście wisiały na posępnych gałęziach buków po obu stronach drogi, a nowe przebijały się brązem i zielenią.

W niektórych miejscach uzupełniono drzewostan. Przy korzeniach drzew wyrastały grube gałęzie i pochylały się pod właściwym kątem, nauczone rosnać równoległe do drogi. Za tą siatką gałęzi migotało światło przedzielane grubymi szarymi pniami. Ta wyżynna sceneria miała w sobie szlachetne dostojęstwo, tak różne od misterności i intymności doliny poniżej.

Drugi dom był pusty i to spodobało się Jill o wiele bardziej: surowe kamienne pudełko odsunięte od drogi, dwa pokoje na górze, dwa na dole, nieumeblowane. W kwadratowych pomieszczeniach światło ślizgało się po bielonych ścianach, a przez jeden narożnik pod dachem przebijał się bluszcz, co Jill wcale nie przeszkadzało. Była podniecona myślą, że życie tutaj zostanie oczyszczone ze wszystkich zbędnych i rozprasających rzeczy: wieczorami, kiedy dzieci pójdą spać, będzie mogła w końcu coś napisać, wrócić do tłumaczeń z greki. Stali z Mikeyem przy otwartym oknie na górze, spoglądając przez las i szkółkę sosen na nagie szczyty wrzosowisk, na które łagodnie opadało słońce, podkreślając kolory wrzosu. Jill powiedziała, że mogłaby być w tym domu szczęśliwa. Pozostawała kwestia wysokości czynszu, ale może będzie mogła sobie na to pozwolić.

– Stąd wszędzie jest daleko – ostrzegł ją Mikey. – A pogoda nie zawsze jest tak ładna jak dziś. Zimą może cię tu zasypać śnieg. Jak się będziesz poruszać, dopóki nie zrobisz prawa jazdy?

– Na pewno jest jakiś autobus – odparła wesoło Jill. – Moglibyśmy kupić rowery. Woziłabym malutką na siodełku z tyłu.

Wpatrywała się w odległą, oświetloną słońcem plamę koloru na szczycie wrzosowiska i zapragnęła się tam przenieść, jakby to było miejsce elizejskich radości, wolne od problemów i trudności. Mikey poważnie rozważał pomysł rowerów. Powiedział, że niektóre wzgórza w okolicy są zbyt strome, by po nich jeździć.

– Przepraszam, że tak psuję nastrój.

Jill niechętnie oderwała wzrok od wrzosowisk.

– Masz rację. Rowery to okropny pomysł, pewnie byśmy się zabili. Masz ze mną straszny kłopot? Pewnie w biurze czeka cię sporo spraw.

– Och, nie przejmuj się mną – odparł zaskoczony. – Cieszę się, że tu jestem. W taki dzień jak dzisiaj lepiej być na świeżym powietrzu.

– Być może ten dom nie jest zbyt praktyczny. Myślisz, że nie podchodzę poważnie do sprawy wynajmu? Nie chciałam marnować twojego czasu. Jestem u kresu, nie wiem, co robić.

– Nie ma sprawy. Mamy jeszcze inne do obejrzenia. Nikt nie znajduje idealnego domu od razu. Zapiszemy ten, choć nie sądzę, żeby było wielkie zainteresowanie, więc nie ma pośpiechu. Nie każdemu podoba się bluszcz przebijający się przez dach. Możemy sprawdzić, jakie autobusy tędy jeżdżą. Albo

może okaże się, że jesteś utalentowanym kierowcą i zdasz egzamin za pierwszym razem. Nigdy nie wiadomo.

– Ale nie stać mnie na kurs – odparła Jill. – Ani na samochód.

Odwróciła się od okna i spojrzała na niego smutno przez te wszystkie niekończące się komplikacje. Uniosła ręce zwrócone dłońmi w jego stronę w fatalistycznym geście, poddając przegraną sprawę, podkreślając komedię swojego położenia. Kiedy się odwracała, on również się odwrócił i rozłożył ręce, być może, by ją pocieszyć, i wyglądało to tak, jakby połączyli się w zamiarze, z którym żadne się nie nosiło. Pocałunek – najdelikatniejszy, rozkoszny dotyk, początkowo tylko muśnięcie warg – był tak nieoczekiwany, że na kilka chwil uleciał z ich życia, jakby się prawie nie wydarzył. W odczuciach Jill wszystko się pomieszało z brązową jak tytoń beztroską, którą wyobrażała sobie na wrzosowiskach. A ponieważ nie mieli czasu, by się do pocałunku przygotować, był zaskakująco udany, nie nieporadny jak zwykle te zamierzone. I nie był też prawdziwie namiętny czy erotyczny, ale czuły jak pocałunek ze snu. Znajdowali się naprawdę na odludziu. Potem odsunęli się od siebie w dziwnym pokoju zalanym zielonkawym światłem, skonfundowani i onieśmieleni. Mikey przeprosił.

– Och, nie przepraszaaj – odparła. – Mnie nie jest przykro.

Zauważyła, że jego rudawoblond włosy przyklejają się do skóry nad uszami i na karku, i pomyślała, że Mikey dusi się w sztywnym kołnierzyku koszuli, krawacie i zmiętym garniturze. Jill od dawna nie całowała nikogo poza mężem i zapomniała, jak nagle dochodzi do transformacji: uśmiechnięta powierzchnia osobowości i twarzy cofa się, by można się było rzucić w natrętne nowe perspektywy, zderzyć z ciałem i wewnętrznym życiem drugiego człowieka, z jego ciepłem i zapachami, niuansami jego ruchów, które zdradzają, jak bardzo nad sobą panował albo jak bardzo się ofiarowywał. Dzięki Bogu, w przypadku Mikeya zapachy były przyjemne: mydło, potem coś słodkawego i cytrynowego jak wyschnięta trawa. Nadal trzymała go obiema rękami za rękawy, żeby zażenowany nie mógł się od niej odsunąć. Jako mężatka wiedziała, że musi przejąć inicjatywę, jeśli bez zbytnich uników ma dojść między nimi do czegoś więcej. Kiedy pocałowała go jeszcze raz – tym razem mocniej, przesuwając palcami po jego karku i krótkich szorstkich włosach, ujmując jego głowę w dłonie i przyciągając jego usta bliżej do siebie – czuła, że jeśli podąży tym tropem, on pójdzie za nią. Ale co teraz? Nie mogli zrobić niczego tutaj, na gołej podłodze. Nie miał nawet płaszcza, żeby mogli się na nim położyć.

– Wiesz – zaczęła – moglibyśmy obejrzeć chatę Goodów w lesie Cutcombe. Pod wieloma względami, pomijając brak bieżącej wody i innych udogodnień, byłaby wygodniejsza. Wiem, że nie jest zamknięta. Moglibyśmy tam teraz pojechać.

– Pytałem o nią. Nie ma jej na liście naszych ofert. Ściśle mówiąc.

– Ale zajrzyjmy tam – nalegała. – Teraz. Pojedź tam ze mną nie jako pośrednik, lecz jako przyjaciel.

Przez całą drogę powrotną do doliny Jill prawie się nie odzywała. Powiedziała mu tylko, gdzie zaparkować: na poboczu było miejsce, gdzie mijaly się samochody. Nie chciała, by wyciekło z niej podniecenie, które ją zalewało i dusiło – wiedziała, że on na pewno czuje to samo. Pod koniec tego pierwszego niewinnego pocałunku jak ze snu coś się między nimi zmieniło – ale gdyby zaczęli rozmawiać o zwyczajnych rzeczach, umknąłby im sposób, w jaki przedarli się przez zwyczajną materię dnia, by zdobyć to, czego chcieli. Trzaśnięcie drzwi samochodu, gdy Mikey je zamknął, odbiło się w niej jak cios, jakby jej ciało było puste. Ruszyła przed nim ścieżką przez las – nie była to ta sama ścieżka, którą szła z dziećmi i Tomem, lecz bardziej stroma, krótsza, wijąca się wśród drzew. Żadne nie miało odpowiednich butów i od czasu do czasu ślizgali się na zbutwiałych liściach, chwyтали gałęzi, by nie upaść. Co jakiś czas Jill oglądała się na idącego za nią Mikeya i uśmiechała się, wkładając w ten uśmiech całą zachętę – nic nie mogło pójść nie tak, byli uodpornieni, nic nie mogło ich dotknąć. Nachyliła się, by zdjąć szpilki, i szła w samych rajstopach. Niosła buty w ręce, znów się do niego uśmiechając, nie czując bólu, gdy stąpała po ostrych kamieniach i gałązkach na ścieżce i ocierała się łydkami o jeżyny, które rozdzierały rajstopy. Drzwi chaty będą nadal otwarte, nikogo nie spotkają. Wiedziała, że wszystko się uda.

Podejrzewała, że kiedy otworzą drzwi, ujrzą bałagan po nocy spędzonej tu przez Toma. Ale ku jej zdziwieniu w pokoju panował idealny porządek. Tom musiał schować kołdry i koce, choć w domu nawet nie wygładzał pościeli. Z podłogi zniknęła kromka chleba w plastikowym woreczku; tylko zimne węgle na palenisku i pusta butelka po brandy wskazywały, że tutaj byli. Oczywiście nie mogła niczego zdradzić Mikeyowi. Stali w drzwiach, zaglądając do małego pomieszczenia, które było niczym ciemna jaskinia wykuta z jasności popołudnia. Jill nadal trzymała w ręce buty. Wyobraziła sobie, że podejmuje z Mikeyem to, co przerwali z Tomem, na podłodze w tym pokoju, teraz nie miało to jednak sensu.

– Nie mogłabyś tu mieszkać – powiedział surowo Mikey. – Tu jest strasznie.

Kiedy weszli do środka i drzwi zamknęły się za nimi, z trudem dostrzegali się nawzajem, dopóki oczy nie przyzwyczyaiły im się do mroku: przód jego koszuli był wielką białą plamą, nieosiągalną. Dom z Mikeyem w środku wydawał się nietrwały jak domek dla lalek – oczami Mikeya Jill widziała, że mieszkanie tutaj nie wchodzi w grę.

– Nieważne – powiedziała zwodniczo radośnie, podchodząc do głęboko osadzonego w kamiennej ścianie okna, i wyjrzała na czubki drzew w miejscu, gdzie brzeg doliny opadał stromo. – To był tylko pomysł.

Otworzył drzwi kredensu, a potem znalazł schody i zniknął, jakby wspinał się w studni. Słyszała trzeszczenie stopni pod jego ciężarem, a potem jego kroki,

gdy chodził tuż nad jej głową. Zostawiła buty przy schodach i bezszelestnie weszła za nim. W pierwszym pokoju stało duże podwójne łóżko, zarzucone skotłowanymi kołdrami i kocami, które musiał tam zanieść Tom; skośne ściany były pokryte tapetą we wzór różowych koszyczków z owocami, w dusznym powietrzu unosił się zapach starych tkanin, wzmocniony przez słońce padające na dach. Wokół łóżka na podłodze wały się stare ubrania, pożółkłe gazety i czasopisma. W drugim pokoju stało wąskie łóżko z kilkoma szorstkimi kocami.

– Trudno uwierzyć – powiedział Mikey – że w dzisiejszych czasach ludzie tak mieszkają. Byłabyś zaskoczona, co oglądamy w naszej branży.

Opowiedziała mu, że pani Good, która tutaj mieszkała, dawała jej cukierki, a ona je potem wyrzucała. Sądząc po bałaganie, odparł, to było bardzo rozsądne.

– Kiedy będę stara, chcę rozdać wszystko, żeby nic po mnie nie zostało.

– Nie będziesz taką staruszką. Nigdy nie doprowadziłabyś domu do takiego stanu.

– Skąd wiesz? Mogę zostać jedną z tych wariatek, które straszą dzieci.

Uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Są ludzie przyzwoici i tacy, którym na niczym nie zależy. Trzeba mieć szacunek do samego siebie.

Jill zastanawiała się, co Mikey myślał o jej szacunku do samej siebie – pewnie nie było to zbyt pochlebne, skoro go tu przyprowadziła. Traciła pewność, że jej pragnie. Im bardziej wydawał się obcy, daleki i raczej konwencjonalny, tym bardziej, perwersyjnie, ją pociągał. Jak mogła nie dostrzec, że jego potężna sylwetka wciśnięta w mały pokój może zyskać nad nią taką władzę? Była głupia, wyobrażając sobie, że cała władza należy do niej. Być może miał rację – istnieli przyzwoici ludzie, a ona nie należała do ich grona.

– Tak naprawdę w to nie wierzysz, prawda? – zapytała. – Niektórzy ludzie z czystymi domami zachowują się okropnie i okrutnie i wcale nie są przyzwoici.

Mikey mocował się z zasuwką w oknie. Powiedział, że przyda im się trochę powietrza.

– Nie możesz sobie wyobrazić, że tu mieszkam?

– To nie jest odpowiednie miejsce do wychowywania dzieci.

– Mogłabym zadbać o ten dom – upierała się. – Posprzątać, wyczyścić. Zawiesić ładne zasłony. Zdziwiłbyś się, co potrafią zdziałać takie drobiazgi.

Kiedy wreszcie otworzył okno, wiatr wpadł jak ulga, szeleszcząc gazetami na podłodze. Mikey odwrócił się do Jill ze ściągniętą twarzą, jakby martwił się czymś poza nią; przez chwilę myślała, że odsunie ją ze smutkiem, lecz zdecydowanie, i zejdzie, tłumacząc się, że musi wracać do biura. Zamiast tego bez żadnych wstępów chwycił ją za ramiona i znów zaczął całować: tym razem nie usta, lecz włosy i szyję, ściskając jej głowę w wielkich dłoniach. Potem całował jej piersi przez materiał bluzki, zdecydowanym ruchem rozpinając guziki jeden po

drugim, ciągnąc, gdy się opierały, tak że musiała mu pomóc, żeby ich nie pourywał.

– Nie masz nic przeciwko temu? – zapytał zdenerwowany.

Zapewniła go, że nie, i próbowała rozpiąć jego koszulę i rozwiązać krawat, zachęcając go, by się rozebrał; nie zrobił tego i pomyślała, że być może nie chce być nagi w takim brudnym miejscu. Przynajmniej udało jej się podciągnąć mu koszulę, odsuwając ją pod pachy. Rozpiął spodnie i zrzucił buty, to wszystko. Jill rozłożyła śliską różową kołdrę na łóżku, żeby mogli się położyć, a potem zdjęła rajstopy i majtki. Czuła, że od wilgoci pierze w kołdrze pod nią zbiło się w grudki. Ciało Mikeya, kiedy już je zobaczyła, bardzo różniło się od ciała Toma, brązowego, gibkiego, niezważającego na nic. Mikey był gruby i biały, z płaskimi, szerokimi, smutnymi pośladkami i piegowatymi plecami. Zrzucił buty, ciągnąc za sznurówki i podskakując na jednej nodze, potem manewrował, by znaleźć się na niej i w niej, z zamkniętymi lub w półprzymkniętymi oczami. I szeptał dziwne rzeczy, powiedział, że ją kocha, że zawsze ją kochał – ale była pewna, że tylko tak się zachęcał, dawał sobie sentymentalne pozwolenie, by pójść na całość. Jego skrajność przyniosła Jill sporą przyjemność, choć daleko nie zaszli.

– Zabezpieczyłaś się? – zapytał zawstydzonym głosem wtulony w jej ramię, kiedy wszystko dość szybko się skończyło.

– Tak. Nie martw się.

To nie była prawda, ale Jill o to nie dbała: była to ostatnia rzecz, o jakiej myślała. Kiedy Mikey zapiął spodnie, odwracając się do niej tyłem, zauważyła mokrą plamę na ciemnym materiale i pomyślała, że Rose zauważy ją w biurze i że zauważą ją kobiety, kiedy zanieśie garnitur do pralni. Cieszyła się, że zostawiła na nim swój ślad.

Ali spadła z muru na drogę. Teraz miała wielkiego niebiesko-zielonego guza na czole i siedziała w powadze swojego smutku przy kuchennym stole, pocieszana przez babkę. Buzię miała zapuchniętą od płaczu i nadal trochę pociągała nosem, ale tak naprawdę zaczynała czuć dumę z wagi swojego wypadku. Babcia grała z nią w łapki i karmiła ją kawałkami grzanki z masłem i dżemem. Winę za jej upadek ponosiło rodzeństwo. Hettie podniosła ją, by Ali usiadła z nimi w kryjówce w żywopłocie na górze muru przy bramie, ale oczywiście Ali była za mała, by siedzieć nieruchomo, i nachylała się, żeby wsadzać paluszki w kruszącą się zaprawę między kamieniami, gdzie zakorzeniły się chwasty i żyły różne stworzenia. Droga do domu była bardzo długa. Brat i siostra wprowadzili malutką do środka z poważnymi twarzami, trzymając ją za ręce z brudnym żwirem wbitym w miękkie poduszeczki na dłoniach, które były poplamione krwią. Jej ryk brzmiał niczym trąby oznajmiające ich przybycie.

Ale babcia nie była zła – Hettie i Roland też dostali grzanki z masłem i dżemem i wypili herbatę z mlekiem i z dużą ilością cukru. W następstwie dramatu

w kuchni panowała przyciszona, ciężka od napomnień, niemal święta atmosfera. Hettie wyjęła książeczkę do kolorowania, którą Sophy kupiła jej podczas ostatniej wizyty w mieście; malowało się czystą wodą, a na papierze w magiczny sposób pojawiały się kolory. To była satysfakcjonująca praca, pozwalająca uwolnić się od twórczych wysiłków. Roland układał plastikowe literki, udając, że tworzy słowa. Potem rzeczywiście jedno ułożył, kopiując je starannie z książki kucharskiej Sophy: „zwykła” z wyrażenia „zwykła mąka”. Hettie zrobiła z tego wielkie zamieszanie.

– To prawdziwe słowo, prawda, babciu? Widzisz, Roly, potrafisz pisać! Naprawdę potrafisz pisać.

Zapadał wieczór, matka się spóźniała. Zjedli obiad w południe, więc nie było porządnego posiłku do gotowania. Hettie i Roland zostali wysłani do pani Brody po jajka na kolację. Przechodząc przez drogę, trzymali się za ręce, jak przykazała babcia, mimo że prawie nigdy nie przejeżdżał tamtędy samochód. Zaczęli podchodzić z entuzjazmem do jedzenia jajek, mimo że były oślizgłe, a stało się tak po części dlatego, że przyciągało ich podniecenie i strach związane z wyprawą po nie. Farma Brodych była ciemna, nie tak ładna jak Roddings, gdzie pani Smith hodowała kwiaty, a okna i drzwi domu były pomalowane na jasnozielono. Nawet czerwono-brązowe krowy Brodych śmierdziały bardziej niż biało-czarne Smithów i wydawały się ogromniejsze i groźniejsze, gdy wyciągały szyje i ryczały z wywróconymi oczami, wpadając na siebie i wpychając się nawzajem w łajno na betonowym podwórzu. Ze stosów opon wyrastały chwasty, a kury dziobały wokół wraków starych samochodów, wysoko w ścianie stodoły wieczorne światło przebijało się przez zrujnowany pusty gołębnik. Kiedy pani Brody podchodziła do drzwi kuchennych, zawsze przytulała do fartucha filiżankę herbaty, jakby chciała zatrzymać ciepło – od herbaty zupełnie zbrązowiały jej zęby. Czasami dzieci jej nie rozumiały, bo mówiła z ciężkim akcentem. Włożyła pieniądze do wyszczerbionego starego kubka na parapecie, pomalowanego na różowo i złoto, na którym widniał napis „Pamiętka z Ilfracombe”. Babcia zawsze najpierw myła jajka, zanim ich użyła.

W drodze powrotnej Roland skoncentrował się wyłącznie na niesieniu cennej papierowej torebki, podtrzymując ją jedną ręką od spodu. Coś sprawiło, że Hettie rozejrzała się ostrożnie, jakby Kington po raz pierwszy stało się realne, nie jako zwykłe tło dla jej myśli i planów, lecz jakby miało prawdziwą władzę. Wieczór był szeroko otwarty jak przestronny pokój. Na niebie nie było ani jednej chmury i wszystko zalał ciepły rdzaworóżowy blask – pełna kolein droga, zielone żywopłoty, chmury owadów unoszące się w powietrzu. Zapytała brata, czy tu nie jest cudownie. Nawet brudna farma Brodych zdawała się częścią jej szczęścia. Obok nich śmignął jakiś ptak, tuż nad drogą; potem ptaki zaroily się wszędzie, latając i ćwierkając z piskliwym niepokojem, który był także kojący. Roland

zbagatelizował jej entuzjazm, jakby był zbyt frywolny i odrywał go od jego misji. Sumiennie wniósł torebkę do domu.

Alejką jechał samochód, przerywając ciszę. Kiedy się pojawił, Hettie rozpoznała czerwony pojazd pośrednika nieruchomości. Wiedziała, że matka szuka domu, do którego mogliby się przeprowadzić – mogliby zamieszkać tutaj, na wsi, i musiałyby zacząć nową szkołę. Chociaż taka perspektywa była przerażająca, czuła teraz, że tego właśnie pragnie. Samochód zatrzymał się z piskiem hamulców tuż obok Hettie stojącej przy bramie. Matka przez kilka minut nie wysiadała; choć zauważyła Hettie i pomachała do niej, nadal siedziała na fotelu pasażera i rozmawiała z kierowcą. Kiedy w końcu wysiadła, nachyliła się do okna, podziękowała mu i powiedziała, że będą w kontakcie. Potem czerwony samochód wycofał się na podjazd Brodych i odjechał, a warkot silnika rozpląnął się w wieczornym powietrzu. Matka stała na tle światła, które przeświecało przez jej rozsypane włosy, choć gdy wychodziła, były zaplecione we francuski warkocz. Stojąc ze spinkami w ustach, z rękami uniesionymi za głowę na środku drogi, zbierała włosy w długi koński ogon i upinała na miejscu. Z powodu światła Hettie nie widziała jej twarzy; nie chciała podbiegać do niej, gdy była zajęta, ale i tak pospieszyła z wyznaniem:

– Alice miała wypadek. Ma guza. To moja wina, nie powinnam jej sadzać na murze, ale stale się dopraszała.

– Jakiego guza?

– Na czole. Ale babcia ją pociesza. A Roly ułożył prawdziwe słowo z literek: „zwykła”. Napisał „zwykła”, całkiem sam.

– To zabawne słowo na początek!

Jill była rozbawiona, wszystko było w porządku. Hettie wyjaśniła, że skopiował je z książki kucharskiej. Spodziewała się, że matka popędzi do środka, by zobaczyć się z resztą, lecz ona stała w różowawym świetle z jego obietnicą lata.

– Czyż tu nie jest pięknie, Het? – powiedziała. – Spójrz, jak jaskółki szaleją na polu. Jedzą owadzią zupę.

– Co to jest owadzia zupa?

– W powietrzu jest pełno stworzeń, których prawie nie widzimy. I ptaki uczują.

Stały przy bramie, a potem Jill posadziła Hettie na najwyższej belce i trzymała ją mocno, żeby nie spadła.

Kiedy Jill położyła dzieci spać, zatrzymała się w mroku u stóp schodów. W gabinecie ojca nie paliła się jeszcze lampa, ale na kominku płonął ogień, a odbicie płomieni tańczyło na kryształowej karafce z whisky i Jill nagle zapragnęła się napić. Być może to, co zrobiła tego popołudnia, otworzyło drzwi i będą ją teraz dręczyć gwałtowne apetyty. Kiedy weszła do pokoju, w pierwszej chwili pomyślała, że jest sama, ale potem zauważyła, że ojciec klęczy w półmroku

przy biblioteczce, próbując w blasku ognia przeczytać złote litery na grzbietach książek; nie unosił głowy, jakby nie chciał, żeby wiedziała, że on wie, że ona jest tutaj. Jill podniosła karafkę, której nigdy dotąd nie dotykała, by nalać sobie whisky.

– Mnie też możesz nalać – powiedział ojciec.

Z trudem podnosił się z kolan. Choć był silny i dopiero w średnim wieku, obawiała się każdego znaku, że może się zestarzeć i osłabnąć, i pomyślała, że nie będzie w stanie tego znieść.

– Słyszałem, że być może tutaj zostaniesz – zaczął. – Matka mi powiedziała.

– To pewnie nie jest dobry pomysł, prawda?

– Tęsknimy za tobą, Charlie. Bardzo byśmy chcieli mieć cię tutaj.

– Och, tatusiu. Ja też za wami tęsknię. Ale życie biegnie dalej. Mam teraz trójkę dużych dzieci.

– Gdybyś tu zamieszkała, mogłabyś znów wrócić do pracy. Matka zajęłaby się dziećmi, my mogliśmy razem tłumaczyć. Jesteś taka bystra. Boli mnie, gdy myślę, że to wszystko odrzuciłaś.

– Nie odrzuciłam. Nadal jestem tą samą osobą.

Skrzywił się zniecierpliwiony, cienie otoczyły głęboko osadzone oczy patrzące z rozczarowaniem.

– Wiesz, że naszym zdaniem Tom to nie był dobry wybór. Nie zasługuje na ciebie.

– Teraz już za późno – odparła z uporem Jill. – Poza tym nie znacie go. Nie wiecie tego co ja. Nikt nie wie.

Później tego samego wieczoru Jill zapukała do bocznych drzwi Roddings i zapytała, czy może skorzystać z telefonu. Miała przygotowane drobne i była pewna, że zawsze zostawiali więcej, niż wynosił koszt rozmowy, ale dało się zauważyć, że Eve Smith nie jest zadowolona z tak późnej wizyty. Smithowie mogli już nawet kłaść się spać, choć było dopiero wpół do dziesiątej; w domu nie było słyhać telewizora. Ale Jill o to nie dbała. Wiedziała, że jej przeprosiny, wypowiedane wykształconym głosem, brzmią nieszczerze i fałszywie, i na mgnienie oka przypomniła sobie tę osobę, którą była w Oksfordzie – uzdolnioną i ambitną, prowadzącą życie intelektualistki.

Ale to burzliwe życie, które wiodła w zamian, nie było wcale gorsze. Poczucie, że lektury i inteligencja muszą trwać gdzieś ponad prawdziwym doświadczeniem, było złe. Cieszyła się, że jest zamknięta w tym solidnym kobiecym ciele – wykorzystywanym przez mężczyzn i dzieci, które dzięki niemu przyszły na świat. Eve zapaliła światło w gabinecie i wycofała się do komórki, gdzie nadal znajdowała się w zasięgu słuchu – Jill słyszała, jak nalewa wodę do blaszanego czajnika. W gabinecie było zimno, żarówka rzucała blade światło, cały nieporządek znieruchomiał, gdy farma spała. W mieszkaniu w Marylebone telefon nie odpowiadał, wybrała więc numer Berniego. Odebrała jakaś kobieta.

– Mówi Jill Fellowes. Chcę rozmawiać z Tomem.

– Nie ma go tu.

– Myślę, że jest. Proszę go poszukać.

Kobieta udawała rozbawienie, lecz Jill nie ustępowała. W końcu Tom podszedł do telefonu, radosny i z niewinnością na podorędziu.

– Słyszałaś o de Gaulle'u?

– Nie chcę rozmawiać o de Gaulle'u.

Powiedziała, że Tom musi przyjechać rano, żeby ich zabrać do domu.

– Nagle zmieniłaś zdanie.

– Będziesz musiał pożyczyć jakiś samochód. Jeśli chcesz, żebyśmy wrócili, musisz tu być w południe. Mówię poważnie.

Tom zapewnił ją, że tylko tego pragnie. Cała reszta nie jest ważna.

Część trzecia
Teraźniejszość

Jeden

Po kolacji u Pattenów deszcz rozgościł się na dobre. Dzień po dniu budzili się w wilgotnej pościeli, słysząc za oknem natarczywy szum – nie gwałtowny, tylko stały, poruszający liście wielkich buków, sekretny i monotony. Światło i akustyka w domu zmieniły się tak diametralnie, że zdawał się innym miejscem, mniejszym, jakby skulił się podczas ataku. Otoczenie skurczyło się do tego pod ręką, przestrzenie zwały się w prozaiczną szarość i tłoczyły przy oknach. Ochłodziło się, powojnik opadał na taras. Omszały srebrzysty wzór mokrego słońca zakwitał czasami na kilka minut na ścianie nad schodami, zanim znów zgasł – jak słaba wiadomość z innej rzeczywistości. „Jutro może się przejaśni”, powtarzali wszyscy. Czasami deszcz przynosi ulgę, myślała Alice. Gdy pada, oczekujesz od ludzi mniej niż podczas ładnej pogody, możesz się odwrócić na drugi bok i spać dalej. Lecz Harriet i Roland wstawali o świcie: Harriet w rozsądnej piżamie w kratę, Roland w jedwabnej, i podstawiali wiaderka i plastikowe miski pod miejsca, gdzie przeciekała woda, wymieniając praktyczne uwagi. Potem woda nieubłaganie kapiała do wiaderka i zjawił się Simon Cummins, by porozmawiać o naprawach. Alice pomyślała, że ostatecznie może lepiej zrezygnować z tego domu, skoro wymaga tyle zachodu.

Czytała po kolei wszystkie książki dla dzieci, zatracając się w nich. Kiedy Ivy i Arthur przychodzili do niej do łóżka, czytała im na głos i skończyli razem powieść o doktorze Dolittle – nie tę najlepszą. Czasem przyplątywał się Kasim i gdy obserwowali go z łóżka, przeszukiwał rzeczy Alice na toalecie i w torebce, bez pytania i nawet na nią nie spojrzawszy, w poszukiwaniu papierosów, których nie miała.

– To nie jest dobry pomysł – odparł, kiedy zasugerowała, że Fran zawiezie go do miasta, by mógł kupić fajki. Wyjaśnił, że rzucił palenie i kusi go, żeby zacząć od nowa, tylko dlatego, że mu się nudzi. Kiedy jednak Alice zaproponowała, że jeśli chce, mogą go zawieźć na stację, spojrzął na nią zaskoczony i powiedział, że wszystko jest w porządku i nie spieszy mu się do domu. Jutro może się roz pogodzi. Podoba mu się tu. I nie ma nic przeciwko nudzie.

Potem wszedł do pokoju Molly, dzieci za nim, nadal w piżamach, i za zamkniętymi drzwiami grali bez końca w monopol – naprawdę bez końca, bo następna gra zaczynała się natychmiast, gdy poprzednia się skończyła. Kasim wygrywał za każdym razem (podobno studiuje ekonomię), Molly przyjmowała przegrane obojętnie. Raz Ivy wypadła z pokoju wściekła, trzaskając drzwiami, ponieważ Arthur nie grał jak należy, niczego nie kupował, chciał tylko zatrzymać pieniądze, które dostał na początku.

– Nie rozumiesz, na czym to polega?! – wrzasnęła. – Chodzi o to, żeby korzystać z pieniędzy i więcej zarobić!

Arthur spojrział na nią spod blond grzywki, która opadała mu na oczy, przeprasza ją, lecz przebiegle, jakby wiedział, że nie należy ufać tak dalekosiężnym planom. Pomiędzy partiami, kiedy Molly była czasem zajęta – „przygotowywała się” – Alice znajdowała Kasima skulonego beczynie na siedzisku pod oknem na podeście. Raz chciała mu pożyczyć jakąś powieść dla zabicia czasu, ale odparł ponuro, że nie widzi sensu w czytaniu fikcji.

– Nie kapuję, po co to jest. Czemu miałoby się wysilać intelekt, żeby zrozumieć coś, co nie jest prawdą?

Kiedy Alice wstawiała z łóżka, często była już dwunasta albo pierwsza; popołudniami zabierała na górę listy z sekretarzyka babki lub z szuflady biurka dziadka w gabinecie i kładła się na kołdrze, by czytać. Zrzucała buty i po chwili wsuwała się w poszukiwaniu ciepła w tę kojącą przestrzeń pomiędzy kołdrą a kocem przykrywającym łóżko. *Szanowny Panie Fellowes, nie potrafię wyrazić, jak bardzo byłam poruszona i podekscytowana Pańskim nowym tomikiem. Odnosi się do naszych czasów z bezpośredniością i zaniepokojeniem, jakich nie znalazłam w niczym, co czytałam w tym roku.*

Popołudniami Roland rozpałał ogień w salonie, choć ciąg w kominie był dość słaby. Pilar siedziała przy nim skulona, bez butów, z wsuniętymi pod siebie nogami, czytając gazety lub dokumenty, które przywiozła ze sobą, i robiąc notatki. Wbrew wszystkiemu zachowywała dobry humor. W kuchni Fran i Alice zgodziły się szeptem, że to tylko pogarsza sprawę, bo sprawia, że dostrzegają, jak jest ponuro, co by im nie przeszkadzało, gdyby miały dom tylko dla siebie.

– Przywykliśmy do dziadostwa – powiedziała Fran. – A teraz czuję, jakbym musiała za to przeproszać.

– Czemu sobie nie pojadą, jeśli tak śmiertelnie się nudzą?

– Ale tylko Roland się nudzi, Pilar twierdzi, że to lubi. Musi być wściekła.

– Czegoś chce – odparła Alice. – Czegoś od nas potrzebuje. Ale nie wiem czego.

Pomimo paskudnej pogody Harriet chodziła na długie spacerunki i wracała, nucąc pod nosem, potem szła na górę, żeby się przebrać i zwierzać swojemu pamiętnikowi. Musiała rozwieszać mokre rzeczy do wysuszenia – parowały przed kominkiem, przynębiając Alice. Listonosz dostarczył paczkę z filmami na DVD dla Rolanda i skulili się razem z Pilar pod kocem w gabinecie, żeby je oglądać – Roland kupił w mieście nowy odtwarzacz. Kupił też olejowy kaloryfer, który włączał wszędzie, gdzie siedzieli.

– Wydaje mu się, że może sobie kupić ucieczkę od nudy – oświadczyła Fran. – Jasne, że można to kupić. Ale nie tutaj.

Któregoś razu Roland musiał usiąść w deszczu na bramie na łące i bezskutecznie próbował wysłać z telefonu recenzje. Schodząc ze wzgórza, pośliznął się na trawie i poplamił spodnie czerwonym błotem. Po powrocie do

domu pospieszył na górę i bez pukania wszedł do pokoju Molly, żeby poprosić ją o pomoc – być może ma lepszy zasięg w swoim telefonie. Molly i Kasim siedzieli na łóżku – wyprostowani, to prawda, i całkiem ubrani, ale ubranie było w nieładzie, a oni z gorączką w oczach szybko się od siebie odsunęli. Kto mógł wiedzieć, które guziki rozpięto? Roland trzasnął drzwiami bez słowa, wściekły na Kasima i na siebie za swoją głupotę. Czemu nie przyszło mu do głowy, żeby zapukać? Siostry dodałyby dwa do dwóch i zaczęłyby celowo hałasować, idąc na górę, zapukałyby, bo nawet nie przyszłoby im do głowy, żeby wchodzić bez pukania. Czemu brakuje mu takiego wyczucia? Pierwszy raz w życiu pożałował, że nie jest bardziej zwyczajny.

– Wiesz, co się dzieje? – zapytał Alice.

– Jasne, że wiem. To słodkie.

– Wcale nie wydaje mi się słodkie. Myślę, że powinienem wkroczyć, zanim sprawy zajdą za daleko. Co cię w ogóle opętało, żeby przywozić tu tego chłopaka?

– Nie bądź głupi, Roly. Co to znaczy: za daleko? Młoda miłość to coś cudownego. Po prostu jesteś zazdrosny.

– Coś cudownego? Bardzo się o nią martwię.

Alice zamyśliła się i podeszła do sprawy nieco wnikliwiej.

– Dla mnie nie bardzo była cudowna. Ale tylko dlatego, że byłam taka udręczona. Molly jest nieskomplikowana. Myślę, że potrafi być szczęśliwa.

Zaniepokojony Roland usiadł na długą sesję z Chopinem przy starym, rozstrojonym pianinie z wypaczonym prawym pedałem. Nie przyniosło mu pociechy, gdy Pilar zaczęła się rozwodzić nad jego znakomitą grą, bo nie miał co do niej złudzeń – tak naprawdę uderzyło go, że jeśli żona ma drewniane ucho, może to zrodzić problemy. Potem, kiedy poszedł na górę do swojego pokoju, znalazł Ivy i Arthura przycupniętych przy drzwiach sypialni Molly. Każde przyciskało do drzwi szklankę, a do niej ucho, by usłyszeć, co się dzieje w środku. Roland wrzasnął na nich – choć uznał to jednocześnie za zabawne i niepokojące – i uciekli. Niedługo potem, gdy znów schodził po schodach, z pokoju Molly wyszedł Kasim, pogwizdując i kopiąc listwę podłogową z udawaną niewinnością. Roland pomyślał, że dom jest nieznośnie mały i że siedząc sobie na głowie, wszyscy oszaleją, jeśli szybko się nie przejaśni.

– Z tymi dziećmi dzieje się coś zabawnego – powiedziała Fran, gdy opowiedział jej o podsłuchiwanu. – Pokażę wam, co znalazłam u nich w kieszeniach.

Przyniosła małe skrawki papieru, które ukryła pod warstwą ubrań w szufladzie na górze. Rumieniła się nawet w chwili, gdy je im podawała. Roland i Alice przez chwilę mrużyli oczy, po czym dopatrzyli się części kobiecych ciał, które wyblakły do niezdrowego szarawego różu. Alice parsknęła śmiechem.

– Gdzież, do licha, to znalazły? – dziwiła się Fran. – I jeszcze jedno. Mogę

przysiąc, że z oszczędności Arthura ubywa pieniędzy. Ale na co je wydaje? Mam wrażenie, że brakuje kilku funtów. Myślicie, że kupują czasopisma pornograficzne?

– Wiem, że jesteśmy na wsi – odparł Roland – ale nawet tutaj żaden kioskarcz przy zdrowych zmysłach nie sprzedałby świerszczyków dwojgu dzieciom ściskającym w dłoni kieszonkowe.

– Poza tym te czasopisma są stare, śmierdzą wilgocią.

– Nie wachaj ich, Alice, jak możesz! Może kupują je od jakichś dzieci?

– Albo od Kasima? – zasugerował Roland. – Nie znają tu żadnych dzieci.

– Rolandzie, to paskudne – zaprotestowała Alice. – Nie mówisz tego poważnie.

– No dobra, nie całkiem poważnie. Podejrzewam, że dzieci natknęły się gdzieś na stos starych gazet. Dziś nikt nie ogląda świerszczyków. Simon Cummins? Ma takie pożądlive spojrzenie, prawda? A może Christopher?

– Christopher? Nie bądź śmieszny. Czemu akurat on? Był tutaj tylko raz czy dwa. I na pewno jest feministą czy coś takiego. Nawet nie spojrzalby na pornografię.

– Tak mi tylko przyszło do głowy. Te ubranka kolarskie z lycry wyglądają bardzo perwersyjnie. A feminiści są chyba najgorsi.

Kiedy Alice zaproponowała, żeby zapytać dzieci wprost, ku swemu zaskoczeniu Fran wyznała, że nie może tego zrobić.

– Nie chcę, żeby wiedziały, że wiem, że oglądały coś takiego. Ale nie mam pojęcia, co powinnam zrobić. A teraz na dodatek są jeszcze podglądaczami! To nie może być naturalne.

– Jestem pewna, że to całkowicie naturalne – odparła Alice. – Chcesz, żebym je zapytała?

– Może lepiej to zignorować. Nie sądzisz, że Jeff powinien tu przyjechać?

Te smutne skrawki sprośności na miękkim wyblakłym papierze coś skaziły, pomyślał Roland. Tych kobiet z wielkimi piersiami i ogolonymi okolicami intymnymi nie ochraniała nawet warstwa nierealnej urody modelek; wyglądały jak gospodynie domowe, które mógł spotkać podczas zakupów na uliczkach nadmorskiego miasteczka, i poruszyło go to bardziej, niż był gotów przyznać nawet przed sobą. Pod naporem nieustępliwego deszczu coś rozgrzanego i krępującego opętało cały ich dom. W jego seksie z Pilar było więcej zahamowań, jakby zdawał sobie sprawę, że wszyscy podsłuchują, jakby dzieci przyciskały szklanki do ich drzwi. Raz czy dwa zerwał się nawet z łóżka i otworzył drzwi na podest, żeby zobaczyć, że nikogo tam nie ma. Ale rozkosz, której się poddawał mimo woli, wydawała się wyjątkowo silna. Rankami przy śniadaniu bał się, kto mógł podsłuchiwać. Próbował przekonać Pilar, że pora wracać, ale była zdecydowana zostać pełne trzy tygodnie.

– Od tak dawna nie odpoczywałam – powiedziała. – Jest mi tu bardzo dobrze z twoją rodziną.

– Ale pogoda jest straszna.

– Pogoda mi nie przeszkadza.

Wybrali się na jednodniową wycieczkę, by obejrzeć wielkie wiktoriańskie gmazysko po drugiej stronie autostrady, i w ostatniej chwili Harriet zapytała, czy może pojechać z nimi. Powiedziała, że od lat nie widziała tej rezydencji, i Roland nie wiedział, jak jej odmówić. Potem przez całe długie popołudnie czuł, że jego uprzejmość, jak zwykle z Harriet, została wystawiona na trudną próbę. Chciał pobycć sam z żoną, poświęcić jej całą uwagę i znajdować się w centrum jej uwagi – bez żadnych duszących, cikliwych podtekstów. Przypomnił sobie, że zanim Pilar poznała jego rodzinę, ich związek był prosty i minimalistyczny. Kiedy coś do niej mówił, unosiła kształną brew lub kąciiki ust w uśmiechu; mówiła tylko wtedy, gdy miała coś do powiedzenia. Była to odpowiedź na jego najgłębsze potrzeby i nigdy nie chciał, żeby Pilar wprowadzono – i to z taką chęcią, wręcz z zapalem! – w zaniedbane i błahe zawilości jego rodziny, bo właśnie od nich pragnął uciec.

Przez cały ten dzień Harriet wydawała się szczęśliwa, a przez to zaskakująco dziewczęca, rozgadana i dowcipna. Przywoływała historie z jego dzieciństwa, aż go to zdenerwowało. Nie odciął się całkowicie od skromnisa, którym kiedyś był, gdy wielbił sir Mortimera Wheelera i udawał, że pisze sztuki po łacinie, ale podchodził do niego z czulością i wolał, by pozostało to w ukryciu. Bał się, że w Pilar zakiełkuje podejrzenie, że można go uznać za śmiesznego. Zauważył, że kiedy Harriet mu dokuczała, jej policzki były zaskakująco różowe – chyba ich nie pomalowała? I kto mógłby sobie wyobrazić, że jego siostra rewolucjonistka pewnego dnia będzie z przyjemnością zwiedzać świątynię rozbuchanej arystokracji, wykrzykując razem z Pilar zachwyty nad ogromnym stołem do bilardu lub szafą pełną medalionów z twarzami wymalowanymi jak u lalek i kosmykami starych włosów? Był zdumiony, gdy zaczęły dopatrywać się powiązań pomiędzy lalkami. „Lady Geraldine musiała być żoną drugiego hrabiego”.

– Nie chcesz ich wszystkich wysłać na gilotynę?

– Przestań – osadziła go Harriet. – Świetnie się bawię.

Roland nie był w najmniejszym stopniu rewolucjonistą, ale mimo to uważał Narodowy Fundusz na rzecz Renowacji Zabytków za opium dla klasy średniej i uznał, że nie znajduje w tym żadnej przyjemności. Zjechało się tu zbyt wielu turystów – w ten zimny i deszczowy dzień nie było gdzie spędzać wolnego czasu – którzy snuli się po salach, podziwiając posłusznie wielki stół z adamaszkowym obrusem, porcelaną Wedgwood i srebrem, gipsowymi owocami, pieczystym i zakurzonymi bułkami, nakryty do uczyty dla dwudziestu od dawna nieżyjących gości, którzy pogardzali zwiedzającymi. Widok z tyłu domu, rozciągający się nad opadającymi tarasami aż po wielkie gotyckie przedziałnie, które były źródłem

majątku rodziny, i dalej na cudowne wzgórza, spowijały szare chmury.

Przy tej zimnej, wilgotnej pogodzie wymyślony przez dzieci kult jeszcze zyskał na sile. Zamknięte w domu Martwe Kobiety można było wyczuć w każdym ciemnym kącie porośniętym czarną pleśnią i stały się jeszcze bardziej wymagające. Ivy interpretowała pozostawiane przez nie znaki z wielką pewnością siebie: pęknięcia na lustrze, mokra zdechła mysz na tarasie i – oczywisty triumf – zarys twarzy zrobiony węglem na ścianie, który zauważyła, gdy oderwała kawałek tapety nad listwą podłogową przy łóżku. Arthur stale miał wątpliwości, czy Ivy wymyśla to wszystko, czy powinien jej zaufać. W wyrazie jego twarzy czaiła się chłodna kalkulacja, nawet kiedy pospiesznie spełniał jej polecenia: wykopywał stare niedopałki Kasima z ogrodu, podkradał sól z kuchni, siusiał do filizanki, żeby mogła zrobić jeden ze swoich ofiarnych wywarów. Za nic jednak nie chciał dotknąć myszy i w końcu Alice ją zakopała. Matka doprowadziła ich do wściekłości, mówiąc, żeby rzucili ją w krzaki. Arthur głowił się, czy Ivy nie mogła narysować twarzy pod tapetą, ale w pierwszej chwili siostra wyglądała na równie zaskoczoną jak on. Wszystko mogło być tylko zwykłym następstwem wypadków, które Ivy wplotła w swoją opowieść, i Arthur był rozdarty pomiędzy wiarą a wątpliwościami, co było jednocześnie pokrzepiające i frustrujące.

Deszcz oznaczał przynajmniej, że nie chodzili tak często do chaty, gdzie musiał płacić, by osłabić moce Kobiet. Wyciągnęły już prawie wszystkie jego oszczędności. Według Ivy zbliżali się do punktu kulminacyjnego i objawienia.

– O Mitzi? – zapytał.

Spojrzała na niego z pogardą.

– To stare dzieje. Chodzi o coś większego. Coś się wydarzy.

Oczekiwanie splotło się z czasem, który poświęcali na śledzenie romansu Kasima i Molly. Niekończące się pocałunki i pieszczoty bulwersowały dzieci, lecz były fascynujące, nie mogli więc pozwolić, by cokolwiek im umknęło. Kasim i Molly siedzieli na skotłowanym łóżku podczas gry w monopol i czasami zapominali – podczas długiej przerwy między ruchami, kiedy Arthur się zastanawiał – że ktoś na nich patrzy. Osuwali się coraz niżej na poduszkach, straceni dla wszystkiego poza milczącymi, zawiłymi ruchami swoich ciał, które oplatały się wokół siebie, pozornie w jakimś celu, choć żaden nie czaił się na horyzoncie. Kasim z determinacją wspinał się na Molly, która dopasowywała się do jego ruchów, wydając z siebie ciche dźwięki, na wpół protestu, na wpół zgody. Ivy szturchała stopą Arthura pogrążonego w zadumie nad niepokojącym pakietem nieruchomości, którym dla niego zarządzała, i skinieniem głowy dawała znak, by zobaczył to, co ona widziała. Potem spoglądali na siebie z rozbawieniem. Śmiech bulgotał w środku, sam w sobie zmysłowy, aż w końcu musieli zakrywać twarze.

Arthur, zarumieniony, raz wybuchnął śmiechem.

– Weźmiecie ślub czy co? On jest twoim chłopakiem?

– Zamknij się, mały – uciszył go Kasim. – Nikt cię nie pytał.

Molly wyjaśniła uprzejmie, że nie trzeba brać ślubu tylko dlatego, że się kogoś pocałowało. Arthur uśmiechnął się szeroko do Ivy.

– Ale trzeba, jeśli uprawia się seks.

Molly usiadła gwałtownie, zaczerwieniona, i odepchnęła Kasima.

– O tym nie powinieneś jeszcze nic wiedzieć!

Ivy była wściekła, że Arthur zwrócił na nich uwagę zakochanych, bo to oznaczało, że wyrzucą ich z pokoju na jakiś czas – choć pewnie nie na długo. Dzieci zdawały się częścią tego, co rozwijało się między młodymi ludźmi, a przynajmniej zapewniały im przykrywkę, żeby dorośli zostawili ich w spokoju. Ich szaleństwo przeniosło się z monopolu na scrabble. Ivy i Arthur czasem wzywali na pomoc Alice, choć Ivy była rozdarta, bo chciała sobie radzić sama; nie mogła uwierzyć, że potrafi ułożyć tylko trzyliterowe słowa, kiedy w książkach czyta o wiele trudniejsze.

– Nie mów mi, nie mów! – krzyczała, zasłaniając uszy dłońmi i przyglądając się gorączkowo kostkom z literami, jakby mogła samym spojrzeniem ułożyć je w bardziej sensownym porządku. W końcu musiała zwrócić się do ciotki, która okazała się niezwykle taktowna.

– Spróbuj tak – zasugerowała. – Ciekawe, czy to gdzieś przypasuje?

Okazało się, że Molly ma prawdziwy talent do scrabble.

– Zawsze dobrze sobie radziłam z ortografią – rzuciła pojednawczo, układając „więcierz” na polu z potrójną premią słowną.

Kasim nie wytrzymał.

– Nawet nie rozumiesz połowy tych słów! Co to znaczy „więcierz”?

– Nie wiem dokładnie. Chyba sieć, coś jak niewód.

– A co to jest niewód?

– Muszę wiedzieć, jeśli jest słowem?

– Ale nie rozumiem, jak możesz je znać, jeśli nie potrafisz go używać.

Wzruszyła ramionami.

– To słowo po prostu jest, słyszałam je.

Kasim nie potrafił przegrywać, raz nawet zrzucił planszę i wypadł z pokoju, gdy Molly i Alice nie pozwoliły mu ułożyć słowa „Elvis”.

– To nazwa własna! Wiesz dobrze! – powiedziała Alice, śmiejąc się z jego wybuchu złości.

Harriet siedziała na brzegu łóżka i pisała w pamiętniku, gdy Pilar delikatnie zapukała do drzwi dzielących ich pokoje.

– Mogę?

Harriet pospiesznie, z poczuciem winy, zamknęła pamiętnik.

– Oczywiście.

Pilar pierwszy raz weszła do tego pokoju. Harriet zauważyła, że się rozgląda

i z bezwiednym drzeniem dostrzega, jak jest ponury i pusty. Harriet nigdy nie potrafiła zagęścić zajmowanej przestrzeni swoją osobowością jak Alice, układać przedmiotów, jakby tworzyły małe tableau, sprawiać, by wszystko wyglądało zachęcająco. Nawet podczas tej paskudnej pogody, kiedy Alice prawie się nie ubierała, zapalała obie lampy w środku dnia – jedną przy łóżku, drugą na toalecie – tak że pokój pławił się w blasku ich różowych plisowanych abażurów. Harriet nie pomyślała, by cokolwiek zapalić, pisała w bladym świetle wpadającym przez okno, a w pokoju było chłodno.

– Harriet, potrzebuję cię – powiedziała Pilar i usiadła obok niej na łóżku. Ujęła ją za rękę, otaczając zapachem perfum.

Harriet wpatrywała się w nadgarstek Pilar, szczupły w mankiecie jedwabnej bluzki, ozdobiony złotym łańcuszkiem. Jej angielski był idealny, ale jakaś nuta w wymowie słowa „Harriet” sprawiła, że zabrzmiało ono lekko egzotycznie.

– Tak się cieszę, że jesteśmy przyjaciółkami. Muszę mieć kogoś, z kim mogę porozmawiać. Nie chcę zanudzać Rolanda.

Kłopoty nadawały wyraz dramatyzmu jej twarzy: wszystkie mocne linie opadały, a pod oczami i obok ostro zarysowanych nozdrzy malowały się fioletowe cienie. Ujrawszy swoje odbicie w lustrze, Pilar odwróciła wzrok.

– Jestem starą czarownicą – powiedziała.

– Ty? Nie ty jesteś starą czarownicą. – Harriet ścisnęła ją za rękę, wyczuwając kości delikatne jak u ptaka; pierścionki zabręczały nieczule. – Ty zawsze jesteś piękna.

– Jesteś dla mnie taka miła.

Potem powiedziała, że dostała złe wieści z Argentyny: przeczytała je, gdy rano sprawdziła e-maile w mieście. Jej brat w Buenos Aires zgodził się na testy DNA, by pomóc rozwiązać kwestię ich biologicznych rodziców.

– Sama nie wiem, może go jakoś osaczyli, wywierali nacisk, wzbudzili poczucie winy. Rozmawiał z moją ciotką. Teraz nie mogę powiedzieć Rolandowi, jest za późno.

– Wcale nie jest za późno – odparła stanowczo Harriet, choć bała się myśli, że Roland zostanie dopuszczony do ich sekretu.

– Zapyta, dlaczego nie powiedziałam mu wcześniej i ściągnęłam na nas kłopoty. Lubi myśleć, że jestem taka spokojna i nad wszystkim panuję.

Jeśli brat Pilar podda się badaniom, rezultat będzie taki sam, jakby to ona je zrobiła. Rozmawiała z przyjacielem prawnikiem w Argentynie, który sprawdzał, czy mogłaby uzyskać nakaz sądowy, by go powstrzymać.

– Pewnie myślisz, że jestem straszną egoistką – powiedziała Pilar – bo nie chcę dać satysfakcji ludziom, którzy stracili swoje dzieci. Pewnie wydaje ci się, że jestem potworem.

Harriet próbowała sobie wyobrazić taki punkt widzenia. W innym życiu

rzeczywiście mogłaby pomyśleć, że Pilar jest potworem. Jej wyobrażenie o kobietach z tej okrytej hańbą klasy, dziedziczkach przywilejów okupionych krwią, mogłoby odpowiadać temu, jak Pilar wyglądała w tej chwili – elegancka, nieczuła, w drogich ubraniach, z twardym wyrazem twarzy. Niezwykle, że to stworzenie z całą swoją fizyczną perfekcją siedziało teraz obok Harriet na jej biednym łóżku: nie pasowało do niego, jak królowa z tragedii lub Bóg ze starego malowidła, który zstąpił z innego świata, by zauroczyć śmiertelnych. W obecności Boga domaganie się sprawiedliwości było żalosne. W każdym razie stare przekonania Harriet, że świat można łatwo podzielić na potępionych i sprawiedliwych, straciły moc już dawno temu. W pełnej wad rzeczywistości kto mógł obwiniać Pilar z powodu jej oporu, żeby nie dać się wciągnąć w jakąś straszliwą starą historię? To nie była jej wina, że przyjaciele jej przyjaciół zrzucali kiedyś ciała dysydentów z helikopterów do morza. Kto mógł chcieć należeć do obcych ludzi, nawet jeśli spotkało ich trudne do wyobrażenia zło?

– Nie jesteś potworem – powiedziała, podnosząc dłoń Pilar do ust i całując ją. Pilar pozwoliła na to, nie wyszarpnęła dłoni. Harriet pomyślała, że z jej twarzy przebija wiedza, i odważyła się na nią spojrzeć: błysk pogardy mieszał się z rozbawioną akceptacją hołdu. – Czy mogę ci jakoś pomóc? Naprawdę zrobiłabym dla ciebie wszystko.

Pilar nie przypominała ludzi, z jakimi Harriet zwykle przestawała: jej przyjaciele byli głównie sumienni, uważający, nazbyt skromni. Jeśli Pilar była królową, była królową dramatu. Harriet podsłuchiwała kiedyś, jak mówi do Rolanda coś szokującego o Kasimie: nie lubi Azjatów, nie ufa im – coś o tym wie, musiała z nimi pracować. Roland sprzeciwił się łagodnie, jakby jej uprzedzenia były zabawne jak ignorancja u dziecka. W innym życiu Harriet trzymałaby się z dala od Pilar, jej braku ironii, jej stronnictwo, braku kultury. Alice powtarzała do znudzenia, że nikt nigdy nie widział jej z książką. Pilar chciała należeć do rodziny Rolanda z powodu Rolanda: nie interesowały jej jego siostry i widać było wyraźnie, że jest uprzedzona do Alice. Uczepiła się Harriet, bo potrzebowała powierniczki, a Harriet była chętna i uległa. Pilar nie chciała zanudzać Rolanda!

Kiedy Harriet miała dwanaście czy trzynaście lat, przyjaźniła się w szkole z dziewczyną, którą kochała i która ją wykorzystywała, wysyłając do załatwiania jakichś bezsensownych spraw, odkrywała jej czułe miejsca i tam uderzała, szukała jej towarzystwa, gdy pod ręką nie było nikogo bardziej interesującego, i od czasu do czasu łaskawie okazywała jej nieco sympatii. Harriet zagrzebała to wspomnienie głęboko, przekonana, że należy do świata dzieciństwa; teraz przypomniała sobie, jak matka była tym okropnie zniecierpliwiona, a ona nie potrafiła wytłumaczyć, o co w tym wszystkim chodzi – ta służalczość nie była wadą, lecz podstawą jej miłości.

– Powinniśmy znów razem popływać – powiedziała Pilar.

– Kiedy pogoda się poprawi, z wielką chęcią.

Pilar skrzywiła się w stronę okna spowitego szarością.

– A poprawi się? Mogłybyśmy pojechać na ten mały basen w hotelu.

– To okropne miejsce. Chciałabys tam wrócić?

– Oczywiście! Bardzo mi się tam podobało!

Pewnego dnia, który nie był słoneczny, ale przynajmniej na godzinę czy dwie przestało padać, Kasim zabrał dzieci do lasu. Molly robiła coś z włosami w swoim pokoju i nie zaprosił jej: pomyślał, że trzeba jej przypomnieć, że potrafi się dobrze bawić bez niej. Fran kazała dzieciom włożyć kalosze, żeby mogły się chlapać w czerwobrazowych kałużach na ścieżce i brodzić w głębokich po kolana błotnistych śladach pozostawionych przez krowy. Kasim szedł ostrożnie, bo przywiózł tylko jedną parę adidasów, a odrzucił propozycję Fran, by poszukał sobie jakichś kaloszy na kupie pokrytych pajęczynami butów w komórce. Czuł odrazę na myśl o włożeniu stopy do czyichś starych, wilgotnych butów. „Jak chcesz”, odparła Fran.

W lesie światło było ponure i przyćmione. Oczywiście Kas od razu przemoczył buty i przeklinał pod nosem; trząsł się z zimna w mokrym swetrze, bo wszystkie krzaki zalewały go gradem kropel, gdy tylko się o nie otarł. Strumienie, które dotąd płynęły leniwie, były teraz wzburzone i mętne. Nowe poszycie zachwycało świeżą zielenią, brązowa mierzwa pod sosnami w szkółce nabrała rdzawej barwy, niedojrzałe jeżyny pokryły się puchatą pleśnią. Pobocze przy ścieżce rozmyło się w plamę czerwonego błota; obchodząc je, zajrzeli do nowej jamy po obalonym drzewie, którego karpa przypominała rozłożone ramiona. W głębokiej dziurze czaiły się wąsate korzenie. Zmysły wyostrzyły się w czujnej ciszy; idącym wydawało się, że znów zaczyna padać, gdy śmigające w koronach drzew wiewiórki zsyłały na ziemię prysznice wody. Milczenie Kasima wykluczało głupstwa; wlokąc się za nim, dzieci wiedziały, że nie powinny proponować żadnej zabawy w ściganie. Arthur tylko raz celowo wszedł w kałużę, żeby ochlapać Ivy błotem, a Kas uciszył jej gniew jednym spojrzeniem, zanim zdążyła powiedzieć choć słowo. Żalowali, że wyszli z domu, bo to wcale nie było zabawne. Kasim zadrżał i pierwszy raz poczuł moc krajobrazu, który teraz spoglądał na niego gniewnie.

W tym odmiennym świetle byli prawie zdziwieni, że chata nadal istnieje. A jednak stała na zakręcie ścieżki jak zwykle, szara i tajemnicza, zawieszona nad podobnymi do szczupłych palców gałęziami drzew w dolinie; okna od tamtej strony pokryte były warstwą wilgoci i wydawały się ślepe, bo wiedzieli, że nikt przez nie na nich nie patrzy. Kiedy minęli chatę i wyszli na polanę naprzeciwko drzwi wejściowych, zaczęło padać i Kasim zaproponował, żeby schronili się w środku. Może rozpalą ogień?

– Tak, rozpalmy – podchwycił Arthur.

Ivy odparła niespokojnie, że to nie jest dobry pomysł, że to może być niebezpieczne. Nie przyszło jej do głowy, że Kas może chcieć wejść do środka, bo jeszcze nigdy tam nie był. Planowała, że złożą ofiarę, i Arthur zabrał ostatnią monetę jednofuntową. Strasznie było wyobrażać sobie raz jeszcze, na świeżo, co Kasim zobaczy, jeśli pójdzie na górę – te koszmary stały się wstydlivym sekretem dzieci, przylgnęły do nich. Kiedy Kasim ubolewał, że nie ma przy sobie zapalniczki, uświadomili sobie z porażającą siłą, że ta zapalniczka leży na widoku na podłodze w pokoju z czasopismami, zdradzając ich znajomość z Kobietami i całą resztą. Ivy z całych sił starała się sobie przypomnieć, czy nie zostawili też na podłodze nożyczek razem z obciążającymi fragmentami wyciętych zdjęć. Arthur nabrał wielkiej wprawy i zgrabnie wycinał piersi.

– Nie wchodźmy tam – powiedziała.

Kasim przyłożył jednak ramię do drzwi i nacisnął, jednocześnie lekko je unosząc, aż ustąpiły, i otworzył je szerzej, niż kiedykolwiek udało się to dzieciom – weszli razem do środka, a Kasim podparł drzwi kijem. W odmienionej pogodzie niewielki mroczny pokój na dole był zaskakująco suchy, lecz wydawał się jeszcze mniej ludzki, bardziej przypominał nieodróżniającą się od ziemi norę. Być może śmierdziało w nim mniej zdechłym psem, ale bardziej tym samym stęchłym, mineralnym podziemiem, które wyczuli wcześniej, mijając przewrócone drzewo w lesie. Chata powoli gniła, bujnie i obscenicznie. Gdyby tylko mógł w niej powiać czysty wiatr! Dzieci wyglądały na zaniepokojone, jakby to one ją porzuciły.

– Od jak dawna nikt tu nie mieszka? – zapytał Kasim.

Szturchnął stopą liście na palenisku, a potem – jakby czegoś szukał – nadgorliwie otwierał i zatrząskiwał drzwiczki szafek wbudowanych w ścianę po obu stronach, których dzieci nigdy nie dotykały. W środku nie było nic z wyjątkiem pustej puszek na ciasteczka bez pokrywki. Półki były wyłożone grubym papierem powycinanym na zwisających brzegach w ząbki. Dzieci wiedziały, że to musi się wydarzyć, że Kasim spróbuje otworzyć drzwi prowadzące na schody, i rzeczywiście to zrobił, po czym za nimi zniknął. Usłyszeli jego sprężyste kroki na stopniach – przeskakiwał po dwa, a potem wszedł do drugiego pokoju. Nie patrzyli na siebie, ale Arthur wzruszył ramionami.

Na górze Kasim nie zwrócił uwagi na nożyczki i skrawki papieru na podłodze – przypadkiem kopnął nożyczki w róg pokoju i dopiero wtedy zauważył zapalniczkę. Nie przyszło mu do głowy, że należy do niego: była to tania jednorazówka, jaką można kupić wszędzie. Pomyślał po prostu, że ktoś ją tu zostawił razem z drobnymi. Wsunął je do kieszeni. Prawdopodobnie ktoś tu przychodził, żeby oglądać te stare pornosy. Potarł zapalniczkę i zdziwił się, że płomień jest tak duży. Jednym pełnym pogardy spojrzeniem obrzucił świerszczyki: szydziły z niego i obrażały widokiem obnażonego paskudnego białego ciała. Nie widział jeszcze Molly rozebranej, ale myśl o jej ciele schowanym pod ubraniem –

pełnym misternych zagieć, zakamarków i sekretów – opętała go. Wiedział, że całe to całowanie i pieszczoty, i ukrywanie się w pewnym momencie nie wystarczą i wydadzą się porażką. Czasami ogarniające go pożądanie było gorzkie, jego własne uniki naśmiewały się z niego. Nagle to samotne miejsce w lesie uderzyło go jako odpowiedź na jego kłopoty i objawiło się jako wizja spełnienia. Mógłby tu sprowadzić Molly, w końcu ją rozebrać i kochać się z nią.

Przez okno widział całą dolinę aż po jej dno. Drzewa poruszały się pod następującymi po sobie falami lekkiego deszczu, gałązki na czubkach drżały żwawo jak kamertony. Nie mógł uprawiać z nią seksu, właściwego seksu, w domu, z ojcem wpadającym co minuta do pokoju, z niezdrowo zainteresowanymi dziećmi, z Alice rzucającą im znaczące spojrzenia i uśmiechy. Kiedy znajdą się tu sami, nie będą się musieli nikogo obawiać. Kasim kochał się już z kilkoma dziewczynami i seks nie był ani wielką katastrofą, ani wielkim sukcesem, nie rozwinął się też w dłuższy związek. Kasim nie był nawet pewny, czy ma na związek ochotę, wzdragał się przed intymnością. Wiedział jednak, że ojciec nadal prowadzi życie seksualne, praktycznie bez przerwy od czasu, gdy skończył piętnaście lat, i w porównaniu z tym własne wydało się Kasimowi niewystarczające i marne. Tutaj jednak byłoby możliwe coś innego. Gdyby tylko powyrzucał te czasopisma, trochę posprzątał i przyniósł koce, nic by ich nie rozpraszało. Miałby Molly tylko dla siebie, wszystko mogłoby się rozwinąć w swoim własnym tempie. Nie przypominała tamtych dziewczyn, była chłonna, rozmarzona i pozwoli mu przejąć inicjatywę.

Kasim otworzył drzwi do drugiego pokoju i przeżył wstrząs, myśląc, że znajduje się tam coś żywego, podczas gdy to tylko strzępy mokrej zasłony powiewały na wietrze w niedomkniętym oknie. Ten mały, ciemny pokój – przypominał bardziej komórkę, mniejszą nawet od garderoby matki – znajdował się w jeszcze gorszym stanie niż reszta domu. Ściana z oknem była pełna zacieków i zagrzybiona, podłogę zasnuwała gruba warstwa liści, a w jednym rogu leżało coś paskudnego, co przypominało zdechłe zwierzę – skurczona skóra przykrywająca złowieszcze żółte kości ze śladami rudawego futra. Kas pomyślał, że to lis, ale nie chciał badać tego dokładniej, bo nie wiedział zbyt wiele o dzikich zwierzętach. Będzie musiał to wszystko posprzątać, żeby przygotować chatę na przyjęcie Molly. Przyszło mu do głowy, że Ivy i Arthur, którzy niemal codziennie błagali, by iść do chaty, musieli być na górze i widzieli to, co on zobaczył: czasopisma i lisa, choć być może nie rozumieli, na co patrzą. Albo, co bardziej prawdopodobne, był to ich mały sekret; wiedział, jakie są dzieciaki. Nic dziwnego, że Ivy nie chciała, żeby wchodził do środka.

Dzieci czekały na dole, usłyszały, jak otwiera drugie drzwi i zamyka je; potem znów rozległ się tupot jego stóp na schodach.

– Zobaczcie, co znalazłem – powiedział.

Spojrzeni posłusznie, przerażeni – ale trzymał tylko zapalniczkę.

– No i możemy rozpać ogień. Ale podejrzewam, że komin jest zapchany.

Pogrzebał w nim kijem i do jego stóp spadła kupa przegniłych liści, sadzy i piór: Arthur wsunął głowę w palenisko i powiedział, że widzi niebo. Ale mimo prób nie udało im się rozpać ognia, bo drewno przyniesione z zewnątrz było zbyt wilgotne.

– Następnym razem przyniesiemy podpałkę – oświadczył z entuzjazmem Kasim. – Posprzątam tu. Przyniesiemy szuflę i miotłę. Możemy wszystko zdezynfekować, przynieść wodę ze strumienia. Tu mogłoby być bardzo przytulnie, nie sądzicie? Zapalić jakieś kadzidełka, ogień...

Nigdy wcześniej nie widzieli takiego chłopięcego Kasima, podnieconego swoim projektem. Ivy podchwyciła jego pomysł i zasugerowała, że kiedy już wszystko posprzątają, będą mogli przyprowadzić Molly do chaty i ją zaskoczyć. Kasim nie okazał entuzjazmu. Nie trzeba dodawać, że jego plany sprowadzenia tu Molly nie obejmowały dzieci.

Czworo rodzeństwa i Pilar wybrali się pewnego wieczoru na kolację do pubu w sąsiedniej wiosce. Pattenowie – których odwiedzili przyjaciele z Londynu – znów zaprosili ich na kolację, więc potrzebna była jakaś sensowna wymówka. Alice bała się, że Janice zechce ich pokazać jako lokalną atrakcję. W każdym razie Roland przypomniał im, że najwyższa pora zdecydować, co zrobić z domem. Czy nie po to tu przyjechali? Jeszcze zanim wyruszyli, Alice oświadczyła z rozpaczą, że lepiej będzie się pozbyć tego starego miejsca.

– To chyba już koniec, prawda?

– Zaczekaj, Alice – odparła mocno poirytowana Fran. – Najpierw musimy wszystko przedyskutować, nie wyciągaj pochopnych wniosków. Musimy pomyśleć logicznie, co będzie dla nas wszystkich najlepsze.

– Ale to jasne, czego wszyscy chcecie.

To powinna być melancholijna okazja, ale nie pamiętali, by się smućć podczas całego tego zamieszania związanego z siadaniem do stołu w ciasnej niszy, zamawianiem dań i drinków – mocnych drinków, nalegały Fran i Alice, by pomogły im w procesie podejmowania decyzji. Ściśnięta obok Pilar Harriet zaskoczyła ich wszystkich, prosząc o kieliszek porto, a potem jeszcze jeden. Widzieli, że się odpręża pod jego wpływem, opowiadała im zabawne historie o kolegach z pracy. Przebiegając spojrzeniem od Alice do Harriet, Pilar oświadczyła, że są bardzo do siebie podobne.

– Prawda? – zgodziła się choć raz Alice. – Obawiam się, że jesteśmy podobne do naszego okropnego ojca.

Harriet powiedziała, że Alice jest ta ładna, na co Alice zaprotestowała, mówiąc, że jest fałszywa, bo ma ufarbowane włosy. Rzeczywiście, Harriet tego wieczoru promieniała, ubrana znów w rzeczy podarowane przez Alice. Zagłębienia

policzków i oczodoły, przez które mogłaby wyglądać mizernie, wydawały się wyraziste i wyglądały jak wyrzeźbione. Twarz Harriet była szeroka i spokojna jak u zakonnicy, jej wyraz otwarty. W ciepłym sztucznym świetle wszyscy wyglądali o dziesięć lat młodziej. To była przyjemna odmiana po zimnie i wilgoci Kington – siedzieć tak w pubie z niskim belkowanym sufitem i piecem na drewno. Wygłodniali rzucili się na krewetki w cieście i panierowaną gładzicę. Roland od czasu do czasu niepokoił się tym, że Kasim i Molly zostali sami w domu – ale tak naprawdę nie byli sami, dzieciom pozwolono nie kłaść się do łóżek do powrotu dorosłych, a pod ich bacznym wzrokiem Kasim nie mógł sobie pozwolić na zbyt wiele.

Zabawne, ale to Pilar w końcu stanęła po stronie Alice, niechętniej, by pozbyć się domu. Oświadczyła zdecydowanie – była w tym niemal przesadna – że z tym miejscem wiąże się zbyt wiele rodzinnych wspomnień, by mogli się z nim rozstać. Poczuli ulgę, że uwolniła ich od konieczności wypowiedzenia tego na głos. Potem Harriet powiedziała po prostu, że nie potrzebuje dwóch domów. Wszyscy się zgodzili, że dom zacznie się rozpadać na ich oczach, a żadne z nich nie miało pieniędzy na niezbędny remont. Ale spędzili tu tyle szczęśliwych wakacji, za darmo albo prawie za darmo. Roland powiedział, że dla niego urok domu już przyblakł, Fran oświadczyła, że dla odmiany wołałaby wyjechać za granicę. Czy kiedyś jedno z nich nie chciałoby przenieść się tu na stałe? Patrzyli nieufnie na siebie, nikt nie chciał się przyznać. Nad różnymi argumentami za i przeciw zaczął dominować palący problem dachu. Wszystko sprowadzało się do dachu, który wymagał remontu już w czasach ich dziadków. Nikt nie wiedział, ile może kosztować wymiana: dziesięć tysięcy funtów, piętnaście, dwadzieścia? Więcej? I kto znajdzie czas, by być na miejscu i nadzorować prace na taką skalę? Nie mogli o to poprosić Simona. Alice nie potrafiła znieść myśli o zastąpieniu starych, omszałych dachówek nowymi, nawet jeśli stare przeciekały.

– Chyba wołałabym pozbyć się domu, niż zmienić te dachówki.

– No to już – oświadczyła Fran. – Wszyscy się zgodziliśmy, że pora się rozstać, nie możemy znieść myśli o nowych dachówkach lub zmianie czegokolwiek. Mnie i Jeffowi pieniądze na pewno się przydadzą. Przynajmniej możemy go wycenić. Skontaktujemy się z Wallerami, są najlepsi. Jak myślisz, Rolandzie, ile za niego dostaniemy?

Nie miał pojęcia, nikt z resztą nie wiedział. Trzysta tysięcy funtów? Może więcej, może mniej, bo dom był w opłakanym stanie.

– Moglibyśmy się wstrzymać – zasugerowała Harriet – i powiedzieć, że sprzedamy tylko komuś stąd.

– Moglibyśmy – zastanowił się Roland.

Fran nie spodobał się ten pomysł.

– A potem sprzedać jakiemuś miejscowemu budowlańcowi, który odsprzeda

go jako drugi dom za dwa razy tyle! Oczywiście wyszlibyśmy na tym lepiej, gdybyśmy pożyczili pieniądze na remont i dopiero potem go sprzedali.

Nikt nie chciał zawracać sobie tym głowy.

– Wiem, że macie rację – powiedziała Alice. – Pora sprzedać dom. Zgadzam się z wami, naprawdę. Nigdy nie wiem, co jest dla mnie dobre. Może zacznę nowy etap w życiu i nie będę się czepiać przeszłości. Może nawet stanę się nową osobą. Nie rozpoznacie mnie! Nareszcie szczęśliwa!

– Alice, nie bądź głupia – skarciła ją Fran. – Teraz też jesteś szczęśliwa, wiesz, że tak jest. W każdym razie zawsze możemy tu przyjechać z wizytą. W okolicy jest tyle ładnych pensjonatów, w których możemy się zatrzymać.

Alice wyglądała na przerażoną.

– Przenigdy. Kiedy sprzedamy dom, nigdy tu nie wrócę. Dla mnie to będzie koniec.

Dwa

Dzieci nie znosiły prac domowych, jeśli zlecała im je matka, ale całym sercem zapaliły się do projektu Kasima, by wysprzątać chatę. Uciekali z domu, kiedy tylko przestawało padać lub padało słabiej; przeschmuglowali plastikowe wiaderko, szufelkę, szczotkę, szmaty i środki czyszczące i oddali je potem tak, że nikt nie zauważył. Jeśli dorośli pytali, dokąd się wybierają tacy zaabsorbowani, odpowiadali, że wymyślili nową zabawę w lesie. Ivy nosiła długą jedwabną spódnicę, bo dodawała misji powagi, mimo że ciągnęła się w błocie. Fran zastanawiała się, gdzie podziało się wiaderko, ale nie przyszło jej do głowy, że zabrały je dzieci, a kiedy znalazła brudne, mokre szmaty rzucone w kącie komórki, pomyślała ze złością, że pewnie Alice sprzątała pokój w jednym ze swoich napadów energii. Kiedy podjęli decyzję o sprzedaży domu, Alice prawie nie ruszała się z łóżka. Fran było jej żal, więc nosiła jej herbatę, a Alice krzywiła się lekko z rozczarowaniem, gdy nie dostawała jej w tej ładnej filiżance, którą tak lubiła.

Molly wiedziała co nieco o chacie, ale Kas kazał jej obiecać, że niczego nie zdradzi. Podobało mu się, że ma coś przed nią do ukrycia.

– To niespodzianka dla ciebie! – powiedział. – Zaczekaj do jutra. Zabiorę cię tam jutro wieczorem. Obiecuję.

– Ale czemu nie mogę iść teraz?

Uśmiechał się do niej, trzymając ją za ramiona, a ich twarze znalazły się tak blisko, że musiała mu odpowiedzieć uśmiechem. Każde z nich syciło się widokiem rysów drugiego; nawet kiedy się nie całowali, pojawiała się mrowiąca świadomość odczuć z całowaniem związanych.

– Jeszcze nie jest na ciebie gotowa – przekonywał ją. – Musimy się pozbyć wszystkich pajaków.

Wiedział, że nie wolno mu wspomnieć o zdechłym lisie, bo Molly nigdy nie wejdzie do środka.

Zadrzała.

– Nienawidzę pajaków!

Ten pełen galanterii, czuły Kasim bardzo się różnił od ponurego i rzeczowego, kiedy ze smugą brudu na policzku rozpalał ogień na polanie przed chatą, pomagając sobie podpałką i odrobiną płynnego paliwa, podczas gdy zachwycone dzieci obserwowały go z powagą. Prawie się do siebie nie odzywali, zamiatając i szorując, wynosząc naręcza zwiędłych liści – rzucali tylko krótkie, praktyczne uwagi. Arthur na próżno szukał swoich monet. Ogień pluł i trzaskał, groził, że zgaśnie, a potem odzyskiwał siłę: iskry strzelały w wilgotny szary dzień, a dzieci przezornie się cofały.

Kasim podparł drzwi chaty i biegał tam i z powrotem po ciasnych schodach,

aż jego podkoszulek pociemniał od potu, wynosząc stosy czasopism na łopacie, którą znalazł w jednej z przybudówek w Kington, jakby nie chciał dotykać ich rękami. Żadne z ich trojga nie skomentowało tajemnicy Kobiet, kiedy wrzucali do ognia ich nagie wizerunki i patrzyli, jak płoną, czerniejąc i zamieniając się w ciężki popiół, który zachowywał kształt stron. Tylko Ivy wieczorem w łóżku powiedziała Arthurowi, że moc Kobiet została złamana: zabrały jego pieniądze i były usatysfakcjonowane. Wyrzuciła też skarbczyk świętych przedmiotów i znaków, które zebrali, jakby nagle zamieniły się w śmieci. Kiedy pozbyli się czasopism, Kasim raz jeszcze poszedł na górę z łopata. Dzieci spojrzały na siebie.

– Czy on wie, że to Mitzi? – zapytał Arthur.

Ivy spojrzała na niego z pogardą.

– On nawet nie wie o istnieniu Mitzi.

– No to mu powiedz.

– Ty mu powiedz.

– Nie, ty.

Milczeli oboje, kiedy – ostrożniej i z odwróconą głową – Kasim wyszedł, trzymając na wyciągniętej na długość ramienia łopacie szczątki psa. Ich wymowny kształt zamienił się teraz w paskudną kupę skażonych odpadków. Nie paliły się dobrze, dopóki – surowo nakazując dzieciom stanąć za nim – Kasim nie dołał trochę więcej paliwa i nie dorzucił więcej suchej podpalki, którą przyniósł z domu w plecaku. Buchnął wielki płomień i wszystko spłonęło, a potem tliło się i dymiło tłustym czarnym dymem przez kilka godzin. Ivy zrobiło się niedobrze, lecz się do tego nie przyznała. Kasim musiał chodzić na górę trzy razy, zanim wszystko uprzętnął. Następnie zabrał się do pracy w ostatnim pokoju ze szczotką i wiadrami wody ze strumienia; zerwał zasłony i też je spalił razem z liśćmi spod okna, szorował wybielaczem ściany pociemniałe od wilgoci i uporczywe ciemne plamy na podłodze. Dzieci nie mogły patrzeć na to, co zostało, gdy ogień się wypalił – kości, które Kasim kopnięciem odrzucił w zarośla.

Fran nie posiadała się ze zdumienia, gdy dzieci wróciły do domu tak brudne, że po kąpieli zostawiły szary osad na wannie. Kiedy następnego ranka pojechała do miasta, by porozmawiać z agentem nieruchomości, Kasim i dzieci zabrali się razem z nią i robili jakieś tajemnicze zakupy.

– To do naszej zabawy – wyjaśniła Ivy.

Kasim wybrał butelkę wina – różowego, bo pomyślał, że zasmakuje Molly. W sklepie o nazwie Czterolistna Koniczyna, nurkując pod całą orkiestrą dzwonek wiatrowych wiszących u sufitu, kupił szyszki, kadzidelka i świece zapachowe – nie mogąc uwierzyć, że tyle kosztują – oraz aromatyczny olejek ylang-ylang, który poleciła mu sprzedawczyni. Kazał dzieciom poczekać na zewnątrz i wszedł do apteki po prezerwatywy. Potem wrócili do chaty ostatni raz, by ustawić świece na półkach i parapetach i spryskać wszystko całą buteleczką olejku. Kiedy zapalili

świece i kadzidełka, ich zapach mieszał się intrygująco z zapachem wilgoci i wybielacza. Kasim wypakował z plecaka koce, które zabrał z szafki w Kington, i teraz ułożył je w kącie; pożyczył też dwa kieliszki i korkociąg i przygotował je obok wina i dwóch paczek czipsów.

Na próbę rozpałił ogień w kominku na dole. To całkowicie odmieniło dom, jakby obudzili w nim coś żywego; razem z Arthurem kucnęli przy palenisku, by czuć nad tłącym się, trzaskającym ogniem. Arthur oparł pięści na gołych kolanach, założył za uszy długie włosy, blask ognia oświetlał mu twarz. Podnieconą Ivy porwał proces transformacji i ustawiła różowe kwiatki w kubku bez ucha, który znalazła w wysokiej trawie za drzwiami. Owinęła wilgotne zielone gałązki wokół komina i nad drzwiami na schody, wokół starych gwoździ wbitych tu i tam w ścianę.

– Przyrowadzisz tu Molly? – zapytała. – To wino jest dla niej?

– Przyrowadzę – odparł Kasim z powagą, odwracając się od ognia. – Ale wy nie przyjdziecie z nami. Molly i ja musimy porozmawiać o czymś ważnym, o czym nie możemy mówić w domu. Musimy być sami. Rozumiecie? Jeśli będzie próbowali nas śledzić, zabiję was.

Skinęli poważnie głowami.

– Ożenisz się z nią? – zapytała Ivy.

– Nie bądź śmieszna.

Hotel z basenem spowijała mgła; Harriet i Pilar nawet nie widziały morza. Trudno było uwierzyć, że tak niedawno siedziały w słońcu w tym ogrodzie – teraz ledwo widoczne przez mgłę rośliny przygięły się i ociekały wodą, nogi odwróconych krzeseł sterczały w niemym proteście na stolikach.

Kiedy siedziały w samochodzie na parkingu, Pilar pokazała Harriet dwa zdjęcia, które wyjęła z szarej koperty w torebce. Wyjaśniła, że to małżeństwo studentów, które zniknęło w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku razem z malutkim synkiem i nienarodzonym jeszcze dzieckiem. Teraz, powiedziała Pilar, rodzice studentów tropią ją i jej brata, przekonani, że są ich dziadkami. Nie miała dobrych wieści w sprawie nakazu; brat mógł się poddać badaniom, choć wyglądało na to, że w ostatniej chwili się zawahał. Nie chciał podejść do telefonu, Pilar rozmawiała tylko z jego żoną.

Czarno-białe zdjęcia wydrukowano na papierze komputerowym; nie były zbyt wyraźne, w niektórych miejscach rozmazał się tusz. Młody mężczyzna nosił okulary, miał twarz pozbawioną wyrazu, jakby zdjęcie robiono do paszportu. Młoda kobieta była mniej oficjalna: uśmiechała się do fotografa, pewna swojej urody – mogła zostać uchwycona w środku ożywionej rozmowy. Jej długie włosy z przedziałkiem na środku opadały na ramiona, mocne na wydruku jak ciemny welon. Patrząc na ich twarze, Harriet myślała tylko, że są bardzo martwi. Tajemnica ich śmierci była najważniejszą informacją o nich, przesłaniała całą

resztę, pożerając dekady, które im ukradziono, i nie mogli już stać się kimś innym. Ich teraźniejszość stopniowo wyszła z mody.

– Co czujesz? – zapytała ostrożnie, kładąc dłoń na dłoni przyjaciółki.

– Nic – odparła Pilar ze zniecierpliwieniem, wyszarpując rękę. Zajął się szukaniem szminki w torebce. – Co mam czuć? Jest mi ich żal, jak każdemu. Ale nic dla mnie nie znaczą. Nienawidzisz mnie za to?

Mimo że miały zaraz pływać, starannie pomalowała usta, korzystając z lusterka na osłonie przeciwsłonecznej, i zacisnęła wargi na chusteczce, patrząc na swoje odbicie szeroko otwartymi oczami. Harriet nie zadała sobie trudu, by powiedzieć, że nigdy nie mogłaby jej nienawidzić.

– Myślisz, że to twoi rodzice? Ona jest do ciebie podobna.

– Nie widać, Harriet. Poza tym to nic nie znaczy. Sperma i jajeczko. Moi rodzice, niech Bóg im wybaczy, byli dwójkiem sympatycznych klaunów, którzy mnie wychowali i zrobili z tego niezły bałagan.

Harriet próbowała się skupić na moralnym wymiarze historii Pilar. Ale było tak, jakby naładowana elektrycznością nisko wisząca chmura burzowa – jak ponury, ciemny dzień za szybami samochodu – zaciemniała ogłód, z którejkolwiek strony by patrzeć. Harriet nie mogła się wyprostować, by spojrzeć przez tę blokadę na następne minuty i godziny przyszłości. Teraz, kiedy postanowili sprzedać dom, dziwiła się, jak bardzo ta decyzja przypomina koniec świata i kryzys, w którym wszystko może się wydarzyć. Kończyły się ich wakacje, tygodnie tego lata osnute już były bladym blaskiem nostalgii za czymś, co nigdy się nie powtórzy. Harriet może nie zobaczyć żony brata przez całe miesiące i nie wiedziała, czy będzie to w stanie znieść. A ponieważ czas spędzany blisko z Pilar był taki krótki, nabierał gęstości: jakby pozostałe jeszcze godziny gromadziły się przy zamkniętych drzwiach. Harriet nie pozwoliła sobie myśleć o tym, co może się kryć za tymi drzwiami. Chciała czegoś więcej od nowej przyjaciółki, to wszystko – czegoś, co czasami Pilar zdawała się ukrywać, by ją skusić, czegoś, co było jak jeden z błyszczących kamieni w jej pierścionkach: obiecujący i urzekający. Harriet nie mogła jednak nie zauważyć twardej kalkulacji w wyrazie twarzy Pilar. Nadzieja i wątpliwości pulsowały w niej niczym zmienny prąd.

Tamtego popołudnia Kasim i Molly się pokłócili. Czuł do niej szczególną sympatię, rozśmieszał ją, czule skrywał sekret o transformacji chaty. Ivy i Arthur przysięgli, że niczego nie zdradzą. Wydawało mu się, że w całych przygotowaniach poszedł na nadzwyczajne ustępstwa i podporządkował je wszystkiemu, co było w Molly podatne, słodkie i kobiece. Fran podała lunch dla dzieci w kuchni i Kasim i Molly się przyłączyli, a kiedy Alice poczuła zapach kawy, też zeszła w szlafroku. Kasim czytał przygnębiające nagłówki z „Guardiana”, którego Fran przywiozła z miasta. Alice błagała, żeby przestał, ale on wynajdywał coraz gorsze, dopóki nie zasłoniła uszu dłońmi. *Zwolennicy*

Kaddafiego zatrzymani pod zarzutem zamachów bombowych. Wielka Brytania produkuje coraz mniej żywności. Zamieszki podczas obchodów święta Id al-Fitr w Syrii.

– To nie jest zabawne – powiedziała nagle Molly, marszcząc gniewnie brwi nad kromką chleba, którą smarowała masłem, jakby wyskoczyło z niej jakieś tłumione oburzenie. – Nie możesz wykorzystywać cierpienia ludzi do żartów.

Kasim był zaskoczony.

– To lepiej niż udawać, że nic się nie dzieje.

– Naprawdę? – odparła Molly z goryczą, która nie mieściła się w planach Kasima.

Poczuł się zraniony i urażony.

– Ona nawet nie czyta gazet – oznajmił, rozglądając się wokół stołu. – Nawet nie wie, gdzie leży Libia.

– Jestem strasznym tchórzem – rzuciła pojednawczo Alice, uśmiechając się do nich. – Zdecydowanie wolę udawać.

– Ja wiem, gdzie leży Libia – powiedziała ostrożnie Ivy, choć nie wiedziała.

– Nie chcę wiedzieć, gdzie leży! – wykrzyknęła Molly. – Nie muszę.

Wbiła wzrok w talerz, a jej opuszczone liliowe powieki wyglądały oskarżycielsko, karcąco. Kroiła ser na plasterki i układała je na chlebie, potem dodała plasterki pomidora i trochę sałaty. Kiedy podniosła oczy, płonął w nich gniew.

– Sama wiedza o tych rzeczach, kiedy niczego się nie robi, raczej nikomu nie pomaga. Po co mieć opinię na każdy temat? Lepiej jest nie wiedzieć. To bardziej *uprzejme* po prostu żałować tych ludzi.

Kasim pomyślał, że to zabawne.

– Chodzi ci o to, że trzeba współczuć ludziom tak ogólnie, nie wiedząc nawet, czy cierpią z jakiegoś powodu?

– Wiem, co Molly próbuje powiedzieć – wtrąciła Alice.

– Ja przynajmniej wierzę w ludzi – powiedziała Molly. – A to więcej niż robi on.

– To właśnie ja wierzę w ludzi. Chcę powiedzieć, że dla mnie są prawdziwi, żyją naprawdę.

– Ale masz taki ponury pogląd na świat. Wszystko zawsze ułoży się jak najgorzej. W prawdziwym życiu jest mnóstwo dobrych ludzi: pielęgniarki, pracownicy socjalni, listonosze, radni i tak dalej. Są ludzie, którzy zmieniają rzeczy i ulepszają je. Nie masz żadnej nadziei?

– Nadziei! To pieprzony napis na kartce urodzinowej.

– Czy mógłbyś się pohamować? – zaprotestowała Fran. – Tu są małe dzieci.

Ivy i Arthur oświadczyli ze złością, że nie są małymi dziećmi, Molly pobiegła do swojego pokoju, zostawiając kanapkę, a Kasim siedział urażony przy

stole i zjadł najpierw swoją, a potem kanapkę Molly, by zademonstrować obojętność. Fran zauważyła, że podczas wakacji zjadł całkiem sporo, choć nie dokładał się do zakupów – ale on prawie jej nie słyszał. Potem zaferowane dzieci musiały przez całe popołudnie prowadzić negocjacje pokojowe, przenosząc wiadomości pomiędzy Molly, która siedziała we łzach w bujnym chaosie swojego pokoju, a Kasimem, który z nieprzejednanym wyrazem twarzy zamknął się w swoim pustym, uporządkowanym. Odseparowany od niej czuł się obnażony, jakby pozbawiono go schronienia, w którym się ukrył.

Listonosze? – zastanawiał się z dziką ironią. Czy naprawdę włączyła listonoszy do swojej pieprzonej armii naprawiaczy świata? Prosto ze swojej pierwszej książki w szkole – albo, co bardziej prawdopodobne, z *Listonosza Pata*.

Harriet i Pilar znów miały basen tylko dla siebie: jego dziwna przestrzeń zdawała się na nie czekać, zapieczętowana pod ziemią, bez okien, cicha i nieruchoma, nietknięta przez wszystkie te dni, gdy ich nie było, niezmienna mimo zmian w pogodzie na zewnątrz. Świecące w górę żółte lampy sprawiły, że Harriet i Pilar poczuli, jakby wstępowały w jakiś inny żywioł, nie wodę; coś stopionego lub tłustego, co wzburzyło się, gdy złamały jego powierzchnię. Ponieważ każdy dźwięk w pomieszczeniu był wzmocniony i wykrzywiony, czuli, że nie powinny się odzywać, zupełnie jakby ktoś pokazał im palec przyłożony do ust. Pływając tam i z powrotem, gładkimi ruchami, zwracały niemal bez plusku i nie ścigały się; zamiast próbować pobić Pilar, Harriet dostosowała swój rytm, by pływać równo z nią, jakby sunęła jej śladem. Pozwoliła sobie zagubić się w ich wspólnocie, powtarzała w myślach, że tyle szczęścia wystarczy w czasie, który im pozostał, gdy poruszały się tak zgodnie w chlorowanej wodzie, nie dotykając się, tam i z powrotem przez niewielką długość basenu.

Pilar pierwsza miała dość. Ociekająca wodą, wspięła się na drabinkę, wydając z siebie ciche prychnięcie zmęczenia lub zadowolenia, po czym zdjęła gumowy czepek, rozsypując czarną masę włosów.

To już, pomyślała Harriet z rezygnacją. Koniec.

Potem odwrócona do niej tyłem Pilar obojętnym ruchem zdjęła mokry kostium kąpielowy, zsuwając go za ramiączka z talii i niżej – choć w każdej chwili mógł tam wejść ktoś obcy, na przykład gość hotelowy – i nachyliła się szybko, by podnieść z podłogi mokrą kupkę. To pozbycie się ostatecznie, minimalnej warstwy odzienia Pilar i odsłonięcie jej nagości, widok jej kołyszących się piersi, gdy odwróciła się bokiem, był dla Harriet przytłaczający w tej małej przestrzeni. Pilar miała wyjątkowo wąską talię, okrągłe pośladki wystawały jak ukształtowane gorsetem; widok jej nagiej pupy w całej okazałości był bardzo intymny, przyjacielski, kuszący. Wykręcając kostium, zniknęła za rogiem, kierując się boso w stronę pryszniców i przebieralni. Pozostawioną w wodzie Harriet naszała pewnością, że ten gest coś oznaczał. Był zbyt oczywisty, by nie kryła się w nim jakaś

wiadomość dla niej – jedną z takich wiadomości bez wątpienia pominęła w czasach młodości. Tym razem musi działać, zanim będzie za późno. Nie wolno jej nawet myśleć; brak myślenia to podstawa.

Kiedy weszła pod prysznice, Pilar stała twarzą do niej, nie zaciągnąwszy zasłonki, i wmasowywała szampon we włosy, z głową pochyloną pod naporem wody i pary. Prawdopodobnie nie zauważyła Harriet. Jej nagość była bardziej przerażająca od przodu, nawet na wpół zasłonięta przez wodę, która spływała z jej piersi, zbierając się przy włosach łonowych ogolonych do czarnej linii. Wygląda jak bogini pod wodospadem, pomyślała Harriet i na ten widok poczuła jeszcze większy strach. Ale nie wolno jej rezygnować z życia tylko dlatego, że się boi. Weszła więc pod prysznic i objęła Pilar, której ciało było uległe, śliskie, rozgrzane od wody. Doszło do krótkiej szamotaniny, rozległ się krzyk, Pilar zaczęła głośno wyrzucać z siebie hiszpańskie słowa. Wszystko to trwało zaledwie kilka sekund.

Potem Harriet znów stała przed kabiną, ociekając wodą. Być może zauważyła białe ślady po palcach na ramionach, w miejscu, gdzie Pilar ją ścisnęła i odepchnęła, albo tylko je sobie wyobraziła. Różowa plastikowa zasłonka została gwałtownie zasunięta, a za nią nadal parowała woda, mydliny zbierały się wokół długich stóp Pilar, widocznych pod zasłonką, z paznokciami pomalowanymi na wiśniowo, i znikwały w odpływie. Pilar wypłukiwała szampon z włosów.

– Tak mi przykro – powiedziała Harriet, starając się przekrzyczeć szum wody. – Przepraszam. Wybacz mi. Źle cię zrozumiałam.

Ale Pilar nie była Angielką, nie doszło więc do wymiany przeprosin, wymruczanego zażenowania, niechętnego pogodzenia. Jej nieprzejeđnany gniew przypominał gniew bogini. W jednym palącym przebłysku Harriet ujrzała wszystko: jej nadzieje okazały się pomyłką i smutnym urojeniem, jej grzech był groteskowy. Pilar bez wątpienia z nią flirtowała, kusząc ją, obdarzając przychylnością, uprzejmymi spojrzeniami i dotknięciami. Ale pomiędzy nimi – szczęśliwą i piękną i tą drugą – powinien istnieć nieprzekraczalny próg. Pilar nie przyszło do głowy, że Harriet może popełnić tak kardynalny błąd i starać się go przekroczyć.

Harriet ukryła się ze wstydem w swojej przebieralni, zaciągając za sobą różową zasłonkę. Przez długą chwilę myślała, że tam zamarnie, trzęsąc się w zimnym, mokrym kostiumie – poczułaby ulgę, gdyby mogła się zamienić w drewno i nie musiała już nigdy się poruszać. Ale potem przypomniała sobie, że musi odwieźć Pilar do domu. Musi się wytrzeć, wciągnąć ubranie na sztywne kończyny, zapalić silnik i usiąść obok Pilar – która godzinę temu była przyjaciółką i powierniczką, lecz teraz już nigdy się do niej nie odezwie i w najmniejszym stopniu nie przyzna, że odegrała jakąś rolę w pomyłce Harriet. Wydawało się niemożliwe, by Harriet znalazła na to siły, a jednak wiedziała, że musi to zrobić i że to zrobi. Dwudziestominutowa droga do domu będzie jej karą.

Kiedy się ubierała, Pilar wyszła spod prysznic i włożyła ubranie. Harriet wzdrygnęła się pod naporem niepohamowanego gniewu docierającego do niej zza cienkiego przepierzenia – gniewu tak jednoznacznego, jakby Pilar waliła pięściami w ścianki i tupała w podłogę. Czy Pilar powie Rolandowi, co się wydarzyło? Wydawało się to prawdopodobne: może nawet powiedzieć wszystkim. Harriet pomyślała, że nie będzie w stanie dalej żyć, gdy brat i siostry dowiedzą się, jak wielki błąd popełniła, jak została upokorzona. Bliskość Pilar w sąsiedniej kabinie dławiała ją, aż zabrakło jej tchu i nie mogła się poruszyć. Kucając z twarzą ukrytą na kolanach, mogła dokończyć ubieranie się dopiero wtedy, kiedy Pilar wyszła – bez jednego słowa przebaczenia – najpewniej, by zaczekać na nią w recepcji hotelu.

Wszyscy wiedzieli, że coś się wydarzyło. Kiedy wrócili, było zupełnie tak, jakby wraz z nimi przez drzwi przybudówki, które zostawiły otwarte, by zatrzasnął je wiatr, wpadł do domu ostatni pomruk burzy. Ich milczenie dawało o sobie znać wszystkim, jak nie zrobiłyby tego ich głosy. Pilar od razu poszła na górę, obcasy jej butów stukały wymownie na każdym pozbawionym chodnika stopniu, a dźwięk odbijał się od nagich ścian w pustych pokojach: gwałtowny, nietolerancyjny stukot potępił ich wszystkich – dom i jego zaniedbanie, całe ich bezsensowne życie. Roland rozmawiał z Alice w gabinecie (odnaleźli swój dawny przyjazny sposób rozwodzenia się nad każdym tematem poruszonym przez Alice), urwał jednak w pół zdania, słysząc hałaśliwy powrót żony. Potem nie mógł znieść, że Alice umknęła wzrokiem, zbyt poruszona dźwiękiem ogłaszającym kłopoty. Kiedy poszedł za Pilar na górę, Alice odszukała Harriet, która stała nieruchomo, trzymając czajnik pod nieodkręconym kranem w komórce przy kuchni.

– Jesteśmy już po kawie – powiedziała Alice. – Czemu nie napiłyście się w hotelu?

Harriet odstawiła pusty czajnik, jakby zapomniała, po co go wzięła. Włosy miała tak mokre, że przykleiły się jej do głowy, jej twarz lśniła smutkiem, jasne oczy były wytrzeszczone i wydawały się niemal pozbawione powiek, jak u jakiegoś morskiego stwora.

– Co się dzieje? – zapytała Alice. – Powinnaś wysuszyć włosy.

Siostra ogromnym wysiłkiem wydobyła głos gdzieś z głębi siebie.

– Nic się nie dzieje.

– Nie wierzę ci. Pokłóciłyście się czy co?

– Możesz sobie wierzyć, w co chcesz. Ja w każdym razie wychodzę.

– Dokąd? Leje jak z cebra. Dopiero co wróciłaś.

– Mam ochotę wyjść. To był błąd, całe te wakacje były pomyłką, trzy tygodnie to o wiele za długo, Alice. Powinnam była zaufać przede wszystkim własnemu osądowi.

Powiedziała, że idzie po kurtkę przeciwdeszczową; Alice usłyszała, jak wpada do swojego pokoju i zamyka drzwi. Na górze zaczęło się szuranie, drzwi

zamykały się i otwierały, z ostatniego pokoju dobiegały żwawe kroki, rzeczowe głosy – Rolanda, Pilar i Molly. Po dziesięciu minutach Roland zszedł i oznajmił Alice i Fran, że postanowili z Pilar i Molly wyjechać, skoro pogoda jest taka okropna. Mieli zamiar wyruszyć od razu i zatrzymać się na obiad gdzieś po drodze. Pilar nie czuła się najlepiej, była przemęczona i na dodatek coś wyskoczyło jej w pracy, musi wracać. A Molly powiedziała, że chce jechać z nimi. Alice wykrzyknęła, że nie mogą tak po prostu wyjechać. Jeśli coś się stało, nie mogą tego wyjaśnić? Powinni przynajmniej zjeść razem ostatni posiłek, przynajmniej tyle. Fran dodała, że zrobiła zakupy na dziewięć osób; i jak to wszystko bez nich zjedzą? Alice chciała zapytać Rolanda, co się stało, ale kiedy go objęła, poczuła, że on lekko się od niej odsuwa, jakby mógł pozostawać w życzliwej bliskości tylko z jedną kobietą naraz.

Potem wrócił na górę, by się spakować, a tymczasem Harriet wyszła przez kuchnię w kurtce przeciwdeszczowej z kapturem naciągniętym na głowę.

– Nie bądź głupia! – zawołała za nią Alice. – Zaziębisz się, jeśli będziesz chodzić po deszczu z mokrą głową. Nie chcesz się pożegnać z Rolandem? Wiesz, że wyjeżdżają?

Usłyszały, jak drzwi od komórki przy kuchni otwierają się i zamykają.

– Myślisz, że pokłóciły się o politykę? – zagadnęła Fran.

– To coś gorszego – odparła Alice.

– O jazdę Harriet? Wlecze się straszliwie, to równie niebezpieczne jak zbyt duża prędkość.

– A może rozlała coś na białe spodnie.

Siostry zostały w kuchni, wycierały filiżanki i sztućce, nie wiedząc, czym zapełnić kłopotliwy czas do odjazdu pozostałych. Roland energicznie chodził po schodach i ustawiał torby i walizki w holu – cały ten imponujący bagaż! – i dom zdawał się nerwowo zawieszony pomiędzy dwoma epokami. Dzieci układały pasjansa na podłodze w holu, tuż pod nogami, gdzie przechodził Roland; Ivy ze sceptycyzmem rozkładała karty – wątpiła, czy pasjans kiedykolwiek wyjdzie. Kiedy Roland zaczął wnosić bagaże do samochodu, wycierając buty na wycieraczkę za każdym razem, kiedy wracał, zostawił drzwi komórki przy kuchni otwarte i na dole rozhulał się wiatr. Wydawało się, że nigdzie nie można wygodnie usiąść, i nikt nie chciał herbaty.

– To straszne zostawać – powiedziała Alice. – Zawsze bardziej efektowniej jest wyjeżdżać.

Na górze Molly otworzyła drzwi do pokoju Kasima, wsunęła się do środka i zamknęła je za sobą bezszelestnie. Potem stała oparta o ścianę, trzymając dłoń na gałce, jakby zachowywała sobie drogę ucieczki. Kasim siedział na brzegu łóżka z łokciami opartymi na kolanach i ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się w ekran telefonu, grając w Angry Birds. Molly powiedziała, że tata wyjeżdża i że

postanowiła wyjechać razem z nim.

– Nie ma problemu – rzucił, nie podnosząc wzroku. – Szczęśliwej podróży.

Miło było cię poznać.

– Coś się stało w pracy Pilar, musi wracać.

– W porządku.

– Chodzi o to, że nie muszę jechać, mogłabym zostać z ciotkami jeszcze przez kilka dni. Odwiozłyby mnie potem na stację.

– To zależy od ciebie.

– Ale co ty o tym myślisz?

– Dla mnie nie ma różnicy.

Czekali. Zaciśnęła dłoń na gałce i powoli zaczęła ją przekręcać, a Kasim wreszcie na nią spojrział: miała na sobie szorty i biały podkoszulek, jej długie nogi i stopy były gołe; stała na jednej nodze, opierając stopę drugiej o ścianę za sobą. Pomyślał, że przypomina białego ptaka nad jeziorem. Jej twarz była lekko opuchnięta od płaczu.

– Choć szkoda, że nie zobaczysz chaty – powiedział. – Jak ją posprzątałem. Zrobiłem to specjalnie dla ciebie. Spodobałoby ci się.

– Rzeczywiście szkoda – zgodziła się skwapliwie. – No, mogłabym zostać – dodała z wahaniem.

– Mogłbym ci ją pokazać dziś wieczorem.

– No to dobra.

– Gdybyś została.

– Zostanę. Pójdę im powiedzieć.

Nareszcie wyjechali. Do samego wyjazdu wykopywali przepaść nie do zasypania, która musiała być początkiem końca. Pozostali czuli, że nadszedł kres starego domu i oni też równie dobrze mogą wyjechać. Pożegnania były płytkie i zdawkowe, jakby nie mogli się doczekać, by się już nawzajem nie oglądać. Pilar uśmiechnęła się i uściśnęła dłoń Alice, ale jej oczy mówiły prawdę i jej nieszczerłość była nawet w pewnym stopniu właściwa. Opierając dłoń na dachu jaguara, zawahała się, zanim wsunęła się na miejsce pasażera, i Alice zastanawiała się, czy nie przyszło jej do głowy, by zostawić jakąś wiadomość dla nieobecnej Harriet – jeśli tak, to zaraz się rozmyśliła. Roland nastawił siostrom policzek do pocałunku, jakby już był gdzie indziej. Przekazał serdeczności dla Harriet, co znaczy, że Pilar nie zrelacjonowała mu jeszcze ich kłótni albo przynajmniej nie nalegała, by opowiedział się po którejś ze stron. Cierpiał, bo Molly postanowiła zostać – ciotki obiecały, że będą miały na nią oko, ale nie ufał im. Obejmując córkę, był niezwykle czuły, lecz Alice dostrzegła, że nie aprobuje jej decyzji, a przez twarz Molly przebiegł cień strachu, że może rozczarować ojca.

A mimo to Molly została! Zatrzymanie Molly wzbudziło w pozostających uczucie triumfu. Kiedy jaguar przejechał pomiędzy słupami bramy, zawsze

uwodzicielsko otwartej, Fran, Alice, dzieci, Kasa i Molly (Harriet jeszcze nie wróciła ze spaceru) nagle ogarnął radosny nastrój, poczuli ulgę, zatrzasnęli drzwi za tymi, którzy odjechali, i postawili wodę na herbatę. Nareszcie, mieli dla siebie tę chwilę i nie musieli jeszcze myśleć o przyszłości, o wyjazdach czy końcu czegokolwiek. Młodzież poszła grać w scrabble, Fran zaparzyła herbatę, a Alice rozpałała ogień w salonie. Za drzwiami na taras popołudnie zmieniło się i lśniło delikatnym blaskiem, deszcz przestał padać, kos śpiewający na buku potrząsał lekko gałązką, z której spadały srebrne krople. Fran zaniósła na górę cztery kubki z herbatą z mlekiem i cukrem w różnych proporcjach, a potem przyniosła Alice jej ładną filiżankę.

– Jest tak przytulnie – powiedziała serdecznie, podciągając nogi pod siebie na fotelu naprzeciwko siostry. – Teraz nareszcie możemy mówić, co myślimy.

Alice kucała przy kominku i z wprawą rozpałała ogień. Przesunęła polano na miejsce szczapą do rozpalania i poplamionym sadzą wierzchem dłoni założyła za uszy pasmo włosów.

– Chodzi ci o Pilar?

– I wszystko.

– Ona nie jest w naszym typie. Ale być może nasz typ jest okropny. Albo przynajmniej nie jest dobry dla Rolanda.

– Jesteśmy straszne.

– Nieustępliwe. I zawsze na wszystko się rzucaamy, analizując w najdrobniejszych szczegółach.

– Pamiętasz, jak mu dokuczałyśmy, gdy uczył się do egzaminów w szkole średniej? Zostawiałyśmy bieliznę w jego szufladach ze skarpetkami, pisałyśmy fałszywe liściki miłosne. Nic dziwnego, że się gubi, gdy chodzi o kobiety.

– Nasz typ do niego nie pasuje. Potrzebuje kogoś, kto myśli, że uwaga to uwaga, fakt to fakt, a uczucie to uczucie.

– Daj spokój, Alice. Ona po drodze na górę tupała na każdym stopniu!

– Obserwowałam jego twarz i myślę, że przeszkadzało mu jedynie, że to słyszałam. Chyba nie przeszkadzają mu same sceny. Nienawidzi wynikających z nich komplikacji i obszarów szarości. Lubi czyste sytuacje.

– Ale co się wydarzyło między nią a Harriet?

– Nie wiem – odparła niepewnie Alice.

Na górze dzieci przygotowywały Molly, kiedy już jak zwykle wygrała w scrabble. Nie wpuściły Kasima do jej pokoju, powiedziały, że nie wolno mu jej jeszcze oglądać, zobaczy ją przy kolacji. Po kolacji Kasim zabierał ją do chaty: co miała na sobie włożyć? Powiedziała, że pójdzie jak zwykle w szortach, lecz Ivy wzięła sukienkę przerzuconą przez oparcie krzesła – Harriet dała ją bratanicy, mówiąc, że ją kupiła, ale nigdy nie nosiła, Molly może ją przekazać do sklepu z darami, jeśli jej się nie spodoba. Molly nawet jej nie przymierzyła, bo nigdy nie

nosiła sukienek. Teraz Ivy tęsknie przesuwiała palcami po kwiecistym szyfonie, wykrzykując, że sukienka jest piękna i Molly musi ją włożyć na swój ślub.

– To nie jest mój ślub – zaprotestowała Molly.

– Jest, jest – upierały się dzieci, pijane z podniecenia, które ogarnęło dom. – Taki udawany.

Molly zdjęła więc szorty i podkoszulek i wciągnęła sukienkę przez głowę: była za luźna w biuście, bez rękawów, z okrągłym dekoltem i dopasowaną talią. Szyfonowa spódnica z niebieską bawełnianą halką była uszyta z koła i kończyła się miękką falą tuż nad kolanami. Molly miała na bosych stopach adidas i wyglądała przejmująco, jak sierota ubrana w dary od starszej damy.

Usiadła na brzegu łóżka, a Ivy uklękła przy niej ze skupionym wyrazem twarzy i zaczęła zaplatać jej włosy w drobniutkie warkoczyki na całej głowie, wplatając w nie koraliki, wstążki i koronkę. Molly nosiła na ręce tylko jedno srebrne kółeczko, ale miała całe woreczki ozdób, z których nigdy nie korzystała: kolie ze strasu, broszki z cekinów i spinki do włosów z różowymi motylkami, wszystkie brudne od kosmetyków z niedokręconych tubek i słoiczków, których też nie używała. Rodzeństwo obsypało ją biżuterią – jej własną, a potem wszystkim, co udało im się znaleźć.

– Stroimy Molly – powiedzieli do Alice. – Możemy pożyczyć jakieś naszyjniki?

Alice podeszła do sprawy z entuzjazmem i pożyczyła im też koronkowy szal i białe klipsy, okrągłe i matowe jak miętówki, które należały do ich prababki Sophy.

– Och, *ta* sukienka – powiedziała na widok Molly. – Wiedziałam, że będzie w niej ślicznie wyglądać.

Ivy upięła koronkowy szal na włosach Molly jak welon, potem zrobili jej makijaż. Arthur, wysuwając koniuszek języka, nałożył pędzelkiem zielony cień na powieki. Ivy mocno podkreśliła brwi czarnym ołówkiem, potem dodała róż na policzki i szminkę.

– Zrób tak – powiedziała, podając jej kawałek papieru toaletowego z łazienki i zaciskając wargi.

Na widok swojego odbicia w lustrze Molly parsknęła śmiechem.

– Wielkie nieba – powiedziała Fran. – Coście zrobili z tą biedną dziewczyną?

– Jej się podoba – utrzymywała Ivy.

Arthur zaczął mówić matce, że to na ślub Molly, lecz Ivy go kopnęła i zmarszczyła brwi, potrząsając głową. Kasim powiedział, że wygląda koszmarnie, i kazał jej wszystko zmyć, lecz Molly, która uznała to za zabawne, nagle wykazała się uporem i odmówiła. Pamiętając o kłótni przy lunchu, postanowił w końcu, że to nie ma znaczenia, choć żałował białego ptaka, jakim kiedyś była. Zjadła więc

z nimi kolację wystrojona, niewiele mówiąc i niewiele jedząc, jej wymalowana twarz wyglądała nienaturalnie jak maska. Inni rozmawiali wokół niej, jakby prawdziwej Molly nie było, lecz czuli się zakłopotani i przejęci obecnością tej upiornej, wyniosłej postaci. Przypominała lalkę albo wynoszoną z niszy w kościele podczas procesji kolorową figurę świętej i nadała ich posiłkowi niezwykłą wagę.

Harriet nadal nie wracała. Po kolacji Alice stała przy drzwiach wejściowych ze ścierką w ręce i wyglądała jej, a potem, wciąż trzymając ścierkę, przeszła przez cmentarz, spodziewając się, że Harriet wróci do domu na skróty. Fran zmywała i Alice powinna jej pomagać; Harriet będzie na nią zła, że się tak martwi. Gdyby się spotkały, obrzuciłaby Alice tym swoim lodowatym spojrzeniem: czemu zawsze robi ze wszystkiego zamieszanie? Alice była jednak podatna na tę panikę wyczekiwania na nic szczególnego; oczekiwanie odbijało się od spokoju wieczora. Niebo nad głową było teraz świecące, jakby wymyto je do czysta; masa chmur na horyzoncie od zachodu, granatowa z różowymi obwódkami, wyglądała jak miasto w oddali, którego istnienie jakoś przeoczyli albo o którym zapomnieli. Nic w tym nijakim zewnętrznym świecie nie odbijało niepokoju Alice; kiedy stała przy bramie kościoła, minęli ją Kas i Molly; szli, trzymając się za ręce. Molly narzuciła sweter na sukienkę, bo temperatura spadła, włosy miała nadal zaplecione w warkoczyki, lecz umyła twarz i już bardziej przypominała siebie. Rzucili z roztargnieniem, że wybierają się na spacer; Alice powiedziała, żeby nie chodzili zbyt długo, bo niebawem się ściemni.

Fran nie miała pojęcia, dlaczego Alice tak się martwi: Harriet była znana z tego, że leczy humory długimi spacerami.

– Znasz ją: ma przy sobie latarkę, batonik i kompas. Zresztą jak mogłaby się tu zgubić?

– Właśnie że nie zabrała latarki – odparła Alice. – Wisi na haczyku w komórce. A jeśli gdzieś upadła i nie może się ruszyć?

Skierowała się na górę, a po skorzystaniu z łazienki weszła do pokoju brata i Pilar, który mimo wyjazdu gości nie wrócił do dawnego stanu samowystarczalności, lecz zdawał się odmieniony ich wizytą, jakby zdarli z niego powierzchnię i pozostawili pustkę. Puste wieszaki zaczepione na brzegu szafy zadźwięczały, gdy deski podłogi poruszyły się pod ciężarem kroków Alice; kołdra i poduszki, pozbawione powłoczek, bielily się na materacu, lekko zaróżowione przez nisko padające słońce, zapomniana skarpetka walała się pod łóżkiem. W koszu na śmieci leżały waciki z resztkami makijażu, pusta butelka po wodzie, wczorajsza gazeta. Alice szukała listów Rolanda do matki, ale musiał je zabrać ze sobą. Kwiaty, które dwa tygodnie temu postawiła na parapecie, uschły i stały w resztkę śmierdzącej zielonej wody. Już miała wziąć wazonik, by zanieść go na dół, gdy powodowana impulsem otworzyła drzwi prowadzące do pokoju Harriet.

Strach powrócił, gdy tylko przeszła przez próg: coś w pokoju siostry –

a może po prostu nic, jedynie minimalny ślad pozostawiony przez Harriet – ożywiło jej przerażenie. Pokój był tak pusty, jakby Harriet miała nigdy do niego nie wrócić. Z wysiłkiem, karcąc się w duchu za melodramatyzm, Alice zdusiła obraz, który stanął jej przed oczami: ciało przykryte prześcieradłem na wąskim łóżku, zebrana wokół niego rodzina w żałobie. To oczywiście nonsens – w najgorszym wypadku Harriet mogła skrócić kostkę albo złamać nogę. Potem, kierowana nieomylnym instynktem siostry pozwalającym jej znajdować rzeczy, których nie powinna oglądać, Alice podeszła prosto do szuflady, gdzie Harriet trzymała pamiętnik, i znalazła go pod czystą bielizną. Powtarzała sobie, że nie wolno jej zaglądać do środka, ale bez trudu przekonała siebie, że musi. Zeszyt otworzył się na stronach, na których Arthur wypisał szminką brzydkie słowa i swoje imię.

Alice od razu się domyśliła, że to nie było dzieło Arthura. To na pewno Ivy w jednym z napadów złości napisała to wszystko, mało konsekwentnie popełniając błędy ortograficzne: *Zostafcie mnie w spokoju, Piepszyć was, Jezdeś paskudnym kruwskiem*. To tylko dziecinne wybryki. Alice nawet parsknęła śmiechem, wyobrażając sobie zaciętą buzię Ivy, gdy to wszystko wypisywała, napędzana złośliwą inwencją. Harriet powinna była jednak coś powiedzieć, zaprotestować. Alice czuła, że siostra wzięła te obelgi do siebie i pozwoliła, by odniosły skutek. Usiadła na brzegu łóżka, zapaliła lampkę, by lepiej widzieć, i zaczęła czytać słowa napisane długopisem, drobnym, wyraźnym pismem Harriet z grecką literą „e”. Wszystkie litery były pisane osobno, nigdy się nie łączyły. *Czy to szczęście? Moje uczucia wydają się szalone, chore, kiedy myślę, jak P. cierpiała w prawdziwym świecie. Ale dziś wieczorem, kiedy już wzięła kąpiel, zebrałam jej długie włosy z odpływu, zatrzymałam je i dotykałam ich.*

Alice się domyślała. Szybko przewracała kartki, śledząc całą historię. *Nadzieje i wątpliwości, nie wiem, co myśleć. P. dotknęła mojej dłoni, nie myłam jej przez cały dzień. Jestem jak durne dziecko, bo nie wiem, jak to się robi. Nienawidzę Rolanda, bo ma ją przy sobie.* Przekleństwa Ivy pokrywające tę stronę musiały zabrzmieć jak samokrytyka Harriet. A kiedy Alice przewróciła kartkę, by przeczytać ostatni wpis, zauważyła, że staranne litery urywają się gwałtownie, długopis Harriet podziurawił papier. *Głupia, głupia, głupia... Jak mogłam? Co ja narobiłam? To koniec.*

Niebo zdawało się jaśniejsze, jakby wyciągnęło światło z ziemi. Idąc nieużywaną drogą, Alice nadal co nieco widziała, lecz nie własne stopy w tunelu ciemności pod drzewami. Pełne liści splątane gałęzie drzew rysowały się czarno na niebieskim tle, niczym dziki las w bajkach dla dzieci. Przy drodze poniżej majaczył biały dom; była to papiernia, gdzie wytwarzano papier dla artystów. Wychodząc z tunelu, dostrzegła nietoperze podobne do czarnych skrzepów, zrywające się do lotu spomiędzy ciemnych drzew i krokwi dachu; były niczym uosobienie niepokoju, który ją dusił, zajmował myśli. Wyszła z domu – chwytając sweter

i czyjaś kurtkę przeciwdeszczową z komórki, zrzuciła sandaalki i wsunęła bosc nogi w wilgotne kalosze – bo nie mogła już czekać w domu.

– Ale nawet nie wiesz, w którą stronę poszła! – wykrzyknęła Fran.

Za papiernią droga znów się pięła i na szczycie Alice przeszła przez rów i wyszła na polną ścieżkę. Tędy najczęściej wędrowali w dzieciństwie. Szła teraz w zimnej, białej wieczornej mgle, która unosiła się nad wilgotnym polem i wirowała wokół jej kolan gęsta jak mleko; zabrała ze sobą latarkę, ale jeszcze nie chciała jej zapalać – nie wiadomo, na jak długo wystarczy baterii. W każdym razie nadal coś widziała, nie było jeszcze całkiem ciemno, w ostatnim blasku kilka jaskółek latało i zawodziło nad polem, wpadając w mgłę z niej i wypadając.

Alice zaczęła wołać siostrę po imieniu. Har-riet! Het-tie! Dźwięk jej głosu był kojący i dziwny, jakby należał nie do niej, ale dochodził gdzieś z zewnątrz, odbijając się echem od wznoszącego się pola. Przed nią jawiło się ciemne wejście do lasu, niczym dziura wyrwana w barierze ciemności. Pomyślała, że kiedy będzie musiała tamtędy przejść, nie da rady, nie starczy jej odwagi. Poszukiwania i tak były bez sensu, a kalosze obcierały boleśnie jej bosc stopy. Harriet mogła pójść dokądkolwiek pośród wzgórz i dolin w okolicy, może być całe kilometry stąd i Alice nigdy jej nie znajdzie. Wyobraźnia ją zawiodła, czuła tylko rozczarowującą pustkę. Pozostały strach i bezradność w pustej ciemności – była niemal pewna, że zmierza donikąd. Za dnia zawsze, przy każdej pogodzie lubiła tę bramę do lasu z kryjącą się za nią obietnicą. Pomyślała o cieniowym zagajniku brzożowym, o wdzięku drzew w lecie i zimie jak o uroczym pokoju. Kiedy teraz stanęła przed bramą i oparła się o nią, zawołała w pustkę, a jej głos zdawał się zakłócać spokój lasu. Niewidzialne drzewa wydawały się porażająco obecne, nieprzyjazne i złowieszcze. Na brzegu lasu ścięto niedawno kilka sosen i ułożono je teraz przy ścieżce, w powietrzu unosił się ostry zapach żywicy, świeże trociny rozsypały się w blade plamy.

Potem otworzyła bramę, przeszła przez nią i zanurzyła się w ciemność lasu. Nie mogła się zmusić, by znów zawołać. Kiedy zapaliła latarkę, było zupełnie tak, jakby otaczające ją rzeczy nabrały intensywności na brzegach wąskiego tunelu światła. Gdy przesuwiała promień latarki, pokrzywione cienkie pnie, blade jak duchy, zdawały się stawać na baczność i przekazywać coś istotnego. Czy bała się napaści, choć nigdy nie czuła strachu w mieście? Kiedy z wielkim szelestem jakiś zwierz – jelen? – wyrwał się niewidzialny z ciemności i popędził przed siebie, Alice była mokra ze strachu. Powtarzała w duchu, że przejdzie przez pierwszą część lasu i nie zrobi ani kroku dalej; gdy dojdzie do pola w kształcie klina – za którym dalej rozciągał się las – i Harriet tam nie będzie, zawróci.

Kiedy wyszła z lasu i przekroczyła kolejny rów, zaskoczyło ją, że niebo jest tak jasne. Mleczna mgła rozciągała się na łące pod nią; nad jej powierzchnią nadal dostrzegała wysokie kamieniste brzegi strumienia i krzaki jeżyn. Czy na końcu

łąki, po drugiej stronie strumienia, stoją krowy i obserwują ją uważnie? W każdym razie dostrzegła jakiś biały kształt na ponurym tle. Co za ulga znaleźć się znowu na otwartej przestrzeni. Głęboki, zarośnięty jeżynami parów strumienia dzielił łąkę wijącą się linią; niewidzialny potok szumiał na kamieniach jak wytłumione serce dzwonu. Alice raz jeszcze zawołała śpiewnie: Het-tie! Har-riet! Wpatrywała się w odległy biały kształt, który teraz zdawał się leżeć na ziemi, a potem ruszyła w jego stronę, potykając się o kępy traw. Promień latarki podskakiwał.

– Hettie! Czy to ty? Jesteś tam?

Jeśli to była krowa, to mogła wstać i ruszyć w jej stronę, powalić ją. Nocą wszystko wydawał się takie groźne. Jeśli tym kształtem była Harriet – zbyt szczupła, zbyt mała jak na krowę – Alice nie mogła zrozumieć, czemu się nie rusza i czemu ukazała się tak wyraźnie, jak nieruchomy blady kleks w otaczającej łąkę ciemności. Jeśli to Harriet, to chyba była odwrócona, skupiona na swoich intymnych sprawach. W uszach Alice rozlegało się jej własne sapanie, kiedy szybko szła pod górę, ślizgając się na wilgotnej trawie. Upadła i rozbiła kolano o kamień; bolało, lecz ruszyła dalej. Woda kipiała gdzieś nieopodal z zimną wściekłością, strumień musiał opadać przez zaporę kamieni. Świecąc latarką, Alice dostrzegła nagle, że jej siostra leży naga na trawie, z rozłożonymi rękami i nogami, twarzą do ziemi. Okrucieństwo tej nocy stało się realne, wydarzyło się najgorsze – choć Alice w przerażeniu z całych sił starała się odrzucić prawdę, głośno przeciwko niej protestując. To niemożliwe, a jednak! Protest, nawet kiedy krzyczała, nie był skierowany do nikogo, bo nikt nie mógł go usłyszeć. Nie! Nie, nie, nie!

Harriet nagle podniosła głowę i przekręciła ją, by obejrzeć się przez ramię, mrużąc oczy w świetle latarki.

– Och, Alice, po co tu przyszedłaś? Chciałam umrzeć.

Alice była poruszona do głębi. Harriet nie mogła się dowiedzieć, że uwierzyła w jej śmierć; Alice oskarżycielsko skierowała na siostrę promień latarki, oślepiając ją.

– Ale co ty tu robisz? Gdzie masz ubranie?

– Wrzuciłam je do wody, żebym nie mogła zmienić zdania.

– Zmienić zdania co do czego?

– Nie wiem. Chciałam tylko umrzeć. Mam dość.

– Żartujesz sobie. Nie mówisz poważnie. Kto w całej historii idiotycznych postępów próbował się zabić, starając się zamarznąć w środku lata?

– Nie wiem. Okazuje się, że nie potrafię nawet umrzeć.

Świecąc sobie latarką, Alice znalazła wełniany sweter Harriet, który zaczepił się o krzaki jeżyn i nie wpadł do strumienia. Tylko koniec jednego rękawa był mokry.

– Włóż to. Natychmiast.

– Ale nie mam bielizny.

– Oszalałaś? A tak, zapomniałam, zdecydowanie oszalałaś. Po co ci bielizna, idiotko? Dam ci też mój sweter, włożysz go na wierzch. Musimy cię uchronić przed hipotermią, choć wątpię, czy o tej porze roku można się jej nabawić. I weź moją spódnicę.

Mówiąc to, Alice ubierała siostrę, jak umiała, przeciągnęła sweter przez jej kołyszącą się głowę, podwinęła mokry rękaw, a potem wciągnęła na nią własny sweter i kurtkę. Harriet poddawała się, lecz nie pomagała, pozwalała się ubierać, jakby była dzieckiem; miała ciężkie ręce, którymi nie poruszała, i Alice musiała je podnosić i siłą wsuwać w rękawy. Harriet powiedziała, że jest zdrętwiąta. Noc była zimna, choć nie przenikliwie i początkowo Harriet nawet się nie trzęsła, ale kiedy już zaczęła, nie mogła przestać.

– Widzisz, musimy wszystko na ciebie włożyć – powiedziała Alice. – Mnie nic nie jest, jest mi ciepło, naprawdę nie jest tak źle, sama się doprowadziłaś do takiego stanu. Choć mam nadzieję, że nie spotkamy nikogo, kiedy dojdziemy do wioski, bo jestem w samych majtkach. Co cię opętało? Co ty sobie myślałaś?

– Nie mam pojęcia, co się ze mną stało, co takiego straszno zrobiłam.

– A ja mam – odparła Alice. – Mam pewne pojęcie. Przystawiałaś się do Pilar, a ona cię odrzuciła. Nie martw się, nikomu nie powiedziała i nie powie. Nikt nie wie. Sama się domyśliłam. To się przytrafia każdemu. Mnie się przytrafiło z milion razy. To znaczy, głównie z mężczyznami, to prawda, nie z kobietami. Ale tak naprawdę raz z kobietą też.

Harriet żałośnie odwróciła twarz i zamknęła oczy.

– Wiem, świadomość, że coś takiego przytrafia się wszystkim, nie jest żadną pociechą. Ale nie pomyślałaś o nas, Hettie, o tym, jak bardzo cię kochamy? Spójrz na mnie, otwórz oczy! Niesamowite, że cię znalazłam, prawda? *Wiedziałam*, że tu będziesz, na tej łące na końcu pierwszego lasu, wiedziałam. Wysłałam, bo nie mogłam już dłużej siedzieć w domu i się zamartwiać. Fran powiedziała, że to zły pomysł, bo nie miałyśmy pojęcia, dokąd poszłaś, i oczywiście miała rację, a ja jak zwykle byłam ta durna. Ale miałam przeczucie! Coś mnie prowadziło, choć było tak ciemno i okropnie. Wiesz, że zawsze wierzyłam w takie rzeczy. No i cię znalazłam, dzięki Bogu! Uratowałam cię! To niesamowite!

– Ale ja nie chciałam, żeby mnie ratować.

– Chciałaś. Naprawdę. Tylko jeszcze o tym nie wiesz.

Kasim kazał Molly zaczekać kilka minut przed chatą, a sam wszedł szybko do środka, zapalił świece, rozpalił ogień – wcześniej wszystko przygotował – i rozłożył koce przed kominkiem. Pachniało nie najgorzej. Molly bała się ciemności, stała przytulona do drzwi i jęczała przez szparę.

– Mogę już wejść? Proszę, Kas! Wpuść mnie. Tu jest strasznie.

Kiedy w końcu ją wpuścił, był okropnie podenerwowany, bo bał się, że

Molly wyśmiewa to, co zrobił w chacie, a czuł się bardzo dumny ze swojej pracy. Obserwował jej twarz niepewnie; nie mógł się przyzwyczaić do jej wyglądu ze sterczącymi na wszystkie strony warkoczami – była jednocześnie obnażona i szydercza jak klaun. Była obcą osobą, której prawie nie znał. Kiedy rozejrzała się i uśmiechnęła, wszystkim zachwycona, przypomniał sobie, że kobiety rzucają takie uśmiechy, by docenić wysiłki mężczyzn i okazać się dla nich miłe, bez względu na to, co naprawdę myślą. Nie ufał jej więc i poczuł lekkie pragnienie zemsty.

– Jak tu pięknie, Kas. I ty dzięki tobie. Tak się cieszę, że zostałam.

Zajął się otwieraniem wina – okazało się, że butelka jest zakręcana, korkociąg nie był potrzebny – i przesypał chipsy do miski. Usiedli na kocach przed ogniem, który ładnie się palił, bo Kas od kilku dni suszył drewno. Przynajmniej wszystko szło zgodnie z planem. Mimo to wyobrażenie Molly o tym, co miało nastąpić później, mogło się okazać nieco odmienne od jego koncepcji. Może pomyśleć, że spędzą wieczór na całowaniu się i pieszczotach, podniecając się jak zwykle, a potem zdmuchną świece i wrócą do domu. Zgodnie z planem Kas powinien strategicznie dolewać jej wina za każdym razem, gdy upiła łyk. Ale kiedy spróbował to zrobić, zakryła kieliszek dłonią, mówiąc, że nie chce się upić. Potem go pocałowała – w ustach miała pełno wina, które przepłynęło do jego ust, co nim wstrząsnęło. Czy zrobiła to celowo?

Uklęknął więc, by odpowiedzieć pocałunkiem, mocniejszym, wsuwając palce między splecione warkoczki z tyłu jej głowy, unosząc jej twarz ku sobie, tak że była odchylna w górę. Po mniej więcej minucie odwróciła się i poskarżyła, że ścierpła jej szyja.

– A więc – zaczęła rozpromieniona, jakby chciała zdradzić jakiś sekret – przyzwyczajasz się do mojego widoku w sukience?

Kas nie mógł uwierzyć, że ona nadal przejmuje się ubraniem.

– To śmieszna sukienka – odparł. – Wygląda okropnie.

Molly nachyliła się, by szepnąć, łaskocząc go oddechem w ucho.

– No to dobrze.

– Co dobrze?

– Jeśli ci się nie podoba, lepiej ją zdejmę.

Zanim to do niego dotarło, jednym zgrabnym ruchem przeciągnęła sukienkę przez głowę. Pod nią nie miała nic. Jego dłonie znały jej ciało albo znały je częściowo, ale widział je po raz pierwszy, jakby była noworodkiem w blasku pełzającego po niej ognia: drobne sterczące piersi z różowymi sutkami, wklęsły brzuch z lekko wystającym pępkiem, ciemny mech w miejscu, gdzie schodziły się jej uda, gdy klęczała z zaciśniętymi nogami. Uśmiechnęła się do niego nieśmiało; nadal miała na sobie klipsy-miętówki.

– I jak? Podobam ci się?

Kasim nie wiedział, od czego zacząć.

– Nie denerwuj się tym – powiedział. – Będę bardzo delikatny. Mam spore doświadczenie.

– Ja też mam trochę – odparła. – Więc wcale się nie denerwuję.

Trzy

Fran i Alice przez całą noc siedziały na zmianę przy Harriet. Alice powiedziała Fran o wszystkim. Najpierw napiły ją gorącą herbatą z cukrem i brandy, potem położyły spać w jej łóżku, ubraną w podkoszulek i piżamę. Napęniały gorącą wodą termofor i owijały w ręcznik, starając się nie kłaść go tuż przy skórze, i przykryły ją dwoma kołdrami. Kiedy pomagały jej się rozebrać, ciało Harriet było lodowate i oporne – chwiała się między nimi bez słowa i miała niemal całkiem wywrócone oczy. Fran zadzwoniła do Jeffa, by sprawdził w internecie, czy postępują właściwie i czy nie powinny wezwać lekarza. Okazało się, że brandy mogła być błędem. Ale teraz, kiedy wsunęły ręce pod pościel, Harriet wydawała się cieplejsza. Przewróciła się na bok, podciągnęła kolana i czasem pochrapywała. Nie wiedziały, jak długo leżała naga na łące. Pewnie zdjęła ubranie dopiero wtedy, gdy zaczęło się ściemniać.

Alice też musiała się napić gorącej herbaty i siedziała owinięta kocem, a w pokoju włączyły elektryczny grzejnik. Chciała się napić brandy, nawet jeśli Jeff powiedział, że potem poczuje się gorzej. Okropności jej przygody – ubrana tylko w majtki, kalosze i bluzkę, na szczęście długą, przeprowadzała Harriet z powrotem przez las i łąkę – w jej opowieści już zamieniały się w legendę. Harriet dała radę iść, ciężko się na niej opierając, potykając się i ślizgając. Przynajmniej nie wrzuciła do strumienia butów – najwyraźniej w ostatniej chwili pomyślała, że mogą się jeszcze komuś przydać. Fran oświadczyła, że Alice jest bohaterką. Powiedziały dzieciom, które jeszcze nie spały, gdy Alice i Harriet wróciły do domu, że Harriet upadła i nie mogła się ruszyć, dopóki Alice jej nie znalazła; to samo powiedziały Jeffowi i postanowiły powiedzieć innym.

– Co za niezwykle szczęście, że nie ustąpiłaś – powtórzyła Fran. – Czuję się taka winna! A gdybyś tak mnie posłuchała?

– To nie było szczęście. Wiedziałam. Coś mnie prowadziło. Albo może ktoś. Myślisz, że to nasza mama?

– Alice, nie. Nie mów tak, to okropne. Co za bzdury. Tak naprawdę w to nie wierzysz.

Fran była bardzo racjonalna, przypisała to wszystko wyjątkowej intuicji Alice. Harriet co jakiś czas się budziła, jakby chciała się upewnić, że tam siedzą.

– Powiedz coś, Harriet – napominała ją Fran. – Musimy wiedzieć, że jesteś *compos mentis*⁴.

– Jestem *compos mentis* – mówiła Harriet i znów zamykała oczy.

Lampka przy łóżku dawała różowawe światło, bo Alice narzuciła na abażur czerwony szalik. Za oknem zerwał się wiatr, nieoczekiwany po cichym popołudniu, uderzał w ściany i grzechotał oknami. Kiedy Alice ocknęła się z drzemki w fotelu, który przyniosły z pokoju Rolanda, siostra znów miała otwarte oczy i wpatrywała

się w nią – ale kiedy tylko Alice się odezwała, zamknęła je i udawała, że śpi. Alice pomyślała, że jest coś niemal zmysłowego w sposobie, w jaki Harriet poddawała się ich zabiegom, pozwalając się im rozbierać i ubierać, wlewać łyżeczką herbatę do ust, rozmawiać o niej nad jej głową. Zazwyczaj w jej surowym życiu nie było nikogo, kto by się nią tak zajmował i tak jej dogadzał – z pewnością nie robił tego Christopher. Trzymała się sztywno, z dala od czyjejkolwiek litości. Ale teraz przyjmowała ich troskę nieświadomie jak dziecko, nie próbując im dziękować ani nie przepraszać za kłopot. To wzruszyło Alice, ale też nappełniło obawą, gdy patrzyła, jak daleko siostra odchodzi od swojego starego ja, rozwiązując więzy, które mocno ją krępowały. Z własnego doświadczenia wiedziała, jak trudno wrócić do pionu, gdy w chwili słabości pozwoliło się sobie od niego odchylić.

Położywszy dzieci spać, Fran wróciła do pokoju Harriet, lecz nie usiadła. Spoglądała w ciemność za oknem, które nie wychodziło na nic szczególnego, jedynie na komórkę, przybudówki i tylne drzwi. Lampa nad tymi drzwiami oświetlała targane wiatrem gałęzie buków, liście wirujące w powietrzu w taki sposób, że spadały na ziemię bledszą stroną. Fran nie chciała martwić Alice, ale nie było ani śladu Molly i Kasima. Włączyła światło na zewnątrz w nadziei, że wskaże im drogę do domu, jeśli się zgubili. Gdzie, u licha, zniknęli?

– Co się dzisiaj ze wszystkimi dzieje? – dziwiła się.

Ten drugi niepokój nie pozwalał im zasnąć przez całą noc i potęgował się wraz z upływem czasu. Co pół godziny jedna z nich uciniała sobie krótką drzemkę, bo czuły, że ktoś musi czuwać, skoro młodzi nie wrócili do domu. Czy powinny zadzwonić do Rolanda? Ale co za sens go niepokoić, kiedy do rana nie mogły nic zrobić. Czy powinny zadzwonić na policję? Alice była pewna, że Kas i Molly są gdzieś bezpieczni, czuła to.

– A nawet jeśli zostali na zewnątrz, mogą się nawzajem ogrzewać. Jak dzieci z bajki zagubione w lesie.

Fran jęknęła.

– Będiesz teraz do końca życia bujać w obłokach, bo udało ci się znaleźć jedną zaginioną osobę? Tam jest strasznie.

– Pewnie zabłądzili, a potem znaleźli jakiś pub, wypili kilka drinków i wynajęli pokój na noc.

– Chyba w takim wypadku by do nas zadzwonili.

– Założę się, że nie mają numeru.

– Jeśli się okaże – dodała Fran – że rzeczywiście spędzili noc razem w pokoju w pubie, lepiej nie mówmy o tym Rolandowi.

Rankiem Fran poszła wcześniej do pokoju dzieci, by sprawdzić, czy coś wiedzą. Ponieważ dzień był piękny, wymyty do czysta przez nocną burzę, już miała rozsunąć zasłony, kiedy zauważyła światło przebijające – jak cekiny lub błyszcząca srebrna nić – przez kilka nacięć w materiale, zrobionych jakby celowo.

Obudziła dzieci i zażądała wyjaśnień; zwróciły w jej stronę speszone buzie. Oszołomieni i rozgrzani, nadal zaabsorbowani snami Ivy i Arthur byli szczerze przekonani, że nie są tymi samymi dziećmi, które wiedziały cokolwiek o nacięciach w zasłonach. To był pierwszy krok na ścieżce brzemiennej w skutki zaprzeczania. Kręcili ponuro głowami, kiedy Fran zapytała ich, czy wiedzą, dokąd poszli Kas i Molly. Przy stole w kuchni, rozchełstani i rozczochrani, w milczeniu opuszczali nisko głowy nad miskami płatków ryżowych i kukurydzianych kuleczek, nabierając mleko na łyżki jak modelowe dzieci, które chcą tylko, żeby zostawiono je w spokoju i żeby mogły się bawić.

Harriet wypła herbatę i zjadła z apetytem grzanekę, a potem znów odwróciła się na bok i zasnęła. Kiedy Alice zeszła po więcej herbaty, wszystkie drzwi były otwarte na piękny dzień, który wlewał się do domu, rzucając jasne romby słońca na ściany i podłogi, obnażając mroczne kąty. Tylko połamane gałązki i liście w ogrodzie, i płatki róż na mokrej ziemi świadczyły o nocnym napadzie złości natury. Teraz, kiedy dzień wydawał się tak obiecujący, Alice poczuła większy strach. Podeszła do bramy i spojrzała w obie strony na drogę; kałuże lśniły w słońcu, ale nie dała się zwieść.

– Damy im jeszcze godzinę – powiedziała kwaśno w kuchni, obawiając się najgorszego. – A potem wezwiemy policję.

Zdumione spojrzenia Ivy i Arthura – nie wiedzieli, że pograżyli się aż tak bardzo – spotkały się i rozbiegły w instynkcie samozachowawczym. Godzina wydawała się niemożliwie elastyczna, żadne z nich nie wiedziało, co z nią zrobić. Podnosili wzrok z nadzieją za każdym razem, gdy na zewnątrz zmieniło się światło lub rozległ jakiś dźwięk, a potem mieli już dość nadziei. Siedząc w fotelu w pokoju Harriet, Alice odwróciła budzik, żeby nie musiała patrzeć, jak mija czas. Fran, ponieważ nie zmrużyła oka, kipiała szorstką energią. Rozglądała się po kuchni i jej spojrzenie spoczęło na długich złotych lokach Arthura, opadających po obu stronach twarzy jak klapy namiotu, gdy skupiony smarował grzanekę nutellą, trzymając niezgrabnie nóż za blisko ostrza, by pokryć kremem także brzegi. Jego matkę uderzyło, że syn nie jest już tak niewinny jak kiedyś. W ogólnym nastroju złowieszczego oczekiwania postanowiła pogodzić się z prawdą, że wszystko, co dobre, musi się w końcu zepsuć, i oświadczyła, że obetnie mu włosy.

– Siadaj na stołku – powiedziała. – Możesz zostać w piżamie.

Arthur oniemiał. Wiedział, że w jakiś skomplikowany sposób jego długie włosy wiązały go z matką – zawsze był przekonany, że to jego tata, kiedy nadejdzie właściwy moment, będzie nalegał, by je obciąć. Teraz jednak to Ivy zaczęła się wściekać – zerwała się od stołu i rozlała mleko z miski, przewracając krzesło.

– Nie możesz obciąć mu włosów! Co ty sobie wyobrażasz? Nie wiesz, co dla mnie znaczą! Nigdy nie będę już czuła tego samego, jeśli będzie miał inne włosy.

To jest Arthur, do którego jestem przyzwyczajona.

Nie odwracając się, Fran zatrzymała się w pół gestu, gdy sięgała po nożyczki, które wisiały na jednym z haczyków w ścianie.

– Dość, Ivy. Nie zaczynaj. Nawet o tym nie myśl.

Coś w jej głosie sprawiło, że Ivy tym razem posłuchała. Potulnie i bez słowa urwała kawałek papierowego ręcznika i wytarła rozlane mleko. Siedzący na wysokim stołku Arthur emanował tragiczną aurą księcia męczennika, lecz Fran była nieubłagana. Nie była przesądna, lecz przemknęło jej przez myśl, że poświęca coś cennego, by powstrzymać okrutny los. Ivy, kiedy skończyła wycierać mleko, obserwowała ją zafascynowana. W miarę jak długie loki spadały jeden po drugim na zielone linoleum wokół nóg kuchennego stołka, pojawiał się nowy Arthur: bez dziecięcej słodyczy, bystrzejszy, bardziej kościsty i mniej miękki, bardziej męski. Ukryty za włosami rozwinął się w nową osobę, czego nie zauważyli. Krótkie włosy na głowie – ze śladami nożyczek jak u ostrzyżonego baranka – były mysiobrazowe, bez śladu złota. Fran strzygła go bez słowa. Ogromnym wysiłkiem woli powstrzymywała smutek.

Kiedy ostrzygła połowę głowy syna, na zewnątrz rozległy się kroki i wszyscy podnieśli wzrok z radością w sercu na myśl o ułaskawieniu. Ale to była tylko Janice Patten, zasłaniająca światło w drzwiach. Fran od razu nabrała podejrzeń, że Janice przyszła powęszyć, bo usłyszała coś o Harriet. Alice miała nadzieję, że w nocy nikt nie widział ich na drodze, ale na wsi zawsze komuś udawało się coś zauważyć. Albo może znaleźli ubranie Harriet wrzucone do strumienia. Alice wybierała się po nie później, choć nie miała pewności, czy uda się je znaleźć. Janice była ubrana w marynarskim stylu w bawełnianą sukienkę w niebieskie paski, a na siwoblond włosy nasunęła różową czapkę. Omiotła wzrokiem doniosłą scenę.

– Och nie, jego piękne włosy!

W jej proteście zabrzmiał jednak cień zadowolenia i Fran domyśliła się, że aprobejuje strzyżenie. Być może ludzie gadali – ci wszyscy ludzie tutaj, których nawet nie znali, a których znała Janice – że robi z syna maminsynka.

Fran mściwie chwyciła następny lok i zaatakowała go nożyczkami; Arthur tylko się skrzywił i zakołysał stoicko na stołku. A Fran spojrzała na zegar: godzina prawie minęła. Równie dobrze może wyjawić wszystko.

– Tak, pomyślałam, że najwyższa pora. Nie może zawsze być małym dzieckiem. A dziś panuje u nas straszne zamieszanie. Przepraszam, Janice, nie mogę zaproponować ci kawy. Musimy jechać na policję: Molly zaginęła. Kasim też, ale za niego nie jesteśmy odpowiedzialne. Nie było ich całą noc. Wyszli wczoraj wieczorem, nie mamy pojęcia dokąd. I Harriet źle się czuje.

Janice przebiegła wzrokiem po ich twarzach, udając zaniepokojenie. To było zdecydowanie za dużo wiadomości naraz, pomyślała Fran, by Janice mogła się

nimi cieszyć jak należy.

– Och, biedactwa, ile zmartwień. Co się dzieje z Harriet? Przecież ona nigdy nie choruje. Ale Kas i Molly... ich coś łączy, prawda? Nie panikujcie, na pewno niedługo się pojawią.

– Czy nie to mówili o Mitzi? – zapytała Ivy grobowym głosem.

Przez moment Fran nie mogła skojarzyć, kim jest Mitzi. Janice przypomniała jej ze smutkiem, dodając, że to nie jest taki sam przypadek.

– Pewnie zabrał Molly gdzieś do hotelu. Co o tym myśli Roland?

Fran, zajęta nożyczkami, pokręciła głową, zaciskając usta. Nie mogła się zmusić do wyznania, że Roland nic nie wie.

– Wyjechali wczoraj.

– Widziałam samochód. Zauważyłam, że Molly z nimi nie było.

Arthur przesunął dłonią po włosach, by się zorientować, czy matka już skończyła. Czuł zadowolenie, poklepując miejsca, gdzie kiedyś były piękne loki (już kilka razy musiał się o to bić w szkole, wymierzył kilka kopniaków i ciosów w odwecie za to, że ktoś nazwał go dziewczynką), więc postanowił wszystko wyjaśnić.

– Wiemy, gdzie oni są – powiedział znacznie wyraźniej niż dotąd, bo głosu nie tłumili włosy. – I gdzie jest Mitzi. A raczej gdzie była, bo Kas ją wyniósł, kiedy robił porządki.

Fran poczuła, że prawie nie zna tego chłopca z niemal łąsą głową, przemawiającego z tak władczym spokojem.

– Nie bądź niemądry, Arthurze. Mitzi zaginęła wiele miesięcy temu.

– A my ją znaleźliśmy, w chacie w lesie.

– W jakiej chacie? – zdumiała się Janice. – Nic jej nie jest?

Ivy doszła do wniosku, że czas wszystko wyjaśnić.

– Nie, bardzo mi przykro. Mitzi nie żyje.

– I to bardzo – dodał Arthur. – Była cała zgniła i okropna. Ale Kas wyniósł ją na łopacie i wrzucił do ognia. Wszystko posprzątał, żeby zabrać tam Molly.

– Czy oni się popisują? – zapytała Janice Fran. – Czy coś z tego jest prawdą?

Fran nie mogła odpowiedzieć.

– Oni naprawdę się kochają – upierała się Ivy. – To było coś jak ślub. Nie martwcie się, nie prawdziwy, tylko udawany. Dlatego tak ją wystroiliśmy.

Alice zapomniała o upływie czasu i siedziała pogrążona w rozmyśleniach, gdy Fran uchyliła drzwi i skinęła na nią, by coś jej wyszeptać. Podobno Kasim i Molly spędzili noc w zrujnowanej chacie, tej przy drodze do wodospadu. To dlatego Kas chciał zabrać świece! Dzieci wiedziały o tym od początku i teraz mają wielkie kłopoty.

– Nie bądź dla nich zbyt surowa – poprosiła Alice.

Wybierali się wszyscy do chaty, kiedy tylko dzieci się ubiorą.

- I obciąłam Arthurowi włosy!
- Niemożliwe! Założę się, że wygląda ślicznie.

Fran się skrzywiła.

– Mnie się nie podoba. Wygląda jak prawdziwy chłopiec. I wcale nie jest blondynem. Janice idzie z nami.

– A po co?

– Chodzi o tego jej nieszczęsnego psa. To takie poplątane.

– Nie martw się. Wszystko będzie dobrze, jeśli znajdziecie Kasa i Molly.

Alice wróciła na fotel. Słyszała głosy dzieci i Fran nalegającą, żeby posmarowały się kremem, a potem kamyki trzeszczące pod ich stopami na podjeździe. Janice zabrała z domu kije do nordic walkingu. Okno w sypialni było zasłonięte, by jasne słońce nie raziło Harriet. W fioletoworóżowym świetle ciemne stare meble z taniego drewna zdawały się unosić w powietrzu.

– Jak tu spokojnie – powiedziała, gdy zauważyła, że siostra już nie śpi.

– Zrobiłam z siebie idiotkę – powiedziała Harriet. Jej twarz na poduszce była żółta, a białe włosy sterczały jak sierść.

Alice bezwiednie podniosła rękę, by poprawić fryzurę, i ten gest nie umknął uwagi siostry.

– Wcale nie – powiedziała. – Jesteś jedną z najbardziej poważnych osób, jakie znam.

– Nienawidzę tej swojej powagi.

– Pomyśl o wspaniałej pracy, jaką wykonujesz. I Pilar też nie ma cię za idiotkę.

– Nie chcę o niej rozmawiać.

– Teraz jest jej na pewno przykro, bo łączyła was piękna przyjaźń, ale okazało się, że dla każdej z was oznacza to coś innego.

Harriet odwróciła głowę, by spojrzeć na siostrę.

– Czy nigdy cię nie męczy ta egzaltacja i bycie uroczą przez cały czas? To na pewno wymaga mnóstwo wysiłku. Podejrzewam, że czytałaś mój pamiętnik. Nieważne, nie dbam o to. I nie przejmuję się nawet tym, że zrobiłam z siebie idiotkę. Ale jestem bardzo rozgoryczona. Życie innych ludzi i życie, o którym czytam w książkach, wydaje mi się bogatsze. W porównaniu z tym moje jest takie jałowe.

Alice tylko przez moment czuła się urażona atakiem siostry, jakby najechała na dobrze znany wybój na drodze. Wyprostowała się i postanowiła tym razem, w tej wyjątkowej chwili, szczerze z nią porozmawiać.

– Jałowe? Myślisz, że to dlatego, że nie masz dzieci?

– Ty też nie masz dzieci, prawda? A twoje życie nie wydaje się jałowe.

Alice odparła, że czasami tak.

– Nie próbuj mnie pocieszać – odparła ostro Harriet. – Nie zawsze musisz

wszystko naprawiać.

Czy czuła, że zmarnowała ten czas, kiedy była młoda i tak mocno zaangażowana w politykę? Ale Harriet odparła, że często zadaje sobie to pytanie i doszła do wniosku, że wybrała zaangażowanie, bo taka już jest, a nie przez politykę. I to prawda, że jej obecna praca jest wartościowa, nie zamieniłaby jej za nic. Ale nie pomaga rozwiązać jej własnych problemów.

– Wszyscy chcą życia: nasi klienci, uchodźcy, wszyscy. Robisz, co w twojej mocy, próbujesz załatwić im dach nad głową, bezpieczeństwo, dopływ gotówki. A przecież ty już to wszystko masz, więc pod tym względem masz szczęście, niemal niewyobrażalne. Tylko że nadal nie masz życia.

– To nieprawda – zaprzeczyła Alice. – Widzisz to wszystko ze złej strony, bo jesteś smutna.

– A jeśli widzę z właściwej?

– A co z Christopherem? Masz Christophera.

– Tak – odparła Harriet po chwili. – Jest moim przyjacielem.

Przyglądały się sobie otwarcie.

Alice westchnęła.

– Chcesz powiedzieć, że brakuje ci miłości.

Harriet skubnęła jakiś niewidzialny paproch na kołdrze. Była zażenowana, że Alice użyła tego słowa, które tak gładko spłynęło jej z ust, bo wypowiadała je tyle razy wcześniej, dziesiątki tysięcy razy.

– Tak, podejrzewam, że to, o co mi chodzi, da się podciągnąć pod to określenie – powiedziała burkliwie. – A teraz jest za późno. Tylko nie mów, że nie, bardzo proszę. Bo to we mnie kryje się to coś, co stoi na przeszkodzie miłości. A raczej tego, co sprzyja miłości, we mnie nie ma. Powabu. Albo seksapilu. Jakkolwiek to nazwać. Nie mam tego w genach.

Alice zaprotestowała, mówiąc, że to tak nie działa. Musi być coś takiego, co można zrobić, by dodać sobie powabu, jeśli się tak postanowi.

– Może nie ma.

– Cała wielka namiętność na świecie nie może się opierać na czymś tak przypadkowym jak kod genetyczny.

Harriet wzruszyła ramionami.

– Może jednak tak. Ale nie martw się o mnie. Nie będę już więcej próbować robić takich głupot. To była moja chwila w stylu Wiktora Hugo. Następnej nie będzie.

Siostry urwały rozmowę, bo na zewnątrz rozległy się kroki: ktoś zbliżał się do drzwi przybudówki. Czy tamci już wrócili? Kiedy Alice rozsunęła zasłony, ku swemu zaskoczeniu zobaczyła na dole mężczyznę. To był Jeff: z plecakiem przerzuconym przez jedno ramię i gitarą przez drugie. Nie powiedział nikomu, że przyjedzie. Zastukała w szybę i pomachała do niego podniecona. Na pewno złapał

na stacji autobus o jedenastej, a potem szedł piechotą – dzień był taki ładny. Teraz Fran będzie szczęśliwa. A kiedy Jeff cofnął się o kilka kroków, by spojrzeć w okno, mrużąc oczy z szerokim uśmiechem, Alice przypomniała sobie, jaki jest uroczy: chudy jak zawsze, aż dżinsy zsuwały mu się z wąskich bioder, o muskularnych ramionach, choć nigdy nie ćwiczył, opalony, choć całe życie spędzał w barach i klubach. Nie dbał o zęby, były krzywe i pożółkłe od nikotyny, a jego ciało, kiedyś gładkie, zaczęło przypominać surowo wyprawioną skórę. Nadal jednak wyglądał bardzo młodo. Wilgotne czarne oczy, prosty nos, pociągła twarz z płaskimi kośćmi policzkowymi, które odziedziczył po nim Arthur. Obok złości Alice na dokuczającego jej, złośliwego, leniwego szwagra zawsze pojawiał się cień niewinnego flirtu. Pomyślała, że przez te kilka ostatnich dni przyda im się w domu mężczyzna. Roland jako ich brat się nie liczył, a Kasim był za młody. Przyjazd Jeffa zdawał się przywracać równowagę.

Alice zamierzała zwierzyć się Harriet. Ale potem pojawił się Jeff, a poza tym, jeszcze wcześniej, martwiła się, że jeśli wspomni o tym podczas rozmowy, Harriet może odnieść wrażenie, że chce przebić jej rozpacz albo próbuje sprawić, by poczuła się winna. Postanowiła więc nic nikomu nie mówić. Zresztą to żadna wiadomość, jeszcze nie. Może się okazać, że to zupełna drobnostka: ten mały guzek, który wyczuła w piersi w środku nocy mniej więcej tydzień temu, po kolacji u Pattenów. Była pewna, że jest nowy, ale przecież równie dobrze może się okazać łagodny. Obudziła się i od razu przyłożyła dłoń do tego miejsca, jakby to ono wyrwało ją ze snu tak skutecznie jak mały budzik. Następnego dnia umówiła się na wizytę u swojego lekarza, kiedy tylko wróci do Londynu. To niewielkie opóźnienie – gdyby była rozsądna, pojechałaby od razu – było jedyną oznaką, że się boi.

Nie, jasne, że się bała, to się rozumie samo przez się – zwłaszcza kiedy obudziła się sama w nocy. I była świadoma tego guzka przez cały czas, nawet siedząc w ogrodzie z Jeffem, popijając z nim piwo, czekając na powrót reszty. Ale na razie strach pozostawał w osobnej przegródce i nie był taki zły, jak mogła się spodziewać; jeszcze nie. W końcu miała powody, by żywić nadzieję. Nawet jeśli to był rak, w dzisiejszych czasach leczy się tyle jego odmian. Ich matka mogłaby żyć, mawiali czasami, gdyby miała dostęp do najnowszych zdobyczy medycyny. Alice zaskoczyła samą siebie swoją odpornością. Kiedy wróci do Londynu, rzeczywistość bez wątpienia wychynie ze swojego mrocznego tunelu i ją powali. Ale jeszcze do tego nie doszło. Guzek nadal należał do niej i miał dla niej jakieś znaczenie. Powtarzała sobie, że jest powiązany z tym przecuciem, które ogarnęło ją pierwszego dnia w Kington, kiedy światło poruszające się na tapetach w sypialni dziadków i głosy dobiegające z zewnątrz z taką intensywnością przeszły jej wspomnienia. Wiedziała wtedy, że coś ją czeka, że coś jej obiecano. Pomyliła się tylko co do istoty tej obietnicy.

Procesja idąca przez las była bardzo ponura. Fran i Janice prowadziły

wymuszoną rozmowę o parku narodowym, a Janice miała na ten temat wyjątkowo spiskową teorię. Dla Fran te jej kije do nordic walkingu były kroplą przepełniającą czarę. Jezu, przecież to tylko oznakowana ścieżka przez las, można nią iść w szpilkach! Ivy szła ze ściągniętą twarzą, bo w swojej fantazji znajdowała się w drodze na ołtarz lub na szafot – choć nie miała jasnej wizji, co wydarzy się potem w którymkolwiek z tych miejsc. Jej strój zainspirowała wczorajsza stylizacja Molly – oprócz nylonowej halki i różowego topu z cekinami miała na sobie welon z wyjętej spod telefonu w holu i przypiętej klamerkami papierowej serwetki w koronkowy wzór. Arthur eksperymentował i kręcił nową głową, która wydawała się taka lekka. Zbliżając się do chaty, zauważyli mgiełkę zawieszoną między drzewami; żadne z nich nie było nią zainteresowane, w swojej miejskiej ignorancji przypisując ją jakiemuś kapryswi pogody. Mgła zgęstniała, lśniąc w promieniach słońca, gdy dotarli do tej części ścieżki, która prowadziła na skraj doliny, wiodąc wzdłuż chaty. Arthur zaczął kaszleć, zakrywając usta dłonią, i wszyscy wyczuli kurz. Idąc z kijami, Janice wysforowała się na przód i zauważyła to pierwsza.

– Wielkie nieba! – wykrzyknęła, stając jak wryta.

Cały tył chaty oderwał się od reszty i razem z lawiną kamieni i czerwonego błota spadł do zalesionego żlebu piętnaście metrów w dół, gdzie rumowisko cegieł i zaprawy dymiło spokojnie w ciszy pośród połamanych drzew. Cisza – a raczej zwykły szelest, szmer i śpiew ptaków – była chyba najdziwniejsza, jakby sam moment katastrofy mógł być bezszelestną, abstrakcyjną formalnością. Frontowa ściana, z nadal do niej przyczepioną mniej więcej jedną trzecią chaty, zwisała nad krawędzią żlebu, otwarta od tyłu, a wszystkie pokoje, ze swoimi tapetami, wymalowaną lamperią i bledszymi plamami na ścianach, gdzie kiedyś wisiały obrazy, wyglądały jak z miniaturowego domku dla lalek. Kominek z kremowych kafli, wystając w nicość, nadal krył w sobie węgle, a butelka po winie leżała przewrócona na podłodze. Ivy krzyknęła raz, teatralnie, a potem natychmiast zamknęła usta. Fran zaczęła cichutko mrużyć pod nosem: o mój Boże, mój Boże, mój Boże. Przez kilka minut wpatrywali się w ten obraz, wstrzymując się od reakcji, jakby czekali na jakieś wyjaśnienie, którego może udzielić chata.

– Możemy tam pójść? – zapytała Fran.

Janice pomyślała, że da się obejść chatę długą ścieżką, która prowadzi w dół.

– Ale jedna z nas powinna wrócić po pomoc. Przyślą helikopter. Mam iść? Nie mam rewelacyjnej kondycji, ale mogę potruchtać. A może powinniśmy posłać jedno z dzieci? Można im zaufać?

– Janice, zostań ze mną jeszcze przez chwilę. Nie myślę racjonalnie.

Fran przykucnęła na ścieżce przed córką.

– Ivy, muszę to wiedzieć. Czy możesz przysiąc na swój honor, że Molly i Kasim tam byli?

Ivy w osłupieniu skinęła głową, papierowy welon zadrżał.

Arthur wybiegł do przodu i machał teraz do nich z miejsca, gdzie ścieżka zakręcała.

– Są tutaj! Są tutaj! – krzyczał.

Kiedy pospieszyli na polanę, zauważyli Kasa i Molly, którzy szli z przeciwnej strony, trzymając się za ręce. Wydawali się w równym stopniu jak oni zdumieni kataklizmem, do którego doszło w chacie. Frontowa ściana, ta od polany, była dziwnie nietknięta, jak utrzymywane już od dekad pozory, że kryje się za nią domowe zacisze. Frontowe drzwi otwierały się jednak na niebieskie niebo.

– O mój Boże, wy głuptasy, coście narobili?! – krzyknęła do nich Fran, a potem odwróciła się do dzieci. – Tylko mi nie mówcie, że przychodziliście w to okropne miejsce przez ostatnie kilka tygodni. Nie mówcie mi, że ci nieodpowiedzialni idioci wam na to pozwolili, gdy powierzyłam im opiekę nad wami.

Potem wybuchnęła głośnym płaczem i nie można jej było uspokoić, bo kiedy Arthur objął ją ramionami, za każdym razem, gdy na niego patrzyła, widziała tylko jego smutną ostrzyżoną obcą głowę.

Molly powiedziała, że obudzili się o świcie.

– W nocy wiał straszny wiatr, ale kiedy otworzyłam drzwi wejściowe, było spokojnie, wszystko było takie zamglone i idealne. I pomyślałam, że jeszcze nigdy nie widziałam, jak świta. To znaczy, widziałam podczas jazdy samochodem i tak dalej, ale nigdy nie byłam tego częścią. Więc obudziłam Kasa, ubraliśmy się i postanowiliśmy pójść na spacer do wodospadu. Powinnaś zobaczyć wodospad, Ivy, w porównaniu z poprzednim razem przypomina teraz szalony strumień. I widzieliśmy jelenia. Nie wiedziałam, że na wsi żyją jeszcze jelenie.

– Ale świt był wiele godzin temu – powiedziała Janice. – Już prawie południe.

Kas i Molly umyślnie nie wymienili spojrzeń. Znów zasnęli, wyjaśniła, na trawie przy wodospadzie, kiedy wzeszło słońce i zrobiło się tak ciepło i przyjemnie.

Ponieważ udało im się wyjść cało z tak dramatycznej sytuacji, nikt się nie silił udawać, że ci dwoje nie uprawiali seksu – prawdopodobnie przez pół nocy i cały ranek. Nawet dzieci musiały się czegoś domyślać. Warkoczyki na głowie Molly skołtuniły się od uścisków, a kiedy dziewczyna opowiadała swoją historię, w podnieceniu połykając końcówki, jej twarz jaśniała rozmarzeniem. Ależ mieli szczęście! Wyobraźcie sobie tylko! Co by się stało, gdyby się nie obudziła i nie uparła, żeby poszli na spacer? Kas się opierał, nie chciał się nigdzie ruszać. Gdyby postawił na swoim, leżeliby teraz w rumowisku.

Ale widać było wyraźnie, że ani przez chwilę nie wierzyła, że mogli zginąć. Miała w sobie tyle życia, że czuła się nietykalna.

– Pewnie nie – odezwał się Kas. – Podejrzewam, że najpierw rozległ się jakiś

ostrzegawczy hałas. W każdym razie nie wszystko się zawaliło. Założę się, że jakoś udałoby się nam stamtąd wyrwać.

– Musieliście coś słyszeć – upierała się Janice. – Nawet nad wodospadem. Kiedy to wszystko runęło, musiał być niezły huk.

Molly zmarszczyła lekko brwi.

– Możliwe, że coś słyszałam. Jakiś brzęk. Albo rumor, jakby ktoś przewrócił butelki. Pomyślałam, że to z jakiejś fabryki czy coś takiego.

– Nie wspominałaś o tym – zdziwił się Kas. – Rzeczywiście, tutaj w okolicy jest mnóstwo fabryk.

– Nie chciałam cię budzić. Tak słodko wyglądasz, jak śpisz.

W drodze powrotnej Janice zapytała Kasima, czy to prawda, że w chacie znaleźli Mitzi. Kasim odparł, że wyniósł szczątki lisa z pokoju na górze. Janice poczuła ulgę, a Arthur i Ivy spojrzeli na siebie, postanawiając bez słów nie drażnić tematu. Znów czuli na sobie surowe spojrzenia Kobiet. Nawet w swoim nowym, dojrzalszym wcieleniu Arthur na wpół w nie wierzył. Pewnie chata zawaliła się przypadkiem. Ale pamiętał te brudne szmaty powiewające w oknie i zdechłego psa w kącie, który mógł być lisem, i tajemnicę czasopism, które zdawały się rosnąć, gdy wycinał z nich jedno nagie ciało po drugim z paraliżującą powtarzalnością, jakby krył się w tym jakiś głębszy sens. Dlaczego nie było tam ciał mężczyzn?

Wrócili skrótem przez cmentarz. Alice rozmawiała i śmiała się z kimś w ogrodzie. Fran myślała o szkole, starając się być osobą, jaką tam była: mądrą, elastyczną i kompetentną, gdy z sarkazmem reagowała na uwagi uczniów, ucierając im nosa. Ale w jej własnej rodzinie wszystko się tak pomieszało, a ona popełniła takie poważne błędy. W konsternację wprowadził ją fakt, że Janice Patten widziała ją we łzach i że jej dzieci były tak niezdrowo zafascynowane życiem seksualnym Molly; na dodatek pozwoliła im plątać się po takim niebezpiecznym miejscu. Zamknęła drzwi w umyśle prowadzące do dymiącego rumowiska i mocno je zatrasnęła, lecz nawet to sprawiło, że zrobiło się jej niedobrze. Gdyby tylko Jeff tutaj był, pomyślała. Pełna zwątpienia porzuciła odwieczną litanię skarg i zatęskniła za nim – za znajomą, kochaną zagadką jego ciała i znajomym irytującym charakterem – jakby był wyjątkowym i jedynym rozwiązaniem problemu jej samej.

Harriet czuła się o wiele lepiej, ale była bardzo cicha. Pewnego ranka przyszła do niej kartka w kopercie zaadresowanej obcym charakterem pisma. Podniosła ją z podłogi w holu pod skrzynką, zanim ktokolwiek ją zauważył, i zabrała do sypialni, by przeczytać, zamykając wcześniej oboje drzwi. Na co liczyła? Na słowa, które mogłyby cofnąć to, co zrobiła? Na kartce był widoczek opactwa Malmesbury z dwoma oknami pozbawionymi witraży: być może Pilar i Roland zwiedzili je po drodze do domu. Na odwrocie Pilar napisała tylko: *Testy były negatywne*. Harriet się zdumiała. Jak Pilar mogła sobie wyobrazić, że nadal

obchodzą ją te testy? Czemu miałyby tak być, jeśli nie mogła mieć Pilar? Harriet nigdy w swoim wcześniejszym życiu nie uwierzyłaby, że jest zdolna do tak egoistycznej miłości, do zimnej żądz. Ale tak było.

Pośrednik w handlu nieruchomościami przyjechał pewnego popołudnia, by obejrzyć i wycenić dom. Przez cały ranek sprząтали, czyścili, by wszystko ładnie się prezentowało, a Alice znów ustawiła kwiaty w pokojach. Zauważyła, że ktoś siedzi w samochodzie pośrednika pozostawionym na podjeździe, a agent wyjaśnił, że to jego ojciec, który nie angażuje się już w interesy, ale lubi się z nim czasem przejechać. Musiał zrezygnować z prowadzenia samochodu z powodu problemów z widzeniem peryferyjnym. Syn wyjaśnił, że jest to dla niego mocno frustrujące, bo poza tym ojciec jest bardzo sprawny i aktywny. Alice zaprosiła starszego pana do środka na herbatę, ale on wolał czekać w samochodzie.

Mikey Waller siedział tam przez chwilę, a kiedy przestał padać deszcz i wyszło słońce, wysiadł, by rozprostować nogi, i przeszedł kawałek drogą, by zajrzeć do kościoła, bo interesował się architekturą sakralną. Miał starannie przystrzyżone piaskowosiwie włosy i był rumiany, jakby cierpiał na nadciśnienie. Należał do tych wysokich, powłóczących nogami mężczyzn, którzy za młodu wyglądają zbyt surowo, a potem, bez żadnych starań z ich strony, w późniejszym wieku nabierają powagi i stylu. Nie zabawił w kościele zbyt długo, nie chciał, by syn na niego czekał. Kiedy znów skręcił w podjazd przed plebanią, zauważył, że z domu wyszła młoda kobieta – w każdym razie jemu wydawała się młoda – z miednicą upranych dziecięcych ubrań i zaczęła je rozwieszać na sznurze. Obserwował ją, choć z powodu problemów z widzeniem peryferyjnym musiał być ostrożny, by nie wydać się natrętny. Podejrzewał, że to jedna z córek Jill Crane. Ile dzieci miała? Troje? Czy czworo? Ta córka była drobna, pulchna i zdecydowana; o ile widział, nie była zbyt podobna do matki – być może miała te same rudozłote włosy. Rodzina zamierza więc sprzedać dom, po tych wszystkich latach. Mikey bardzo tego żałował. Czuł szczególne przywiązanie do tego miejsca i zawsze lubił myśleć, że Crane'owie z niego korzystają. To dlatego, że kiedyś kochał ich matkę, przez długi czas. Ona jednak odeszła, a on musiał ułożyć sobie życie bez niej.

Podziękowania

Płynące z głębi serca podziękowania kieruję do Dana Franklina i Caroline Dawnay, Jennifer Barth i Joy Harris, którzy raz jeszcze służyli mi swoją mądrością i dobrocią. Układ książki – *Teraźniejszość, Przeszłość, Teraźniejszość* – pożyczyłam bezwstydnie ze znakomitej powieści Elizabeth Bowen *The House in Paris*, a niektóre szczegóły *les événements* w Paryżu w 1968 roku równie bezwstydnie – z fascynującej relacji Mavis Gallant w jej *Paris Notebook*. Jak zawsze kieruję wyrazy ogromnej wdzięczności pod adresem mojego uniwersytetu, Bath Spa, który wspiera wszystkie przedsięwzięcia artystyczne i ułatwia życie pisarzom, oraz pod adresem moich przyjaciół, kolegów i studentów, którym zależy na dobrych książkach. Dziękuję Katherine Ailes, Sophie Scard i Deirdre Molinie za wnikliwą lekturę. I Ericowi – za wszystko.

¹ Edith Nesbit, *Złota Księga Bastablów*, przeł. Ewa Fiszer, Oficyna Wydawnicza Rytm, Warszawa 1996.

² *Pillar* (ang.) – filar.

³ Aluzja do sonetu Williama Szekspira *Kim jest Sylvia?*. Muzykę do sonetu napisał Franciszek Schubert.

⁴ *Compos mentis* (łac.) – zdrowy na umyśle.

Przekład: Katarzyna Malita

Redakcja: Maria Wirchanowska

Korekta: Grzegorz Krzymianowski, Krystian Gaik

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12

tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-4682-5

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal
Sp. z o.o.
i Michał Latusek / Virtualo Sp. z o.o.

The logo for Virtualo, featuring the word "virtualo" in a bold, blue, sans-serif font. The letter "v" is lowercase and the rest of the letters are lowercase as well, though the "o" at the end is slightly larger and more prominent.

